

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 141.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Marzec.

TOM I. — ZESZYT III.

WARSZAWA.

Skład i Exp. słów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

*Ukończono druk dnia 7 marca 1876 r.*

# T R E Ś Ć.

	stron.
I. Doświadczenie, jako kryterium prawdy. Przez A. Tyszyńskiego. . . . .	385
II. Improwizacye Adama Mickiewicza. Przez Mikołaja Malinowskiego. . . . .	411
III. Synowie Hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Wł. Chomętowskiego. . . . .	417
IV. Bułgarowie naddunajscy. . . . .	440
V. Józef Korzeniowski. Studium literackie Adama Rzętowskiego. . . . .	458
VI. Kronika lwowska. . . . .	483
VII. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Napisał T. Skomorowski. . . . .	502
VIII. Franciszek Deak. . . . .	514
IX. Kronika zagraniczna, literacka, naukowa i artystyczna. . . . .	529
X. Feliks Zieliński. (Wspomnienie pośmiertne). . . . .	545

## PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

XI. Romuald Hube, Statuta Nieszawskie z roku 1454 (Bibl. Umiejęt. Praw. 1875, rozważane jako przyczynek do historii konstytucjonalizmu w dawniej Polsce). Przez J. d. . . . .	551
XII. Pestalozzi. Idee und Macht der menschlichen Entwicklung. Bearbeitet von Josephine Zehnder, geb. Stadlin. Gotha 1875. Erster Band. Zeit und Vorzeit von Pestalozzi's Entwicklung, XVI 828. Napisał Seweryn Smolikowski Kand. pr. . . . .	563
XIII. Czaszki z kurhanów Pokuckich, jako materyał do Antropologii przedhistorycznej Ziemi polskich, opracował dr. Izidor Kopernicki. (Kraków 1875). Przez A. W. . . . .	571
XIV. Spostrzeżenia nad właściwościami językowemi w mowie Górali Bieskidowych z dodaniem wyrazów góralskich. Opisał dr. Izidor Kopernicki. (Kraków 1875). Przez A. W. . . . .	571
XV. Fr. Lenormant: La magie chez les Chaldéens et les origines accadiennes, (Magia u Chaldejczyków i początki akkadyjskie). Paryż 1874. Przez J. K. . . . .	574
XVI. Marya. Powieść Malczewskiego. Warszawa Nakład Gebethnera i Wolffa. 1876. (w 4-ce str. 63. Druk J. Ungra, z ośmiu fotografiami z rysunku M. Andriollego). Przez W. . . . .	578
XVII. Teatra w Polsce, przez Estreichera. Tom II. W Krakowie, czcionkami „Czasu.” 1876 r. (w 8-ce, str. 718). Przez W. . . . .	581
XVIII. Etudes Bulgares (Studyja bułgarskie), p. A. Chodźko. Chargé du cours de Langues et Littératures d'origine Slave au Collège de France. Paris, 1875. Przez F. J. . . . .	582
XIX. Od redakcyi. . . . .	584
XX. Wiadomości bieżące naukowe, literackie i artystyczne. . . . .	585
XXI. Nekrologia.—Sprostowanie. . . . .	595



De. II 1

DOŚWIADCZENIE,

# JAKO KRYTERYUM PRAWDY.

PRZEZ

*A. Tyszyńskiego.*

Badania zagadek bytu, istnącej prawdy, wielkim krokiem zdają się dzisiaj zbliżyć do swych rozwiązań. Nie dlatego iżby jakie empiryczne odkrycie okazało i objaśniło stanowczo cel i początek pierwiastków życia wśród świata; nie dlatego iżby się już zjawiała i stała powszechną jakaś racjonalna metoda wieść do celu mogąca najprościej, ale dlatego że jest to faktem: iż raz niegdyś wzruszony i puszczonej w obieg ów pierwiastek ducha ludzkiego, który ma na celu poznanie istoty rzeczy, goniąc po harmonijnej swej drodze i rozwijając się, coraz szybciej i szerzej swe obrotowe koło nakreśla.

Istotnie, wiek nasz nie jestto wcale ów wiek ludzkości pierwotnej, kiedy zjawiana wśród jęj jednostek umysłowość wyższa, szczególny rozum, zdawały się jakby wyjątkiem, zboczeniem od praw natury (Wschód); nie jestto nawet wcale ów okres późniejszy, kiedy umysłowość podobna (rozum) nie bywała już wprawdzie wyjątkiem, lecz przywilej ten zdawał się służyć jednemu zakątkowi na ziemi, jednemu wyjątkowemu ludowi, (Grecya a po niej Rzym): dziś takim wyjątkowym zakątkiem, takiem wyjątkowem plemieniem, jest ledwo nie cała ludzkość i ledwo nie wszystkie jęj ludy. Że wspomnimy tu tylko o tęj części ziemi wśród której mieszkamy, i o tęj gałęzi myśli, o której tu głównie rzecz mamy (filozofii), wszystkie prawie dzisiejsze kraje Europy, tak ludy cywilizacyi dawniej jak nowszej, nie są próżne już krótszych już obszerniejszych na tęp polu prac i utworów, a utwory te tu i tam nie są próżne cech żywotności. Pisarze i myśliciele pierwszych (to jest piśmiennictw dawnych) ukazują w swych pracownikach i dziełach ich: oswojenie się z lat dziecinnych z treścią myśli głębszych, właściwych im metod, i razem naturalny, dalszy ich rozwój; pisarze i myśliciele drugich (to jest piśmiennictw na kolej dopiero przychodzących, jak np.: skandynawskich, flamandzkich, słowiańskich i t. p.) mięszczą znowu z samęj natury swojej pierwiastki gruntu świeżego, produkcyą nie wyssanego, i pozwalają tęp samém szukać i oczekiwać wśród siebie nowych, szczególnych zjawisk. Nie na brak więc, szczupłość produkcyi, ale raczej na ich różnorodność, mnogość i pewin w mnogości tęp chaos, użalaćby się chyba dziś można. Z jednéj strony widne tu żądze, wysiłki, do grzebania starych wiar, starych przekonań; z drugieję, rozwijania postępnę dróg dawnych; w tych i owych krocie nowych lub niby nowych systemów, podsystemów





mów i odcieni systemów; tak, że jeśliby prawdą być miały te twierdzenia fizyologów że: „wszelkie zniszczenie jest zarazem tworzeniem” oraz iż „rospadanie się w różność zwiastuje jedność;” tedy patrząc na ten obecny nam stan téj nauki, która ma za zadanie zdobycie prawdy, rzeczy można: iż już obchodzimy wigilię tego zdobycia.

I co do nas, iż tak jest nie wątpimy.

Nie wiemy wprawdzie co to są miary i czasy, co to są dnie i wigilie w życiu Ludzkości, ale wiemy że jej bieg to Harmonia, i że śród świata harmonii wnioski są jasne. Biorąc więc przypuszczenie powyższe za fakt (a przypuszczenie to w żadnym razie nie może się stać ze szkodą istotnej drogi) chcemy tu i ze swéj strony, według swéj siły, możności, postawić niejaki krok, albo chociaż kroczek, a mianowicie spojrzeć: czyli w tym dzisiejszym odnęciu dociekających kroków, różnorodnych w swéj treści ale mających cel *jeden*, nie da się upatrzeć pewna jedność i śród samej téj treści? i czyliby ta podjęta, a w kierunku jednéj z dróg podniesiona i rozszerzona, nie mogłaby do spólnego celu powieść najprościéj, i tém samém (mówiąc porównaniem powyższém) skrócić nasz dzień wigilii a zbliżyć święto?

Chcielibyśmy w téj krótkiéj pracy być zrozumiali i jaśni tak dla umysłów wszelkiéj partyi, jak żadnéj partyi; położymy tu więc przedewszystkiém maleńki prolog, to jest przypomnimy w dwóch słowach, a w sposób możliwie praktyczny, co właściwie istotą jest filozofii? jaki był dotąd wyraz jéj dziejów? i jaki jest stan nam spółczesnéj? Jasne oznaczenie przedmiotu ułatwić może i musi i podzielenie wniosków. Musimy tylko uprzedzić, iż jak w tym krótkim prologu, tak téż i w treści dalszéj nie będziemy wychodzić z metody i zasad żadnéj ze znanych szkół (choćby dlatego, że żadna nie przyniosła tych skutków, jakie mieć chcemy), ale iść tylko z zasad własnych i drogą własną.

Filozofia, mówiąc najkróćj, jest to nauka, która ma na celu poznanie istoty świata, i wyprowadzenie ztąd reguły życia dla człowieka. Część pierwsza tego określenia, jako pierwsza, jest zadaniem jéj główném.

W myśli ludzkiéj jakie się mianowicie kształci poznanie świata? Człowieka łączą ze światem i przed poznaniem jego stawia mu jego obraz, dwie władze: *zmysły* i *umysł*. Połączenie to, jak objaśnia fizjologia, dzieje się tak: iż *wrażenia* zmysłów danéj jednostki pochwycone przez nerwy jéj ciała, uderzają następnie o jéj mózg, a czynność duchowa téj tkanki (umysł) zatrzymuje je, łączy, szykuje i w tén sposób przed poznaniem człowieka świat drugi, zewnętrznemu podobny, otwarza. Ten drugi świat z jednéj strony jest więc odbiciem dotykálnéj rzeczywistości, z drugiéj zaś, jest już i sam dotykálną prawie rzeczywistością. Śród komnaty, śród nocy, w każdym czasie i miejscu, z okiem nawet zamkniętém, umysł nasz widzi wszystko przed sobą, w tychże kolorach, rozmiarach, szczegółach, jak jest na jawie: słyszy, prawie dotyka. Sądząc naturalnością czyli prostotą sądu, dwa te światy, jeden który dotykamy zmysłami, i ten który oglądamy umysłem są



równą rzeczywistością, jeden materyjalną zewnętrzną, drugi duchową; ale poznanie ludzkie chcąc bliżej ten świat ocenić i rzeczywistość tę zgłębić, stosownie do przeważających w różnych jednostkach dążeń, pociągów, cech, w zadaniu tém do dwóch wręcz sobie przeciwnych dochodzi wniosków. Zdaniem jednych (którzy całą wagę przywiązują do *wrażeń*) rzeczywistością jedyną są zmysły i świat *zewnętrzny*, świat zaś myśli (tak ten który odtwarza wrażenia jak i ten który rozwija się bez nich, jak np. u niewidomych) jest to tylko zwierciadło, mara, właściwie niebyt; zdaniem drugich, przeciwnie: wszystkie te nasze wrażenia zmysłów czyli z nich ukształcone pojęcia, to ostatecznie skutek tylko takich nie innych cech naszego umysłu, więc ducha, a przeto jedyną rzeczywistością i prawdą jest tylko *duch*. Dwa te różne poglądy, sposoby poglądów, od czasu pierwszego niegdyś podrostu myślenia jako myślenia, (Greya), przyjmując i wyrażając różne zgięcia, odcienia, rozrosty, wyraziły w swym przebiegu od czasów naszych dwie linie dwóch różnych systematów, które mimo różność swych odcieni i przezwisk (jak np. realizm, materyalizm, sensualizm, idealizm, spirytualizm, sentymentalizm, spiryzm, mistycyzm i t. p.), ze względu na przemagający pierwiastek, w ogóle na *materyjalne* (albo *realne* <sup>1)</sup>) i *idealne* podzielić się mogą. Wyznawcy tych ostatnich (począwszy od niegdyś Platona do Hegla) gardząc świadectwem zmysłów, jedyną możność przedzierania się do stopniowego poznania prawdy, widzą w badaniu i kształceniu pojęcia w sobie, w *rozumowaniach*; stronnicy drugich (od Arystotelesa do Comte'a) w badaniu i gromadzeniu poznań z pola natury zewnętrznej; dla pierwszych (idealistów) główną metodą w badaniu bywa więc tak zwana *dedukcja*, czyli wyprowadzanie wniosków z ukształconych pojęć, dla drugich tak zwana *indukcja*, czyli wyprowadzanie wniosków z faktów zewnętrznych; głównym środkiem czyli narzędziem badania pierwszych jest *dyalektyka*, drugich obserwacya, oraz obserwacya złożona: *doświadczenie*.

Co do dziejów tego badania czyli myślenia ludzkości, te były i są odbiciem dziejów myślenia ludzkiej jednostki. Jak bowiem w historii myśli rzetelnie roztropnego człowieka (jakby *zupelnego* człowieka) myśl ta jego pragnąc poznania prawdy zwraca się już ku takim, już innym przedmiotom poznania i środkom poznania, już takim już innym kolejno przejmuje się przekonaniem, i w ten sposób w ogóle swoim postępnie wzrasta, tak też samo wyrazić się też musiało i w dziejach myślenia ludzkości, tylko na skale insze i miary insze; chwile tych zwrotów myśli wyraziły się, tu jako systemata i szkoły systematów, dnie i lata, nie dniami i latami, lecz okresami. Stało się więc iż w historii

1) W tém przynajmniej znaczeniu, nader zbliżoném do wyłącznej materyjalności, bierze się ten przymiotnik najczęściej dzisiaj; właściwie oznaczać on winien *rzeczywistość* a zatem i realność i idealność *łącznie*, i w tém też właśnie znaczeniu brany był w wiekach XIII i XIV przez realistów w casie ich sporu z Nominalistami.

myślenia czyli filozofii, jakkolwiek w *każdej* epoce jęj, w ogóle poznań ludzkich tkwiła zawsze i tkwi pełność myślenia, *wszechstronne* poglądy, i jakkolwiek ogólnym wyrazem tęj razem wziętęj drogi był zawsze postęp, to jest postępnym rozwój; to jednak śród innych szczegółów można zauważyć, iż jednym z faktów tego rozwoju była kolejna zmiana przedmiotu poglądów, to jest iż w drodze tęj okres przeważnie materyalny po idealnym i znowu przeważnie idealny po materyalnym naprzemian następowały.

Krótki rzut oka, chociaż na najbliższe tylko nam wieki, łatwo to sprawdzi.

Kiedy po wieku tak zwanym „odrodzenia,” rozwinął się był w stuleciu XVI szereg swobodnych poglądów, ukazał się był najprzód za sprawą Bakona, a za nim Hobbes'a, okres przeważnie materyalizmu; następnie zaś za sprawą Descarta, a za nim Leibnica, przeważnie idealizmu. Wiek zeszyły w drugięj połowie swojęj (z natchnienia Locke'a) wskrzesił znowu był materyalizm i owszem podniósł i rozwinął go był prawie do szczytu. Bakon prócz *obserwacyi* zmysłowęj wymagał *indukcyi* a Locke *refleksyi*, a jedną i drugą uważali ci myśliciele sami za pierwiastki duchowe:—ale filozofia XVIII wieku zwróciła uwagę, że i owa indukcya i refleksya to dzieci *wrażeń*, więc ostatecznie zmysłów (Condillac), a objaśnienie to powiodło do bezpośrednich wniosków: iż śród świata jeden tylko jest ostatecznie pierwiastek: materya, zaś duch i nauczania o duchu, to próżne mrzonki. Wnioski te powtórzyła ludzkość, wszakże nie potrwały zbyt długo. Już przy końcu wieku zeszyłego rozpoczął się był ów zwrot kolejny, zwrot do idealizmu, a sprawcą tego nowego zwrotu a następnie całego nowego okresu był Kant.

Kant przychodzący po Hume (który po rozwadze dowodów dwóch prawd przeciwnych doszedł był do wniosku iż nie istnieje żadna tęp był, rzec można, w tym nowym okresie, częp niegdyś Sokrates po sofistach <sup>1)</sup>); jak Sokrates wyszedł on z tego uznania, iż *prawda* (taka lub inna) *istnieje*, a tylko iż ją nie znamy dla błędnych środków poznania. Dodał więc, iż należy środki te kształcić, a ukształcenie to, to jest ukształcenie pojęć nie może inaczej nastąpić, jak przedewszystkiem przez rozbiór tych pojęć. Ztąd tęp właśnie wszystkie główne traktaty Kanta nosiły nazwisko *Krytyk*, a jego system nazwanym został krytycznym. Wypadkiem tych krytyk było: iż ogół poznania naszego składa się częścią z pojęć nam wrodzonych (tak zwanych w systemie *a priori*) częścią z nabytych to jest z *doświadczenia* idących a czerpanych ze *zjawisk*, czyli strony zewnętrznej przedmiotów. Dodawał jednak zarazem Kant, i na dodatku tym co chwila się wspierał, iż zaręczyć nie można, iżby tak jedne jak drugie (pojęcia) były zgodne z rzeczywistością, czyli istotą rzeczy w sobie, a przeto iż właściwie mówiąc nie zna-

<sup>1)</sup> Różnica między stanowiskiem sofistów i Hume ta tylko była, iż zdaniem pierwszych nie było prawdy, któraby dowiedzioną być nie mogła; zaś zdaniem Hume'a iż nie ma prawdy, któręjby nie można zaprzeczyć.



my czém jest rzecz w sobie. Powszechność do której przemówił Kant była to powszechność, jak właśnie rzekliśmy, przesycona materyalizmem, jego przesada; jakkolwiek więc system Kanta powoływał zarówno do czynienia doświadczeń jak do rozbioru pojęć, to jest do badania zarówno świata zewnętrznego jak duchowego, to jednak to, co w tej jego nauce głównie przykleśniętém zostało, co naśladowców stworzyło i zwrot nowym charakterem nacechowało, była to właśnie owa myśl przewodnia: iż rzeczy świata nie znamy jakimi są, a tylko takimi jak nam się wydają. Tém też pochopniej był pochwyconym pomysł następcy i naśladowcy Kanta, Fichtego, który dodał, iż zjawisko rzeczy nie należy właściwie do rzeczy, lecz jest to tylko nasze wyobrazenie o rzeczy, więc nasze *ja*; tę zaś naukę, ten pogląd (mimo protestu w słowach) stwierdzili téż w gruncie następnie systematami swemi Schelling a zwłaszcza Hegel, którego systemu wyrazem było: iż jedyną rzeczywistością i prawdą w naturze jest wypływający z ogólnego podmiotu i ogólnego przedmiotu Absolut czyli Idea bezwzględna, *Duch*.

Cała pierwsza połowa naszego stulecia była rzetelnym tryumfem tych idealnych poglądów i tego ostatniego systemu; poniżył on był, wyszydził i zgładził do szczytu materyalizm poprzedniej epoki, tam nawet, gdzie był najwięcej zakwitnął; o *doświadczeniu*, *zmysłach*, naturze *zewnętrznej* jako niebycie, prawie przestano mówić w filozofii właściwej. Lecz natura ma nader jawne dwie strony, i oto powtórzyć się znowu musiały fakta poprzednie. Przesada i jednostronność wydały przesyć nowy, zwątpienie nowe. Nauka o idealności w pierwiastku, idealności w przebiegu, idealności w wypadkach, graniczyć musiała i graniczyła z nauką o nihilizmie, i przy zwrocie teoryi do praktyki powiodła do nihilizmów. Pożądanym i wyglądanym więc począł być system, któryby się wsparł na zasadach i wiódł do wniosków więcej związanych z życiem, któryby nie podawał za niebyt co jawnym jest bytem, i któryby słowem podźwignął i podniósł zbyt potępioną materją.

I taki system, po upływie mniej więcej pół wieku, znowu z kolei zjawił się, a pociągnął ku sobie tém snadniej i rozpowszechnił się tém rychlej, iż nie przyjmując z góry nazwiska tak świeżo jeszcze wyszydzonego materyalizmu, ukazał się owszem pod nazwiskiem dla przyjaciół rzetelnej prawdy nader pożądanym—*pozytywizmu*.

Twórcą tego nowego, a ostatniego przed nami większych skutków systemu—był August Comte.

August Comte z powołania matematyk, był uczniem, a następnie od roku 1832 docentem w Szkole politechnicznej w Paryżu, system zaś swój wyłożył w dziele od roku 1830 do 1842 w VI tomach wydanych pod napisem: *Kurs filozofii pozytywnej*. Dzieło to rozpoczęte w czasie kiedy jeszcze spekulacya niemiecka miała powszechne wzięcie nawet we Francyi, ukazywało się z razu bez wielkiego rozgłosu, sympatyi i jak się zdaje bez ufności w filozoficzne siły autora. I nieufność ta nie była bez racyi. Comte, dziecko i zwolennik filozofii swojego kraju z końca ostatniego stulecia, nie znał prawie dróg innych rozwo-



ju myśli, nie znał ani filozofii niemieckiej ani nawet nowój angielskiej<sup>1)</sup>, a z ujemności téj tém się tylko w ciągu pisma usprawiedliwia, iż „nie czytywał autorów obcych by nie stracić oryginalności.” Wierny więc mistrzom swoim autor ten po dawnemu nauczał, iż wiedzy naszej pewnej, pozytywnej, to tylko być może podstawą, o czém nam świadczą zmysły; że przeto celem badań naszych może być tylko *jak? nigdy dlaczego?* że przedmiotem naszych rzetelnych (pozytywnych) poznać może być tylko obecność, a nigdy przeszłość i przyszłość, więc żadne przyczyny pierwotne, żadne cele ostatnie; iż nauki których przedmioty wychodzą za sferę zmysłów, jak to np. logika, psychologia, etyka, wszelkie religie nie mogą mieć nawet nazwiska rzetelnych nauk, i że wreszcie jedyném kryterjum poznać naszych pozytywnych, może być tylko obserwacya czyli *doświadczenie zmysłowe*.

Myśl Comte'a była przeważnie dzieckiem XVIII wieku, lecz myśl wszelka nie może się wyzucić z wieku który przebywa, nie może nie być, już w taki, już w inny sposób, ogniwem rozwoju. Jakoż społeczeńście z Comte'm ogłaszał we Francyi dzieła drugi matematyk-filozof Hoene-Wroński, a pisma jego jako miejscowe a dotyczące wykładów szkolnych Comte'a nie mogły mu być nieznanne. Wroński był w części zwolennikiem Kanta i Schellinga i pisma jego stawały się mostem między naukowością niemiecką i francuzką, stworzył on téż i system swój własny, rodzaj złączenia dziejów i matematyki a którego wynikiem i hasłem było: iż „historja rozwija się według praw stałych.” Hasło to pochwycił właśnie i Comte i zapomniawszy na chwilę iż niepowinien był dotykać przeszłości, w dwóch ostatnich tomach pomienionej swéj publikacyi rozwinął naukę: iż jest prawo które jest ojcem dziejów i że prawa tego wyrazem, między innymi jest fakt: że społeczność ludzka w postępném rozwiciu swoim przechodzi kolejno trzy stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny<sup>2)</sup>. Z tego téż stanowiska wskazywał i na przebieg filozofii i zasady własnej usprawiedliwia.

Iż Comte czerpał z traktatów Wrońskiego, iż im był winien że jego filozofia pozytywna okazywała się nieoderwaną od ogólnej historyi ludzkiego myślenia, możemy niewątpić; jeżeli jednak obu tych matematyków-filozofów były podobne drogi i w części założenia, zbyt ró-

1) Z niedawno ogłoszonego dzieła professora Wiedeńskiego uniwersytetu Zimmermana p. n.: *Kant und Positivismus* dowiadujemy się, iż dopiero po ogłoszeniu już *Kursu filozofii pozytywnej*, jeden z uczniów Comte'a, Ejchthtal zakomunikował mu był kilka traktatów Kanta i Hegla i że je Comte admirał. Zimmerman wykazuje tu także iż z filozofii angielskiej Comte znał tylko Bacona i Hobbesa, z których téż głównie wychodził.

2) Dodać można, iż ten pomysł o trzech kolejnych stanach nie był także własnym Comte'a, ale wziętym wprost z dzieła Turgota: *Idees*, z różnicą tylko, iż użyta tam nomenklatura kolejnych stanów: „teologique metaphisique, scientifique,” przezwaną została: „téologique, métaphisique, positive.”

zne były ich pierwotne przygotowania, zasady <sup>1)</sup>, i ztąd też nader odmienne ostatnie wnioski. Wroński skończył na Messyanizmie, zaś August Comte na Ateizmie. System Hoene-Wrońskiego (starszego wiekiem) poczęty i zrodzony wśród przeżywającej się epoki idealizmu, mógł się stać (jako idealny także) ziarnem chyba jakiego okresu przyszłości; myśl Comte'a przypadła przeciwnie do społecznych mu umysłowych potrzeb, i system jego stał się wyrazem powszechnego nowego zwrotu.

Oznaczenie w systemacie Comte'a owych ogólnych filozoficznych zasad, owych momentów rozwoju, wykład wreszcie klasyfikacji nauk (wychodzący z zasady, iż historią ich było przechodzenie stopniowe w badaniach od ogółowości, do szczegółowości) były zdradą stopnia rzetelnej naukowości autora; jego znajomości dziejów i filozofii; lecz z drugiej strony system Comte'a wnosił do filozofii element nieznanym poprzednim w niej pracownikom t. j. zbyt wyższą znajomość nauk matematycznych, fizycznych i w ogóle dotyczących natury zewnętrznej, socjologia zarywała wreszcie o najnowszą w umysłowości ludzkiej naukę, historyozofię, system przychodził powtórzone na pole już zmęczone, już zgorzone rezultatami ostatnich systematów idealnych i przychodził z nazwą ponętną; gdy więc najprzód ojczyzna Bakona, dla której niezrozumiałe były i wstrętne spekulacje germańskie, wdzięcznie i chciwie pochwyliła za ten nowy system i to nazwisko, wnet i ojczyzna Comte'a poklasnęła pracy krajowca, powstała szkoła, szczęśliwe społeczne dojsścia wśród sfery nauk przyrodzonych, które w zastosowaniach (elektryka, para) przemieniły w części warunki bytu ludzkości, wsparły powodzenie tej szkoły i pozytywizm stał się wkrótce w naukowości filozofią ogólną, modą, największą nawet w tym kraju, który najwięcej przesyconym był idealizmem, w Niemczech, gdzie to nazwisko pozytywizmu jawnie nawet na nazwisko materyalizmu zostało zamienione.

<sup>1)</sup> Hoene był rodem z Polski, niegdyś uczeń szkoły Kadetów, następnie półkownik wojsk cesarsko-rossyjskich, wczesnie odpasał oręż i oddał się wyłącznie nauce i rozmyślaniu; przebawiwszy w Niemczech lat dwa przeniósł się do Paryża i tu przybrawszy przezwisko *Wroński*, pod tym imieniem ogłosił szereg pism matematycznych, odznaczonych oryginalnością pomysłów i polemiką z głównymi powagami ówczesnymi w tej gałęzi. Od r. 1830 traktaty jego przybrały kolor mistyczny i polityczny. Iż pisma tego autora były dla pisarzy francuzkich mostem od naukowości niemieckiej znajdujemy tego dowód i w piśmie z roku zeszłego *Philosophie de l'Histoire* (1874, Paris, T. 2) Fryderyka de Rougemont, który używszy tu poraz pierwszy na str. VIII wyrazu *historiosophie* dodaje w przypisku: „*Mot un peu lourd mais indispensable que j'emprunte à Comte à l'Allemagne.*” Co do Comte'a oddawna zauważono że wdzięczność nie była wcale udziałem tego autora, i że tych którym najwięcej był winien, pomijał albo wyszydział.

To jednak co stało się było źródłem upadku poprzedniego systemu, staje się z kolei źródłem chwiania się i coraz jawniej odznaczającego się upadku i obecnego t. j. jednostronność. Natura, raz to jeszcze powtórzmy, ma swą stronę zewnętrzną, ale też jak zaraz poznamy bliżej i wewnętrzną, zaś system pozytywizmu Comte'a był z tej strony nader niepozytywnym iż uznawał tylko byt pierwszej. Wytrącenie z zakresu nauk ludzkości połowy jej nauk, niepodanie rozwiązań w tych zagadnieniach, które są najgłówniejszemi dla ludzi (jak np. o ich stosunku do Stwórcy, do czasu, ich obowiązkach codziennych i t. p.), usuwanie nawet tych kwestyi z przedmiotów nauk, a nadto obok przyjęcia za hasło występowania przeciwko mrzonkom, hołdowanie zasadom, uznaniom, faktom, które w gruncie, ani o stopień nie są więcej pozytywnemi jak idealne <sup>1)</sup>, i wreszcie naturalny bieg czasu, sprawiający w skutek

<sup>1)</sup> Pisma pozytywistów dzisiejszych dotykając np. kwestyi astronomicznych, geologicznych, zoologicznych wychodzą jawnie z systematów Laplace, Herschla-Lyella, Darwina i t. p.. Trafności tych systematów nie myślimy tu przeczyć, czyli jednak te i im podobne współczesne nam są już istotnie pozytywnemi, o tém każą nam wątpić wzmianki samych pozytywistów. Tak np. jeden z głównych przywódców niemieckiego pozytywizmu Ern. Heckel przytoczywszy w swęj *Historji stworzenia* wykład formacji planet i gwiazd według Herschla, dodaje byó może iż rozwój ten *zupełnie był odmiennym*, byó może iż planety i nasza ziemia uformowały się ze zjednoczeń licznych drobnych pierwiastków, ale dopóki ktoś nie przedstawi nowego *dokładniej sprawdzonego* domysłu etc. (Schöpfungsgeschichte Prelekcya XIII). Huxley w traktacie o *Przyczynach zjawisk* mówiąc o historii pokładów geologicznych pisze: „musimy wyznać iż nasze dokumenta w tym względzie są jeszcze w najwyższym stopniu niedokładne, nie mamy najnniejszego dowodu, iżby warstwy nazywane najstarszemi, takimi istotnie być miały. Geologowie zbudowali historję kuli ziemskiej *pełną bajek*“ (przekład Wrześniowskiego str. 28, 29, 55) Herb. Spencer mówiąc w swych *The first principles* o najnowszych wnioskach w paleontologii wyraził między innymi: „Nie możemy dziś jeszcze rzec z pewnością jakie dawniej utwory istniały a jakie nie istniały w danym czasie. Wiemy z jednej strony że znajdowano nieraz szczątki kregowców w pokładach, w których nieprzypuszczano iżby być mogły, szczątki płazów w których mieścić się miały tylko ryby, ze *wszystkich faktów*, które zebraliśmy *możemy tylko wyprowadzić wnioski nader niepewne*“ (wyd. r. 1871 § 19). Tenże w przedmowie do swęj *Biologii*, w której z taką umiętnościową ścisłością i taką drobiazgowością objaśnia proces chemiczny szczegółów wzrostu i rozwijania się ciał i ich części od zarodków do kwiatu życia, kończąc ją mówi: „uprzedzamy jednak z góry, iż to wszystko co tu podamy jestto tylko prawdopodobieństwo i przypuszczenie.“ Hipoteza Darwina przez samych pozytywistów nazywaną jest dotąd stale tylko hipotezą. Czyliż zatem, powtórzmy, stronnicy idealności, nie mają, jeżeli nie więcej, tedy przynajmniej tyleż prawa ile i stronnicy materyalizmu, do zarzucenia swym przeciwnikom, iż w budowie swęj pozytywnej wiedzy, właściwie opierają się tylko na mrzonkach?



wewnętrznego prawa, zwroty w okresach, wszystko to wydało ten skutek, iż okres ten materialno-pozytywny niepotrwałszy zbyt długo, lubo wcale jeszcze nie zniknął, patrzy jednak już na całej linii myślenia na czas swego schyłku. Rzut oka na główne fakta społecznej nam filozofii, w krajach przodkujących uprawę myślenia, ukaże to jasno.

We Francyi, ojczyźnie Comte'a większość wpływowych dzisiaj a oznaczonych na polu myślenia pisarzy (jak Paul Janet, Emil Caro, Jules Simon, Th. H. Martin de Rougemont i w. i.) należą jawnie do przeciwników, nie zaś zwolenników pozytywizmu. Wielu nawet naturalistów, z zasady pozytywistów (jak Claude Bernard i i.) należy jednak gorliwie do antimaterialistów. Sam przywódca pozytywistów czystych, *Littre* wyparł się jawnie wszelkiego antagonizmu z religią, objaśniając iż ją tylko do innego szeregu poznać odnosi. Uważać wreszcie można, iż wydawany od niedawna obok czasopisma *Littre*'go: *La philosophie positive*, dziennik poświęcony filozofii, polityce i umiejętnościom, przez Renouvier autora dzieła: *La critique generale*, i mogący się uważać za wyraz najpowszechniejszego dziś zwrotu poważnej francuzkiej krytyki, lubo nie stroni także od pozytywizmu, ale go jawnie inaczej uważa niż August Comte. Jakoż w artykule z początku r. b., pod napisem *Różne kierunki pozytywizmu*, o systemacie tego autora tak się między innymi wyraża: „wyszedł on (August Comte) z najkrytyczniejszej zasady usuwając z granic poznania przedmioty przechodzące pojęcie ludzkie, ale zaliczwszy do tych przedmiotów metafizykę, loikę, estetykę, t. j. nauki mówiące o przedmiotach które ludziom doskonale są znane i do których przez indukcję moralne doszli, system ten z nazwiska pozytywny okazał się nader niepozytywnym“ (*La Critique philosophique scientifique* 1875 Nr. 3).

W Anglii w której system A. Comte'a najprzód znalazł był i polask i rozwinięcie, materializm w tym systemacie zawarty nie był nigdy bezwzględnie przyjętym. Pozytywizm angielski do przedmiotów nauki pozytywnej dodał wnet psychologią i loikę (*Baine*, *St. Mill*) i woła stale o Etykę, a przodujący pozytywistom, naturalistom w tym kraju Huxley i Herbert Spencer, wyraźnie zakładali protesta przeciw ciasnym, pozytywnym zwanym poglądom Augusta Comte'a. Prace Herb. Spencera mogą się właśnie uważać za wyrozumowanie przeważającego dzisiaj kierunku w filozofii angielskiej, a sam H. Spencer dopatrujący we wszystkim praw rozwoju i mogący mieć nazwę *filozofa rozwoju*, za jednego z pierwszych filozofów nam społecznych. Otóż autor ten który w wydany przed lat dziesiątkiem pierwszym tomie swego systemu filozofii p. n. *The first principles* (Pierwsze Zasady), jako prawy pozytywista nie dotykał przedmiotu religii, w ponowionem w r. 1871 wydaniu tego tomu, cały pierwszy rozdział p. n. „O tajemniczem“ czyli nieznanem (Unknowable) przedmiotowi temu poświęcił. Zwrót to wśród szkoły stanowczy, jakkolwiek bowiem, jak to widzimy z odpowiedzi autora na krytyki, rozumowania jego w tym rozdziale

doznały licznych napaści, ale rzecz można wcale nie od pozytywistów. Zdania zaś w tym rozdziale, które się mogą uważać za wyrozumowanie jego treści, są tu mianowicie następujące: zmuszeni jesteśmy uznać, że jeżeli religie nie mają początku nadnaturalnego, musiały powstać w skutek pierwotnego wzrostu i *systematyzowania się doświadczenia* ludzkiego; którykolwiek z tych powodów przyjmiemy, skutkiem każdego być musi, szacunek dla uczucia religijnego.

W Niemczech wreszcie t. j. w tym kraju, w którym rozwój i uwielbienie dla systematów idealnych wybijały były najsilniej, tém namiętniej jak właśnie wzmiankowaliśmy, wyrażać się zrazu musiała i opozycja. Naturaliści pozytywiści jak Molescho, Büchner, Karol Vogt, Heckel (z których trzech pierwsi rozszerzyli i rozjaśnili propozycje materialne znane zkażdą już przy końcu zeszłego wieku, między innymi takie, iż niema sił bez materji, ducha bez ciała, iż bezloicznym jest uznawać byt Opatrzności i t. p., ostatni zaś teorię Darwina o pochodzeniu zwierząt przez transformacje, pierwszy odniósł i do rodu ludzkiego), wyraźnie oświadczyli iż są wyznawcami nie tylko pozytywizmu, ale też czystego materializmu, a jeden z nich (Büchner) czyniąc przegląd historii materializmu, z przechwałką wyraził się, iż jeżeli materializm w wieku XVI panował we Włoszech, w XVII w Anglii, w XVIII we Francji, tedy w wieku XIX w Niemczech doszedł do swego kwiatu. Jeżeli jednak ten materializm czysty we Francji nawet (gdzie właśnie doszedł był właściwie do swego kwiatu, albowiem do swych nawet rezultatów praktycznych) nie mógł utrzymać się długo, tém więcej nie mógł utrzymać się długo na polu myśli tak bogatej już w antimaterialne pierwiastki, w duchowy i umysłowy rozrost, jak była i jest niemiecka. System *idealno-realny* (Krystiana Krauze), który najwięcej, być może liczy dziś zwolenników, jak był systemem przejścia dla wyłącznych idealistów do uznania istoty bytu natury zewnętrznej, tak nawzajem dla wyłącznych materialistów staje się hasłem ich zwrotu do duchowości. Wyjątkowe powodzenie dzieła jednego z pisarzy tej barwy, mianowicie Edwarda Hartmann p. n. *Filozofia bezświadomości* czyli *Bezwiedzy* jest nam właśnie wskazówką, że i ogólny kierunek ducha niemieckiego jest raczej za duchem zwrotu.

Tę filozofii bezwiedzy jakież właściwie było faktycznie źródło i jaka praktycznie jest treść <sup>1)</sup>. Wspominaliśmy już, iż główny sprawca ostatniego okresu idealnego w filozofii niemieckiej, Kant, nauczał iż w ocenianiu przedmiotu czyli danej rzeczy mamy do rozróżnienia *istotę* tej rzeczy której nie znamy, i jej *zjawisko*. Jeden z następców i wyznawców Kanta Art. Schopenhauer (który równie jak Herbart Krauze i inni Kanciści, nie należał do linii Fichte-Hegel) przedsięwziął był dopełnić w swym czasie i na swój sposób rozjaśnić naukę swojego mistrza, a mianowicie dowieść, iż ową *istotę rzeczy* (Ding an sich) jest

<sup>1)</sup> Szczegółową wiadomość o stronie formalnej tej filozofii widzieć można w artykule d-ra Goldberga w Bibliotece Warszawskiej z r. 1873 za marzec i kwiecień.



zawarta w niej Wola, zaś zjawiskiem rzeczy jest nasze wyobrażenie (Vorstellung) i naukę tę wyłożył w oddzielnym wydaném dziełku p. n: *Świat jako Wola i jako Wyobrażenie* (Die Welt als Wille und Vorstellung. 1819). Z tego napisu dziełka wnieść było można iż treść jego była czystym idealizmem, lecz szczegóły i sposób wykładu doprowadzały przeciwnie do wniosków wprost idealizmowi przeciwnych. Wola, objaśniał tu autor, ukryta w rzeczach, jest to wola bezwiedna, więc jakieś materialne fatum, wyobrażenia zaś, uczył, „ten wpływ i produkcja ludzkiego mózgu,“ dzieci to *woli* uwiązanej w Woli wszechświata; świat ten (zdać się więc mogło wnioskiem tój nauki) jest to ostatecznie treść tylko i wypływ czystej materyi. Ta nauka Schoppenhaura pominiętą była przez spóczesnych jako diletantyzm, ale pozytywiści dzisiejsi t. j. ci z nich którzy się nie wyrzekli całkiem filozofii, uznali ją za najgłębszą śród całej filozofii niemieckiej i autora jęj za swego spekulacyjnego przywódcę. Do liczby ich należał właśnie i Hartmann i stawszy się wyznawcą nauki o woli bezwiednej, naukę tę rozjaśnił, rozszerzył i ujawnszy w oddzielny system wydał pod ową nazwą Filozofii bezwiedzy (*Philosophie des Unbewussten*). Żywy wszakże i istotnie bogaty umysł tego autora nie mógł podzielić jednostronności swojego mistrza, odrzucił on najprzód z systemu nazwanie, *woli* (bezwiednej), bo też właściwie pierwszym właśnie warunkiem woli jest wiedza; nie podzielił też ani dyalektyki jego ani ogólnego na naturę poglądu, ale te przejął od Hegla, a podzieliwszy nadto spóczesne nam doświadczalne poglądy na rozwój natury, mianowicie teorię Darwina, wykladał w swym systemacie jak tkwiący w istocie rzeczy pierwiastek *bezwiedzy*, stopniowie w coraz doskonalszych organicznie utworach podnosi się do wiedzy, aż dochodzi wreszcie w człowieku do *samowiedzy*. System ten potępiony wnet ostro przez niemieckich materialistów (mianowicie przez Heckla), uważany być może za system zwrotu, bo jak to trafnie zauważył, między innymi Herman Fichte, iż odłożywszy na bok szczególny wykład Hartmanna „pokoju wiecznego,“ pogląd jego w systemie mimo pozorne pretensye *ateistyczne*, właściwie jest *teistycznym* „a jego filozofia bezwiedzy powinna mieć raczej nazwisko filozofii *wszechwiedzy* t. j. jasnowidzenia, które w kształcie instynktu żywotem i krokami utworów do jednego oznaczonego celu kieruje” (*Die theistische Weltansicht* etc. r. 1873 str. 35, 37) <sup>1)</sup>. System pozytywi-

<sup>1)</sup> Jakoż i sam Hartmann swoją *nieświadomość* zowie nieraz „*wszechwiedzącą nieświadomością*” (*Allwissende Unbewusste*) i przypisuje jęj mądrość. Mówiąc np. przy końcu książki o swych poprzednikach i sztydząc mniej wdzięcznie z pomysłu swego mistrza Schoppenhauera, iżby świat miał być tylko naszym wyobrażeniem, czyli „iżby, jak mówi, tyle rozumu śród świata miało być dzieckiem głupiego ludzkiego mózgu,“ dodaje: „nie możemy dosyć podziwiać *mądrości bezwiedzy* (*die Weisheit des Unbewussten*) iż umiała natchnąć tak ograniczony geniusz jak Schoppenhauera do ustalenia dobitnie swojej istoty“ (wyd. z r. 1872 str. 761). Hartmann prócz innych publikacyj ogłosił niedawno



zmu wywarł wprawdzie dobitny i trwały zapewne skutek, na ogół filozofii niemieckiej, z treści szczególnych jej publikacji (górujących zawsze i liczbą i bogactwem szczegółów spekulacyjnych nad filozofię innych krajów) zniknął już prawie wyłączny idealizm, wśród autorów ich przeważają idealno-*realni* i Herbariści, a i ci nawet którzy jak niegdyś Hegliści umieją widzieć we wszystkim co jest, ducha i twierdzą jak np. Stendel „es giebt keine Materie und kann keine geben die nicht Geist wäre, *Alles ist Geist*” dodają zwykle także (jak tenże Stendel) że jednak jeżeli niema materyi bez ducha, tedy niema też i ducha bez materyi; ztąd też konieczność empirycznej pomocy za nieodbitą w rozwoju poznań przez myślicieli wszelkich kierunków jest uznawaną, a autorowie Historii Filozofii kreślą w nich nieraz nietylko historię czystego myślenia ale zarazem i badań umiejętnościowych (widzieć np. *Kritische Geschichte der Philosophie* d-ra Dühring. 1873. Berlin). Że jednak tak niedawno dumna i mniemająca się stanowczo zwyciężką szkoła materyalistów czystych, nietylko się nie rozszerza ale się kryć, cofać i stopniami znikać zaczyna, na to możemy tu nawet przytoczyć parę miejscowych świadectw. W dzienniku *Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik* wychodzącym w Halli, z roku zeszłego, w rozbiorze filozoficznego dzieła d-ra Tiberghien Krauzisty, znajdujemy między innymi powtórzone (bez zaprzeczenia) te słowa z tegoż dzieła: „filozofia nie sięgająca za spostrzeżenia zmysłowe *nie jest wcale panującą dziś w Niemczech*, a jakkowiek pośród naturalistów niemieckich materyalizm miał powodzenie, to jednak i pośród tych niemałą liczbę ma przeciwników, a wśród katedr nauczających z urzędu, znalazłaby się dziś chyba zaledwie jedna, któraby była przedstawicielką francuzko-angielskiego pozytywizmu, sensualizmu i materyalizmu“ (LXIV 38). Świeższe zaś jeszcze świadectwo znajdujemy w tegorocznych (Berlińskich) *Philosophische Monatshefte*. W jednym z artyku-

traktacik (uatchnięty ostatniem dziełem Straussa *Stara i nowa wiara*) p. n. *Rozpadnienie się Chrystyanizmu i religia przyszłości* (Die Selbstzersetzung des Christenthums und die Religion der Zukunft r. 1874 str. 122) i w traktacie tym uczyniwszy między innymi zarzut protestantyzmowi, iż ten niezrozumiawszy nauki Ewangelijnę („Ewangelia bowiem patrzy na świat pesymistycznie a protestantyzm patrzeć chciał optymistycznie“) zamiast zreformowania Chrześcijaństwa zabił je, prorokuje zarazem że udziałem ludzkości będzie dalej nowa religia, a wyrazem tej „połączenie Hebrajskiego Jehowy z panteizmem indyjskim.“ Zdaniem naszym nazwanie w Ewangelii hebrajskiego Jehowy „Ojcem który w nas mieszka“ i który jest wszędzie, dokonało już tego połączenia i nie rozumiemy jakie być może inne. Hartmann jest już w obecnym dziełku (jak mu to prorokowano od pierwszych kroków) jawnym teistą, i wątpię nie można, że po zapoznaniu się bliższem z rzeczywistém Chrześcijaństwem stanie się teistą chrześcijańskim, albowiem jak to trafnie zauważył niemiecki recenzent jego powyższego dziełka Huber: „skreślił on w nióm osobę Jezusa Chrystusa i Jego naukę jako prawdziwy filozof nieświadomości“.

łów Redaktora tego pisma czytamy tu między innymi taką uwagę: „Bez loiki i ustaw poznania nie może mieć miejsca żadna ścisła umiejętność. Pozytywizm który w Niemczech przez jakiś czas uważanym był za postęp, będzie wkrótce nawet przez wszystkich naturalistów za reakcyjny system uważany (Positivismus wird bald auch bey allen Naturforschern als reactionär angesehen werden“ XI, 64).

Taki jest w kilku słowach a głównych rysach zwrot społecznej filozofii. Z tych głównych rysów widzimy, iż system materialnego pozytywizmu jest dziś na schyłku, twierdzić wszakże wcale niemożna iżby już zniknął, i owszem wnieść łatwo można, iż bez silnych śladów nie zejdzie. Bo też każdy zwrot, każdy okres, nie jest bez swęj przyczyny, bez swojej prawdy, i bez tych części, przez które sam się staje źródłem dalszych okresów.

Zdaniem naszym nazwanie filozofii rzetelnej pozytywizmem a poszukiwanych prawd pozytywnymi, nie jest wcale przeciwnym zadaniem i celom nauki tej i mogłoby pozostać. Przymiotnik ten „pozytywny” nader wprawdzie skompromitowanym w tym czasie został przez jednostronność, i jest dziś dwuznacznym; ma też on jednak i swoje znaczenie istotne, powszechnie znane i z tē m trwać będzie. Pragniemy wszyscy prawd pewnych, prawd pozytywnych i ostatecznie kwestya główna jest tylko w tē m: co mianowicie jest pozytywnością? t. j. jakie są warunki, wskazówki, kryterium, po którē mbyśmy poznali, iż uznanie takie, a takie, prawdą jest pozytywną.

System Comte'a a za nim wszyscy zwolennicy tego systemu objaśniają: iż tē m kryterium jest i może być tylko *doświadczenie*, a doświadczenie jedynie na świadectwie zmysłów oparte. To tylko co jest zmysłowe i zmysłowie pojęte, jest rzeczywistością i prawdą (dass nur das Sinliche sinlich gefasst, Realität und Wahrheit habe) jak mówi słynne zdanie w tē j szkole.

Obaczmyż co można rzec o tē m kryterium i w ogólności o kryteriach poznania ze stanowiska rzetelnej pozytywności?

Iż doświadczenie zmysłowe, świadectwo zmysłów jest obszernym i rzetelnej wagi pierwiastkiem w kształceniu poznania, jestto pewnik, którē m nie myślimy wcale zaprzeczać; ponieważ tu jednak mowa o oznaczaniu prawd pewnych, prawd pozytywnych, przeto zwróćmy owszem uwagę, że nawet i to kryterium nie może się nazwać ścisłym i nieomylnym.

Świadectwo zmysłów nieraz ukazuje nam to co nie istnieje, jest więc *utudnym*, i świadectwo to nie jest zdolnym osiągnąć do wszystkich szczegółów świata, jest więc *utomnym*.

Nie będziemy tu zbliżać dowodów i podawać przykładów których tyle przytaczają idealisci, psychologowie a nawet niekiedy i pozytywni naturalisci na dowód iż zmysły niekiedy nas łudzą, zwróćmy tu owszem uwagę, iż prawda ta tak jest jasną codziennym doświadczeniem stwierdzana, iż nie zważamy nawet na jej istotę. W zwierciadle widzimy wyraźnie siebie i te przedmioty które nas otaczają, a to jest

szkło czyste; słońce codziennie przed nami jawnie się wznosi i zniża, a ono stoi w miejscu; prawa optyczne wykładają nam powód podobnych złudzeń, ztąd jednak ten tylko wypływa wniosek, że jest to nawet naukową pewnością, że zmysły nas łudzą i że „to nawet co jest zmysłowe i zmysłowie pojęte, nie zawsze jest rzeczywistością i prawdą.“

Ze zmysły nasze nie dosięgają tych wszystkich szczegółów które są w świecie, w tym nawet który nas dotyka, fakt to jest jasny także. Czytając traktaty materialistów, nie mogliśmy, wyznajemy, zrozumieć nigdy, jakim sposobem mogą oni co chwila mówić o faktach takich jak sfera *uczuć* (radość, gniew, wiara, otucha i t. p.) i takich jak sfera *myśli* (pamięć, sąd, rozum, fantazyja i t. p.) i twierdzić zarazem iż istnieje tylko materyja, świat materyjalny. „Uczucia, mówią, to produkcya nerwów, a myśli mózgu,“ przypuścimy iż tak jest istotnie, lecz mowa tu nie o przyczynach rzeczy lecz samych rzeczach. „Pierwszym warunkiem materyi każdej jest odporność, rozciągłość“ tak nas uczą sami pozytywiści (np. Spencer *Pierwsz. Zas.* § 46), a jaką rozciągłość, jaką treść materyjalną możemy dostrzedz w uczuciach i myślach, chociażby przez najdoskonalszy drobnowidz? Szczegóły uczuć, myśli, materyją nie są; to co nie jest materyją zowiemy *duchem*, istnieje więc *duch*, istnieje świat duchowy, chociażby tylko w człowieku, prawda to pozytywna, a zmysły nasze nie są zdolne dosięgać tej części bytu.

Przedmiot ten jest to oś obrotowa poglądów materialistów, dodać więc tu jeszcze musimy uwag parę.

Duch, tak jak go poznajemy w istocie ludzkiej jest pierwiastkiem szczególniej siły i treści, on jeden ma poznanie, ma wolę, ma twórczość, zdolny władać jak wszelkim tworem, tak i wszelkim pierwiastkiem materyi, kieruje nią, biegnie ją zmienia, tworzy w niej nowość. Pierwiastek takiej wagi i takiej siły, z cechą najwyższości w naturze, czyliby tkwił tylko w człowieku? Ziemia jest proszkiem wśród świata, człowiek jest proszkiem wśród ziemi, i w nim miałaby tkwić najwyższość? Dość jest spojrzeć na Harmonię, która tkwi w świecie (o czem wnet niżej) by uznać, iż ta jest wyrazem jakiego Prawa, a prawo jest *duchem*. Duch rozlanym jest wszędzie, ma byt swój wszędzie a jako byt, musi też mieć gdzieś swą koncentracją <sup>1)</sup>. Względ na konieczność tej prawdy, każe też nam patrzeć inaczej na duch w człowieku. We wszechświecie wszystko jest w związku, i duch ludzki nie może być bez związku z duchem Wszechświata. Iż uczucia i myśli ludzkie są to

<sup>1)</sup> Wyraz *duch* jest to, mówią, abstrakoya, tak jak wyraz *materyja*, który oddzielnie wzięty nie oznacza. Do wyobrażenia jednak abstrakcyi prowadzą nas wyobrażenia konkretno. Dochodzimy do wyobrażenia materyi przez uznawanie bytów materyjalnych i dochodzimy do wyobrażenia ducha przez uznawanie bytów duchowych. Istną jestestwa czysto materyjalne, istnąć też mogą i muszą czysto duchowe. Ze względu tylko na treść przechodzącą wszelką zmysłową, nie zdolniśmy wyobrazić sobie zmysłowie o to jest *treść* ducha, *odrębność* duchów i. t. p.



produkcye nerwów i mózgow ludzkich, to nader prawdopodobne, te nerwy, mózgowe tkanki, mogą to być narzędzia przewodnie owego Związku; lecz oto jak atomy *fizyczne*, z których się składa człowiek i proces jego żywota, są częścią wyrobem i wykwittem organów ludzkich, a częścią przybytków z zewnątrz (ciepło, światło, powietrze, i. t. p.) tak téż co do nas, nie możemy wątpić, iż takież podwójne źródło jest i *duchowych*. Powód jest prosty. Z jednych przyczyn tworzą się jedne skutki, z podobnych ziaren wypływają podobne kwiaty, z nerwow i mózgow zwierząt wypływają uczucia i myśli jedne odwiecznie, z dwóch zaś ludzi, z jednych nawet poczętych rodziców, i w témże otoczeniu żyjących, nieraz oba ukazują nader odmienne owoce ducha. *Natchnienia, popędy, pomysły, rodzaje pomysłów*, takie i tym podobne objawy, to w ludziach, zdaniem naszym, przybytki z zewnątrz t. j. przybytki od Ducha, który istnieje wszędzie i który kieruje wszystkim <sup>1)</sup>. Pozytywista, materyalista może temu zdaniu zaprzeczyć, może uznać iż nie poparte jest ono dowodem pewnym, t. j. ze świadectwa zmysłów czerpanym; wszakże i zaprzeczyć twierdzeniu nie może dowodem pewnym, więc w każdym razie musi przynajmniej uznać, iż jest sfera, i sfera nader nas blizka, do której sięgać nie może jego kryterium. Kończąc zaś o tém kryterium (zmysłów) dodajmy tu jeszcze uwagę, iż zmysły te wtedy nawet, kiedy nas nie łudzą i kiedy zwrócone są do materyi, nie jest bynajmniej pewnem, czyli przedstawiają nam rzeczywistość? Są istoty, które nie mają więcej jak zmysłów dwa lub trzy, a część ta świata, którą przez nie znają jest dla nich już całym światem; człowiek ma zmysłów pięć, lecz mając przed sobą ów przykład, nie ma prawa już twierdzić stanowczo, więc pozytywnie, iż znana nie jest *rzeczywistość*. To o czém nas nauca zmysł każdy jest to treść tak rozległa i nowa, iż istota któraby go nie miała, wzniesłaby się nawet do jęj wyobrażenia nie mogła. Gdyby człowiek nie otrzymał w podziale zmysłu słuchu, mógłżeby dojść do wyobrażenia tych wszystkich wrażeń, jakie dziś sprawia głos i jego odcienia (od *szumu* i *szmeru* przez *śpiewy* i *głosy* ptaków, owadów, ssących, do wszystkich języków ludzkich i dźwięków muzyki); gdybyśmy nie mieli zmysłu powonienia, moglibyśmy sobie wyobrazić treść taką, jaką jest woń i jęj najrozmaitsze odcienia (np. w kwiatach); nic więc nie wzbrania dopuszczając, a wszystko każe wnosić, iż zmysły ludzkie nie wyczerpują jeszcze wszystkich szczegółów świata, i że jeśliby stanęła z czasem śród ludzi istota nowa, wyższa nad ludzi chociażby o zmysł jeden, lub gdyby człowiek mógł z czasem na istotę taką wyrobić się sam (wiemy już czém jesteśmy a jeszcze się nie okazało czém będziemy *I. Jan III 2*),

<sup>1)</sup> Jaki zaś jest powód, iż to natchnienie ducha raz daje dobro, drugi raz zło? Czy tym powodem jest różność duchów? czy tylko pewne prawa kolizji między duchem jednostki a Duchem, Powszechnym Ojcem? Nie tu jest miejsce mówić, i kwestyc te będą chyba, jak to tuszymy, rozdziałami jakiejś Psychologii przyszłości, Psychologii *rzeczywistości*.

tedy jeszcze o cały kraj wrażeń podnieśćby się mogła treść ziemskiej wiedzy.

To o kryterium zmysłów. Cóż rzec o kryterium drugim naszego poznania, kryterium *myśli*?

Pozytywista-materyalista twierdząc iż to tylko jest prawdą, o czém świadczą zmysły, i że przedmiotem prawd pozytywnych może być tylko obecność nie zaś przeszłość lub przyszłość, twierdzi zarazem iż to drugie kryterium (myśli) nie jest to właściwie kryterium, ale tylko gra mrzonek. Sądzimy jednak że twierdzenia takie są to tylko *twierdzenia dla twierdzeń* t. j. dla systemu, nie z przekonania. Któryż pozytywista wątpi np., że Kolumb odkrył Amerykę, że żyli Juliusz Cezar i Sokrates, że istniały Ateny i Babilon, chociaż to fakta przeszłości? A któryż z 5-ciu zmysłów przekonał ich o tych faktach? Nie odpowiedzą zapewne, że zmysł oka (pismo), bo w tym razie i wszelkiemu innemu pismu powinni by wierzyć. Wyznać więc raczej muszą, iż powodem ich przekonania jest pewna krytyka świadectw, więc pewne *Kombinaeye loiczne*, czyli, iż oprócz kryterium zmysłów istnieje też, i jest równiej przynajmniej wagi kryterium *myśli*.

Cóż jednak i o tém kryterium myśli czyli umysłowego pojęcia, ze stanowiska rzetelnój pozytywności, powiedzieć trzeba?

O tém kryterium myśli, mówiąc bezstronnie, toż prawie nam rzec wypada, co powiedzieliśmy o kryterium zmysłów, t. j. iż jest i ono częścią ułudną, częścią ułomną.

Pojęcia nasze częściej nawet mogą być ułudne niż zmysły. Działanie zmysłów zawsze jest prawie jednakie i proste, czynność zaś myśli jako mogącej się kształcić i zmieniać bez granic, i jako pozostającej nadto pod wpływem jednego ze swych najbogatszych ale najmniejszych czynników, wyobraźni, nader jest zdolną istotnie tworzyć sferę ułudy.

Ze siły naszych pojęć są ułomne, dowód tego mamy praktyczny. Są przedmioty, których byt musimy uznać koniecznie, i zarazem niezgodni jesteśmy objąć jego możliwości. Dostyc jest zwrócić np. myśl naszą do najpierwszych i najprostszyc ram bytu, do Przestrzeni i Czasu. Możemyż mimo największy wysiłek myślenia naszego objąć początek Trwania (Czasu) bez dopuszczenia poprzedniego jakiego trwania? lub objąć wyobrażenie przestrzeni bez umieszczania jój w poprzedniej jakiejś przestrzeni? Czas bez początku, przestrzeń bez granic są faktem, lecz skala pojęć naszych nie jest zdolną do objęcia jego istoty. Umysł ludzki wobec umysłu (Prawdy), który tkwi we Wszechświecie, musi się wyznać niższym, ułomnym.

Z uwag tych kilku widzimy, iż ułudnym i ułomnym środkiem poznania naszego są nasze zmysły, iż ułudnym i ułomnym jest umysł. Jakież ztąd wnioski? Wniosek jest ten, iż gdy każde poznanie nasze musi zostawać w warunkach, czyli granicach naszych środków poznania, a środki te są ułomne, przeto i każde poznanie nasze takim t. j. w części ułomnym być musi, lub inaczej, iż nasze pojęcie ludzkie nie

jest zdolne, do poznawania prawd bezwarunkowych, bezwzględnych a tylko *względnych*.

Znać możemy prawdy jedynie *względne* t. j. takie tylko, jakie pojąć są zdolne nasze 5 zmysłów (nie więcej), i nasz (z natury ograniczony) umysł. Lecz cel każdego istnienia zawarty jest w powodzie tego istnienia, tkwi w jego treści; prawdy ludzkie dostatecznymi przeto być muszą, dla potrzeb, dla losów ludzkich i prawdy te względne za nasze istotne prawdy uważać musimy. Być może np. iż wobec prawdy bezwzględnej wszystko co jest, jest tylko duchem, lub też iż jest tylko materją; lecz sąd ludzki w oznaczaniu prawd ludzkich musi się wspierać na środkach poznań ludzkich i wyznać, iż według *prawdy ludzkiej*, istnieje i świat zmysłowy i świat duchowy. Taż konieczność musi być charakterem i warunkiem wszelkich innych naszych uznań. Z uwag tych wszystkich jakież więc dla kryterjów naszych *pozytywnych* poznań wynikać muszą prawa?

Oto 1) iż podstawą sądów czyli poglądów naszych musi być naturalność czyli prostota uznań jako na istotnej naturze sił naszych poznających wsparta; 2) iż świat, który ma być przedmiotem tych naszych poznań, t. j. ten który nas otacza, którego jesteśmy i częścią, jest częścią zmysłowy, częścią duchowy; 3) iż przewodnikiem w sądzie i uznaniach naszych być muszą zarówno i *zmysły* nasze i *umysł*; wreszcie 4) iż skoro podstawą czyli kryterjum poznań naszych pozytywnych mają być złożone świadectwa tych władz, czyli *doświadczenie*; tak tem doświadczeniem być musi nietylko doświadczenie *zmysłowe* jak tego wymagał System pozytywizmu Comte'a, ale też i *duchowe*. Doświadczenie duchowe czyli wewnętrzne nie jest to wcale żadna wielka nowość w naukowości. Od *Rogera* Bacona do *Stuarta* Mill, *Lotze*, *Taine'a* i w. i.; wogólnem filozoficznem badaniu, a od *Beneka* do *Brentano* (autora świeżo wydanej psychologii) w specjalnem psychologicznem, doświadczenie czerpane z umysłowego świata jest dopuszczanem. Pozytywiści-materyjaliści zowią je towarem fabrykowanym, lecz jak widzimy, nie podzielają tego zdania wszyscy pozytywiści. Lecz oto zdaniem naszym, kryterjum to doświadczenia i w tym tak słusznie rozszerzonym kształcie za ciasno jeszcze i trochę za bojaźliwie jest używanem. Podnoszenie to obok całego bogactwa sądów, postrzeżeń i wskazywanych faktów do tego tylko dotąd, rzec można doszło wypadku, iż prawdy czyli fakta świata umysłowego są téjże pozytywnej pewności jak materialne, iż np. gniew, radość, są to fakta równie rzeczywiste jak krew i kamień, że występki i cnota są produkcje jak cukier i witriol i. t. p. Wszakże kryterjum to wtedy dopiéro, sądzimy, wywrze należny skutek, kiedy podniesionem zostanie jeszcze o krok, kiedy zwracanem być zacznie nietylko do Natury zewnętrznej i do Natury wewnętrznej, lecz do ich drogi łącznej, do *Dziejów*, do stosunków człowieka z *Czasem* i z całym majestatem tych *Sił*, w których jest ręku, wtedy bowiem i do ostatecznego rozwiązania nie jednej z tych zagadek, które są najgłówniejszemi dla trosk ludzkich, przyczynić się może.



Iż w tój drodze może już nawet i dzisiaj być otrzymanym pewien owoc, chcemy tu właśnie wskazać.

Kształcone od dawnych wieków badania dwóch stron Natury t. j. Natury zewnętrznej i Natury wewnętrznej, jakkolwiek dochodziły i doszły do ustalenia, każdy w swoim zakresie, bytu nader różnych faktów i do oznaczenia nader różnych wniosków, zbiegły się jednak zgodnie w uznaniu tego spólnego faktu i tego spólnego wniosku, iż w składzie i rozwinieniu tak jednej jak drugiej strony Stworzenia istnieje:

*Harmonia.* Iż w składzie i układzie szczegółów Natury zewnętrznej, mimo pozorny ich chaos, istnieje harmonia, wykazuje to coraz dobitniej i jaśniej stopniowe kształcenie nauk przyrodzonych, wszakże i sam mechaniczny pogląd na treść jój, łatwo ją daje uznać. Jeśli zaczniemy od góry i rzucimy okiem nad siebie, kiedy nas nie razi blask słońca, ujrzymy tam wprawdzie miliony ciał świetnych, (liczba planet i gwiazd widzianych przez teleskop obrachowaną jest do 30,000,000) brył większych niż nasza ziemia, a przedzielonych od siebie bimilionami mil (jak np. planeta Syryusz od ziemi); ciała te jednak mimo swą olbrzymość, zsiadłość i ciężkość, i mimo to iż są otoczone jakby próżnią, nie spadają na siebie i nie mieszają się, postępują zaś każde swą drogą, i krążą tak harmonijnie, iż obliczyć się daje ściśle czas ukazania się każdego w danym punkcie, czas zaćmień jednych przez drugie i t. p. Jeśli znowu rzucimy okiem w dół siebie, w kroplę wody lub pyłek, tedy możemy ujrzeć (tak nas przynajmniej uręcza fizyologia pozytywistów), iż w każdym sześcianie Materyi organicznej wielkości główki od śpilki jest 8 sextylionów atomów, które *tak się przyciągają i odpychają jak gwiazdy.*

Jeśli teraz odrywając nasz wzrok od majestatu stworzenia i jego dostępnych nam krańców, spojrzymy bliżej na tę część przyrody, na którą zdolni jesteście spoglądać bliżej (Ziemie i jój Powierzchnię) a mianowicie na ciała, które się odróżnić dają w ich składzie, w ich rozwinieniu; tedy ujrzymy, iż wewnątrz tój ziemi pełne jest dotykalnych śladów stopniowych i harmonijnych formacji (pokłady jój), oraz iż harmonijna gradacya widna jest w samym składzie ciał z nią związanych. Od gazów których pierwiastkiem jest eter, od powietrza, które jest składem dwóch gazów, do wód, do ziemnych pokładów i najprostszej o jednej torebce roślinki (która być może stała się była pierwszą organiczną istotką), od tój roślinki do skrzydlatój rybki mającej zarodki kości pacierzowój, od tój rybki przez wszystkie rodzaje kręgowców do człowieka, tak jest stopniowy i harmonijny rozkwit form i przymiotów tych istot, iż nader usprawiedliwionóm być może to przypuszczenie nauki nam spóczesnej, iż *sposobem stworzenia*, którego Stwórca Ziemi użył był do zapełnienia jój czasem jestestwami, było to nie (dopuszczane najczęściej ograniczonóm pojęciem ludzkim) ukazywanie się ich pierwotne bezładnie jednych obok drugich, ale raczej stopniowe ich wywijanie się z siebie czyli transformacya. Jeśli teraz nadto spojrzymy oddzielnie na skład każdój z tych istotek lub istot, dajmy istoty

ludzkiej, tedy to co się okaże wyrazem składu jęj cząstek i odcieni tych cząstek, będzie to z pewnością, wcale nie *brak harmonii*. Pięknym zapewne i podziwienia godnym jest widok postaci ludzkiej wyrażonej przez genialne dłuto lub pędzel, lecz jakże cudowniejszą jest stokroć ta postać uważana w swym składzie żywym. Czyli jest ona zbiorem milionowych tkanek, komórek, lub nawet drobniejszych jeszcze żywych a odrębnych w sobie pierwiastków, czyli insza jest jaka ożywiająca ją łącznie nić, już to co jest i co być może widzialném dobitnie dla oczu ludzkich, to dziw harmonii. Z dwóch oddzielnych przyrządów, z których ogniskiem jednego jest serce, drugiego mózg, złożony jest człowiek. Przyrządy te w innych utworach natury, w odcieniach swych form, widziane oddzielnie, w człowieku przez płaczące się z sobą włókna, nitki nerwów, łączą się w jedną funkcję i w jedną całość. Z całości téj dosyć jest wybrać losem jedną z cząstek, jeden np. pierwszy lepszy organ, iżby w treści jego utkwić ów podziw. Spójrzmy np. na organ słuchu (ucho), jest to wprawdzie napozór prosty tylko otwór dla przepuszczania głosu (jak np. w głowie snycerskiej); lecz nim dźwięk ten zdoła się dostać do nerwu, który go poda wyżej, przez jakiz musi się przedrzeć oddzielny przyrządek złożony z masy chrząstek, kostek, włókien, skrętów, otworków i płynów; spojrzmy na organ wzroku (oko), to oko to tylko napozór szklista soczewka (jak w obrazie malarskim); lecz spojrzmy przez drobnovidz, a da się widzieć iż ta soczewka jest to zbiór kroci cienkich, przezroczystych blaszek, które znowu składają się z małych ruchliwych cząstek, a gra tych cząstek sprawia ruchliwość soczewki.

Tak więc w treści Natury zewnętrznej widzimy harmonią w ramach, harmonią w biegu, harmonią w składach, takąż jest i natura wewnętrzna.

Iż Natury wewnętrznej wyrazem i treścią jest także harmonia, o tém już nam mówi sam widok zewnętrznej, ta bowiem, to jest tak ogół jak i jęj szczegóły, są następstwem i wypływem pewnych *praw* niewidzialnych, przeto duchowych (wewnętrznych), treść i szczegóły ich gdzież jednak najdobitniej i najjaśnieję uznawać i oceniać możemy?

Ostatnim szczeblem rozwoju Natury zewnętrznej (tak twierdziły księgi ludów pierwotnych, tak wychodząc z doświadczeń doszedł dziś racjonalizm) był *człowiek*. Utwór ten odróżnionym został od istot, które go poprzedziły nie tylko organizacją *fizyczną*, ustrojem jęj doskonalszym, nie tylko wyższością władz *umysłowych*, (które w stopniu swym niższym były już i w zwierzętach), ale nadto pierwiastkiem nieznanym dotąd żadnemu z utworów poprzednich, pierwiastkiem *ducha twórczego* <sup>1)</sup>. Duch ten twórczy w człowieku, to część natury wewnę-

1) Pierwiastek *myśli* w człowieku może się uważać istotnie za bezpośredni produkt jego mózgowych tkanek, zaś *duch* (źródło *pomysłów*, *natchnień*, *woli* i t. p.), powtórzmy to znowu, jest raczej wyraźnie pierwiastkiem czerpiącym swą treść i przychodzącym z zewnątrz, jest bowiem już świadomym, już bez-

trznąj najbliżej nam znana. Dzieła ludzkie to bowiem bezpośrednie i dotykalne objawy tego pierwiastku. Te dzieła są to następstwa *natchnień, pomysłów i woli* ludzkiej, przez nie powstał na ziemi świat nowy (świat życia zwierząt nieznany) stosunków społecznych, sztuki, wynalazków i jednym słowem świat dziejów, a jeśli przyjrzymy się bliżej ich drodze, tedy ujrzymy iż wyrazem jój był powolny i zbliiska prawie nieznaczny, ale zkądinąd nieprzerwany, postępnny i od ściśle z sobą związanych kroków zależny, rozwój, a więc *Harmonia*.

Spojrmy na przedmiot ten trochę szczegółowiej.

Wszelkie zwierzę chociażby zdolne nawet do odróżniania szczegółów świata, nie jest jednak zapewne zdolne poglądać na nie inaczej jak na zupełny zamęt; nie sądzi ono np. iżby między tym kłosem który widziało w polu, tём drzewem które widziało w lesie a człowiekiem mógł istnieć choćby najmniejszy związek. Pojęcie jednostki ludzkiej chociażby wyznającej tylko materializm, zdolne już jest jednak ocenić iż ów kłos to wypływ czynności człowieka i że jak źródłem tak i celem bytu jego jest człowiek; iż drzewo w lesie to w swój istocie odcienie owego kłosa i t. p, lecz prócz tych związków jawnych i do ujęcia łatwych, istną jeszcze między istotami, faktami i wszelkimi szczegółami świata i bytu, pewne głębsze zależności, stosunki, pewien wszechzwiązek; a jeśli do ujrzenia, uznania tego wszechzwiązku, za wieków dawnych umiały się tylko podnieść niekiedy fantazyja, idealizm, obecnie po rozwinięciu się wieków i dziejów zdolne jest je uznać pojęcie i z doświadczeń tylko czerpiące. Jakoż widzieliśmy właśnie że sam twórca szkoły pozytywnej Aug. Comte umiał dostrzedz i usiłował oznaczyć pewne prawo matematyczne tkwiące w rozwoju społecznym, rozwoju nauk i jednym słowem w dziejach. *Szczegóły* tego prawa, tego wszechzwiązku, tój słowem *Harmonii*, są dziś wprawdzie na stopniu dopiero domysłów, ale nie jest już tylko domysłem, ale wnioskiem pewnym na pozytywnych faktach opartym, jój *byt*.

Byt ten w każdej gałęzi rozwoju ludzkiego tak jest dobitnym i jawnym, iż dosyć jest spojrzeć bliżej na jedną z nich aby go sprawdzić. Spróbujemy tu wskazać na niektóre.

Świadomym twórcą ogólnej *łączności* drogi. Rozróżnianie tych dwóch pierwiastków koniecznym jest zdaniem naszym w wykładach *rzeczywistości*. Rozróżnianie to coraz tęż częściej pod piórem myślicieli spostrzegać się daje, przystaje nawet na nie i fizyologia. Wzmiankowany powyżej autor Fryd. de Rougemont w dziele swém przytoczoném, jednym z najświetniejszych i z najwięcej wypracowanych historyozoficznych, rozróżnienie tych pierwiastków kładzie za pierwszy warunek jasnego poglądu na treść człowieka. Sam tęż w swój *Filozofii Historii* mówi między innemi: „Życie człowieka jest potrójne: *materyalne, umysłowe i duchowe*, czyli religijne I 23 i dalej.” Pierwszy ze wszystkich pisarzy Świętych i świeckich, Ś. Paweł rozróżnił jasno *ciało, duszę (umysł)* i *ducha (sarz, nus, pneuma)* I Tessal. V 23. Przytacza tęż autor słowa Baadera: „Śmierć odłącza *duszę od ciała* i duszę od *umysłu*.”



Ludzkość to rozrodzony człowiek, ta przeto *jedność*, ukazuje się jednak jako zbiór nieprzyjaznych sobie ludów i ludzi. Ludzkość to zbiór jednostek o jednych cechach głównych, *rownym* początku, okazuje się jednak jako obraz wzajemnych ich zależności. Ludzkość, uważmy wreszcie, to istność którą odznaczył *rozum* czyli światło, okazuje jednak po największej części ciemność w umysłach jednostek. Trzy te cechy, to (śród innych) przyrodzone jej cechy, i jeżeli dla jakichś przyczyn zamiast ich blasku widzimy ich raczej kontrasta, to jednak widzimy zarazem iż w życiu tej ludzkości istnieje ruch, czyli rozwój, i wnieść jest łatwo, iż jak to widzimy w historii rozwić, to co było jej treści ziarnem źródłowym będzie i wypadkowym, i że tego jej ruchu i życia (wyrazem którego jest *ureczywistnianie się*) ostatecznym wypadkiem będzie: *ureczywistnienie się* owych trzech cech.

Co do faktu *jedności*. Spójrzmy na najogólniejsze ramy dziejów ludzkości a postrzeżemy łatwo, iż mimo owe pozorne chaos i zupełną odrębność wzajemną w życiu jej rozrzuconych części, są też jednak niemniej jawne wskazówki stopniowego jej z sobą zbliżania się, i stawiania się kroku za krokiem ku owęj jedności. Rzeczy można iż pod tym względem dzieje jej otrzymały zakres wyrażenia trzech epok. Wyrazem pierwszej był bieg, który połączył był jej ludy w jedność zewnętrzną (Rzym): wyrazem drugiej bieg, który ukazywał wewnętrzną (Rzym Nowy); zaś po latach i wiekach wnosimy, przyjdzie, w taki lub inny sposób, trzecia, która przyniesie i ukaże jedną i drugą. Co do epoki pierwszej wskaźmy tu krótko, iż już niegdyś pisarze dawni (jak np. Polibijusz, Strabon, Pliniusz i i.) patrzący na dzieje sobie współczesne wyrażali, iż było to skutkiem nieszczęśliwego męstwa Rzymian, ani rozumu senatu, ale iż „*Fortuna tak urządziła wypadki*” we wszystkich krajach i że te się w końcu znalazły pod jedną władzą. Co do drugiej, wskaźmy tu tylko, iż gdy cel (kiedyś nastać mający): nowy potrzebował czynników nowych, tedy epoka musiała między innemi objąć i nowych krajów formację. Gdy zaś idzie nam tylko o tak nazywany fatalizm, a lepij o byt spełniający się jakiejś *Harmonii*, tedy zwróćmy uwagę na znajomsze ogólne fakta czyli to wieków trochę przed nami dalszych czy nam współczesnej, a ujrzymy, już *jednoczesność* jednej natury zdarzeń, już w każdym razie postępną, zgodny z ostatnim celem ich bieg. Spójrzmy np. na kartę Europy w wiekach XIII i XIV, wszystkie główne następnie jej kraje jak Francya, Włochy, Hiszpania, Niemcy, Anglia, Ruś, Polska, podzielone były na drobne społeczności, oddzielne *rzeczypospolite, elektorstwa, hrabstwa, małe królestwa, księstwa* i t. p.; zaś w wiekach XV i XVI wszystkie te prawie ciała także jednocześnie poksztaliły się już były w ciała wielkie, wcielając niejednokrotnie w siebie i plemiona różnych pierwiastków (jak np. Francya złożona z Gallów, Franków, Burgundów, Bretonów i t. p.). W epoce owego bytu kraików lub owych podziałów, wszystkie w nich fakta wewnętrzne, zwady, boje, związki rodowe, małżeństwa, skłonności, charaktery, spory, narodziny szczególnych jednostek tak się musiały składać, iż-

by się ostatecznie owa następna jedność wywinąć mogła; społecznie nam w części już dokonane zostały jedności dalsze (jak *Niemcy, Włochy, Rumuni*; w części są w biegu (jak ruchy Wszech-Serbów), a w dokonaniach tych widać było naocznie (jak np. przy dokonaniu jedności włoskich w latach 1866 i 1870, prawie bez udziału samych Włochów, znanych tylko z pokuszeń niegdyś daremnych) iż lubo sprawdzało się w biegu zdarzeń owo przysłowie wzmiankowane i w Ewangeli: iż kto inny sieje kto inny żnie, ale też objawiło się jawnie, iż kierownikiem biegu i szczegółów dziejów jest nie *mełna* działalność jednostek, nie jak mawiał niegdyś Fryderyk II-gi „Jego Królewska Mość *Przypadek*,” ale *Harmonia*.

Co do praw pojedynczych jednostek, drogą jawną porównania ich postępnego jest fakt naszym zwłaszcza czasom właściwy, a dziejom dawnym nieznany, fakt społeczności krajowych rządzący się kartą spisaną i przez nią równający prawa klas wyższych, oraz fakt stopniowego i stanowczego usamowalniania się z pod jednostkowych zwierzchności: klas najwyższych. Urzeczywistnienie się jednoczesne tego ostatniego faktu w ostatnich czasach w miejscowościach tak odległych i różnych od siebie jak południe Stanów-Zjednoczonych Ameryki i kraje wschodniej Europy, urzeczywistnienie się, które było następstwem działań i bezpośrednich przyczyn niemających nawet wcale na celu tych skutków, jest też z swój strony sprawdzeniem iż je wydała, nie czynność świadoma ludzi, ale *Harmonia*.

Co do *Wiedzy* wreszcze, iż stan jej w epoce nam współczesnej, tak co do ukształcenia jednostek w ludzkości ogólnej, jak w uprawie i rozwiciu nauk szczególnych, nie da się nawet porównać z tym jaki był udziałem ludzkości pierwotnej i dawniej, to nie wymaga dowodzeń; lecz stosownie do celu o którym mówimy zwróćmy tu tylko uwagę na szczegół następny. Faktem jest (mimo wszelkie twierdzenia i wywody materyalistów): iż jak przychodząca na świat jednostka przynosi z sobą taki nie inny kolor oczu, tak też taki nie inny właściwy sobie charakter, upodobania, skłonności i t. p.; ten się rodzi np. przeważnie miłośnikiem broni, ten wędrowek, ten sztuki, ten takięj lub innęj gałęzi nauk, a nawet w jednej i tejże nauce, ten ma szczególne, namiętne upodobanie do jednej z jej gałęzi i tę rozwija; tak np. w gałęzi nauk przyrodzonych: ten jest szczególnie i wyjątkowo zamknięty w gatunku *konu*, ten *ryb*, ten *ptaków*, inny nawet (jest to faktem trudnym do uwierzenia, ale jest faktem) *owadów*, a fakta tych upodobań wrodzonych i popędów wrodzonych <sup>1)</sup>, jak z jednéj strony są dowodem, iż

<sup>1)</sup> Jednym z dowodów jawnych istnienia idei wrodzonych w ludziach jest fakt istnienia instynktów wrodzonych w utworach niższych. Wprawdzie materyaliści ścisli, którzy dopuszczają wszelką materyalność wrodzoną, ale nie dopuszczają żadnej duchowości wrodzonej są zdania: że i czynności przymyślniejszych zwierząt nie są to skutki instynktu ale naśladowania czynności matek, wszakże tak nie jest. Cuvier, a za nim i współcześni nam naturaliści wzmiankują, iż bo-

losem drogi umysłowej ludzkości jest posunięcie i rozwinięcie ogólnej wiedzy, przez posunięcie i rozwinięcie nauk szczególnie w wszelkich odcieniach ich, tak z drugiej i w tej czynności i we wszystkich szczegółach drogi tej czynności, istnie i działa Harmonia.

Istnienie harmonii w ramach musi pociągać za sobą istnienie harmonii w szczegółach wszelkiego rozwoju ludzkiego, a istnienie harmonii w szczegółach, ściśle spojenie ogniw w łańcuchu rozwoju. Każdy najdrobniejszy wypadek, krok, słowo danej jednostki, tyle mają wywijających się z siebie i wywijających bez końca szczegółów, tak są związane (i następnie łącznie w tym związku idące) z najdrobniejszymi wypadkami, krokami, słowami jednostek innych, że nic nawet nie może się nazwać próżnym i drobnym, nic też odosobnionym, przygodnym w obrazie stawania się. Wyjdźmy rano na miasto, a ujrzymy tłum ludzi idących na prawo i lewo, tam i napowrót; każdy z nich mniema iż idzie tylko w swój sprawie, i rzeczywiście idzie w swój sprawie, ale ogół tych spraw i kroków ukształci pewien, taki nie inny charakter dnia, te dni charakter roku, te lata wieku, wieki okresu. Drobnostka wszelka ma tu związek z wszelką całością. Czytaliśmy nigdy w którymś dziele francuzkiem uwagę, iż gdyby we Francji w wieku XVIII *któs* (nie przypominamy nazwiska) *nie spadł z konia*, co miało spowodować śmierć Delfina, syna Ludwika XV-go, *rewolucya francuzka nie miałaby miejsca*. Bonaparte (Napoleon I) gdy raz w wieku swym młodym przechodził ulicą paryżką i spotkawszy znajomego zatrzymał się, téjże chwili lecąca z dachu cegła położyła na miejscu człowieka, który go był wyminął; ileż było powodów iż ów spotkany człowiek, który go powstrzymał od ciosu, szedł tą a nie inną ulicą, tą a nie inną jej stroną, i że znalazł się na tém miejscu ani o chwilę piérwój ani o chwilę późnij? Może przewlokło wyjście jego z domu przybycie jakiegoś gościa, taka z nim nie inna rozmowa, lub może wywołało go z domu jakie wezwanie? dajmy iż to wezwanie było od przyjaciela, który miał rzucić już miasto wczoraj, lecz zmuszonym był zostać jeszcze z powodu niedokończony roboty krawca, a to niedokończenie na termin przez czeladnika było w skutek jakiegoś burknienia nań majstra i zwady; to burknienie..... i tak wstecz bez końca. Powody te są to przypuszczenia, lecz co jest pewne że były takie nie inne, a wśród nich i jak najpowszedniejsze (przejście na drugą stronę ulicy może być spowodował widok jakiej trzeciej osoby) i że każdy z tych najpowszedniejszych powodów, np.

bry w oddzieleniu chowane, doszedłszy do wzrostu zajmują się budowaniem jak inne bobry, i fakt podobny może wreszcie każdy wątpiący sprawdzić w gatunku najpowszedniejszym. Szczenięta wychowane bez matek i w zagrodzie odosobnionej, zamkniętej, po pierwszém wypuszczeniu biedz będą za człowiekiem który je wypuścił, a idącym w las lub na pole, i razem z nim wracać: nie uczyni tego kot, owca, cielę, żadne inne zwierzę domowe, dlaczegoż to? w żadnym z nich bowiem nie tkwi ten *wrodzony* (a ze wszystkich instynktów najcudowniejszy może) instynkt: miłowania i stróżowania człowieka.



owo burknienie majstra, miał jednak w swym skutku tylko zmianę karty Europy. Ile jest ludzi przytém i takich i innych powołań, i misyi większych i mniejszych, każdy w swém życiu, i nieraz unika owęj cegły lecącój, śmierci z przygody. Każdy z nas, każdy z ludzi mniema coś poczynać i działać we własnym celu, a jednocześnie w czynach tych spełnia się coś czego nie pomyślał, a co się układa do jednéj wspólnej całości z czynami innych działających w swych celach. Każdy z nas, każdy z ludzi, który według rzeczywistości fizycznej jest tylko chwilowém wezbraniem, przejściem od pyłu do pyłu, proszkciem w sobie odrębnym, czyliż przeto nie jest wplecionym w ogólne koło wypadków, które się stają? czyliż nie ma spełnić zadania, czyli to wagi większej, czy mniejszej lub chociażby najmniejszej? i każdy słowem czyliż przeto nie jest bezsprzecznie wyrazem jakiejś prawdy przedwiecznej, i tém samém jedném z koniecznych ogniów wielkiej *Harmonii*?

*Doświadczenie*, które jest mianem (i jak to właśnie uważaliśmy) słusznie za kryterium prawd pozytywnych, dostrzega więc i za pozytywną prawdę uznaje, że w składzie, rozwinięciu i biegu tak natury zewnętrznej jak natury wewnętrznej istnieje harmonia; prawdę tę jednak, dodać tu zarazem musimy, nieraz zarówno materyaliści jak i wyznawcy ducha usuwają albo usunąć usiłują z liczby prawd: pierwsi dlatego, iż pogrążeni w faktach chwilowych, nie są zdolni wznieść się pojęciem do jej ujęcia; drudzy, iż wiara w harmonię kazałaby uznawać byt konieczności, związania więc przeznaczenia, a tém samém znosić uznanie swobody woli, zasługi rządu Opatrzności i t. p.

Zarzuty te napozór loiczne, są jednak przedewszystkiém dowodem niejasnego pojmowania kwestyi harmonii i wymagają objaśnienia.

„Jeśli Harmonia istnieje, mówi przeciwnik bytu przeznaczenia, tedy nie pozostaje każdemu z nas nic innego jak nic nie czynić, i założywszy ręce czekać spełnienia swego przeznaczenia.” Lecz jest to właśnie, mówimy, nierozumienie faktu harmonii. Jeśli bowiem harmonia istnieje i w skutek niej każdy jest pewnym ogniwem w łańcuchu zdarzeń, każdy ma coś pełnić, coś sprawić, tedy jakoż może *nie następować* owo spełnienie? Jakoż ktoś może założyć ręce i czekać spełnienia swego przeznaczenia, skoro tém przeznaczeniem jest właśnie, iżby ręce jego były czynne nie założone?

Jeśli harmonia istnieje, istnieć musi Konieczność, a jeśli istnieje Konieczność, nie może istnieć Wola, mówią zarówno i pozytywny fizyk i metafizyk, i mówią loicznie, napozór nader loicznie. Rzecz tu jednak właściwie jest taka:

Cheć wziąć do ręki tę książkę i biorę ją, mam dziś jechać tam i tam w drogę i jadę; mam więc wyraźnie wolę, wolę swobodną; jest to fakt pozytywny i który doświadczeniem w każdej chwili stwierdzonym być może.

W biegu dziejów istnieje Harmonia, istnieje ona jak w ramach tak i w każdym tych dziejów szczególe, o tém także nauczyło nas doświadczenie i byt przeto Harmonii téj pozytywnym jest faktem.

I *Wola* i Harmonia czyli *Konieczność* są więc faktami pewnymi i byt ich możemy pojąć, to zaś tylko co przekracza istotnie nasze objęcie, jestto *fakt ich złączenia*.

Lecz oto uważaliśmy wyżej, że nasze pojęcie ludzkie, to tylko pojęcie *ludzkie*, ułomne, nie zaś najwyższe; iż zdolne jest tylko do objęcia prawd względnych nie zaś bezwzględnych, iż są (i być muszą) prawdy, które chociaż podchodzą pod nasze pojęcie, przechodzić muszą objęcie; iż do takich mianowicie muszą należeć te wszystkie, które dotyczą ram ostatecznych stworzenia, *najwyższości* pośród stworzenia, a do takich prawd właśnie należy połączenie Woli i Konieczności.

To jednak co przechodzi nasze objęcie, czyliż przeto przestaje istnieć?

Czyliż dlatego iż nie możemy objąć początku czasu, czas miał początek?

Istnienie jednoczesne woli i konieczności, nie może więc istotnie być przez nas pojętém loicznie, wszakże objaśnić i dodać tu trzeba, możemy je sobie wyobrazić faktycznie, a mianowicie iż rzecz ta może i musi mieć się następnie: Harmonia jestto *Układ*, który wyszedłszy z jednej danej przyczyny, przechodzi przez szereg oznaczonych przyczyn i skutków i dochodzi do jednego oznaczonego celu czyli wypadku.

Taki układ jak to poznaliśmy, właśnie w przebiegu Wszechświata istnieje. Czy bowiem źródłem tego Układu jest, jak wyraża loikmateryalista *Prawo Natury*, czy jak wyznawca Ducha *Wprzódwiedzenie Boże*; faktem jest zawsze że *istnie*. Otóż w treść czyli ramy tego Układu pośród miliona faktów weszły między innymi i takie jak swobodna wola jednostek ludzkich, i taki nie inny *szyk*, który miał odznaczyć dzieje tej woli; syk dajmy taki, iż po dobrych uczynkach ludzkich musi następować *koniecznie* nagroda ich, po złych ukaranie, po ofiarach, po modłach zadośćuczynienie im i t. p.; iż słowem to połączenie woli i konieczności jestto nic innego jak połączenie i objaw w każdym czynie ludzkim zarazem woli ludzkiej i woli Bożej, o jakiem mówią wszystkie prawie religie ludzkości.

Kwestya ta, kwestya *woli*, zbyt jest ściśle związana z kwestyą tej wagi dla ludzkości, jak jest etyka, a etyka zbyt jest ściśle związaną z takim obszarem pojęć jak jest religia, iż nie uważamy za zbyt nie wtrącić tu jeszcze kilka następnych uwag, czyli wyjaśnień.

Nauka tej z religii, która jest nas najbliższą i najbliżej nas obchodzącą, religii chrześcijańskiej, która zdaniem pisarzy materialistów jest zbiorem mrzonek, lecz w prawdach której po przyjrzeniu się bliższem, znajdujemy owszem najbliższą zgodność z odkryciami prawd pozytywnych; nauka ta, mówimy, jest właśnie potwierdzeniem istnienia w układzie świata, owój, o której dopiero rzekliśmy, doniosłości. Jeśli bowiem w nauce Ewangelijnej znajdujemy naukę jawną o istnieniu woli swobodnej (lub bez użycia tego wyrazu), znajdujemy też razem naukę i o Harmonii, Układzie poprzednim (lub bez użycia także tych wyrazów), a mianowicie o *Zgotowaniu Przedwiecznem* i o tej prawdzie,

iż Bóg zna przyszłość, a przeto jest, iż *dziś* Mu już jest wiadomym cały szereg wypadków, który się ma spełnić we wszystkich odcieniach ich. Dlatego też i jeden z głównych doktorów tej nauki w wieku IV, Św. Augustyn w dziele swém o *Mieście* czyli *Państwie Bożém*, odpowiadając na zdanie Cycerona w traktacie jego o *Naturze bogów* iż „wprzódwidzenie (*praescientia*) w Bogu istnieć nie może, skoro w ludziach istnieje *liberum arbitrium*” pisat: „wyznawać Boga a nie przyznawać Mu wprzódwidzenia byłoby szaleństwem” i przytém wyraził: „a z tymi którzy pod tym wyrazem *Przeznaczenie*, chcą rozumieć nie wolę gwiazd, ale łańcuch i porządek tego wszystkiego co staje się, niewiele będziemy się sprzeczać o wyraz”; dodaje nawet że sam ten wyraz *Fatum* mógłby być przyjętym, gdybyśmy go wyprowadzili od wyrazu *fari*, to jest, iż Bóg raz wyrzekł coś przed wiekami (*De civitate Dei* lib. III, cap. 819). Dodajemy tu nawet iż przedmiot ten w nauce chrześcijańskiej oznaczonym jest jaśniej i zgodniej z rzeczywistością, niż np. w nauce tych racjonalistów niemieckich, którzy usiłowali godzić racjonalnie istnienie tych dwóch nie mogących zaprzeczyć się faktów: woli i konieczności. Leibnitz np. iżby pogodzić tę sprzeczność nauczał o czynkach materyi i czynkach duszy, dodając iż do ciała stosuje się *Fatum*, do duszy Opatrzność (*quod est in corpore fatum, in anima est Providentia*), zaś Hegel i szkoła rozdzielała wypadki i czyny na wypadki wagi większej i wagi mniejszej, i uczyli iż pierwszemi rządzi Konieczność, drugimi Przygoda; takie jednak i tym podobne wykłady oddawały najprzód bezwzględny hołd względnym wyobrażeniom ludzkim, a następnie znosiły i związek rzeczy i całą harmonię; nie znają zaś tych sprzeczności nauki chrześcijańskiej, gdy twierdzą, iż bez woli Boskiej *nic* się nie staje, iż i „włosy na głowie ludzkiej są policzone,” iż „ani *kréska*, ani jota nie zmieni się w tém *co się ma spełnić*” i t. p.

Tak więc czyli będziemy słuchoać nauk idących wprost z *ducha* czy *idealnych*, czy nawet niejednokrotnie samych *materyalistów*, musimy, powtórzmy to raz jeszcze, uznać za fakt pozytywnęj prawdy, iż *Harmonia istnieje*.

Obaczmyż teraz jakie z tego uznania, z tej prawdy wypływać mogą i muszą loiczne wnioski?

Wniosków tych, z których jedne odnosić się muszą do następstw w naturze zewnętrznej, inne do natury wewnętrznej, inne do faktów łącznych, liczba być musi wielka; nam tu dostatecznie będzie dla celu powiedzieć chociażby o prawdach kilku, wybieramy więc te, które poczytujemy za najgłówniejsze śród faktów łącznych, i powiemy tu mianowicie po kolei o prawdach i uznaniach takich, jak *Bóg*, *Sprawiedliwość*, *Dola Ludzkości*, *Przyszłość* i w końcu o kryterium ogólném tego rodzaju wniosków, które nazwać się może „kryterium dostrzeganego szyku” lub krócej *kryterium następstw*.

(Dokończenie nastąpi).



## IMPROWIZACYE

# ADAMA MICKIEWICZA,

*Kronika Rodzinna* w numerach 23 i 24 z dnia 1 i 15 grudnia roku zeszłego, podała wielce zajmujący ustęp z Pamiętników Mikołaja Malinowskiego, jednego z pierwszych historyków polskich, odnoszących się do pobytu Adama Mickiewicza w Petersburgu i jego improwizacyj. W ustępie tym opisany jest wieczór 24 grudnia 1827 roku, w którym wielki poeta improwizował tragedya: „Samuel Zborowski”.

Pamiętnik ten wszelako nie wspomina o dwóch poprzednich improwizacyach z d. 16 grudnia i 22 t. m., a które opisał tenże sam Malinowski w liście swoim do Joachima Lelewela, pisany d. 19 marca 1828 r. z Petersburga. List w originale znajduje się w posiadaniu brata młodszego naszego badacza, czcigodnego *Prota Lelewela*, i od niego otrzymaliśmy ten szanowny zabytek, który jako uzupełnienie pomienionego Pamiętnika w całości podajemy. *Redakcyja.*

\*

\*

\*

7 (19) marca 1828 r. S. Petersburg.

W ostatnią sobotę list pański otrzymałem, spieszę natychmiast z odpowiedzią. W samą rzecz nie należało mi czekać dopóki nie będę proszony o udzielenie obszerniejszego opisanie improwizacyj Adamowych, lecz nie wiem sam dlaczego to uczyniłem. Opieszałość w pisaniu nie może być przyczyną tego, ponieważ nie znam chwil przyjemniejszych nad te, które poświęcam rozmowie z moim zacnym i łaskawym przyjacielem. Chcę dzisiaj wynagrodzić to opuszczenie, ale ostrzegam zawczasu że wierszy samych przysłać nie mogę. Mickiewicz improwizował tu otoczony zazwyczaj tłumem słuchaczy, nie było nikogo ktoby chciał pozbawić się przyjemności patrzenia na mówiącego poetę, a jeżeli w godzinach uroczystych, jak np. wtenczas kiedy improwizował tragedya znaleźli się tacy którzy pisać chcieli, nie zdołali uczynić tego dosyć ostrożnie; postrzegł się Adam i wyraźnie oświadczył, że szelest pióra niszczy w nim złudzenia poetyckie. Nie miałem więc innego sposobu, tylko powróciwszy do domu zapisywać to com sobie ogólnego mógł przypomnieć; ale powracałem najczęściej z biesiad o godzinie 2-jej lub 3-jej po północy, znużony, senny; nie wiem czy co godnego czytania w moim dzienniku zanotowałem, postarałem się jednakże uczynić zadość rozkazowi pańskiemu, ile ze mnie będzie. Pierwszy raz tu słyszałem improwizującego Adama d. 16 grudnia. Uległ poeta prósbom wszystkich obecnych, ale w skutecznieniu znalazły się przeszkody. Przywykł Mickiewicz improwizować zawsze przy fortepianie, tymczasem instrumentu nie było, sprowadzać zdało się zapóźno; wynaleziono gdzieś *czakan* i przy jego odgłosie śpiewał Adam kilkanaście zwrotek wesołych, żartując z różnicy czasów obecnego i przeszłego, kie-

dy wśród dziewic, wśród towarzyszków mówić przychodziło, wtenczas, kiedy i rymu brakło podsuwał go którykolwiek z oswojonych z sercem poety z rozumiejących jego język, i t. d.; teraz śpiewać trudno, pierwszy raz niektórych widzi, lęka się znaleźć romantyków, którzy bez sądu, bez miłosierdzia wołają na niego *crucifige*. Woli więc być poetą na zawołanie, chce śpiewać na urząd, bo tacy lepiej od tandetnych wychodzą. Prosił więc aby mu podana była treść pieśni.

Józef Oleszkiewicz, malarz, człowiek zacny, ale na nieszczęście mistycyzmem zarażony podał *psalmodyę stworzenia*. Po tylu przykładach wielkich i małych poetów, którzy lub zaczynali lub kończyli swój zawód na śpiewaniu chwały Stworzyciela, nie spodziewałem się nic nowego usłyszeć; ale jak przyjemnie zostałem przerażony, kiedy poeta wystawił Boga w zamieszaniu i w zamęciu wszechrzeczy, rozdzierającego chaos, i w jednej ręce światło, w drugiej obejmującego ciemności.

Nie mogę się odżałować żem tych kilkunastu wierszy nie schwytał i że ich nikt nie spamiętał. Mogłyby wytrzymać porównanie a może wziąć pierwszeństwo nad wspaniałym obrazem Boga, który na wiatrach nieograniczoną przestrzeń przelatuje, którego gromy i błyskawice są posłami, a który Kochanowski tak godnie wytłumaczył (w Psalmach Dawida).

Przytomny Bułharyn prosił o pochwałę wolonterów naszych. Wyprawa hiszpańska dziwnie wystawiona w kilkudziesięciu zwrotkach była. Nakoniec pieśń do gospodarzy za gościnne przyjęcie skończyła improwizacją dzisiejszą.

Dnia 22 byliśmy u zacnego młodzieńca Postumiusza Prószyńskiego, gdzie Orłowski swoim sposobem improwizował w mgnieniu oka, prawdziwe dzieła sztuki za pomocą kredy tworząc. Oleszkiewicz nawracał, a Adam ich obydwóch pochwały śpiewał. Miejsce gdzie o sztukach, jak o siostrach jednej matki, o ich wzajemnej miłości i słodkim rodzinnym związku, o ich wielkiem przeznaczeniu mówił, dziwną pięknosciami. Tę improwizacją zanotował Prószyński, ale hrabina Chodkiewiczowa zabrała z sobą i tak niespodziewanie że niemiano czasu skopiować.

Wielka improwizacja Adama miała miejsce 24 w dzień jego imienin. Nie pamiętam jak ją opisałem Zelwietrowi, lękam się powtarzać rzeczy znane, pokrótce więc je opiszę: książę Leon Sapieha prosił Adama aby cokolwiek powiedział. Franciszek (Malewski) usiadł do fortepianu i począł przygrywać znaną sercom naszym nutę, natychmiast Adam rozpoczął pyszną pochwałę Litwy, jej dawną sławę nabytą przewagami męża, jej życie przesądne, poetyczne, ale wysokie, jej złączenie się z narodem sąsiednim, szlacheckim i światłym, postępy wiary, złagodzenie obyczajów, nabycie swobód, większa sława i znajomość przed światem, wszystko to w obrazach okazałych, prawdziwie poetyckich rozwinął w najpiękniejszym lirycznym śpiewie Adam; ale przeszedłszy do czasów Zygmunta III, dopiero ukazał się w najświetniejszym blasku swego niezrównanego talentu, w nagłym rzucie wy-

mieniwszy ten zadziwiający szereg wielkich mężów, którzy to pamiętne panowanie ozdobili, wystawił króla powracającego z długich bojów, w których oręż polski nową okrył się sławą, chcącego wychnąć w pokój, ale wprzód jak zachętę do dzieł chwalebnych chcącego udzielić wieniec zasługi najwyższej pierwszemu obywatelowi, w poważnym orszaku panów rady, wodzów, wojowników, ziemian, na złotym tronie miał ważyć król prawo do pierwszej nagrody. Wielu przychodziło, ale stanął nakoniec Lew Sapieha ze statutem w ręku i pyszną pochwałą praw dobrych w rządnej Rzeczypospolitej opowiedział. Rozległy się oklaski obecnych, przeciwnicy nawet Lwowi pierwszeństwa ustąpili, Sapieha kanclerstwo i buławę otrzymał, i poeta śpiew swój zakończył przedziwną pochwałą statutu, którego dobrodziejstw po upadku monarchii doznajemy, którego świętość, ci dotąd szanują i t. d.

Po krótkiej przerwie oświadczył Adam że mógłby improwizować tragedya. Wezwano mnie do podania przedmiotu z dziejów krajowych. Podałem Zborowskiego Samuela. W kilkanaście minut wychodzi poeta i już przygotowany, wierszem sobie niezwyčajnym trzynastozgłoskowym deklamował scenę wielkiego efektu, między sługą Zborowskiego Wacławem z Rogoznia a dozorcą więzienia. Przedziwna sprzeczność dwóch charakterów, wyłączny im obydwom sposób widzenia jednej i téjże rzeczy, niezrównanej piękności. Wacław który życie swoje poświęcił domowi Zborowskich, który Samuela jak niemowę na ręku piastował, nie widzi w nim przestępcy ale potomka swoich dobroczyńców; lęka się zniewagi, mającej dom znakomity splamić, rozumie, że i własna jego cześć ucierpi, że i na jego siwą głowę część hańby i wstydu spadnie. Przeciwnie dozorca więzienia od lat trzydziestu oswojony z widokiem cierpień, samą długością spełnionego obowiązku pozbawiony ludzkiego uczucia, więźniów swoich uważa za rzeczy oddane mu do schowania, i kiedy na rozkaz swojego rządcy wydaje ich na rusztowanie lub wypuszcza na wolność, nie doznaje ani wzruszenia smutku, ani rozkoszy wcale. Długi jest to ten pierwszy dyalog, ale tak nowy, tak przywiązujący trafnością postrzeżeń, poznaniem serca, wczesnością zapytań i odpowiedzi, żartami nawet nieokrzesanemi dozorczy i prostą przenikającą czułością Wacława, że nie spostrzeegliśmy jak kilkaset wierszy poeta powiedział. Przekupiony dozorca wpuścił Wacława do więzienia a rozmowa jego z Samuelem jest prawdziwym tryumfem talentu poety.

Wypisuję to po łacinie, com w dzienniku moim w tym języku pisanym o téj scenie powiedział <sup>1)</sup>.

„Scena zaś między Wacławem, który pana do ucieczki zachęca oraz samym Samuelem, najwyższy podziw i głośnie okrzyki uniesionych słuchaczy wywołała. Bo i charakter bohatera śmiały, w podstępach zaprawny, przedstawiła nam zgodnie z dziejami tak żywo i prawdzi-

<sup>1)</sup> Ustęp ten naznaczony cudzysłowem, w przekładzie podajemy.



wie, i mowa jego z charakterem tak była zgodną i doń zastosowaną, żeśmy wszyscy sądzili iż samego Zborowskiego widzimy i słyszymy. Gdy zaś poeta o potędze króla, o znaczeniu i powadze Zamoyskiego jął rozprawać w duchu tłumów, zdało się nam, że to Zborowski mówi nie w więzieniu, ale w obliczu samowolnej szlachty, na zgromadzeniu koła rycerskiego. Niemal boskim jest geniusz naszego poety; nie dając się określić i fantazyi pełen."

Po krótkiej przerwie znowu poeta kończył rzecz swoją deklamując scenę między Gryzeldą Zamoyską i Zborowskim. Przypuszcza poeta, że Zborowski często przebywając na dworze Stefana Batorego w Białej, w młodzieństwie swoim zakochał się w synowicy książęcej, że wszelkich starań dokładał aby ważnością przysług wyświadczonych Batoremu zezwolenie jego otrzymał. Gryzelda niewinna, spokojna, czule przywiązana ale lekliwa, kochając nawet, z trwogą poglądała na burzliwy umysł Samuela. Jego długa niebytność w Białej, dojrzały wiek księżniczki, rozkaz ojca, wola stryja i nakoniec niebezpieczne poruszenia Samuela, awanturnicze zamachy na kraj z kozakami, włoczęgi włoskie, doniesienia o życiu nieprawém i zbrodniczym, zatarty w sercu Gryzeldy pamiętkę dawniej zycliwości i łatwo skłonity ją do oddania ręki mądrymu w radzie, walecznemu w boju, przyjacielowi króla, kochankowi narodu Zamoyskiemu, który czułością i postępowaniem szlachetnym najskuteczniej potrafił przytłumić w umyśle Gryzeldy słabo tlejącą isierkę pierwszej miłości. Doznała ona najwyższego szczęścia, jakiego niewiasta pragnąć może; była małżonką wielkiego człowieka; ale skoro dowiedziała się że Samuel w kajdanach jęczy, bez względu na to co się stanie, wchodzi tajemnie do jego więzienia i czując namową chce go skłonić aby uniknął ucieczką haniebną śmierci. Rozmowa ta jest godną największej uwagi pod względem poezyi. Nie mówię nic o obrazach, o porównaniach i t. d., bo Adam inaczej myśleć nie może, u niego wszystko przybiera formę zmysłową. Talent jego nie jest talentem pamięci, nie są to jak u innych nawet wyższych poetów reminiscencye tego co kiedyś słyszeli lub czytali. Bynajmniej, język jego interlokutorów jest językiem czasu, miejsca w którym żyli, uczuć, wyobrażeń, które ich zajmowały, słowem, jest to wierne powtórzenie tego co w danych okolicznościach mówićby musieli, przypuszczając tylko podniesiony stan ich duszy, bo jakże poeta ma ubiegać się za malowidłami prostemi zdarzeń powszednich życia? Kiedy Samuel wyrzuca Gryzeldzie że jest szczęśliwą, że odważyła się serce swoje otworzyć uczuciom łagodniejszym, że nie pała nienawiścią ku temu który zniweczył całą budowę szczęścia jej pierwszego kochanka; kiedy jej wyrzuca, że cieszyć się odważa okrzykami radosnemi ludu witającego żonę swego bohatera; kiedy maluje ten przedziwny, wspaniały, porywający za serce obraz wjazdu Gryzeldy do Krakowa, po każdym nowém dobrodziejstwie które korona z rąk ulubionego syna swojego bierze, zdawało się nam wszystkim żeśmy obecni temu świętu, tej uroczystości narodowej, że wołania wdzięcznego ludu objijają się o nasze

uszy. Nic piękniejszego, nic prawdziwszego pomyśleć sobie nie można. A Gryzelda jedném słowem wyprowadza Zborowskiego z błędu i omamienia. Ona chce wywiązać się z danego mu niegdyś w pierwszych latach młodości słowa, że z niebezpieczeństwem życia własnego pragnęłaby zachować jego życie. Nie miłość ją sprowadza, ale uszanowanie dla swęj przysięgi, ale religijny jakiś przesąd, ale sen wieszczy. Nieprzywykły Zborowski widzieć przenoszonych nad siebie, nie kochający Zamoyskiej, bo włoskie rozpusty wytepiły w nim uczucia czystej miłości; ale to zeznanie Gryzeldy oburza jego miłość własną: wyrzeka się jej pomocy, ludzi sam siebie że jest jeszcze zbyt potężnym aby się miał lękać króla i hetmana. Opowiada swoje środki obrony, spodziewany rokosz szlachty i to opisanie podburzonego tłumu, sposoby którym pochlebiając narowom wyuzdanej tłuszczy możnaby ją ku swoim celom nakłonić, należy do najwyborniejszych opisów poetyckich, gdzie niepodobny do wyrażenia ruch przyśpieszony samych wierszów, zdaje się naśladować gwałtowność i nagłe poruszenie czynności. Ale wśród tych pogroźek, wśród tych marzeń przyszykłej potęgi, przypomina sobie że mówi z żoną Zamoyskiego; mowa jego przechodzi w gorzką ironię, którą obrażona nakoniec szlachetna duma Gryzeldy, przymusza ją zostawić niesfornego wichrzyciela nieszczęsnej jego doli. Byłby może jeszcze więcej poeta mówił, ale znużony deklamowaniem dwóch tysięcy przeszło wierszy, z wielkiem napięciem głosu, z odmianą go według potrzeby, padł na krzesło i kilkanaście minut musiał czekać nim z osłabienia powstał.

Dnia 27 Bułharyn dał obiad dla Adama, znajdowali się na nim: Orłowski, Sapieha, Sękowski, Linowski, Łęski, Selski, Chodźko, Malewski i t. d. Cały obiad zszedł na kłótni z Sękowskim, który niestęchającym sposobem z nieprzebaczoną zuchwałością rzuca się na to wszystko, cokolwiek ludzie zacni szanować zwykli, a lubo Sękowski bardzo jest mowny, lubo nad dowodami swojemi już oddawna pracuje, często paradoksa swoje powtarza, wielką liczbę fałszywych lub poprzekręcanych faktów ma na zawołanie, nie zdołał jednak oprzeć się Mickiewiczowi, który go kompletnie pobił.

Po stole przosno Adama o improwizacją. Sękowski chcąc się pomścić, dał mu przedmiot bardzo klasyczny: Wyprawę kapitana *Parry* do biegana północnego i sam mi do ucha szepnął, że ciekawy jest jak się poeta pokaże. Adam opisał jak Anglikom znane były okropne strony Oceanu Lodowatego, jak uczeni spodziewali się rozszerzenia wiadomości a kupcy nowego źródła zysków z odkrycia dróg dotąd niedostępnych; jak używano ochotników do tego przedsięwzięcia i jak powstał jeden tylko Parry. Opisanie przez poetę budowli okrętu jest świadectwem dostatecznym, jak Mickiewicz zwraca na wszystko uwagę co ze sztuką jego ma związek. Sam Sękowski przyklasnąć musiał. Ale już okręt puszczony przeszedł za granicę znaną, niestęchane trudności pokonywać, prace ponosić, niedostatków doznawać musieli żeglarze. Parry dzieli z niemi wszystkie niewczasy, ale kiedy inni upa-

dają na sercu, on jeden wszystkim dodaje odwagi; majtkowie grożą buntem, już wpadli do izby kapitana: ten niewzruszony, spokojny wychodzi przeciwko nim i wytrąciwszy pistolet z rąk pierwszego zuchwalca, nakazuje milczenie i głos zabiera. Wiele o sławie Anglików w żeglarskim, o ich wytrwałości mówił, nakoniec podniósłszy oczy do nieba ujrzał orła; zwraca uwagę swoich słuchaczy na królewskiego ptaka, i mówi że ten orzeł którego nad głowami waszemi widzicie, przyleciał tu z nad brzegów Białej-wody. Naród co u brzegów tej rzeki mieszka, w okropniejszej od obecnej chwili, niestracił podle tak jak wy serca, i wielkich rzeczy dokazał sławą przewag swoich na trzech częściach ziemi, na obudwóch półkulach świata, dla potomności zapisał, a wy ludzie jeszcze wolni, z tego przykładu korzystać nie chcecie?

Daléj są skutki téj mowy: wytrwałość i posłuszeństwo przykładne i powrót wtenczas dopiéro przedsięwzięty, kiedy natura odmówiła swéj pomocy.

Żałuję nieskończenie, że te blade bez życia parafrazy piszę. Nigdy nie żałowałem tyle, że się stenografii nie uczyłem, jak słuchając Adama. Rozmowa jego nawet zaczyna przybierać cechę improwizacji, tak jest świetną, tak obfitą w myśli własne, oryginalne. Z serca winszuję literaturze, że posiada takiego olbrzyma.

Serdecznie dziękuję za łaskawą pamięć o mnie, nie wiem czy mi wypadnie przenieść się do Warszawy, zależeć to będzie od skutku moich antrepryz petersburskich. W tych dniach spodziewam się otrzymać pozwolenie wydawania Tygodnika przy pomocy Malewskiego, Mickiewicza i niektórych innych. Upraszam pana najczuléj o ozdobienie tego nowego pisma rozbiorem którego z nieegzaminowanych dotąd dzieł historycznych. Najlepiéj gdyby można wziąć pod uwagę pisma Al-bertrandego wydane przez Żegotę, a nawet Władysława IV p. Kwiatkowskiego; zresztą spuszczam się na światły wybór pański, bo o skutku méj próby, ufny w dobroć, nie wątpię. Najlepiéj jednak byłoby, z powodu tłumaczenia Karamzina, dać całą recenzją jego historyi; teraz pewnoby można ją wydrukować *mutatis mutandis*.

Na inne szczegóły listu pańskiego, odpowiem w przyszłą środę, bo ten już i tak długi. Powtarzam prośbę o książkę, którą posłałem dnia 22 lutego. Teraz posyłam pieniądze na prenumeratę „Gazety Polskiej.” Racz pan to zrobić, abym mógł ją odebrać przez kancelaryą Królestwa, rozumiem że Hlebowicz to ułatwi.

Bułharyn, który ma córkę i żonę włożył na mnie usługę sprowadzenia dla nich trzewików. Prawdziwie wstydzę udawać się do pana z taką z prośbą, ale nie odmawiaj pan tego podług przyłączonych tu miar i żądań tych dam. Racz pan kupić trzewiki i przesłać pod moim adresem do kancelaryi polskiej. Damy nasze chciały wystąpić w trzewikach warszawskich na Wielkanoc, rozumiem, że właśnie w czas otrzymać je będą mogły.



Do pana Niemcewicza napiszę we środę, bo dzisiaj już mało czasu, a nie umiem pisać innego dnia, jak wtenczas, kiedy mam list wypisać.

Polecam się łaskawej pamięci.

*Mikołaj.*

Jest tu Adolf Januszkiewicz, dla interesów, proszę, abym go przypomniawszy pamięci pańskiej.

## SYNOWIE HETMAŃSCY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

*Wł. Chomętowskiego.*

(Dalszy ciąg.)

V.

W drugiej połowie miesiąca lipca odwiedził Jan Jabłonowski dwór królewski w Wysocku nad Sanem, dokąd udał się król wraz z żoną i córką Teresą. Królowa lubiła przebywać w wiejskiem ustroniu, przypominającém jej wymownie ubiegłe lata młodości; Wysock bowiem dostał się jej w spadku po pierwszym mężu Janie Zamoyskim, wojewodzie sandomirskim. Staraniem Maryi Kazimiry przebudowany został stary pałac, następnie założyla piękny ogród, w którym jej własną ręką szczepione drzewa, wybujały w przeciągu lat trzydziestu kilku i cieniste tworzyły już szpalery.

Około godziny piątej po południu, królowa z gościem używała przechadzki po ogrodzie. Rozmawiali żywo i długo o stosunkach z dworami zagranicznymi, mianowicie z Francją, nakoniec o nadziejach domu królewskiego i przeszkodach, tak ze strony obcych, jakoteż swoich, w przedmiocie utwierdzenia dynastji Sobieskich na tronie polskim. Królowa w tej ożywionej rozmowie, w uprzejmych wielce słowach wyraziła życzliwość dla swego powinowatego gościa i całej jego rodziny; kiedy zaś zasiadła z nim na darniowej ławce pod drzewem, naprzeciw wodotrysku, kazała przynieść ogrodnikowi frukta, któremi poczęstowała Jana i taką prowadziła dalej z nim rozmowę:

— W przeciągu lat dwudziestu, odkąd wybór narodu powołał mojego męża do berła i korony, starałam się usilnie o pozyskanie przychylności ludzi, którzy zdolnościami lub majątkiem górowali nad innymi w Rzeczypospolitej, miałam więc sposobność poznać wielu i bardzo wielu z tych mężów; ale wiesz też mości wojewodo, jaką z tego poznańia poczerpnęłam korzyść i naukę?

— Domyślam się że Wasza Kr. Mość nieraz gorzkiego doznała zawodu, a doświadczenie uczyniło ją niedowierzającą i ostrożną.

— Zgadłeś mości wojewodo! W tej długiej szkole doświadczenia poznałam ludzką obłudę i niewdzięczność—i dziś, dziś, stanowczo niedowierzam nikomu.

— Choć odgadłem myśl W. Kr. Mości, poważę się jednak zaprotestować w tej mierze, nie powątpiewam bowiem że tron W. Kr. Mości nie jest pozbawiony podpory, jako też że cała dostojna W. Kr. Mości rodzina, zaczynając od Najjaśniejszego miłościwie nam panującego króla, liczy wielu jeszcze wiernych i gorliwych przyjaciół.

— Tak jest, wiem o tym mości wojewodo, że dotąd jeszcze mamy wiernych i gorliwych przyjaciół...

Ostatnie wyrazy wymówiła Marya Kazimira z naciskiem i uśmiechnęła się boleśnie, poczem spojrzała bystro na wojewodę, i dodała po chwili:

— Młody jesteś mości wojewodo latami, ale masz umysł przezorny i bystry; oceniam twój rozum i dowcip i lubię poufną z tobą rozmowę: powiedz mi więc szczerze, jako królowej swojej i ciotce, na jak długi przeciąg czasu mogę rachować na przychyłność owych przyjaciół?

— Zbyt trudno jest odpowiedzieć na W. Kr. Mości pytanie, fortuna jak szkło jest krucha, z nią wszystko zmienia się na świecie.

— Mówisz że trudne zadałam pytanie, a przecież odpowiedziałeś wybornie. Tak jest, odgadłeś mości wojewodo myśl moją, skoro główny splendor Sobieskich domu, skoro gwiazda ich zgaśnie na horyzoncie tej Rzeczypospolitej, dzisiejsi tak zwani przyjaciele, czyż pozostaną wierni synowi, jako niegdyś okazywali się przychylni ich ojcu?

— Przyszłość Rzeczypospolitej a zatem i dzieci W. Kr. Mości jest w ręku Boga, którego dziś możemy jeno błagać gorąco, ażeby w jak najdłuższe lata zachował najmiłociwszego panującego nam króla.

Marya Kazimira spostrzegła się w tej chwili, że zadługo rozmawiała o egoistycznych swych na przyszłość zamiarach, względem utwierdzenia własnej dynastyi na tronie, rzekła więc po chwili namysłu:

— Masz racją wojewodo, że przyszłość jest w ręku Boga i nie godzi się zawczasie podnosić jej zasłony. Ale jeśli zanadto uciekam myślą w przyszłość, nie moja w tym wina, lecz okoliczności. Jestem królową, więc troszczy mię los tego kraju; powtóre, terażniejszość jest pochmurna i burzliwa, a zapobiegać przyszłym kłeskom jest obowiązkiem tronu.

Królowa zatrzymała się nagle w tym miejscu i potarła ręką czoło, jak gdyby namyślała się nieco nad wątkiem dalszej rozmowy. Wojewoda siedział obok niej nieporuszony, zdając się rozważać bacznie każde słowo królowej, która po chwilowym przestanku tak mówiła dalej:

— Nie mogę też zapomnieć, mości wojewodo wołyński, że najnieprzyjaźniejsi z niechętnych nam panów w Koronie i Litwie, są to

wielcy dygnitarze i senatorowie, którzy wyrosli pod protekcją naszą i najhojniej obsypani są dobrodziejstwami panującego króla; znasz ich dobrze waszmość i wiesz bezwątpienia, jakie są ich nazwiska?

— Sapiehowie i Lubomirscy? — rzekł półgłosem Jan Jabłonowski.

— Tak jest, znaną jest całemu światu niewdzięczność tych dwóch wielkich domów; wiadomo jest każdemu, jak prędko rodzina Sapiehów urosła w potęgę i znaczenie pod berkiem dziś panującego króla.

Dawno już przekonałam się dowodnie o intrygach i nienawistnych knowaniach Sapiehów, zawsze jednak miałam nadzieję, że zdołam zawrócić ich z téj występnej drogi, skłonić do widoków króla JM. i przywiązać do tronu; dziś powątpiewam już o tém zupełnie, jakkolwiek szanuję powagę hetmańskiej buławy, stawam w obronie ekskomunikowanego wojewody wileńskiego i piszę za nim instancyonalne listy do Rzymu.

— Czyn ten W. Kr. Mości dowodzi jój pieczołowitości o dobro publiczne i chęci ustalenia pokoju w utrapionej kłeskami Rzeczypospolitej. Muszę atoli wyznać szczerze W. Kr. Mości, że sprawa biskupa z hetmanem litewskim nie wróży prędkiego końca, bo Sapiehowie wielkim za ekskomunikę wybuchnęli gniewem, a najwięcej odgraża się biskupowi podskarbi, który, jak wiadomo W. Kr. Mości, ma z świeckiej, jakoteż duchownej strony silne plecy za sobą, bo sam prymas, ksiądz kościoła, odezwał się w obronie pokrzywdzonego domu Sapiehów.

Skoro wspomniał Jabłonowski prymasa, Marya Kazimira zaszępiła się mocno, a zatapiając badawcze wejrzenie w twarzy młodego wojewody, zapytała go prędko:

— Jak sądzisz, mości wojewodo, o téj przyjaźni kardynała z Sapiehami?

Jan Jabłonowski ruszył ramionami i rzekł z uśmiechem:

— Sądzę, że kardynał jest potrzebny Sapiehom, Sapiehowie zaś potrzebni są kardynałowi, a wiesz W. Kr. Mość najlepiej, jak drogo płaci się dziś za przyjaźń.

— Wiém... i znam dobrze kardynała, który wszystko czém był i jest dzisiaj, winien królowi JMci. Nikt więc od niego nie odebrał dobrodziejstw i nikt tak wielkiego długu nie zaciągnął wdzięczności. Powiedz mi jeno szczerze mości wojewodo, czy nie bez przyczyny podejrzewam kardynała, że równie jak inni zapomniał o dawnym dobroczyńcy, k'woli nowym widokom i korzyściom?

— Jeżeli W. Kr. Mość żądasz koniecznie, abym zdanie moje w téj materji reprezentował jawnie i szczerze, proszę naprzód o sekret a potem powiem W. Kr. Mości, że jakkolwiek kardynał protestuje się zawsze z gorącym afektem dla osoby naszego Najmiłościwszego Pana i jego całego domu, mam jednak niezawodne dowody na to, że jest dawno kupiony przez Sapiehów, którym, jak w dzisiejszej sprawie z biskupem, w niejednej dopomógł już imprezie.



— Niestałość kardynała nie jest dla mnie żadną nowością!— rzekła z gorzkim uśmiechem królowa.—Ale niemniej wdzięczną jestem waszmości za szczere wypowiedzenie mi swego zdania; dlatego też wyznać muszę, że czyniąc to pytanie, chciałam jeno wybadać umysł i serce waszmości. Nie dziw się, że żawiedziona od najbliższych krewnych i przyjaciół, nie dowierzam już dziś nikomu...

— Sądzę, że dom nasz ma prawo żądać wyłączenia od W. K. M. w tej mierze... czterdziestoletnia przyjaźń i tak liczne usługi mojego ojca...

— Jeden ojciec waszmości ma słuszne do wyłączenia go prawo... Tak jest, on jeden nie zawiódł mnie dotąd w niczém; jakoż na przyjaźń jego zawsze rachowałam śmiało. Ale z bólem wyznać muszę, że nie wszyscy członkowie waszjej rodziny jednostajny dla naszego królewskiego domu przechowują afekt; intrygi generała wielkopolskiego, szwagra waszmości, nie tajne już są nikomu.

— JMPan Rafał Leszczyński nie jest tak nieprzyjaznym W. Kr. Mości, jak to zawistne i złośliwe języki rozgłaszają przed światem.

— Próżno uniewinniasz go mości wojewodo, mam bowiem jawne dowody jego niechęci i szkodliwych wpływów.

Rozmowę królowej z Jabłonowskim przerwało zjawienie się nowych osób w ogrodzie. Król z twarzą wypogodzoną zbliżał się ku nim w tej chwili, w towarzystwie Dominika Radziwiłła kanclerza W. Ks. Litewskiego, który jednocześnie z Janem Jabłonowskim przyjechał odwiedzić go w Wysocku.

Król Jan pogładził węża i rzekł z uśmiechem do żony, podając jej rozpieczętowane pismo:

— Nie wątpię, że wieść ta równie ucieszy cię mocno, jak uradowała serce moje w tej chwili...

Potém zwracając się do wojewody wołyńskiego dodał:

— Zapraszamy cię, mości wojewodo, na ślub naszej córki Teresy do Warszawy, odebraliśmy bowiem świeżo list ten z doniesieniem, jako przeszkody małżeństwa królowej z Elektorem już są usunięte i jako kawaler bawarski zjeżdża w tych dniach do naszej stolicy.

Jan Jabłonowski odpowiedział na zaproszenie króla ukłonem.

Skoro Marya Kazimira przebiegła z zadowoleniem stronie listu, podziękowawszy królowi skinieniem głowy i wdzięcznym uśmiechem za wieść radośną, udała się natychmiast do pałacu, by donieść o tém córce i pomówić z nią o zbliżającym się dniu ślubu. Król w towarzystwie Radziwiłła i Jabłonowskiego podążył wkrótce za nią do pałacu. Rozmawiał długo i wesoło, zwłaszcza z ostatnim, o różnych sprawach publicznych i prywatnych; skoro zaś kanclerz wielki litewski udał się do pokojów królowej, król Jan pozostawszy sam na sam z Jabłonowskim, kazał mu usiąść obok siebie i rzekł:

— Nie dziw się mości wojewodo, że wieść pożądana o zbliżającym się terminie zamężcia córki, tak wielce uradowała moje serce. Mało, wierzaj mi, że mało liczę wesołych dni w mém życiu. Odkąd zasia-

dłem na tronie i włożyłem na głowę koronę, otaczają mnie troski i burze; zwłaszcza w ostatnich latach, tak w materji publicznej jako téż w sprawach prywatnych spotykają mię *calamitates* i zawody. Nie dziw się więc, wojewodo, zbytnej twego króla radości, bo córka moja Teresa jest najukochańszém dzieckiem, a w małżeństwie jój z elektorem Maksymilianem fortunną dla domu mego upatruję wróżbę.

— Nietylko nie dziwię się radości W. Kr. M. na widok tak fortunnego zdarzenia, ale pewien jestem, że każdy obywatel kochający ojczyznę i króla, wspólnj z nim dozna uciechy, w tak pamiętnej i szczęśliwej chwili.

— Nie mów mi o tém mości wojewodo, bo mi smutne a pełne frasunku nasuwasz myśli; gdzież są ci obywatele troszczący się o króla lub o ojczyznę?

Powiedziawszy te słowa z gorzkim uśmiechem, zwiesił król Jan głowę na piersi, jakby pod wpływem ciężkich i przykrych wspomnień.

— Królu a panie mój miłościwy, lubo wątki jest i pełen niepokoju *status* téj Rzeczypospolitj, nie upadać ona tak nisko i pielęgnyje jeszcze wiernych synów w swém łonie. Przed chwilą rozmawiałem téż o tém z królową JMością, która reprezentowała mi niewdzięczność i obłudę obywateli, i jako zawiedziona przez wielu, niedowierza już dziś nikomu. Otóż jak królowej JMości, tak i Wam Miłościwy Panie ośmielam się powiedzieć szczerze, jako wierny i zaszczycony ich zaufaniem poddany: wielu jest zapewne przewrotnych i złośliwych ludzi, których serca i umysły zaprawione są jadem, ale znajdują się téż i tacy, którzy troszczą się o cześć téj korony, o sławę i zdrowie W. Kr. Mości.

— Nie wątpię, że znajdują się tak zacni, mości wojewodo, ale w szeregu tym naliczysz pono nie wielu.

— Nie zachmurzaj najmiłościwszy królu smutną myślą twojego czoła, niech w dniu tym radośnym, który taką pociechę wlał do serca W. Kr. Mości, przepadną wszystkie troski i gorycze żywota.

— Słuszną mi waszmość przekładasz rację, dzień ten dla mnie jest dniem wesela i powinienbym zapomnieć na chwilę, że jestem królem, myśląc o losie i szczęściu méj córki. Ale cóż począć, jak zamknąć ucho na złowrogie wieści, które ścigają królów nawet w najskrytszej ustroni. Owóz na kilka godzin przedtém, nim odebrałem pomyślny list z Warszawy, otrzymałem kilka listów bardzo smutnej treści, której wygładzić z pamięci nie może, nawet myśl o losie dziecka i pociecha ojcowskiego serca: Pierwszy jest list hetmana Sapiechy ze skargami i dziwnymi kalumniami na biskupa Brzostowskiego; drugi list ze straszniemi kłátwami na Sapiehów; trzeci kardynała ze żwawą i gorliwą obroną Sapiehów, a długą oracyą przeciw biskupowi wymierzoną; czwarty nakoniec JMPani Lubomirskiej marszałkowej nadwornej, z lamentami i wyrzekaniami na męża, który ją opuścił dla jakichś szalonych amorów, a teraz zajeżdża jój dobra. Oto jest płacziwa historia naszj Rzeczypospolitj, która napróżno wyciąga ręce do synów i bla-

ga ich zmiłowania, bo w swarach i kłótniach sejmy schodzą po sejmach, a kraj przepada bez obrony!

Król westchnął głęboko i zwiesił smutno głowę. Słońce chyliło się wtedy ku zachodowi i ostatnim gasnącym brzaskiem oblało skroń bohatera; portrety zawieszane na ścianach salonu mieniły się w tym blasku, a malowane postacie zdały się świecić przez chwilę nieznanem tajemniczym życiem. Jan Jabłonowski spojrział przypadkiem ku stronie ściany, na której był zawieszony portret pogromcy Turków pod Wiedniem, na koniu, w zbroi, z okiem pełnym natchnienia i wiary w świętość sprawy, z czołem opromienionem aureolą zwycięstwa; poczem zwrócił się nagle ku siedzącemu obok królowi z czołem zoranem troską, a twarzą naznaczoną podwójnym cierpieniem: duszy i ciała. Porównanie to przeszłości z terażniejszością smutnie ozwało się w młodym sercu wojewody i wycisnęło łzę z jego oka. Kilka chwil jeszcze panowała uroczysta cisza w salonie, aż nadeszła królowa z córką. Wkrótce wniesiono światło, zatem zaczęli liczni napływać goście, w gronie których był Radziwiłł kanclerz w. lit., Marcin Kątski wojewoda kijowski z żoną i wiele innych znakomitych osób. Król rozwelelił się znowu widokiem córki i nadzieją jej przyszłego zamełcia, rozmawiał nadzwyczaj dużo ze swemi gośćmi, którzy do późnej zabawili się nocy. Jeden tylko Jan Jabłonowski opuścił wcześniej salon królewski i udał się do przeznaczonych dlań pokojów, znać mu bowiem dało, że przyjechał Antoni Stamirowski podstoli halicki i ma ważny interes, o którym chce pomówić z nim na osobności.

Podstoli był rówieśnikiem wojewody i jego dawnym kolegą szkolnym: był to jeden z najserdeczniejszych przyjaciół domu Jabłonowskich. Posiadacz znacznej fortuny, myślał o podniesieniu swego stanowiska przez koligację z rodziną swego przyjaciela, nie tylko więc z sympatyi, ale i z interesu wysługiwał się wiernie wojewodzie, spełniając różne polecenia tak w obrębie spraw domowych, jako też na sejmikach, gdzie działał zawsze zgodnie z myślą swego kolegi i protektora. Antoni Stamirowski posiadał niepospolite zdolności do kierowania różnego rodzaju interesami, obok bowiem ujmującej powierzchowności udarowany był płynną wymową, miał umysł bystry i przenikliwy, a nadewszystko dar obcowania i traktowania z ludźmi. W kraju, gdzie każdy magnat o tyle tylko mógł wpływać na sprawy ogółu, o ile znalazł poparcie w potężnym stronnictwie, które było wyrazem jego myśli i celów, ludzie rozumni i zręczni byli cenieni wysoko, zwłaszcza jeżeli zyskali popularność w niższych szlacheckich sferach.

Interes, w którym przybył tego wieczora podstoli halicki do wojewody wołyńskiego, był w zakresie spraw prywatnych, dotyczył się bowiem konkurów Aleksandra Jabłonowskiego.

Prokop Jan Granowski starosta zytomirski, który w krótkim czasie po stracie żony zamyślał pojąć drugą, w osobie pani Modrzejewskiej wdowy, był to człowiek dziwaczny i niespokojnego charakteru, pochopny do kufła i do zwady. Pan licznych włości, wiódł on żywot



próżniaczy, na łowach lub za stołem przy pijatyce, a choć nie zasłużył na miłość i szacunek poważniejszych obywateli kraju, był jednak tolerowany przez wielu, którzy obawiali się jego pokątnych knowań i szkodliwego języka. Jakkolwiek Jabłonowscy nie ufali zbytnie życzliwości Granowskiego, atoli znając obszerne jego stosunki, mianowicie z domami Potockich i Sieniawskich, wysłali Antoniego Stamirowskiego, w celu wybadania umysłu Adama Sieniawskiego za pośrednictwem starosty żytomirskiego. Otóż z relacją swego poselstwa i listem starosty przyjechał Stamirowski do Wysocka.

Podstoli z podgoloną czupryną, o dużych niebieskich oczach, miał kształtne podługowate rysy twarzy, usta uśmiechnięte, z wyrazem pokoju i wesela w całym obliczu. Skoro spostrzegł wchodzącego wojewodę, powitał go serdecznym uściśnieniem dłoni i zawołał żartobliwie:

— Wybacz mości wojewodo, że wywołałem i przerwałem może ucieśzną zabawę, ale od dni już kilku gonę napróżno za wami. Jeździłem naprzód do Warszawy, potem do Komarna, potem do Żółkwi, na koniec puściłem się do Wysocka, gdzie znajduję was szczęśliwie. Wprawdzie nie jestem zwiastunem pomyślniej wieści, smutną owszem niosę wam relacją, ale chciałem przeto zrzucić ten ciężar jak najprędzej z mego ramienia.

— Wdzięčen jestem mości podstoli, że nie omieszkuje z relacją powierzonych wam sprawy: ciekawy też jestem rezultatu rozmowy z JMPanem Granowskim?

— Wiozę od starosty żytomierskiego ustne i piśmienne oświadczenia przyjaźni. Mówiłem z nim dużo, choć wielce ostrożnie, jak to wypadło w tak arcydelikatnej materii. On zaś, jak jest jego zwyczajem, mówił bardzo okolicznie i często zbaczał w prawo i w lewo z dyskursu; sens zaś całej konferencyi ten jest, że panowie Potoccy przeszkadzają do projektowanego małżeństwa JMPana chorążego. Ksiądz Teodor inwentuje kalumnie na cały wasz dom, mości wojewodo, a nawet przypisuje z wojewodziną bełską amory. Atoli najwięcej JMPan Stefan Potocki łowczy koronny bruździ w tej sprawie i podżega wojewodę bełskiego, zresztą cały dom Potockich, z JMPanem Feliksem wojewodą krakowskim na czele, z jawną oświadczeniem się dla was niechęcią.

— Co słyszę?... ksiądz Teodor zadaje mi z wojewodziną bełską amory? Wyznam, że nie spodziewałem się nigdy tak jadowitej potwarzy, i to z ust jeszcze kapłana, który nie powinienby mięszać się wcale do głupstw i szalbierstw tego świata.

Ale dziś pono wszystko na opak się dzieje i księża zamiast pracować wyłącznie w winnicy Pańskiej, białogłowskie naśladują fortele, inwentując miłośne baśnie i plotki.

Mówiłeś mości podstoli, że dał starosta jakieś pismo?

— Tak jest;—rzekł Stamirowski i oddał list wojewodzie, który rozlał przedko pieczętkę i czytał co następuje:

„Mnie wielce miłościwy panie wojewodo wołyński!

„W dniu wczorajszym JMPan Antoni Stamirowski przyjechał do mnie z listem waszym, i oznajmił, jako chcecie wy badać intencją JMPana Adama Sieniawskiego, względem małżeństwa młodszą onego siostry JMPanny Teofili. Owóż zadość czyniąc woli waszej mości wojewodo, donoszę, że przed kilkoma dniami byłem w Brzeżanach u JMPana Sieniawskiego, gdzie zastałem panów Potockich, wojewodziny i obie JMPanny wojewodzanki. Bawiąc dwa dni w domu wojewody obserwowałem wszystkie po szczególe osoby, i nie mało zdziwiony zostałem wielką odmianą w ich rozmowach, a nawet w akcji. Wojewoda kilka razy przy stole grubiańskimi słowy zbasował żonę, ksiądz Teodor Potocki bardzo mało mówił podczas biesiady, często spuszczał oczy, nakoniec pożegnawszy nad wieczorem gospodarza, wyniósł się niepostrzeżenie. Wieczorem wojewodzina miała zapłakane oczy, panna Teofila smutna była wielce i zmieniała się do niepoznania, starsza jój za to siostra szeptała ciągle z JMPanem łowczym koronnym, w którym rozmiłowana jest okrutnie. Miałem później konferencją z wojewodą, który powiedział mi, że ślub pana łowczego jest oznaczony na ostatnią niedzielę przed adwentem, lub na pierwszą po Trzech Królach, jeżeli zajdą jakie przeszkody; dalej opowiadał mi wiele o panach Potockich, o wielkiej turbacyi z żoną *et his similia*, w czém i wam też dostało się mości wojewodo, jako to opowie dokładnie JMPan Stamirowski, któremu dałem ustną relacją.

Nie mogę w końcu przemilczeć tego, jako wierny dawniej przyjaźni i afektowi, który mię łączył zawsze z całym domem mnie wielce miłościwego kasztelana krakowskiego, ojca Waszmości, stawałem w obronie honoru imienia i domu, jakoż reprezentowałem wojewodzie beńskiemu wielki pożytek z koligacyi dwóch świętnych imion i rodów, których połączone splendor w potomkach wielkich hetmanów w nowym odrodzi się blasku; starałem się nakoniec wygluzować z jego serca suspicyą, którą względem Was, Mości wojewod oże zaszczyliły języki. Jakoż jestem zawsze waszym Mości Panie wojewodo życzliwym bratem i sługą”.

Prokop Jan Granowski S. Ż.

— Dowiaduję się z tego listu, o czém nie wiedziałem przedtém, że JMPan Granowski jest wielki polityk, bo o rozmowie z wojewodą beńskim pisze bardzo ostrożnie, nie wymienia nawet nazwisk oszczerców, lecz odsyła do zakomunikowanej ustnej relacyi...

— Cały sens relacyi, mości wojewodo, jak to już napomknąłem przed chwilą, obraca się około inwentowanej baśni o amorach z panią wojewodzina beńską. Mąż jój rozgniewany srodze, nie chce słyszeć pono o konkurach chorążego do panny Teofili. Wierzę że tak niefortunna suspicya obałamuciła chwilowo głowę pana Sieniawskiego. Nie wątpię jednak, że ten szal ustąpi z czasem miejsca rozwadze, g'woli dobrym radom uczciwych i nieinteresowanych przyjaciół. Prędziej czy później przekona się wojewoda beński, jak niegodnie posądzał wła-

sną żonę o złamanie małżeńskiej wiary, zatém rozróżni łącno prawdę od fałszu.

Hola! protestuję najsołenniej przeciwko ostatniemu argumentowi waszmości: rzadka to jest i wielkiego waloru cnota umieć rozróżnić prawdę od fałszu, zwłaszcza w naszych opłakanych czasach, kiedy ludzie radzi błakają się w ciemnościach, a nie chcą gonić za światłem; zresztą *sapientia* ta jest raczej rzeczą Boską niż ludzką, a JMPan Sieniawski nie jest żaden mędrzec ani prorok, to tóż uwierzy łątwo wszystkiemu, cokolwiek mu złośliwe podszeptują języki.

— Znajdzie się na to rada—rzekł poważnie Stamirowski.—Można użyć medyatora w tój sprawie, który przekona wojewodę o fałszu i poprze argumentami waszą obronę.

— Któż ma być owym medyatorem, czy nie JMPan Granowski?

— JMPan Granowski mógłby dopomódz nie mało, ale kogo innego mam jeszcze na myśli. Wszak JMPan hetman wielki koronny może najlepiej instancyonować za synem; wnoszę, że tak wielkiego i poważnego senatora słowa znajdują chętne posłuchanie u JMPana Sieniawskiego i skruszą najzapalczywszej inwidy strzały.

— Widzę że jesteś w błędzie mości podstoli i nie wiesz wcale, gdzie jest *fons et origo* onój inwidy. Owóż wiedz waszmość, że pierwszym promotorem tych bezecnych kalumnii jest starosta halicki, syn JMPana Feliksa Potockiego wojewody krakowskiego, rozgniewany za to na pana ojca, że wygrał w tym czasie sprawę z nim o Wołoczyniec w trybunale lubelskim, za staraniem p. Czackiego. Wojewoda krakowski obrażony tóż za syna, zrewoltował JMPana Sieniawskiego przeciw panu ojcu; w ślad za nimi łowczy koronny, przyszyły szwagier wojewody bełzkiego wraz z księdzem bratem rozdmuchują pożar. Nie sądzie więc, aby pan ojciec mógł skutecznie działać w sprawie, w której on sam jest pryncypalnym aktorem.

— Jak widzę z relacyi JMPana Sieniawskiego i z waszego objaśnienia wojewodo, głównie brudzą w tój sprawie panowie Potoccy; według mojego więc zdania, ich to należy najprzód przejednać, traktując z nimi po przyjacielsku.

— Niech kto chce traktuje z nimi mości podstoli, ja nie myślę wcale kłaniać się ichmościom, ale odpiszę staroście zytomirskiemu *sine mora*, że te głupstwa i potwarze są szalonych głów dziełem, zagrożę przytém, wszystkim nieprzyjaciołom jawnym i skrytym naszego domu, jeżeli nie zechcą trzymać języka za zębami.

— A ja nie odstępuję mego zdania i radziłbym postępować z nimi ostrożnie, bo wielkie ztąd przewiduję niesnaski i kłótnie między pokrewnemi domami...

— Niechaj co chce się dzieje, muszę odpisać Granowskiemu, bo tóż wielkim mógłby mię nazwać osłem, gdybym znosił spokojnie te potwarze!

To powiedziawszy siadł wojewoda przy stoliku i wziął się natychmiast do pisania listu. Antoni Stamirowski założył ręce nakrzyż



i chodził po komnacie wielkimi krokami. W przeciągu niespełna godziny Jabłonowski wygotował już list dwucwiartkowy, który odczytał głośno podstolemu. List ten brzmiał następująco:

„Mnie wielce miłościwy mości starosto żytomirski. Dowiedziałem się z listu waszmości i z ustnej relacji JMPana Stamirowskiego, że przypłaciłem srodze w jadowitej mowie nieprzyjaciół moich, którzy bezecne na mnie i na dom mój inwentują kalumnie. Znam dobrze źródło onęj inwidy i wiem jako jest szalonych głów dziełem. JMP. starosta halicki nie tai się wcale z swoim rankorem, albowiem dawno już wścieka się za to na pana ojca, że nie dał się pokrzywdzić dla miłego pokoju, pozwał go do sądu i wygrał z nim sprawę o Wołoczyniec. On też pobudził JMPana Feliksa Potockiego, który jawną okazuje już niewiść, niegodną wielkiego senatora, a tém więcęj niedorzeczną i niesprawiedliwą, że zapomniał o mocnych dowodach afektu i przyjaźni, które jegomość pan ojciec w niejednej dawał mu okazji. Nie tajno jest całemu światu, że kiedy dostała się buława wojewodzie krakowskiemu na instancją królowej Jójmości, ojciec mój uspokoił wielkie szemrania i pogróżki niechętnych.

„Nie wiem też za co JMPan łowczy koronny szuka z nami zaczepki? wszak żaden z nas nigdy nie wchodził mu w drogę, a nawet powinien pamiętać, że doznał nieraz łaski pana ojca, który niedawno usmierzył kłótnię jego z wojewodą pomorskim, a zawsze świadczył o nim najlepiej przed królem i królową i nikomu też innemu, jeno ojcu memu zawdzięcza promocję i zachowanie u dworu.

„Markotno jest wprawdzie panu ojcu, że bez jego porady naznaczono wesele JMPana łowczego, ale markotnięj, że tenże pan łowczy zbuntował wojewodę bełzkiego przeciw staremu przyjacielowi ś. p. hetmana jego ojca. Proszę też waszmości, ażebyś reprezentował JMPanu wojewodzie, jako zbytnią unosi się porywcznością i wielką okazuje *partialitatem*, skoro z krzywdą naszego domu wierzy szalonym słowom nieprzyjaciół. Upraszam również, mości starosto, o odparcie przed JMPanem Sieniawskim oskarżenia alias kalumnii, jakoby z jego żoną grzeszne łączyły mię amory. Nie wiem zkąd przyszła księdzu taka fantazyja do głowy, że przyjaźń z wojewodziną, grzeszną nazywa miłością; jabym mu radził aby pilnował swego brewiarza, a nie wdawał się w rozbiór sentymentów przyjaźni, które jak wnosić się godzi, mało mu są znane. Radziłbym zresztą nieprzyjaciółom moim, niech zbyt jawnie nie okazują onęj inwidy, a postępują nieco ostrożnięj, mianowicie niech bez słusznych dowodów nie zadają mi z wojewodziną amorów i innych tym podobnych nie rzucają kalumnii, bo upomnę się o mój honor i za każdą obrazę z lichwą im odpłacę. W sekrecie zaś upraszam waszmości, ażebyś ostrzegł odemnie JMPana Sieniawskiego, jako łowczy koronny jest szarpaczem cudzych honorów i wcale nie zasługuje na wiarę; powiedz też, że skoro oddaje już łowczemu swą siostrę w zamężcie, niech pilnuje i rachuje się z nim dobrze, aby zbytniego pośpiechu nie żałował po niewczasie....”

— Jak wam się zdaje, mości podstoli—rzekł Jan Jabłonowski skończywszy czytanie listu;—czy JMPan Granowski nie zawiedzie i wypełni moje zlecenie?

— Wyznam szczerze mości wojewodo, że nie wierzę zbyt gwałtownym oświadczeniom przyjaźni starosty żytomirskiego.... dlatego więc nie radziłbym posyłać tego listu.

Odebrawszy tak stanowczą odpowiedź podstolego, wojewoda namyślał się chwil kilka, poczem rzekł:

— Bądź co bądź, poślę ten list do starosty. Oświadczał mi się niedawno we Lwowie z przyjaźnią, zresztą on jeden tylko może być medyatorem między nami.

— Wierzę mości wojewodo, że starosta oświadczał się dla was z przyjaźnią, bo to jest jego zwyczajem, zwłaszcza przy kielichu starego wina; jak głowa tak i afekta jego zapalają się raptownie, ale prędko wyszumią z winem, po którym pustki jak w głowie tak i w sercu zostają. Zmienny jest umysł JMPana Granowskiego, mam na to pewne i liczne dowody.

— Może być że starosta żytomirski gorszy jest od samego lucypera, ale nie skrewił nam w niczem dotąd, a pana ojca zawsze wielce wenerował. Poślę doń natychmiast to moje pismo; przekonamy się niezadługo czym jest przyjacielem JMPana Granowski: naszym czyli też panów Potockich?

— Niech i tak będzie, mości wojewodo, ale *utinam sim falsus vates* <sup>1)</sup>, abyście nie żałowali tego pośpiechu!

Wkrótce po téj rozmowie Jan Jabłonowski pożegnał Antoniego Stamirowskiego, który téjże nocy pojechał do Lwowa.

## VI.

Jan Kazimierz Wielhorski, towarzysz młodości i przyjaciel Jana Stanisława Jabłonowskiego, mieszkał w wiosce Artasowie, w królewskiej połozonej o mil dwie od Lwowa. Piękny i nowy dworek, wystawiony przed parą laty, bielił się na wzgórzu ocieniony rzędem młodych topoli. W pośrodku dziedzińca ogrodzonego płotem wznosił się na czerwono malowany gołębnik; tuż poza dziedzińcem stajnia i inne zabudowania gospodarskie, ocienione były starymi drzewami: z pomiędzy tych wystawał wiąz ogromny, na którego wierzchołku bocian założył gniazdo.

Biały, świeży dworek dotykał ogrodu, który odznaczał się różnorodnością drzew i kwiatów, a utrzymany był starannie. Często Jan Jabłonowski z żoną, hetman w. k. i inni znajomi i przyjaciele Wielhorskiego podkomorzego włodzińskiego, odwiedzali to ciche i uroczne pod Lwowem ustronie, bo téż podwoje białego dworku zawsze stały otworem na przyjęcie gości, jak szczerze serce gospodarza.

<sup>1)</sup> Obym był fałszywym prorokiem.

Jan Kazimierz Wielhorski dwudziesto-czteroletni młodzieniec, w kilku już brał udział w wyprawach; bo od ośmnastego roku życia nie pomijał żadnej sposobności i walczył w towarzystwie Jana Jabłonowskiego, pod bokiem jego ojca hetmana w. k. Przed wołoską wyprawą zaślubił urodziwą dziewicę Konstancją Denhoffównę łowczankę litewską. Związek ten czysta skojarzyła miłość, bo młodzieniec, szczupły po przodkach dostał majątek, panna zaś była dziedziczką znacznej fortuny, i oddała mu swą rękę pomimo życzenia matki, układającej inne projekta dla córki. Skoro wrócił Jan Kazimierz z wołoskiej wyprawy, osiadł wraz z młodą żoną w Artasowie; ale z trudnością przyszło mu odbierać część ojcowskiego majątku żony z rąk matki, która jako nieprzychylna temu związkowi, nie chciała przez długi przeciąg czasu oddać posagu. Ale w przeciągu dwóch lat ostatnich wszystko zdało się uśmiechać młodej parze; za pośrednictwem przyjaciół pogodżono nowożeńców z matką, waleczny zaś podkomorzy włodzimirski rósł ciągle w powadze i znaczeniu, w gronie współobywateli, którzy świetną dlań rokowali przyszłość.

W sześć tygodni po opisanej wyżej konferencji Jana Jabłonowskiego z Antonim Stamirowskim w Wysocku, zjechali się dwaj przyjaciele w Artasowie.

Musimy tu nadmienić, że w przeciągu upłynionego czasu, mianowicie w drugiej połowie miesiąca sierpnia, odbyły się uroczystości zaślubin królowny Teresy Kunegundy z elektorem bawarskim Maksymilianem w Warszawie; brat dostojnej narzeczonej królewicz Jakób, zastępował miejsce pana młodego przy ślubie. Wesele było świetne, i oddawna nie widziano w Warszawie tak wielkiego napływu gości z różnych stron kraju i zagranicy. Atoli wkrótce po ślubie królowna odjechała do Brukselli, goście zaś, a w ich gronie Jabłonowscy, powrócili do domów. Wiadomość o zbliżających się Turkach i Tatarach ku granicom Rzeczypospolitej, powołała osiawiałych wodzów i młodzież urodziwą pod chorągwie; jakoż na początku miesiąca września, Jan i Aleksander Jabłonowscy gotowali się do walnej wyprawy.

Wojsko koronne zbierało się za Zawałowem pod Petlikowcami, do którego to obozu podążył hetman wielki koronny i czekał w Maryampolu, gdzie miał połączyć się z synami. Wojsko litewskie pod wodzą Kazimierza Sapiehy i Józefa Bogusława Stuszkij powinno było złączyć się z wojskiem koronnym, następnie cała siła zbrojna miała przeprawić się przez Dniestr pod Kamińcem. Oprócz Jana Jabłonowskiego z żoną i Antoniego Stamirowskiego, zawitali do artasowskiego dworku, na początku miesiąca września, Aleksander Potocki podkomorzy halicki, oraz starosta Czerkaski, młody wdowiec, skoligacony przez żonę z różnemi zamożnemi na Rusi domami, człowiek, jak to mówią, z dobrą sercem, ale płochego umysłu i z pustą głową.

List wojewody wołyńskiego pisany z Wysocka do Granowskiego, zaostrzył nienawiść przeciwnego stronnictwa, bo jak przekonamy się z następującego opowiadania, starosta żytomirski, grający czasowo



rolę pośrednika w oczach Jabłonowskich, przykładał się tajemnie do rozniecania większego pożaru, powtarzał poufne z nimi rozmowy i pokazywał ich listy przeciwnikom; nadto przejął korespondencye pani Elżbiety Sieniawskiej z młodemi Jabłonowskimi i oddał jęj mężowi. Listy te, więcj niż wszystkie inne doniesienia i pokątne plotki, przyczyniły się do utwierdzenia w podejrzeniu umysłu męża.

Tak więc Prokop Jan Granowski był pierwszego rzędu intrygantem, a chociaż Jan Jabłonowski nie wiedział o wszystkich jego sprawach, mianowicie o przejęciu listów wojewodziny bełzkiej, miał jednak dostateczne już dowody swęj ławowierności i żałował, że pogardził zdaniem przyjaciela, który mu doradzał ostrożność w postępowaniu ze starostą.

W dniu rzeczonym zjazdu przyjaciół w Artasowie, gospodarz domu witał na ganku przybywających gości i przeprowadzał każdego do obszernęj o trzech oknach izby, której meble nie odznaczały się wprawdzie przepychem, ale wygodą i porządkiem. Dwa stoły, dwie ławy, kilka taboretów i kilka staroświeckich krzeseł stanowiły główne sprzęty salonu, na którego ścianach porozwieszane były karabele, łuki, strzały, nakoniec różne pamiątki rodzinne, jako to: starożytny tarcze, buzdygany i. t. p.

Około piątej godziny po południu, w pomienionęj izbie przy obu dwu stołach siedzieli wraz z gospodarstwem goście. Podkomorzyna Wielhorska zabawiła wojewodzinę wołyńską Jabłonowską i panią podkomorzynę Potocką, z domu Karczewską, której mąż siedział obok młodęj i pięknej wojewodziny. Przy drugim stole, gospodarz bawił rozmową resztę gości, mianowicie Jana Jabłonowskiego, Antoniego Stamirowskiego i starostę Czerkaskiego, zwanego popolicie po imieniu Stefankiem, w poufałym towarzystwie przyjaciół.

Joanna Jabłonowska, piękna, rumiana blondynka z okrągłą twarzą i błękitnymi oczami, prowadziła w tęg chwili żywą rozmowę z Aleksandrem Potockim, podkomorzym halickim, który niegdys był jednym ze starających się o jęj rękę, zanim ustąpić musiał szczęśliwemu rywalowi. Podkomorzy był wysokiego wzrostu i dobrej tuszy, choć liczył dopiero dwudziesty ósmy rok życia; odpowiednio tęg do budowy ciała, głowę miał dużą, oczy wypukłe, głos donośny i rubaszny, w całym zaś jęgo oblicu malowała się prostota i dobrodusznosc.

— Każdy to przyznać musi, mościa wojewodzino, że mąż jęj a mój zacny i serdeczny przyjaciel, wielki skarb posiadał w osobie waszmość pani. Nie mówię już o splendorach rodu i wysokięj kolicacy; skoro obok wdzięcznej urody, rozważam wielkie rozumu jęj przymioty, nie widzę doprawdy żadnej tak przedziwnie uposażonej białogłowy, któraby równe jęj posiadała *merita*—rzekł podkomorzy halicki opierając się o poręcz krzesła, na którym siedziała wojewodzina.

— Wielkie a tak niespodziane pochwały waszmości dziwią mię niepomalu, a to z dwóch mianowicie racyi: najprzód, że nie zasłużyłam

na takowe wcale; powtóre, że masz sam waszmość urodziwą i okrzesa-ną żonę, która nie ustąpi najzacniejszej białogłowie.

— Wiem o tém mościa wojewodzino i dziękuję téż za to Bogu, że dobrą a gładką udarował mię żoną, która jako powiedział dawny poeta, jest męża koroną; nie idzie jednak za tém, ażebym nie podziwiał bystrego rozumu i przedziwnej dobroci waszmość pani, której tak jawne dajesz dowody, nie słuchając ludzkich wymysłów i plotek. A wiesz już zapewne o nich waszmość pani?..—rzekł podkomorzy z uśmiechem.

— Domyślam się waszmość panie; plotki te jako fałszywe nie obchodzą mię wcale, bo jakże mogłabym uwierzyć potwarzy przeciw mężowi, najserdeczniejszemu przyjacielowi, do którego głowy i serca żadne płocze myśli przystępu nie mają?

— Otóż w tém upatruję dowód wielkiego animuszu waszmość pani, że nie jesteś zazdrosną...

— Zazdrosną?... jakżebym nią być mogła, skoro mam miłującego i miłowanego męża?

— Gdyby tak wszystkie myślały żony, pokój święty, mościa wojewodzino, w niejednym zapanowałby domu, w którym teraz fochów i lamentów jest co niemiara.

— Niejeden słysząc tak mówiącego waszmości, mógłby posądzić że masz wielce zazdrosną i niespokojną żonę...—rzekła wojewodzina z uśmiechem, patrząc na zakłopotaną twarz podkomorzego, który rzucił okiem na małżonkę, następnie nachylił się ku swéj sąsiadce i rzekł półgłosem:

— Uchowaj mię Boże, abym miał obmawiać przed waszmość panią mą żonę: dobrać to jest i zacna białogłowa, choć wyznam to pod sekretem, że nie jest wolna od suspicyi, i że najniewinniejsze dyskursy gotowa jest obrócić w amory.

To powiedziawszy, spojrzął się powtórnie podkomorzy halicki na żonę; zważywszy zaś zapewne, że zadługo już rozmawiał z wojewodzina Jabłonowską, wycofał się z jéj towarzystwa i udał się do kółka mężczyzn, którzy jak wspomnieliśmy wyżej, przy drugim biesiadowali stole. W istocie żona podkomorzego Zuzanna, z domu Karczevska, jakkolwiek była dość urodziwą i niepoślednich zalet niewiastą, miała jedną śmieszłą wadę, to jest, że była zazdrosną o męża, który prócz téj okoliczności że był trzy lata młodszym od niéj, nie odznaczał się żadnym innym szczególnym przymiotem, mogącym usprawiedliwiać podobną obawę.

Tymczasem w gronie panów, rozprawiających obok drugiego stołu, wiódł rej Jan Jabłonowski, siedzący pomiędzy gospodarzem domu i starostą Czerkaskim. Przy każdym z gości stała szklanica z winem, zatem poczęstowano natychmiast Aleksandra Potockiego, skoro zajął miejsce w ich kole. Starosta Czerkaski zaglądał najczęściej do dzbana, i dolewał wina, kiedy inni żywe prowadzili dysputy, w różnych przedmiotach, dotyczących się spraw publicznych.

Jan Jabłonowski rozprawił dużo o ważności zbliżającej się wyprawy i jako utracił nadzieję w możność przymierza z Turcyą, na dowód czego przytaczał dawne przykłady z dziejów, które przekonywały jawnie, że bez poparcia mieczem sprawy, na nic się nie przydadzą wszelkie rokowania z wiarołomnym nieprzyjacielem, o czém tak prawił dalej:

— Nie jestto moje jeno zdanie, ale wielu mądrych i doświadczonych statystów, że ta Rzeczpospolita nasza póty nie zakwitnie w pokoju, póki nie będzie mieć bitnego i dobrze opatrzonego wojska. Znają wszyscy, a więc Turcy i Tatarzy wielką niemoc naszą: to też szydzą z nas widocznie i w pośmiewisko obracają wszystkie nasze imprezy. Niedawno traktowaliśmy o pokój z wrogami, których trzeba było pierwój pokonać mieczem, a więc urągają się dziś nad nami i ślą na zgubę naszą nowe niezliczone hordy. Takie to zawsze czeka nas fatum, jeżeli nie przemożemy ich siłą i krwią pohańców nie zacyfrujemy z nimi traktatów.

— Słuszna, wielce sprawiedliwa jest racya mości wojewodo!— podchwycił Antoni Stamirowski.—Bez należytej obrony a więc bez pieniędzy i bez wojska, niepokonamy nieprzyjaciela żadnym piśmiennym traktatem. Wiemy o tém wszyscy dobrze, naczytaliśmy się w nowych i dawnych historyach wiele o potrzebie utrzymania potężnej siły zbrojnej, ale nikt nie wymyślił jeszcze sposobu na to, jak utworzyć wojsko i zebrać pieniądze, bez porządnie opatrzonego skarbu. Wprawdzie mogliśmy na sejmie uchwalić pobory i niejednej zaradzić potrzebie Rzeczypospolitej, ale cóż począć, skoro sejmy nasze nie kończą się i rozchodzą marnie!

— Jakkolwiek nie jestem żaden polityk ani statysta—wtracił Jan Wielhorski—atoli słysząc waszmość panów dyskurujących w tak ważnej materji, ośmielam się tu przytoczyć zdanie, które słyszałem z ust wielce mądrego i ocytanego w statutach męża, że jako pryncypalną przyczyną naszego nierządu jest częste zrywanie sejmów, potrzeba przedewszystkiem postanowić porządek obrad, którego nikomu kłócić ani też zrywać nie ma być wolno. Nadto powiada on jeszcze, że niegodzi się wprawdzie kasować *liberum veto*, ale wypada ograniczyć w ten sposób, ażeby każdy poseł zgodnie postępował z instrukcją tej ziemi lub prowincyi, od której jest wysłany; zatém w tym jeno może zaprotestować wypadku, jeżeli dowiedzie, jako projektowana uchwała nie zgadza się wyraźnie z życzeniem i wolą braci, którzy go na sejm wysłali.

— Znamy tę receptę, mości podkomorzy, ale ztąd nie dość skuteczne dla Rzeczypospolitej lekarstwo. Zastaniali się jak dawniej tak i teraz posłowie ziemscy instrukcją, a żadnej ztąd nie doczekaliśmy się pociechy. Wiemy też jak na sejmikach piszą się instrukcyje jeżeli sejmik skończy się szczęśliwie, bo najczęściej zrywamy go pierwój nim przyjdzie do pisania instrukcyi—odrzekł Jan Jabłonowski.



— Statysta, o którym mówię, chcąc zapobiedz zrywaniom sejmików, proponuje aby nikt nie śmiał protestować przeciwko wszystkim postanowieniom, o ile zaś ktokolwiek zgadzać się nie będzie w jakiej materji, niech zapisze swój protest, który dołączony do instrukcyi przedstawiony będzie pod decyzję sejmu.

— Słyszałem o tém zdaniu mości podkomorzy, jestto wyraźny zamach na skasowanie głosu wolnego na sejmikach. Wątpię najmocniej, ażeby nasza szlachta zgodziła się łatwo na zostawienie tylko na papierze *liberum veto*, któreby żadnego na sejmiku nie miało znaczenia. Toć za najdroższy klejnot swój uważają panowie bracia, że każdy z nich może według woli dysponować losem sejmiku lub zerwać takowy, skoro rzecz nie układa się po jego myśli. Zaproponuj panie podkomorzy ten nowy sposób sejmikowania, zobaczymy jak się powiedzie ta impreza waszmości! Ale dajmy na to, że projekt tego statysty, tak co do sejmików jakoteż sejmów, zaakceptują stany i opiszą w konstytucjach, nie widzę przeto sposobu na to, aby przeszedł sejm niezawodnie. Jeżeli poseł zaślaniać się będzie instrukcją, którą mu bracia wydali na sejmiku, nie widzę dostatecznej przeszkody do zrywania sejmów, skoro dziś najczęściej w imieniu tychże instrukcyi tamują obrady.

— Owóż i na sejmach niema być wolno protestować przeciwko wszystkim postanowieniom, ale tylko przeciw uchwale niezgodnej z instrukcją; zatem sejm zerwany być nie powinien nigdy i nie może! —zawołał z rosnącym zapałem Jan Wielhorski.

— Mówisz waszmość że niepowinien być sejm zerwany nigdy.... na to zgadzam się zupełnie, boć Rzeczpospolita bez sejmu, jest jak człowiek bez głowy, ztąd też ten obumarły jej *status*. Ale nie widzę wcale, aby ten nowy sposób sejmowania był *practicabilis*, a to z tej mianowicie racyi, że głos wolny bez możności tamowania obrad jest przeciwną naszym zwyczajom inwencją, której boi się szlachta gorzej niż czart święconej wody.

— Aprobuję sentencją pana wojewody—rzekł Antoni Stamirowski, bo to nieograniczone *liberum veto*, jakkolwiek burzy i zrywa nasze sejmy, zrosło się już z duszą naszą, jak wszystkie stare nałogi i grzechy; nie przypuszczam też wcale, aby chcieli bracia nasi poprzestać na wolności kontradykowania, kiedy mają wszelką moc dysponowania losem sejmików i sejmów.

— A ja wnoszę waszmość panowie, że stokroćby lepiej było skasować zupełnie *liberum veto*, niż skazywać Rzeczpospolitą naszą na wieczny bezrząd i taką niemoc!—odpowiedział znów z wielkim zapałem Jan Wielhorski.

Jan Jabłonowski i Antoni Stamirowski spojrzeli z wyrazem podziwu, po chwili zaś ostatni odczwał się z uśmiechem:

— Trudna to sprawa, mości panie podkomorzy, skasować *liberum veto* i nie radzę waszmość panu, jako szczery przyjaciel i kolega odzywać się głośno z tą propozycją.

Zaledwie skończył Stamirowski, powstał Aleksander Potocki podkomorzy halicki, który w milczeniu dotąd przysłuchiwał się rozmowie, następnie zawołał donośnym głosem:

— Jako nie jestem żaden statysta ani orator, nie mieszałem się wcale do politycznego dyskursu waszność panów; ale skoro usłyszałem ostatni Imci pana podkomorzego włodzimirskiego argument, o skasowaniu głosu wolnego, muszę zaprotestować najsolenniej, bo kto milczy, zdaje się jakoby potwierdzać, a jużby też ostatnia czekała nas niewola, gdybyśmy tak szkodliwą aprobowali sentencją. Jako szlachcic w wolnej urodzony Rzeczypospolitej, protestuję najsolenniej, że wolę nieład z wolnością niż rząd samowładny, z którym jawna nastalaby niewola.

— A ja powtarzam raz jeszcze, że wolałbym u nas widzieć rząd samowładny, niż zupełną ruinę Rzeczypospolitej, a zatem i zagładę wszelkiej wolności!—odrzekł znów Jan Wielhorski.

— A ja mówię, nie troszcz się waszność tak bardzo o zdrowie Rzeczypospolitej, bo jako stoi od wieków, tak i nadal stać będzie: ten nieład jój nie obali.

Dyskusję gospodarza domu z gośćmi przerwał głos starosty Czerkaskiego, który zadrzemał zmorzony trunkiem oparłszy się rękami na stole, ale dręczony jakimś snem niespokojnym zerwał się nagle i zawołał—rękę przykładając do boku—gdzie jest moja karabela? dajcie, dajcie mi karabelę!

— Hola! co ci się przyśniło mości Stefanie?—zawołał Jan Jabłonowski, zanosząc się od śmiechu i chwytając za rękę przyjaciela, który rzucał obłądnym na oko wrokiem.

— Czy nie bierzesz nas za Tatarów, starosto, bo dopominasz się gwałtem broni, jakbyś chciał walczyć już z nami.

— A to ty, mości wojewodo?—rzekł przychodząc do przytomności starosta; poczem potarł czoło, jakby rozważał jeszcze sen przykry i usiłował rozróżnić prawdę od fałszu; kiedy zaś spojrział powtórnie na trzymającego go wojewodę i na otaczające grono, rzekł półgłosem, kładąc rękę na jego ramieniu:—Tyś mój przyjaciel, mości wojewodo i sami tu są przyjaciele?

— Tak jest, kochany Stefanku; zkądże ten przestrah i to porwanie się do karabeli, jakbyś się miał rozprawiać z wrogami?

— Żydy.... te przekłete żydy lwowskie, kochany wojewodo, ani na chwilę wycząć mi nie dają.... Czyż tu żaden z nich nie był teraz?... Zdało mi się że miałem ich przed oczami...

— Jakie żydy?... co ci się przyśniło mości starosto?.. Wszak nie jesteś we Lwowie, ale w szlacheckim przyjacielskim dworze, do którego żaden z tych przeklętych natrętów nie ma przystępu. Przypomniała ci się zapewne owa lwowska historia, kiedy w obawie Salomona i Jonasa nie śmiałeś na ulicę wychylić głowy i siedziałeś w domu jak zaklęty.

— Prawda, ten Jonasz przeklęty ciągle mi stoi przed oczami...

— Nie powtarzaj WMPanie Stefanie tój bredni! drżysz na wspomnienie żydów, jakby krew nie płynęła w tobie szlachecka. Zadużyłeś się bracie po uszy, to prawda, ale po szlachecku lichwę im płacisz za to...

— Niemam czém im zapłacić, a więc pokoju mi nie dają—zawołał urywanym głosem Stefan, opierając się coraz więcej na ramieniu Jabłonowskiego, który zauważywszy jako tenże nie może o własnych siłach utrzymać się na nogach, skinął na gospodarza, ażeby go wyprowadził na spoczynek do przyległego alkierza, sam zaś rzekł na pociechę i uspokojenie starosty:

— Bądź dobrej myśli starosto; przyjaciele dopomogą w potrzebie i wyciągną cię z tych kłopotów; a teraz wyśpij się i wypocznij bracie, jakoż zmorzony jesteś frasunkiem i trunkiem—rzekł z uśmiechem wojewoda wołyński; ale starosta Czerkaski nie słyszał już ostatnich wyrazów lub nie rozumiał ich znaczenia, bo nie nie odpowiedział, wysunął się chwiejącym krokiem do przyległego alkierza, oparty na ramieniu gospodarza domu.

Zaledwie Jan Wielhorski potrafił odprowadzić na spoczynek podchmielonego gościa, turkot kół na dziedzińcu oznajmił o przyjeździe nowych osób; jakoż nie zdążył jeszcze wybiedz na ich spotkanie, a już w drzwiach sieni ukazali się dwaj przybysze. Jeden z nich był wysokiego wzrostu, starzec prawie siedemdziesięcioletni, z siwym wąsem, z szramami na twarzy; drugi znacznie młodszy, dobrej tuszy mężczyzna, z surowym wyrazem oblicza.

## VII.

Wkrótce po przyjeździe dwóch ostatnich gości, w domu podkomorzego włodzińskiego zastawiono wieczerzę. Przyjął w nią udział i pan starosta Czerkaski, przedrzémawszy się godzinę w alkierzu. Starszy z nowoprzybyłych gości, był Stanisław Druszkiewicz kasztelan chełmski, drugi Prokop Jan Granowski starosta żytomirski, obadwaj znani z poprzedniego opowiadania. Kasztelan był smutny i mało mówiący, od kilku bowiem tygodni cierpiał na bóle w nodze, w skutku dawniej rany, która to słabość nie dozwalała mu przyjąć udziału w nastąpić mającej wyprawie. Stary wojownik pokochał całą duszą młodych towarzyszków broni, których uważał słusznie jak swych uczniów i spadkobierców imienia i sławy. Jan Wielhorski i Jan Jabłonowski szczególniej przypadli mu do serca; przejęci bowiem czcią dla szanownego starca, z największym zawsze uwielbieniem przysłuchiwali się jego opowiadaniom. Przyjechał kasztelan do domu swego młodego przyjaciela, w zamiarze pobłogosławienia mu przed wyprawą, w której sam, jak powiedzieliśmy wyżej, nie mógł brać udziału. Starosta żytomirski zjechał się przypadkiem z kasztelanem, a że dążył do Lwowa, wstąpił po drodze do Artasowskiego dworu; lecz widok kilku gości, szczególniej



Jabłonowskiego, niemile na nim sprawił wrażenie. Powitanie kasztelana było serdeczne, goście otoczyli go kołem i wypytywali się troskliwie o jego zdrowie; nikt zaś prócz gospodarza domu nie zbliżył się do starosty żytomirskiego. Granowski, jakkolwiek oddawna nie widział się z Jabłonowskim, wiedział dobrze, że jego intrygi i plotki doszły już do uszów tegoż, mianowicie konszachty z łowczym koronnym, któremu powtórzył wszystkie drażliwe z wojewodą rozmowy i pokazywał ostatnie listy. Ale Granowski nadrabiał jak mógł fantazją, nie zważał na zimne przyjęcie gości, pozdrawiał wszystkich mile, w czasie zaś wieczery zasiadł obok Aleksandra Potockiego, zachęcał do częstego spełniania kieliszków i starał się przyjacielską zawiązać rozmowę.

Jan Jabłonowski siedział przy stole obok kasztelana chełmskiego, który jako najstarszy wiekiem, pierwsze zajmował miejsce w gronie biesiadujących panów. Damy, aczkolwiek przy jednym siedziały stole, stanowiły świat oddzielny i nie mieszały się do męskiej rozmowy, która długo toczyła się niedbale, i ożywiła się dopiero pod koniec wieczery.

Kiedy gospodarz wniósł toast za pomyślność przyszłej wyprawy, a wszyscy wychylili do dna sążniste kielichy, Jabłonowski rzekł do kasztelana:

— Obawiam się mości kasztelanie o los naszój wyprawy, bo chociaż pan ojciec uspokaja wszelkiemi siłami koronne wojsko, nie mogąc doczekać się wypłaty zaległego żołdu, nie ręczę, czy wszyscy wodzowie okażą równy animusz w tój potrzebie; jakoż przed kilku dniami otrzymałem list JMPana Sapiehy wojewody wileńskiego, który pisze wyraźnie, jako w obecnej przykrój dlań konjunkturze obawia się narazić wiernemu dotąd wojsku, a przeto nieradby go wyprowadzać w pole.

— Jakto? JMPan hetman w. litewski waha się wywieść wojsko na posługę Rzeczypospolitój?

— Tak jest, niestety, jak wyrozumiałem z tego listu, JMPan hetman w. litewski, przewidując przyszłe domowe trwogi i burze, radby jak najmocniej otoczyć się wojskiem, g'woli zaś tój imprezie, gotów poświęcić honor Rzeczypospolitój.

— Biada nam, wielka biada, mości wojewodo, kiedy prywatny interes tak często górę bierze nad publicznem dobrem. Pamiętne mi są konszachty owe Michała Paca, który piekielną wiedziony inwidją, porzucił króla naszego w największej potrzebie i namówił do zdrady wojsko. Jak widzę, JMPan Sapieha idzie torem poprzednika swego i chce być drugim na Litwie Pacem?

— Odpisałem wojewodzie, że niech jako chce myśli o swém wojsku, my jednak nie damy się zjeść Tatarom dla miłego pokoju; lecz wezwawszy na pomoc świętych naszych Patronów, pójdziemy na spotkanie pohańców.

— Dzielnie odpisałeś, mości wojewodo; szczęść ci Boże za dobre słowo w tak ważnej i świętej sprawie!—zawołał wzruszony kasztelan chełmski.

— Tak odpisałem wojewodzie wileńskiemu, jako ni serce i sumienie nakazało; nie sądzę jednak, aby tenże chciał tak haniebnie zdradzać Rzeczpospolitą i nie połączył wojsk swoich z koronnym: zaden dotąd z Sapiehów nie okazał się tak niewdzięcznym ojczyzny synem...

— A ja wnoszę przeciwnie, że jest już JMPan wojewoda wileński niewdzięcznym synem, skoro gotów jest dobro publiczne poświęcić dla prywatnej sprawy; tak niegodziwa intryga stanie już za uczynek—zawołał z iskrzącym okiem milczący dotąd Wielhorski.

— Nie myślę tu stawać w obronie Sapiehy, boć i ja sam w części na niego napisałem ten dekret, przyznając, że reprezentowane w jego liście racye nie są godne senatora i hetmana; sądzę jednak, że nie będzie tak zatwardziały i szalony i pomimo słów tego listu, nie zapomni o swój powinności hetmańskiej i stawi się z wojskiem na posługę Rzeczypospolitej...

— Precz z Sapiehami!—zawołał starosta Czerkaski, wypróżniając do dna świeżo nalany kielich.

Wszystkich oczy zwróciły się w tój chwili na drugi koniec stołu, przy którym siedział Aleksander Potocki i Stefan starosta Czerkaski a pomiędzy nimi Prokop Jan Granowski. Pan Stefan podchmielił sobie powtórnie, sąsiedzi zaś jego zabawiali się poufną rozmową, wcale nie politycznej treści. Starosta żytomirski, który procesował się niedawno z panem Aleksandrem Potockim o opiekę nad małoletnim Karczewskim, pogodziwszy się za pośrednictwem Jabłonowskich i Sieniawskiego, oświadczał mu się teraz z sentymentami przyjaźni, zarazem tłumaczył się szeroko, jako niezasłużenie jest posądzony o intrygi i plotki, w sporze Jana Jabłonowskiego z rodziną panów Potockich, mianowicie z wojewodą krakowskim i łowczym koronnym.

Jabłonowski domyślił się przedmiotu poufnej rozmowy Granowskiego z Aleksandrem Potockim, kiedy więc za danym przez gospodarza znakiem powstali od stołu, zapytał podkomorzego halickiego, o czém rozmawiał tak żywo z sąsiadem, a utwierdziwszy się w rzetelności pomienionego domysłu, postanowił przeprowadzić ze starostą żytomirskim dysputę, więc zbliżył się do niego i poprosił na stronę.

Wojewoda rozgrzany ucztą i winem, nie mógł długo głębokiego tłumić żalu, więc przedsięwziął w krótkiej rozprawie wylać całą żołąć swoją. Kiedy stanął sam na sam ze starostą w alkierzu, rzekł prędko, ale dobitnym głosem:

— Przyznaj mości starosto, że nie ma niebezpieczniejszego stworzenia na świecie jak zły, fałszywy przyjaciel, który najwięcej łąsi się i liże w chwili, kiedy ma ukąsić?

— Wiem o tём mości wojewodo i Boże uchowaj każdego od tak fałszywego przyjaciela.

— Wiész o tём mości starosto, więc przyznasz pewnie, że nikczemnym jest człowiek, który *naszym* i *waszym* mianuje się przyjacielem, a tymczasem jednych i drugich jadowitym kąsa językiem, na to

swe łożąc staranie, ażeby z małej iskierki wielki roznieść pożar, powaśnić przyjaciół i pobudzić do jak najszaleńszej imprezy?

— Nie protestuję przeciw tym argumentom, ale nie rozumiem, mości wojewodo, ku czemu wiodą te pytania?

— Nie wiesz ku czemu? Oto ażebyś sam panie starosto napisał dekret na siebie i przyznał, że niegodziwym i wielce niebezpiecznym jesteś człowiekiem, skoro zdradzasz konfidencyjne rozmowy przyjaciół i ich listy...

— Ja mam być tym zdrajcą, mości wojewodo!... protestuję przeciw obrazie mego honoru, bo jeszcze nikt tak haniebnego nie uczynił mi zadania!—zawołał zaperzony Granowski, poczem chciał dalej jeszcze coś mówić, ale przerwał mu Jabłonowski zadając pytanie:

— Czyż nie waszmość powtórzyłeś łowczemu nasze konfidencyjne rozmowy we Lwowie, jakoteż pokazałeś mu list mój w Dźwini-grodzie?

— Tak jest, powtórzyłem nasze rozmowy i pokazałem listy łowczemu; nie idzie jednak za tém, ażebym zdradzał przyjaciół lub dopuścił się jakiegobądź fałszu...

— Więc chyba wypierasz się, mości starosto, dawnych swoich przyjaciół, wszystkich zaś chcesz uważać za wrogów?

— Owszem, zawsze i wszędzie postępkami memi chciałem dowieść, mości wojewodo, jako jestem najszczerzym przyjacielem waszego domu.

— Wyborna mi taka przyjaźń... Widzę że chcesz jeszcze drwić ze mnie, mości starosto!—zawołał z najwyższym uniesieniem Jabłonowski, mierząc rozgniewanym wzrokiem starostę, który z udanym spokojem odpowiedział w te słowa:

— Proszę o wysłuchanie mych racji mości wojewodo, bo chociaż oskarżony jestem, nim na mnie ostateczny zapadnie dekret, służy mi prawo obrony. Owóż przekonałem cię WMPanie wojewodo wkrótce, że co bądź powiedziałem lub zrobiłem w waszej sprawie, nie było to z krzywdą imienia i honoru. Wiecie, jako od niedawnego czasu urażeni na dom wasz panowie Potoccy, podbechtali JMPana Sieniawskiego i innych dawnych przyjaciół przeciwko JW. hetmanowi w. koronnemu, ojcu waszemu, a zatém i przeciw tobie mości wojewodo, zkąd powstały plotki i niesłychane kalumnie, których pełno w brzeżańskim nasłuchałem się dworze. Wyznaję, że przebywając często w kompanii panów Potockich i JMPana Sieniawskiego, nasłuchałem się wielu wymyślnych potwarzy, któremi ci panowie krzywdzili tak niesłusznie dom JW. hetmana, wielkiego senatora i dobrodzieja mego. Skoro podjąłem się w sprawie waszej medycacji, przekładałem różne propozycje zgody, ale pomiarkowawszy, że trudno ugłaskać dzikiego wilka i zmienić naturę jego grzeczności słowy, wzięłem się do innych ostrzejszych środków i reprezentowałem im sprawiedliwy gniew i oburzenie WMPana, na potwierdzenie zaś słów moich powtórzyłem rozmowy nasze we Lwowie, w końcu zaś pokazałem łowczemu list wasz ostatni, w którym grozicie



słusznie wrogom za obrazę imienia i honoru domu. Nie słyszałem o czém pan łowczy dyskurował z wami mości wojewodo, nie wiem więc z jaką odjechał ze Lwowa rezolucją; ale ręczyć mogę, że po onój konferencyi ze mną w Dźwinięrodzie, i po przeczytaniu tego listu, stracił znacznie fantazją i nie dąsał się na mnie, skoro zaproponowałem punkta ugody.

To powiedziawszy, starosta żytomirski patrzył się pilnie na wojewodę, który zwiesił głowę i zdawał się namyślać przez chwilę, poczem rzekł z uśmiechem:

— Zagadłeś mię mości starosto haniebnie. Daj mi dowód, że działasz Waszmość z nami uczciwie i szczerze a uwierzę jeszcze, jako jesteś naszym przyjacielem i przeproszę za zadanie, które uczyniłem przed chwilą.

— Tak jest, mości wojewodo, jestem zawsze przyjacielem i służą waszego domu... ale proszę, nie słuchajcie przewrotnych ludzkich bajek i potwarzy, bo jak jestem Granowski i stary szlachcic pieczętujący się herbem Leliwa, tak prawdę mówię, że uspokoję wasze kłótnie i wyswatam JMPana chorążego waszego brata....

— Zgoda WMPanie, ale pamiętaj o tém, że dajesz mi słowo szlacheckie, jako dotąd będziesz ostrożny w mowie z panami łowczym koronnym i koligatami jego, jako téż postarasz się o uspokojenie naszych kłótni.

— Żaden z Granowskich, mości wojewodo, nie złamał danego słowa, ja téż nie chcę splamić rodowego Leliwów klejnotu, który jako firmament niebieski reprezentowany jest przez księżyc i gwiazdy.

— Wierzę temu słowu i przepraszam za zarzut, który mimowolnie uczyniłem. Daję WMPanu rękę na znak naszego przymierza. Teraz zaś racz mi Waszmość powiedzieć, czy prawdą jest co mówią ludzie, jakoby JMPan Sieniawski przejął listy swój żony pisane do mnie, w materyi swatów wojewodzianki z bratem mym chorążym, za co miał niesłychaną zapalić się furią?

Starosta żytomirski trzymał jeszcze w swój dłoni rękę wojewody, więc rzekł cichym i tajemniczym głosem:

— Nie mam sekretu, mości wojewodo, którego bym nie powiedział WMPanu; więc wyznaję, że w istocie JMPan Sieniawski przejął takowe listy, bo jako traktuje mię zawsze *familiarissime*, tak téż zwierzył mi się niedawno z domowych kłopotów i pokazał one dokumenta przyjaźni, które już źli ludzie w grzeszną chcieli obrócić miłość....

— Pokazał wam wojewoda listy żony?.. cóż w nich pisała wojewodzina?—zapytał z niespokojnością Jabłonowski.

— Nie nie wyczytałem w tych listach, prócz zwyczajnych oświadczeń przyjaźni, a JMPan wojewoda bełski pełen jest jadowitej suspicyi, którą go nadęły niesforne i złe języki; ówóz w każdym błahém słowie widzi niebezpieczeństwo jawne, jakoby grożące honorowi jego domu i imienia.

— Wiem o tém, wmawiają już dawno w niego, jakobym chciał oczarować mu żonę, choć Bóg jest świadkiem, że nie mam żadnej ochoty do podobnej imprezy...

— Protestowałem téż najsolewniej przeciwko oskarżeniu temu, mości wojewodo, reprezentując JMPanu Sieniawkiemu jak niesprawiedliwe jest to zadanie, a to z dwóch pryncypalnych racyi: najprzód że macie młodą i wielce urodziwą żonę, powtóre że jakkolwiek wojewodzina beńska oświadcza się w listach z afektami przyjaźni dla was, nie ma na to żadnego dowodu, ażeby jakkolwiek była pokusa ze strony WMPana.

— Cóż na to odpowiedział wojewoda?

— Przekonałem go w końcu o niewinności Waszój, ale nie odwróciłem onęj naprzeciw żonie suspicyi, która tak mu zamąciła głowę, że wykątał Jejmość haniebnie i szalony gniewem wyjechał bez pożegnania z domu.

— Czy wojewoda przed wyprawą nie wróci już do domu?

— Nie myśli teraz o powrocie i uda się wprost do obozu; wstępował do mnie wczoraj i mówił w wielkiej pogrążony desperacyi, jako z okazji owych plotek i listów różne cierpi persekucye od ludzi, którzy naigrawają się z niego.

— Czy nie słyszałeś mości starosto, co o tém mówią panowie Lubomirscy?

— Owszem, słyszałem że JMPan podskarbi w. k. buntuje już brata JMPana marszałka, ażeby ujął się za honor córki, ale nie wiem doprawdy na kogo mają spaść te gromy?

W téj chwili przerwała się poufna rozmowa Jabłonowskiego z Granowskim, z powodu turkotu powozu, który zajechał po starego kasztelana; jakoż tenże osłabiony dotkliwem cierpieniem, nie mógł brać długo udziału w wieczornej biesiadzie, wymówił się od nalegań gospodarza i postanowił wrócić na noc do domu. Wojewoda wołyński i starosta żytomirski dowiedziawszy się o zamierzonym odjeździe Druszkiewiczza, wrócili do gościnnéj komnaty, aby pożegnać szanownego starca.

Jan Wielhorski, Jabłonowski, Stamirowski i Aleksander Potocki otoczyli kołem kasztelana i prosili go o błogosławieństwo przed oczekującą ich wyprawą. Skoro stary wojak podniósł w górę rękę, nastąpiła uroczysta cisza, którą przerwał wkrótce głos jego drżący:

„Błogosławię wam, bracia mili, w Imię Boga Wszechmogącego i świętych Jego aniołów, których On wam dał za stróżów, na odpędzenie wszelkich pokus i inwencyi dyabelskich... Błogosławię wam ja starzec zwątlony wiekiem i ranami, które odniosłem z łaski Pańskiej, w obronie świętej Jego wiary. Zaklinam, bracia mili, na pamięć owych sławnych potrzeb z pohańcami pod Zbarażem, Niemirowem, Chocimem, Trębowłą i Żurawnem, ażebyście jako nieustraszeni ojcowie, nie odstępowali nigdy chorągwi waszój, w otwartém bądź walcząc polu, bądź w oblężeniu, lecz abyście pomnożyli sławę onych wielkich ludzi rycerskimi, walecznymi czyny. Niech więc wam Bóg dopomoże, święci Patronowie i cały zastęp niebieskich duchów niech walczy i zwycięża z wami, na

chwałę imienia Pańskiego i świętej wiary a na wieczną zagładę pogaństwa! Tak wam życzę i błogosławię, jakobym grzeszne to ciało złożył już w grobie a patrzył z wyżyn niebieskich na was, bracia mili, boć jeno duchem teraz mogę łączyć się, walczyć i zwyciężać z wami...”

Ostatnie wyrazy wymawiał kasztelan cichym i wielce drżącym głosem, kiedy otaczający go młodzieńcy z pochyłą słuchali głową, z wyrazem uroczystej czci i miłości, malującej się na ich twarzach.

Gospodarz i wszyscy obecni wyprowadzili Stanisława Druszkiewiczza do oczekującego nań przed domem powozu. Po odjeździe kasztelana do późnej jeszcze nocy zabawiali się goście w Artasowie. Jan Jabłonowski przenocował w domu przyjaciela, w dniu zaś następnym powrócił z żoną do Lwowa, zkad wkrótce wyruszyć miał do obozu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Bulgarowie naddunajscy.

### III.

#### *Wpływy panowania tureckiego na narodowość Bulgarów.*

Dzieje plemienia bułgarskiego dają nam pouczającą wskazówkę, przy zapytaniu, w jakiejto warstwie, prawdziwego jądra narodowości szukać należy.

O losach południowej Słowiańszczyzny, jak nadmieniliśmy, rozstrzygnęła bitwa na polu Kosowem. W bitwie tej złamanemi zostały zgromadzone przez Lazara siły serbsko-bułgarskie, w połączeniu z innemi ludami chrześcijańskimi półwyspu illiryjskiego.

Po upadku królestwa serbskiego, państwo bułgarskie trwało jeszcze lat kilka w dwóch dzielnicach, nad któremi panowali dwaj bracia: Jan Stratymir na Widynie i brat jego młodszy, Szyszman, na Tyrnowie. Ale to dwudzielnicowe królestwo było raczej tylko tolerowaniem. Nadmienić przytém należy, iż Stratymir, olśniony złudną swoją samoistnością monarchiczną, postanowił poprzeć ją na drodze religijnej. W tym celu oddzielił on swoje państwo od patriarchytu narodowego (Tyrnowskiego) i uznał władzę patriarchytu konstantynopolitańskiego nad kościołem. Był to krok niesłychanie ważny w późniejszych następstwach swoich; naruszył bowiem jednolitość najważniejszego może czynnika narodowości Bułgarów w obec zwycięzców. Jakkolwiek, dodać należy, walka na tém polu (pomiędzy hegonomią religijną narodu z jednej, a Bizancjum z drugiej strony) toczyła się długo po upadku państwa bułgarskiego, prawie do ostatnich czasów.



Nacisk hellenizmu na stosunki religijne Bulgaryi, nacisk, w którym bezwątpienia nie obcemi były i państwowe zachcenia, w skutkach swoich prawie dorównał ciosom politycznym, powiemy śmiało: przewyższył je. Albowiem, cokolwiek mówią dziejopisarze o szlachetnym charakterze tureckich zdobywców, tak XIV jak XV wieku, Osmanowie byli ludem dzikim w porównaniu z Bulgarami i mechaniczna ich polityka, duchowi podbitych zagrażać nie mogła.

Tylko fanaryoci przytkoczyć mogli *wewnętrzne* tętna narodowości bulgarskiej: język ich i oświatę. Przyznać trzeba, że jak Turcy nie szczędzili miecza, tak oni nie szczędzili pomysłów w tym kierunku.

*Autodafe* w tym rodzaju, jak Kele-Kalesi (wieża czaszek) w roku 1809, dokonywana była przez fanaryotów od dawnych wieków na polu wewnętrznej narodowości tego ludu. Tak np. Neofitos, metropolita tyrnowski, rozkazał spalić najcenniejsze zabytki piśmiennictwa bulgarskiego, bo rękopisma zawierające dzieje narodu od czasów fińsko-bulgarskich aż do wieku XVI-go!

Rządy Stratymira trwały nie długo, gdyż w r. 1398 Widyn został zdobytym.

Jeszcze krócej siedział na swojej dzielnicy Szyszman, w roku bowiem 1393 Tyrnowo upadło, a następnie cała monarchia bulgarska.

Pomijamy dalsze, ogólne polityczne następstwa upadku Bulgaryi i energiczne wysiłki koalicji zachodniej. Ale co do wiekopomnego r. 1444, nie możemy zataić zdziwienia nad tém, że poważni nawet pisarze niemieccy, nie oceniają głównych działaczy historycznych; że najważniejsze postacie wymykają się im z przed oczu. Czyliż wypadałoby nawet przypominać, że w owej rozprawie krzyża z pół księżycem, Zachód był reprezentowanym nie tylko przez Węgrów, Burgundów, Czechów, Niemców i Francuzów, którzy się chełpili „że niebo samo gotowi są utrzymać swojemi włóczniami, gdyby się miało walić.” Kanitz, jeden z najnowszych i najstaranniejszych podróżników po Słowiańszczyźnie południowej, z którego nie jeden fakt zaczerpaliliśmy, nie wspomina o Władysławie Warneńczyku. Bajron, który w Turkach wyłączenie prawie nienawidził gnębicielei Greków, który, rzec można, żył i umarł dla wnuków Temistoklesa, Bajron nie skąpił strun lutni, dla uczczenia zasług Jana III pogromcy niewiernych. Ba, nawet ziomkowie Kanitza, piszący w końcu wieku XVII, sprawiedliwszymi byli, zapewne „jako bliżsi opowiadanych wypadków.” Tak np. Johann Hübner w swoich „krótkich kwestyach z historii politycznej” <sup>1)</sup>, z całą uczciwością staroświecką wypowiada to, o czém, wyjąwszy niektórych uczonych naszego wieku, wszystkim wiadomo; to jest: „że szlachetny król, zbyt daleko uniesiony zapałem bohaterskim, położył głowę, którą Turcy obnosili na włóczniach.” Ile zaś mógł zaważyć na szali „nie wspomniany” bohater, okazało się w cztery lata po bitwie warneńskiej. Hunniad w ro-

<sup>1)</sup> Johann Hübner, Kurze Fragen aus der politischen Historia 1700.

ku 1449 pobitym został przez Amurata II-go na tém samém polu Kosowém, o którém naśpiewano tyle łzawych pieśni. I tylko walka Turków ze Skanderbegiem opóźniła zdobycie Konstantynopola, w którém wspomniany wyżej dziejopisarz widzi pomstę losów nad Grecyą, obojętnie patrzącą na konanie państw chrześcijańskich wschodniej Europy.

Jakież było zachowanie się narodowości bulgarskiej po odebraniu ostatnich ciosów; po owém wyrocznem lecie 1453, w którém przy zgonie grodu Konstantyna zbiegły się fatalistycznie też same trzy imiona, jakie spotykamy w r. 300, przy jego inauguracji: i tu i tam imię cesarza: Konstantyn; imię matki jego: Helena; imię jego patriarchy: Gregoriusz? Jakie elementa poddali Bulgarowie pod jarzmo, jakie zaś powierzyli na przechowanie téj arce, unoszącej się nad potopem, którą zwiemy tradycyą?

*Zwycięzca* zwrócił się przedewszystkiém do ziarna narodowości podbitéj, do religii chrześcijańskiej. Wiara i plemienność w pojęciu Turka są to dwa równoważne czynniki idei jednéj i nierozdzielnej. Zaprzeczcie Islam, zaprzeczcie tém samém istotowość mużulmanina. Jestto prawda, którój udają, że nie widzą, optymiści, deklamujący o bliskim zeuropeizowaniu się Turcyi.

Wyszukiwanie w dogmatach koranu dodatniej i jasnej rubryki na tolerancyą, jest sofizmatem, przeciw któremu ogólny duch jego protestuje. Najwymowniej zaświadczą fakta. W okolicy Bielogradczyku, najpiękniejszej w świecie miejscowości, znajduje się kościółek chrześcijański; lecz zaledwie z wystającej nad nim dzwonnicy domyśliłby się go można, tak dalece jest on zastłonięty murami twierdzy. Zaś dźwięk dzwonu (jak niedawno w samym Widdynie i innych miejscach, gdzie siedziby chrześcian pomieszane są z mużulmańskimi) jest tu nieznanym. Podług mniemania Turków, w dźwiękach dzwonu, ukrytém jest takie hasło: „zestąpcie Turcy, abyśmy my, chrześcianie wstąpić mogli.“ A więc na odczarowanie Turcy dodają „tu dzwon nie bije, tu słyhać tylko głos hadży“ (wzywającego na modlitwę).

Posiadacze ziemi, postawieni pod naciskiem alternatywy, albo przyjęcia islamu, albo zejścia do rządu „bezbrotnej trzody“ nie zawahali się! Nadzwyczaj mała, bo ledwie 25 część ogólnój całości plemienia bulgarskiego, należąca dziś do wyznania mahometańskiego, pokazuje, że tylko wyższe warstwy uległy pod naciskiem. Duch tedy słowiański, w najidealniejszej istocie swojej—w religii, ześrodkował się w łonie ludu i przetrwał pięć wieków, ugrupowawszy pod skrzydłem swoim wszystkie żywioły plemienne.

Powiedzieliśmy, że główném źródłem ocalenia narodowości bulgarskiej była i jest zasadowa różnica ducha jednéj i drugiejj społeczności. Ta gatunkowa różnica cywilizacji spowodowała, iż pomiędzy Turkiem-azyjaninem w krańcowém znaczeniu wyrazu, a Bulgarem Słowianinem, skoroprad dziejowy naparł jednę narodowość na drugą, nastąpić mogło jedynie tylko zetknięcie się mechaniczne. Co było duchowém, to ocalało. Nie będziemy tu dowodzili, aby na typie plemiennym

Bulgarów, nie osiadły pewne barwy, zdradzające pięciowiekowe panowanie. Znane są czytelnikowi owe jaskrawe cechy, jakimi powieść lub opis, maluje to plemię. Bulgarowie przyjęli nie jedną formę pokazującą człowieka na zewnątrz; zarazili się zacięciami konfortu wschodniego. Lubią przepychy i zemstę, złoto, srebro i namiętność. W ich pieśniach i powieściach od początku do strzału śmiertelnego jeden krok tylko. Dziwne plemię! płód liryczny, za którego zdziwienie, losy winne będą odpowiedzialność!

— Powiedz mi Todorko—zapytuje zakochany bez wzajemności Cank, nabijając strzelbę—jeśli już mię nie chcesz kochać, powiedz przynajmniej, dlaczegoś mówiła: „nie pójdę ja za Canka, pójdę za Stojana?” Powiedz, bo cię zabije.

— Canku—mówi Todorka, błagając o litość—nie słuchaj tego, co gwarzą ludzie.

Canku wciąż idzie za nią.

— Canku! mówiłam, mówiłam, że ja nie jestem dla ciebie: ty masz koszulę lnianą, lnianą i jedwabną; ja mam koszulę z *czergu* (z grubej wełny); ty masz ubranie z sukna, ja sukmanę z sierci koźlęj; ty masz *kołpak* z kuny, ja chustę płócienną.

— Todorko—odpowiedział—wszystko będziesz miała, czego tylko zapragniesz <sup>1)</sup>“

Słabość do świecidełek, przyczepianie złotych monet do warkocz (pletnica) i do szynionu (kosatnik), spadającego aż do kostek, złote lub srebrne naręczniki (grywni) i tysiączne cechy, przypominające gust cyganów, są to prawdopodobnie nabytki, przejęte od zwycięzców. Dodać musimy z żalem, że zakradły się tu i głębsze znamiona, jakkolwiek dotknęły one warstwy narodu, narażone na bliższe stosunki z plemieniem panującym. Tego rodzaju nabytkami są: zmienność w uczuciach, podejrzliwość, oskarżanie się wzajemne, i do całej wykintności doprowadzone przekleństwo, najpotworniejsza antyteza miłości; jeśli, dodajmy nawiasowo, nie będzie to raczej owym fatalizmem krwi południowej, pod której paleniem miłość przetwarza się szybko w nienawiść i zemstę.

„Czy ty pamiętasz, Paneczko, mówi Bulgar <sup>2)</sup>, jak napełniając wspólnie koszyk owocami, powiedzieliśmy sobie, że kto z nas wiary nie

<sup>1)</sup> Jedna z pieśni miłosnych Dozon, ob. Błgarski narodni pieśni. Paryż 1875, pieśń 47, której początek:

„Todorka woda naliwa,  
Canio si puszka nabiwa  
I na Todorka dumasz:“  
(Todorka wodę nabiera,  
Cank strzelbę nabija  
I do Todorki mówi):

<sup>2)</sup> Błgarski pieśni p. 106. W przekleństwie bułgarskiem, niżej przytoczonym, przypominają się słowa nowogreckiego złorzeczenia: „bodajbys tak zmalal, jak mój palec.”



dotrzyma, niech leży przez dziewięć lat, niech zgnoi dziewięć łożek potem swoim, dziewięć łożek i nakrywek, niech po drabinie włazi do garnka i tam mu jeszcze będzie przestrono.“

Mówiąc o częściowym wpływie tureckim na narodowość bułgarską, nie możemy pominąć i mowy, o czém poprzednio już nadmieniliśmy. Zapytanie o wpływie jednego języka na drugi stanowi nadzwyczaj ważną stronę filologii genetycznej. Jakie zachodzą w tym procesie zjawiska i przetwory, widzimy na językach romańskich. Przy wytwarzaniu się ich np. w imionach, pewne formy (przypadki) zniерuіuіoіano; i tak język włoski wybrał sobie przypadek 1-szy, hiszpański, przypadek 4-ty i t. p. i tym sposobem powstała masa pojęć niejako skrzystalizowanych, ruch formowy zupełnie ustał. W bułgarskim zniерuіuіoіanie tak daleko nie zaszło, język w ogóle ocalał formę, ale wpływ np. przyimka na imię upadł, i tak „nad wodą,“ mówi się tam: nad woda; „w jeden koszyk“ w jedna koszniczka <sup>1)</sup>).

O innych przełomach mówiliśmy już poprzednio. Niektóre z nich rzeczywiście tłumaczyć trzeba wolnym, ale długim wpływem tureckim. Na szczęście szczelność organiczna, właściwa każdemu z języków słowiańskich, nie dozwoliła téj kropli turańskiej wydrążyć szczerbę w kamieniu.

Nierównie ważniejszym był wpływ *wyrazowy*. Nowe nie europejskie pojęcia, napływające na grunt Bułgarii, osadzały się tu niekiedy na długo, a pewna ich część dotąd pozostała.

Wszystkie prawie wyrazy, zaczynające się od dż, są tureckie, jako to: *dżamnia* (meczet, po turecku: dżami), samo pojęcie jest tu nie bułgarskie; *dżeraw* (cyrulik), zdaje się zepsutym greckim.

Odwieczne sąsiedowanie z Grekami pozostawiło także ślady w języku. Pieśni ludowe i podania, niekiedy dosłownie prawie powtarzające się u Bułgarów i Greków, są jednym z wielu dowodów mieszania się kultury bułgarskiej z helleńską. I jest do przypuszczenia, że przez Grecyą, a raczej zamierzony jeszcze przez Aleksandra W. amalgam kultury helleńskiej ze wschodnią, napłynęły do Słowiańszczyzny dunajskiej, owe rysy wedaiczne w pieśniach Rodopu, które tyle dały do myślenia naszym etnologom.

Niniejszą, może zbyt długą wycieczkę do kwestyi mowoznawczych, musimy jeszcze rozszerzyć tą uwagą, iż język bułgarski, przy różnicy fonetycznej, bardzo wielu formami już nie tylko zbliża się, ale nawet

<sup>1)</sup> Podobny zupełnie rozkład a raczej bezład przy wytwarzaniu się nowego języka z gruzów starego, widzimy w pieśni żołnierskiej o uwięzionym cesarzu Ludwiku II-im. Ta pieśń ułożoną była w 871 r., w języku łacińskim, podobnie zniерuіuіoіania imiona.

„Słuchajcie, mówi pieśń, jaka zbrodnia była spełniona *Benevento civitas* („miasto Benowento“ zamiast „w mieście Bonowonio“).

„Przysięgamy *ad sanctae reliquie* „przy święto szczątki“ zamiast: *ad sanctas* „przy świętych szczątkach.“

utożsamia z naszym. Formy bułgarskie np. „umiram, umirasz, umira; leżysz, leży,“ piąty przypadek żeński np. „angieliko, sestro“ i nieosobiste wyrażenie „niema;“ zaimkowe formy pierwotne: mi, ti, mu, mie, sie (t. j. mnie, tobie i t. d.), nie sążto formy czysto polskie? Owszem są tam pewne kształty, rzucające światło i na genezę naszych wyrazów; tak np. jak my obok wyrazu *człowiek* mamy pierwotniejszą jego formę, „człek,“ tak i Bułgarowie mają formę: *czulek, czowiek i czlak*. Dodajmy wreszcie i ten rys ważny, że pomiędzy językiem bułgarskim i naszym, obok bliskości form, zachodzi jeszcze ciągłość logiczna, t. j. że wiele wyrazów, w jednym i drugim języku, acz odmienne napozór co do znaczenia gatunkowego, jednak zatrzymują wspólność idei rodzajowej. Tak np. chociaż słowo „dumać“ wyraża w bułgarskim to co nasze „mówić“ pomimo różnicy gatunkowej, oba jednak leżą na skali wspólnego pojęcia. Wyraz bułgarski „godzina“ oznacza „rok;“ tu znów też sama skala pojęcia *czasu* i t. p.

Widzimy tedy, iż język bułgarski w organicznym swoim układzie wcale nie wyrodził się od natury słowiańskiej, a żywioty naleciałe z zewnątrz, zachowują się w nim jako ciało obce. Jego uderzające podobieństwo, powiedzmy raczej jego współrodnosc z narzeczem, tak dalekiego od Bułgarów plemienia, pokazują to najwydatniej. A wszakże mowa jest najwymowniejszym dowodem samowiedzy narodu o sobie samym. Pieśni i podania wskazują nam dosadnie, że to jest indywidualność o zdrowych sokach i godna istnienia.

Zarzucają Bułgarom, że nakształt rośliny wyrzuconej z ogrodu, zdziczeły i popadli w gruby materyalizm. Zarzut ten jest jednostronnym. Zgrubiały formy towarzyskie, to prawda; ale po głębszém wstuchaniu się, dosłyszmy tam ów metaliczny dźwięk idealności, który cechuje Słowian. Bułgar jest idealistycznym w religii. Dziczając pod nieustanném hasłem trwogi, nie dopuścił on jednak skażenia do pojęć o życiu przyszłym. Świat zagrobowy stanowi dla jego duszy ostatnią instancję, która sprowadzić ma pojednanie, równowagę i dopełnienie w przeznaczeniach ludzi. „Pójdziemy, mówi obrazony, pójdziemy do władzyki (biskupa), on nas rozsądzi; a jeśli on nas nie rozsądzi, odłożymy sprawę do tamtego świata. Tam wymierzą nam sprawiedliwość.”

Podnieść oko na muzulmankę, zakochać się w niewiernej, uważa się u ludu za zbrodnię moralną. Matki synom, siostry braciom nakazują pod kłatwą omijać haremy.

Tak więc samo wędzidło nałożone ręką zwycięzcy, mimo wiedzy i woli ocalało narodowość Bułgarów. Jak krew wśród omdlenia zbiega z oblicza i kryje się wewnątrz, tak i ona ześrodkowała się na dnie życia ludu.

Wrażenia nieskalaności typu ludowego Bułgarów, nie są tak przystępnymi dla podróżników zachodnich, którym rząd Wysokiej Porty zwykł wkładać na oczy szkiełka tak zwanęj „reformy“. Ale oko współsłowianina umie tu czytać do głębi, i jasnym jest dla niego, że dwa tak sprzeczne światy jak słowiański i turański, mogą wiekować

jeden obok drugiego z taką odłącznością, jak pewne pierwiastki w atmosferze, nigdy nie stykające się z sobą.

Kiedyś owe stłumione, kielkujące pod ziemią zadatki wyższej narodowości, nauki i sztuki, zakwitną i ukształtują się w formy klasyczne. O tém wątpić nie należy. Bulgarowie z wolna dochodzą do organów narodowych, jakkolwiek są to jeszcze błędne ogniki, wydobywające się z pod ziemi i znowu gasnące. Z pomiędzy pism czasowych na szczególną uwagę zasługują: „Makedonia” i „Prawo”. Wydawane przez Rakowskiego pismo „Przyszłość” (Budusznost), ze śmiercią wydawcy przestało wychodzić. Ważnym jest wydawnictwo Towarzystwa naukowego brailskiego. Główną dźwignią przebudzeniu się wyższej kultury w narodzie bułgarskim, kieruje stronnictwo „Nowej Bulgarii.”

W Konstantynopolu wychodzi przegląd p. n. „Czytaliszcie”. Pismo to ze szczególną gorliwością zgromadza żywioły umysłowej narodowości Bułgarów. W jednym z jego numerów zamieszczona jest pieśń na cześć bóstwa *jognie* (ognia). „Jognie boże, oto my, dziewięcioro dziewcząt, przyszliśmy do boru z czarnymi indykami, tobie na obiatę. Mamy je upiec i spożyć, lecz ognia nie mamy. Prosimy więc ciebie, błagamy, wykrzesz (da wysieknie) mocny płomień, aby się zapaliło słońce, oświeciło ziemię i lasy, aby wybuchnął ogień, i my mogliśmy upiec i spożyć czarne indyki, a ciężką zimę wypędziły.”

#### IV. Niedola i komfort.

Wśród budzących się popędów ludności bułgarskiej do pełniejszego życia, tém boleśniej razi widok niedoli, jaka zawisła nad ich ziemią od wieków; tém natrętniej nawija się zapytanie, w jakiejże sferze przychodząca do samowiedzy społeczność, wynurzać może protest przeciw tysiącnym policzkowaniom? Wspaniałą odpowiedzią na to zapytanie daje naród bułgarski swoim zachowaniem się.

Postawa jest także wyrazem. Zachód, który niedawno jeszcze wytwarzał sobie pojęcia o Słowianach w formie legend, i mowę bułgarską uważał w świętej prostocie za odnogę mowy rzymskiej, zostaje dotąd w złudzeniu co do istotnego znaczenia postawy Bułgarów. Nie prostując jego złudzeń, stawiamy sam fakt. Bułgarowi tedy dojrzewiającemu, uspołecznionemu od wieków, pozostaje jedyny czynnik do użycia, w swoim położeniu: *vis inertiae*. Jestto bierna siła fizyczna, której w porządku moralnym odpowiada milczenie i wytrwałość. Znosząc obelgi osobiście, znosząc dokonywaną na Bułgarze zniewagę idei człowieka i chrześcianina, jak, karę oczyszczenia, zesłaną z dopuszczenia Bożego, Bułgar tym sposobem fatalizmowi koranu przeciwstawia opatrzny fatalizm sprawiedliwości historycznej, prowadzącej do światła przez ciemność. Praktycznym wykładnikiem stosunku Turka do Bułgara, jest baczność i oględność. Stwierdzimy to przykładem: Ukazanie się Turka wśród głębiej położonych miejscowości bułgarskich (to jest opodal od miast i beklemów (blokhauzów), wzbudza trwogę paniczną.



Jeżeli zaś i Europejczyk ukaże się tam z orszakiem satellitów, opatrzoną *bujurdem* t. j. urzędową kartą, polecającą go *laskawej opiece* zaptów i urzędników, wtedy i on widzi siebie niestety współsprawcą popłochu. Jeżeli przyjdzie mu myśl zajrzenia do domu Bulgara, naraz wszystko ucieka, krzyżąc z przerażeniem: „niema, niema, niema nic!” Do tego stopnia biedny nasz współplemiennik jest przekonany, że wszystko co nie jest Bulgarem, wpada do jego chaty jedynie dla rabunku.

— Ależ—szepnie mu z boku dragoman—ten podróżny jest chrześcianinem.

Z niedowierzaniem Bulgar spogląda na przychodnia; wreszcie na wespół ośmielony głosem instynktu religijnego, odzywa się:

— Jeżeli to prawda że jesteście chrześcianinem, tedy powiedzcie mi skład apostołski.

— Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego...

— Ach! mój dobry panie—przemawia Bulgar z otuchą—tak, tak, jesteście chrześcianinem, bratem naszym.

I wydaliwszy się na chwilę, wraca z sowitym częstunkiem, na jaki tylko dom jego zdobyć się może.

Jeżeli wśród ogniska domowego Turek nie jest pożądanym gościem, jakież musi być wrażenie Bulgara, jeżeli spotyka go w miejscu urzędowania; jeżeli ucisk przechodzący wszelką granicę, zmusza go do wstąpienia na progi konaku lub zarządu miasta? Tamto dopiero ogarnia go owe straszliwe uczucie nicości w obec silniejszych, którym przenikną jest cała atmosfera świata wschodniego. Wspomniany wyżej autor powiada, iż podczas swojej rozmowy z Osmanem Bejem, w której były pasza <sup>1)</sup> przechwalał się ulepszeniem bytu chrześcian, ujrzał w progu drzwi kłęczącego Bulgara. Była to niewątpliwie ofiara szalonego ze strony zaptów lub Albańczyków bezprawia, jakie w Bułgarii jest rzeczą najzwyczajniejszą. Osman-Bej zwrócił się ku niemu:

— Czego chcesz odemnie?

Kłęczący wykładał mu treść sprawy.

— Psie—zawołał rządca kopiąc go—czyliż sądzisz, że ja mam czas słuchać twojego skomlenia?

Europejczyk zapytał Osmana-Beja, czyli podobnego postępowania nie uważa za zbyt srogie.

— A za kogożto bierzesz tego interesanta dostojny panie?—zapytał rządca—jest to sobie chrześcianin i nic więcej.

Teraz my zapytujemy, co począł dalej ów jeden z miliona podobnych sobie czołobitników? pokrzywdzony, może znaglony do płacenia po raz drugi lub trzeci, już dawno zapłaconego podatku, a może ojciec,

1) Osman Bej za nadużycia głównie wymierzone przeciwko chrześcianom, został pozbawiony godności baszy i przeznaczonym na rządcę miasta. Rząd Wysokiej Porty wyraźnie zmianę osoby i zmianę systematu bierze za jedno; powiedzmy raczej: sądzi on, że Europa podziela z nim ten pogląd.

któremu gwałtem porwano córkę? Oto wstał z pokorą niewolnika i odszedł w milczeniu. Nieszczęśliwy, czyliż nie wygrał on sprawy, skoro uszedł cały z przybytku sprawiedliwości; on który był sobie tylko chrześcianinem, nie więćój?

Podobnież Izmet-Pasza, kiedy przyjmując podróżników francuzkich, począł rozwodzić się nad reformatorską doniosłością Hatti-Gulhanu <sup>1)</sup> pod względem stosunku prawnego chrześcian, zdarzyło się, iż u progu drzwi ukazał się proszący o sprawiedliwość Bulgar. I ten przedstawiał swoją sprawę, klęcząc. Goście z Zachodu i tym razem okazali zdziwienie. Zdziwienie to wzmogło się, skoro na prośbę Bulgara Izmet-Pasza odpowiedział surowém łajaniem i tym sposobem przyprowadził błagającego do roli normalnej, to jest do milczenia i odejścia.

— Zapewne—zapytano pół-ironicznie—prośby chrześcian wypowiadają się w postawie klęczącej *na mocy* Hatti-Gulhanu?

Uśmiechnął się Basza i odrzekł: „Každy kraj ma swoje zwyczaje.”

Był to prawdziwy uśmiech wróżbiarza, patrzącego się w oczy wróżbiarzowi.

Izmet-Pasza miał słuszość: i Turcyja ma swoje zwyczaje. Pomiedzy innymi ma ona ten zwyczaj, że prawo ogłoszone nie ma żadnej wagi praktycznej. Powszechne zdanie ludzi stanu przyznaje niektórym z sułtanów najlepsze chęci. Pytanie, o co rozbijają się te chęci? w teoryi rozbijają się one o ogólnego ducha plemienia tureckiego, w praktyce zaś o tylekroć wspomnianą *magią* milczenia, jaką wykonawcy woli zwierzchniej zdołali ogłuszyć rajasów.

Zaprawdę dziwaczném byłoby wymagać od Bulgarów podnoszenia głosu w swojej niedoli, skoro nawet greccy dostojnicy kościoła na podobną odwagę zdobyć się nie umieją. A wiadomo przecież, że od czasów upadku Konstantynopola, onito właśnie byli pośredniem ogniwem pomiedzy zwycięzcami a ludem ujarzmionym. Oto jeden z tysięcy faktów:

Podczas bytności p. Blanqui w Sofii przybył z powitaniem gościa arcybiskup sofijski. Był to Grek, pochodzący z wysp Archipelagu, pełny rozumu i nauki. Towarzyszył dostojnikowi Armeńczyk, *mąż zaufania* Osmana, nadzwyczaj przenikliwy, który był nieodstępnyim świadkiem rozmowy. Arcybiskup, podczas drugiej, poufnej rozmowy, wyraził się o nim nader charakterystycznie: „ten Armeńczyk służy mi za przewodnika od piorunu.” Ale p. Blanqui nie potrzebował komentarza; domyślił się on z góry, że właściwe postannictwo tej trzeciej osoby złożone było wyłącznie w jej uszy. Nie żałował też wymowy dostojny członek Instytutu Francyi. Wyrzucał nadużycia i zdzierstwo, popełniane na chrześcianach, napomykał wcale nie dwuznacznie o in-

<sup>1)</sup> Hatti-Szeryf, wydany d. 2 listopada 1839 r., i od kiosku, w którym był ogłoszonym i zaprzysiężony, zwany: Hatti Gulhana, zapewnia rozległe ulepszenia i reformy podatków, oraz równouprawnienie chrześcian.

terwencyi mocarstw chrześcijańskich i t. p. Ale całą apostrofę swoje zwrócił nie do kapłana, lecz do Armeńczyka. Człowiek zaufania był tedy prawdziwym przewodnikiem, na którego spływała cała massa elektryczności krasomówskiej. Uśmiechał się z początku, a później na piękne zaczął wtorować gościowi; arcybiskup w ciągu głównej sceny zachował wymowne milczenie, albo odzywał się zdaniami Pisma, które tym razem nie wiele więcej ważyły, niż samo milczenie.

Jakże serdecznie zdumiał się nasz autor, ujrawszy wchodzącego do jego rezydencji prywatnej (w domu bułgarskim) arcybiskupa. Przeznorzy pasterz cichaczem, w porze nocnej, przemknawszy się ogrodami, urządził odwiedzin, bez gromochronu i tym razem sownie odpłacił sobie za dzienną rezerwę. Wynurzył on z głębi serca wszystkie cierpienia i gwałty jakie ponosi kościół chrześcijański w Bułgarii; nadmienić bowiem wypada, iż na gruncie *religijnym* Grecy szczerze sympatyzują ze Słowianami państwa tureckiego.

Tak więc na drodze faktów ciągle krążymy około téj głównej myśli, że Bułgarowie w obec ucisku, którego doznali i doznają od wieków, zachowują smutną, ale nakazującą postawę: biernego oporu, utajonego, ale tém groźniejszego protestu, że tradycyjny duch słowiańskości i chrystyanizmu nie gaśnie, lecz uwewnętrznia się. Z poważną, dającą do myślenia rezygnacją, spoglądają oni z pod oka na szaloną nierównowagę położenia swojego i zwycięzców, chwilami tylko zrywają się na zbyt wysuwane szpony i znowu wracają do godnej podziwu spokojności. Niewtajemniczeni w metafizykę dyplomatyczną, zdrowym rozumem dostrzegają oni całą nicość tych wszystkich półśrodków i frazeologii, które sprowadziły wielki urodzaj na kolumny gazet, ale nie zrobiły dla Bułgarów, i które jeden z najrozumniejszych dyplomatów, obecnych ogłoszeniu Hatty-Szeryfu Gulhana, nazwał dosadnym imieniem *coup de théâtre*.

Niebrakło gwałtów i za czasów kalifatu. I tam zbyt uczynna wymowność wprowadzała człowieka w takie położenie, w którym jak mówi humorysta rossyjski i „w najobszerniejszym mieście, jakim jest Bagdad, robi się ciasno.” Ale czyż się godzi wprowadzać tu do porównania świat arabski, który nasyciwszy dumę zaborczą, zwrócił się później z takim zapalem do zdobyczy naukowych, który w haraczu składać sobie kazał rękopisma uczonych poetów; który, śmiało powiedziéć można, rzucił most pomiędzy światem starożytnym a nowożytnym.

Sismondi (literatura Europy południowej) w zagajeniu rozprawy o „literaturze arabskiej i jéj wpływie na literaturę europejską” prawie do łez się wzrusza nad zwaliskami téj olbrzymiej potęgi naukowej, do jakiej Arun-al-Raszyd i Almamun podnieśli byli umysłowość i oświatę; ale trudno przypuścić, aby dziś znalazł się Maryusz, płaczący nad gruzami *tego* gmachu, który rysami swojemi równie niepokoi Europę, jak kiedyś niepokoił ją przewagą.



Bulgaryą jak w ogóle kraje wszystkie, pod panowaniem Turcyi zostające, ze względu na barbarzyński rozdział dobrobytu, nazwano olbrzymią grzędą hojnie zasiloną od natury, ale przeznaczoną na monopol nielicznej wegetacyi, wysysającej wszystkie jęj soki żywotne. Baszów, mudżyrów i innych dostojnych członków rządu sułtana, sprawiedliwie porównano do ananasów, g'woli których wszystko dokoła wypielonóm być musi. Z oburzającą ludzkością wyłącznością spijają oni słodczye życia lukkulowskiego z krwi i trudu chrześcian paszalicu, zezwalając wspaniałomyślnie na pełzanie, w nędzy i pohańbieniu, rassic potępionych. Posępne przeciwieństwo pensa londyńskiego obok wielmożnego miliona funtów sterlingów, jest zjawiskiem wypadkowym, jest skutkiem skrzywienia się pewnych kółek w machinie stosunków ekonomicznych; ale zbytek paszy, obok nędzy rajasa, fantastycznej piękności pałac jego, obok już nie chaty, ale nory Bulgarczyka, stało się jakoby normą, naturalnym porządkiem rzeczy, opartym na pojęciu: wybranego i potępionego; ofiarnika i ofiary. Ależ przyjęcie i uprawomocnienie takiej normy za prawdę, nietylko Turka zawstydzaczy powinno.... Hussein-Basza, zapewne nie należący jeszcze do rzędu najzjadliwszych giurożerców, podług wyznania nadwornego lekarza, posiadał półtora miliona franków rocznego dochodu; która to summa z uwagi na ówczesny stosunek pieniądza do produkcyi (przed trzydziestu laty) dziś reprezentuje w przybliżeniu milion rubli! Przytóm Hussein posiadał w Tracyi rozplodną stadninę przeszło 300 koni, ogromne stada w Bulgaryi, prowadził na olbrzymią stopę handel, posiadał niezmierne kapitały na bankach europejskich.

Źródłem takich olbrzymich wpływów nie była zapewne cynicka wstrzemięźliwość. Podróżujący, którzy mieli zaszczyt być przyjętymi w jego rezydencyi widyńskiej, nie żalę się na brak doznanej szczodrobliwości w podejmowaniu gościa. Ani Francuz w swojej ojczyźnie nie zakosztował tak wyborowego Bordo, ani Wiedeńczyk tak subtelnie wyrobionęj kaszy, jak u dostojnego wezyra.

„Państwo, to ja” powiedział wielki król. „Sytość narodu, to sytość moja” powiedziałby każdy padyszach w miniaturze. I na tymto gruncie najwydatnięj narysowuje się wyrocza antyteza świata wschodniego do europejskiego, jest to najmateryalniejsze ubóstwienie dobrobytu, przesadzenie istoty człowieka z głowy i ducha, do krwi i żołądka. Pustkowie i skrajna zubożatość cechująca niższe warstwy ludności w wiekach średnich, jest tu dotąd na porządku dziennym. „Kąsek chleba kukurydzowego, gorzki i zecerstwiałty i parę jajek na twardo, podróżny uważać może za szczęśliwą zdobycz.” „Wy Francuzi, mówi wychodzący z nory gospodarz, macie chleb piękniejszy i smaczniejszy, to prawda; ale za to mniej go jecie; nasz, nędzny i gorzki, ale my zjadamy go więcej. Czyż to nie wychodzi na jedno <sup>1)</sup>.”

<sup>1)</sup> Blanqui: Voy. en Turquie.

Cóż powiedzieć na tak oryginalne zrównoważenie jakości przez ilość!

Wspomnijmyż z drugiej strony, że Bułgaria jest jedną z najpiękniejszych krain Europy pod względem obfitości ziemi, cudności krajobrazów, ustosunkowania góry do płaszczyzny, dostatności wody i lasów; i pomyślmy, czém staćby się mogła ta siedziba przyparta do Bałkanu, pod urokiem słońca przegładającego się w legendowych toniach Dunaju <sup>1)</sup> i jego rodziny; czémby być mogło to plemię, które do téj chwili prawie nieskażoną słowiańskość zachowało w obyczajach, obrzędach, wierzeniach i mitach, szczególnież na zachodnim Bałkanie, który uważanym być może za jądro typu bułgarskiego! Lecz jestże podobnym odrodzenie się Bułgarów w dotychczasowych warunkach? Czyliż krok ku lepszéj przyszłości może być uczynionym ze strony tego plemienia, dla którego idea postępu jest bluźnierstwem religijném? jestże możliwym jakikolwiek układ pomiędzy żywiołami, żadnej wspólnej płaszczyzny nie mającemi? A zmierzając bliżej i praktyczniej do naszego przedmiotu, jestże możliwą tam, gdzie panuje monopol rassowy? gdzie nora dźwigać musi na sobie całą wagę paszy seraju i jego otoczenia. Od niedawna rząd państwa zamyslał zmniejszyć ciężary administracyi, to jest koszta utrzymania swoich organów. Przy niezmięnionej świetności i przepychu paszów, mudżyrów i t. d. łatwo domyślić się, co ma znaczyć to zamierzone oszczędzenie skarbu Wysokiej Porty; łatwo przewidzieć, z jakich źródeł płynąć będą dotąd *nieodzowne* dla luksu azyatyckiego posiłki. Przytém oto mały wzorek zamierzonej redukcyi.

Przed laty piętnastu Sulejman, ówczesny mudżyr Widdynu, pobierał około 4,500 rs. miesięcznie, po zmniejszeniu zaś, przeszło 3,000. Następnie skoro po utworzeniu samoistnych dotąd paszalików siedmiu: Widdynu, Ruszczuku, Tyrnowa, Warny, Sofii, Tulczy i Niszu (który później wcielono do innej prowincyi t. j. Pryzrendu). jednej prowincyi Tuno Wiljajet (prowincya Dunaju), Widdyn utracił pierwotną wagę i został jedynie miastem obwodowym, jego zarządca pobiera około 150 tysięcy złotych. Skromna zaiste płaca podług naszych rozmiarów europejskich! W takim położeniu paszowie i całe to wiązanie, które stanowi machinę rządu, musi chcąc nie chcąc, myśleć o zaokrągłaniu swojej pozycyi sprężynami dodatkowemi.

Pomiędzy wielu a wielu innemi, zasługuje na uwagę nadzwyczaj prosty w swoim rodzaju pomysł *improwizowanej* gościnności, jaką Turcy zwykli wprawiać w podziw podróżującego Europejczyka.

<sup>1)</sup> W ogólnej charakterystyce klimat Bułgarii jest łagodny. Szodra przyroda nie nakłada tu owego macoszego okupu za swoje dary, jak gdzieindziej. Wolna od krańcowych sprzeczności krajów północnych, Bułgaria w ogóle jest krajem zdrowym. Najwyższy stopień zimna rzadko dochodzi 17° R., najwyższy upał letni 28°—30°. Widoków i krajobrazów równie pięknych podobno nie posiada Europa.

Jeżeli przybylec z krainy niewiernych, naturalnie podróżujący z urzędu, przejeżdża po Bulgaryi, otacza go natychmiat uprzejmość i opieka, godna czasów Saturnowych. Towarzyszą mu wysłani z ramienia paszy, mudyra i t. p. (podług jego stopnia i barwy państwowej) kawasy, duchy opiekuńcze, mające magiczny przywilej wyrzeczenia „stań się i stało się.“ Podróżny na każdym przystanku spotyka to wszystko, czego tylko wybredny nawet turysta zapragnąć może. Pytanie, zkąd się wzięły naraz w tój a tój spustoszonej, zbiedzonej okolicy wystawne potrawy a niekiedy i wyborne wino?

„Sesamie otwórz się“ i biedny Bulgar dostarczy wszystkiego naturalnie: z *własnej* woli.

Nie w smak zapewne ten improwizowany komfort dla europejczyka przywykłego odmierzając przysługę za przysługę—i jeśli odwołując się do przesądów sumienia, rzuci pieniążk i podziękowanie, duchy opiekuńcze wrzuszają tylko ramionami.

Kiedy Blanqui, członek Instytutu, zwiedzając Bulgaryą gościł u Osmana-Beja, zarządzającego Nissą, ten podał mu myśl zwiedzenia Ormanli, położonego nadzwyczaj malowniczo. Przebywszy pewną przestrzeń wśród cudnego krajobrazu, Blanqui ujrzał przed sobą w pewnej odległości tłum Bulgarów, pędzony przez kawasów w kierunku drogi naszego podróżnika, przybierającej kształt coraz bardziej stromy. Tłum pędzony prawdopodobnie z odleglejszych okolic, widocznie strudzony był pochodem; świadczyły o tём dychania i stękania, i mimowolne przystanki. Ale kawasi nie szczędzili i ze swojej strony energicznych dowodów, że im zależy na pośpiechu. Turkom, jak wiadomo, nie brak środków do poparcia moralnego swoich rozkazów. W liczbie pędzonych, szczególnie uderzającą była jedna postać: siedemdziesięcioletni starzec, prawdziwie patryarchalnej powierzchowności. Jako najbardziej znękany wysiłkiem, z powodu starości, był on szczególnym przedmiotem bacności kawasów.

— Co to ma znaczyć?—zapytał p. Blanqui.

— A nic—odpowiedział jeden z duchów opiekuńczych.

— Ależ to poganianie! czy to są zbrodniarze, ujęci przez straż?

— O! nie, tylko Osman-Bej wysłał nas, abyśmy się zajęli zaprzężeniem kilkunastu do waszego powozu, gdy mu przyjdzie piąć się pod stromą górę.

— Jakto, zaprzęgnięcie tych ludzi do mojego powozu? Nie pozwolę: oto wysiadamy, a próżny powóz sam się wtoczy siłą koni.

— A rozkaz Osman-Beja? czyż można go niespełnić.

— Powtarzam wam że na to pozwolę.

— W takim razie oni muszą pozostać aż dotąd, dopóki wasz powóz nie wtoczy się na górę: rozkaz Osman-Beja musi być spełnionym.

Pierwój, nim odwrócimy oczu od tych smutnych rysów, wspomnieć jeszcze wypada, że same nawet stosunki kościelne nie w jednym względzie stają się źródłem ciężaru dla Bulgarów. Dopóki dostojnicze miejsca hierarchii nie otrzymywały się z wewnątrz, lecz napływały



z Fanaru, łatwo pojąć iż wszelka zmiana u steru władzy duchownej okupywaną była wielkimi darami przez powołanych. Tak więc dostojnik, nie Słowianin, zasiadając na stolicę duchowną, przedewszystkiem starać się musiał o powetowanie na duchownej czeladce, ofiar poniesionych przez siebie dla otrzymania swojego stanowiska.

Przywiązana początkowo do metropolium ofiara tysiąca dukatów, z biegiem czasu wzrosła do dziesięciu i dwudziestu tysięcy. Do plemienną więc niechęci, z jaką przybywali fanaryoci do Bulgaryi, przyłączyła się jeszcze, jakoby fatalna konieczność wyzyskiwania ludności i tak wyczerpanej środkami azyatyckiej administracji.

### V. Zwyczaje, obrzędy, zabobony, dom Bulgara—piesni.

Niemasz podobno plemienia poetyczniejszego pod względem zwyczajów, obyczajów i obrzędów, nad ludy słowiańskie. Poetyczność w tej sferze polega nie tylko na jakości form zwanych zwyczajami i t. d., ale co jest wznioślejszem, na tajnym, na świętym ich stosunku do życia. Nie są to nakazane z zewnątrz kanony Chińczyków, stanowiące tam „kodeks obowiązujący“ t. j. zasklepiające despotycznie wszelką indywidualność osoby; przeciwnie są to dogmata rodzinne, przekazywane z dziadów i pradziadów na całą potomność, dogmata wysrane z mlekiem z piersi macierzyńskiej, najświętsze i najnietykalniejsze ze wszystkich zabytków prawa niepisanego.

Taką mają cechę zwyczaje Słowian, taką i zwyczaje Bulgarów: Są one niemal wszystkie natury *symbolicznej*, przez co chcemy powiedzieć, że każda z form obchodowych (obrzędy ślubne, pogrzebowe i t. p.) wyraża coś niewidomego, domyślnego; nie wyraża, właściwie mówiąc, lecz tylko napomyka.

Takię samą natury są i wyobrażenia ludowe, przesady, zabobony i t. p. Podług mniemania ludu bułgarskiego, zbrodniarz rzucony w płomień, dusi się w nich i umiera, ale ciało jego spłonąć nie może. Zabobon, jak łatwo się domyśleć, symbolizujący pierwobytnie pojęcie o nieśmiertelności i wiekuistości pierwiastku złego. Tu należy np. mniemanie, że studnia (giran) jest miejscem zamieszkania węża i złego ducha. Studnia i źródło (czuszma) są to uprzywilejowane miejsca, na których zawiązują się pierwsze, zwykle ukradkowe rokowania miłości, i najstarszy z symbolów: wąż tradycyjny, występujący od drzewa rajskiego, aż do romantycznej śmierci Kleopatry, jest postacią, bez której i tu obejść się nie może. Jest on nieodstępny działaczem wszystkich zaklęć i czarów u Bulgara, a jak wiadomo i u naszego ludu.

Również symboliczną być się zdaje ulubiona szczególnie w pierwszym dniu maja i w uroczystość Św. Jerzego odbywająca się zabawa na huśtawce (lułki). Obrzędowego charakteru huśtawki dowodzi właśnie jej jednoczesność z początkami wiosny, tudzież z tą uroczystością, na której widocznie spełniła się assimilacja pojęć pogańskich z chrześcijańskimi (jak u nas na Ś-tym Wicie i Światowidzie). Dodać przy-

tém należy, że do huśtawki przywiązane są podania o porywaniu dziewcząt w sfery nadpowietrzne podczas ich huśtania się. Widzimy to np. w pieśni o zaślubieniu Słońca z Grozdanką, która w czasie kołysania się została porwaną przez zawieruchę <sup>1)</sup>).

Ale najwydatniejszą cechą symbolizmu, t. j. odnoszenia życia widomego do sfer niewidomych, jest głęboka jeszcze, więcej niż siedmowieczna wiara w środki nadprzyrodzone. Mamy tu np. głębiej niż u nas wkorzeniony i całym magicznym aparatem otoczony zabobon o upiorze (krwopijacz, lipir). Upiorstwo, jak wiemy, podług podania bywa i dziedzicznym, i następuje w takim razie, jeżeli przy budowie nowego domu, mularz zmierzy sznurem cień osoby przechodzącej i wmuruje go w budowę! Upiór po upływie sześciu tygodni zamienia się na złego ducha (talasam). Również głęboko zakorzenioną jest wiara w czarownice (wieszterica); na które niekiedy przechodzą po śmierci stare kobiety. Wtedy ukazują się one pod rozmaitą postacią: to jako ómy czerwone, to jako koty, a niekiedy jako śliczne dziewczęta wabiące wdziękami młodzięż i zabijające pocałunkiem i t. p.

Od czarownic odróżnia jeszcze Bulgar czarodziejki (magesnica), owe mistyczne mocarki, które gospodarują w państwie sił natury, jak w swoim własnym domu. „Magieśnice, dla których przyrodzenie jest do dna przejrzystém, nie tylko posiadają moc przetworzenia uczuć ludzkich, co jest przywilejem i naszych, ale władzą swoją sięgają wyżej: urok ich dotyka samych planet.

„Radko, prześliczna dziewico!—mówi słońce (u Miladinova p. 14, u Dozona 12), bodaj Bóg zabił twoją matkę magieśnicę, za to że oczarowała (magiosała) słońce, słońce i miesiąc, lasy i zioła, ziemię i wodę”.

Obrzędy tradycyjne, towarzyszące najważniejszym dobom życia Bulgarów, pokażą nam naocznie, że tu mamy przed sobą społeczność pierwotną, w której cała słowiańskość ducha zachowała się pod jarzmem. W tém skryształowaniu się wyobrażeń pierwotnych, przyjdzie nam nieraz sposobność położenia nacisku na ów mistycyzm ludowy, który sam jeden swoją siłą zdołał uratować idealną ciągłość ducha narodu.

Pomimo szalonego ucisku, Bulgara ocala opiekuńcza natura płodnością ziem, i czujnym działawczym jego charakterem. Mieszkaniec wioski bułgarskiej, niekiedy dorabia się bytu dostatniego; jakkolwiek obecna produkcyja zaledwie w czwartej części wypełnia tę normę, jakiej urodzajność gruntu domyślałby się należała. Więcej niż połowa uprawnego gruntu Bulgaryi, poświęconą jest na uprawę kukurydzy; wszakże hodują Bulgarowie ryż, tytoń i bawełnę. Ryż wprowadzonym został z Egiptu. Uprawa jego rozpoczyna się w miesiącu wrześnieu, a po upływie półtrzeccia miesiąca następuje zbiór. O udatności téj gałęzi gospodarstwa, najlepiej świadczą cyfry. Sam Kazabazardżyk, wydaje około czterech milionów funtów ryżu. Ważnym przedmiotem wywozu jest pszenica, szczególnież słynie z niej *Stara Sa-*

<sup>1)</sup> Zob. Miladinov *Bulgarski narodni pieśni* (Zagreb, 1861), Nr. 17.

*gra.* Kartofle są prawie nieznane Bulgarowi; zato cebula i czosnek, stanowią dla niego ulubione warzywo.

Nad Dunajem ludność miejska szczególniej oddaje się rzemiosłom i handlowi. Na wyniosłych płaszczyznach kraju kwitnie hodowla bydła, o którego obfitości mówiliśmy poprzednio. Rolniczemi zaś przedewszystkiem są równiny. I tu właśnie najgłówniej zachował się typ pierwotnego Słowiana; bo cóż stanowi arkę nieskazitelności tego typu, jeśli nie pług rolniczy? Młócenia zboża Bulgar dokonywa w sposób iście patryarchalny. Nie doszedł on nietylko do maszyny, ale nawet nie używa cepów. Młócenia dokonywają konie lub woły przeganiane po zbożu, ciągnąc za sobą głazy, przecinające słomę na sieczkę.

Chata Bulgara ma ściany z plecianki chrustowój (powiw), przy-mocowanój do słupów (kolcy), przepierzonój niekiedy drugą warstwą plecianki (preplet), z narzuceniem gliny i wapna (war). Na cokuł (podstanie) nabijane są deski.

Wśród takiej chaty, a raczej lepianki, panuje jednak wielka czystość, niekiedy nawet wykwintność. Pod wpływem zapewne wschodniego komfortu, weszły tu kobierce, kosztowne pokrowce na łożach i poduszkach. Patryarchalność słowiańska maluje się nawet w samém ugrupowaniu budowli. Wśród gromadki chat wznosi się wyszukańszėj budowy i powierzchowności dom, zwykle z cegły lub płyt kamiennych. Jest to mieszkanie głowy rodziny (starszyna).

Granica widomą tego familijnego państewka, jest wysoki płot wyplatany chrustem. Ogromne psy, nadzwyczaj dzikie, stanowią straż zewnętrzną, niebezpieczną dla obcego. (W Turcyi, jak wiadomo, psy liczą się na tysiące, i w wielkich miastach tworzą one pewnego rodzaju cech, wysoko uprzywilejowany). Kostium Bulgara jest nadzwyczaj charakterystyczny. Draperyjność form jego zewnętrznych, zatracająca czy to gustem tureckim, czy stanowiąca może zabytek fińsko-czudski, przy pięknych, klassycznie mezkich rysach twarzy Bulgara, z gęstym, kędzierzawo spadającym do ramion włosem, z rogatym biretem lub fezem na głowie, wygląda malowniczo. Jednak fez wychodzi już z użycia po wsiach. Bulgar zamiast niego, używa czapki, a raczej kołpaka baraniego (czubara), z pod której spada na plecy spleciony warkocz.

W ubraniu Bulgara widać smak wschodnio wykwintny, koszulę jego zdobią piękne hafty na piersiach i ramionach. U pasa czerwonego wisi na lewym boku nóż w pochwie. Nanożne ubranie spięte jest czerwoną sukienną lub rzemienną opaską. Stopy okrywa obuwie sznurowane, albo trzewik turecki (bambusz).

Kobieta farbuję włosy, koszula haftowana w nadzwyczaj wymyślne wzorki; suknia kolorowa gęsto fałdowana, misternie haftowany nabiodrnik, idący niekiedy dokoła po sukni, a na nim opaska z wielką kłamrą okrągłą metalową, niekiedy z perłamutu, albo i srebra emaliowanego; warkocz z zaplecionemi kwiatami, lub obwieszony wstążkami, monetami, wszystko to nadaje Bulgarce typowy charakter.



Wszystkie staja życia Bulgara, jakeśmy już nadmienili, odbywają się w towarzyszeniu pewnych obrzędów. Bulgarowie, jak w ogóle Słowianie, rodzajem obrzędów (po urodzeniu, przy ślubie i t. p.), od najdawniejszych czasów składają dowody instynktowego przeczucia chrystyanizmu, właśnie przez mistyczne otoczenie. U ludów wschodnich, powiedzmy raczej u ludów niestowiańskich, obrzędy życiowe nie ukrywają w sobie symbolu, a jeśli kryją w nich jakieś ziarno godłowe, to bardzo zmysłowe. Obrządek np. urodzinowy jest tam nie więcéj jak aktem wprowadzenia dziecięcia w szereg istot natury. Podobnie rzecz się ma z obrzędem zaślubin i t. p. Wszystkie one wyrażają jedynie tylko znakowe sformułowanie pewnych zdarzeń życia, w odniesieniu do praw natury. Ludzie pewnej frakcy filozoficznej, której teorye wschodu przypadają do smaku, odzierając np. obrzęd urodzinowy z wszelkiej poezyi, uważają go także naturalistycznie; namaszczenie dziecka, jest podług nich aktem zeznania przed naturą, że nowy człowiek poddaje się jój ustawom, i uderza czołem przed wodą, jako potężnym żywiołem świeżości i wzrostu.

Dziecię Bulgara po urodzeniu się, ba nawet spodziewane dopiéro, otoczoném zostaje formami błogosławieństwa. Przyjaciółki lub krewnie przyszej matki, przed chwilą rozwiązania, starają się o sprowadzenie kobiety świątobliwej (Hadżyka), aby ta modłami i zaklęciami zastoniła oczekiwane dziecię od mocy złego ducha. Takie oczyszczenie, uduchownienie przestworu dla przyszłego człowieka, powierzane bywa zwykle kobietom, które odwiedzały grób Chrystusa w Jeruzolimie. Nacieranie nowonarodzonego, okadzanie domu, podawanie czosnku w rękę matki, wpinanie pierścienia w jój włosy, składanie na poduszkach cebuli i kawałków żelaza, wszystko to ma zmierzać do oddalenia złego ducha, i uchronienia od uroków (uruki). Po chrzcie następują odwiedziny i gościńce dla dziecka: pieniądze, medaliki, poświęcane perły i t. p.

Zabezpieczanie człowieka od nieszczęść, przypominać się zdaje wprawdzie tak zwane amulety, ale nie należy sądzić, aby Bulgarowie ulegli tu wpływowi wyobrażeń tureckich. W talizmanie człowiek odgradza tylko siebie od potęg zewnętrznych w ogóle. Przeciwnie u Bulgara idzie tu o postawienie się duszy, jako pierwiastku czystego, niebiańskiego, naprzeciw sił tajemnych, walczących w imię niecnoty i fałszu. W takiem rozumieniu tłumaczyć sobie wypada następujący zabobon bulgarski. Jeżeli kobiecie nie chowają się dzieci, a szczególniej synowie (Bulgarowie bowiem za szczególnie błogosławieństwo nieba uważają narodzenie się syna), wtedy pomiędzy innymi środkami, szczególniej religijnymi, rodzina wybiera dla dziecka imię jak najwstrętniejsze (grozno), oczywiście dla zozydzenia dziecięcia w oczach złego ducha, któremu Bulgar jak widzimy, przyznaje wytrawny smak fonetyczny! W jedném z podań ludowych wyczytujemy, że dzieci Bulgarki nie chowały się (roźba nie traje); wreszcie powiła ona córkę nadzwyczajnie

piękną. Matka i waży się i duma jak tu ochrzcić dziewczynę. Otóż ochrzciła ją na Grozdankę, dlatego, aby miała imię wstrętne.

Na pochwałę gustów złego losu dodać musimy, że oprócz wstrętnego imienia, matki odstrasza ją go jeszcze brzydota, ubierając dziecko w odrażające łachmany.

Obrzędy ślubne u Bulgarów, pod bardzo wielu względami przypominają zwyczaj naszego ludu. Małżeństwo zwykle układają pomiędzy sobą rodzice dziewczyny i młodziana. Jeżeli zaś wybór serca dziewczyny nie odpowiada woli jej rodziców, tedy udaje się ona do domu rodziców oblubieńca swojego, zbliża się do komina, i rozzarnia ogień po całym trzonie. Jeżeli następnie poproszą ją, aby usiadła, jest to znakiem zgodzenia się. Następuje ślub, po którym jednak córce do domu rodzicielskiego wrócić nie wolno. Również wymiana darów pomiędzy dwiema rodzinami już miejsca niema. Małżeństwo tak skojarzone, nazywa się *zgoda* (pristanka). Tradycyjny obrzęd prośnienia o błogosławieństwo (panujący i u naszego ludu) znajomych, krewnych, nawet przechodniów, zachowują i Bulgarki. Naiwny zwyczaj całowania ręki mężczyzn, tak powszechny u Słowian południowych, przede wszystkim jest tu w zastosowaniu. Po ślubie następuje obrzęd weselny, przeszło tydzień trwający, podczas którego każdy dzień oznaczony jest pewnym aktem. Opiewa to następująca piosnka:

W poniedziałek pili wódkę (rakja),  
 We wtorek sprawiali gody (godież);  
 We środę suknie krajali,  
 We czwartek je szyli;  
 W piątek zasiewki sprawiali (prawdopodobnie po-  
     [sag—nasze obsiewki),  
 W sobotę zbierali podarki;  
 W niedzielę wesela dokonali,  
 W poniedziałek tańczyli okropa (rodzaj tańca *ad hoc*, przywiązanego do poniedziałku weselnego),  
 We wtorek zdjęli welon (bufo) pannie młodéj.

Po ślubie we wtorek nowa małżonka nawiedza rodziców i prosi o przebaczenie za wszystkie przykrości, jakie im tylko sprawić mogła w ciągu życia. Po tych odwiedzinach przeproszenia (proszka), w niedzielę następują wielkie odwiedziny (wielika proszka). Zastępuje na wspomnienie dziwny, wychodzący stopniowo z użycia zwyczaj zwany *goweja* (milczenie); nowozamężna przez kilkanaście pierwszych dni, niekiedy i cały miesiąc nie przemawia. Goweja utrzymuje się jeszcze po wsiach.

Naiwny, serdeczny w obrzędach uroczystych i wesołych, Bulgar w obec zbliżającego się zgonu, okazuje spokój klasyczny. Urządźwszy swoje stosunki majątkowe, zwraca mowę na przyszły obrzęd pogrzebu

swojego, z taką obojętnością, z jakąby urządził plan jutrzejszej pracy w polu lub ogrodzie. W chwili jego zgonu obecni zatykają wszelkie otwory i szczeliny, nie pomijając nawet sprzętów kuchennych, aby w nie nie wtłoczyła się dusza umierającego.

J Ó Z E F  
KORZENIOWSKI.  
STUDYUM LITERACKIE

*Adama Rzążewskiego.*

(Dokończenie).

DRAMATA—KOMEDYE.

II.

*Cyganie.* W rodzinie cywilizowanych ludów, jakby zabytek dawnej epoki, pozostała mała garstka włóczęgów, która ani do osiadłego życia, ani do organicznej społecznej pracy, wciągnąć się nie daje. Wina to zapewne ich upodobań i gustów, ale większa może rządów, do których cyganie należą. Mimo to wszystko trudno zaprzeczyć, że w owem zaniłowaniu swobody, zżyciu się z naturą a nawet i próżniaczęj niedbałości jest wielka ilość poezyi. Niepodległy syn puszczy, poprzestający na małym, byle tylko wolność swą utzymał, ma w sobie bardzo wiele artystycznych danych, zwłaszcza, jeżeli do wymienionych warunków dodamy jeszcze namiętny, cyganom właściwy temperament. Nic więc dziwnego, że poezya i sztuka w ogóle, wyzyskiwała w rozmaitych formach ten bogaty przedmiot. W naszej literaturze, że pominiemy utwory drobniejsze, zwraca na siebie uwagę znakomita powieść Kraszewskiego: *Chata za wsią*. Każdy jednak, kto obserwował poetyczne w tym guście utwory, zauważyć musiał, że nigdy prawie nie przedstawia się sam cygański żywot bez wmieszania weni choćby jednej z osob naszego społeczeństwa. Jeżeli zaś warunek ten wymagałny jest w powieści lub poemacie, to potrzeba jego jeszcze więcej w dramacie uczuwać się daje. Moralny grunt bowiem występujących osób za zbyt będzie identycznym, jeżeli będą niemi sami cyganie. Inne uczucie jak zmysłowa namiętność rozbujając się tu nie może, a uczucie z téj tylko strony przedstawione, zanadto jest jednostronne. Prawdy twierdzenia tego dowodzi nam między innymi i dramat Korzeniowskiego, o którym tutaj chcemy mówić. Rzecz dzieje się między samymi cyganami.



Zadaniem ich życia i jedynym do tryumfu tytułem jest, jak poeta dobitnie bardzo przedstawia, jedynie oszustwo i kradzież. Stosunek miłośny, zachodzący pomiędzy cyganem Nango a cyganką Guldą, główną treścią. Bohatér (Nango) wyprawia się na jarmark kraść konie. Wyprawa ta udaje się mu wybornie, ale oprócz koni, przyprowadza on jeszcze cygankę Naję, której z zapomnieniem pierwszej, serce swe powierza. Zemsta Guldy, kończąca się otruciem Nanga, jest treścią i zakończeniem dramatu. Jeżeli do zbrodni podobnej posuwa się człowiek z innymi aniżeli Gulda moralnymi podstawami, jeżeli za postępek akcyi śledzący widz, spostrzega ową spadzistość po stromej ścieszce, jaka przedziela zamiar od wykonania; jeżeli uczestniczy we wszystkich walkach duchowych, jakie się staczają pomiędzy namiętnością a resztkami sumienia: zajęcie wtedy wzrasta i dramatyczna sytuacya olbrzymieje. Korzeniowski zaś nazbyt może czarnych farb użył do odmalowania cyganów, ale pod wpływem wyobrażeń, jakieśmy w początku zaraz dramatu o nich powzięli, zbrodnia Guldy wydaje się nam rzeczą bardzo zwykłą i naturalną. Ostatnie słowa Nai, zdradzające nietyle świadomość ile przecucie jakiegoś lepszego świata, są tu tak samo niewłaściwe, jak niewłaściwemi są początkowe uczucia Guldy. W „Cyganach” istnieją także piękne ustępy. Do takich zaliczamy pieśń Nai i bajkę jej o królu cygańskim, a jeszcze bardziej chóralny śpiew cyganów (Akt IV scena 3). Gdzież jednak pięknych miejsc nie ma u Korzeniowskiego. Rozsypuje on je wszędzie jak prawdziwy rozrzutnik, bo często trwonią się one napróżno w nieodpowiedniej całości.

*Piękna kobieta, Izabella D'Ayamonte, Karpaccy górale.* Trzy te dramata zostawiliśmy na ostatek, bo zaliczamy je do najlepszych i z przyjemnością nimi rozbiór swój ukończymy.

Treść „Pięknej kobiety” nie jest własnością Korzeniowskiego, zaczerpnięta ona z powszechnie znanego podania. Tenże sam przedmiot i w podobnym guście obrabiał Aleksander Dumas (ojciec) w dramacie pod tytułem *Katherine Howard*. Porównywać jednak utworu jego z Korzeniowskim nie będziemy, widoczny bowiem pośpiech, gonienie za efektami i sztuczna namiętność stawia go wiele niżej od „Pięknej kobiety.” Korzeniowski, wzięwszy treść obcą, wybrał sobie także i obce wzory. Odbicie ich w wielu miejscach wyraźnie widzieć się daje, ale że były one mistrzowskie, przeto i dramat sam znakomite posiada zalety. Największą niezawodnie jest świetna i bogata charakterystyka. O osobach tu wprowadzonych śmiało powiedzieć można to, co krytycy niemieccy mówili o osobach dramatów Szekspira. Są oni przedewszystkiem konkretnymi ludźmi. Bohatér Etelwold, natura namiętna, rycerska, a przytem szlachetna i wysoko idealna. Król, człowiek płochy, lekki, nie czuje jak pomimo wrodzonej zacności, po ślizkiej ścieszce zabawy stacza się w przepaść zbrodni. W orszaku króla jakąż różnaitością w dworzanach. Od spartańskiej cnoty i surowości w Essexie, aż do niezrównanej podłości w Lesley'u. Obok nich zaś stary Olgar, typ angielskiego szlachcica, co w radzie i w bojach stęrał swą

młodość, a dusza jego, niby szlachetny metal wyszła z ognia wypadków czysta i bez skazy, ale zarazem twarda i nieugięta. Duma i prawdomówność jego, połączona z umiejętnie przymieszaną dozą rubaszości, stanowi piękny kontrast z wymuskanem dworactwem.

Pierwsze dwa akty, po mistrzowsku prawdziwie skreślone, wprowadzają nas w działanie. Jeden z nich przedstawia dwór królewski, drugi zamek Olgara. Dwie miejscowości, różne napozór i niezależne od siebie, które następnie wypadek, ślepy los, czy też wyższa wola mają zbliżyć ku sobie i dramatyczny konflikt wywołać. Wszystko tu naturalne i piękne. Ufność króla w przyjacielskiemu sercu, miłość Etelwolda i płochość pięknej Elfrydy, którą autor w jednej rozmowie z pokojową, znakomicie charakteryzuje. Z zajęciem niezmiernym przebiegamy te dwa akty, wyobraźnią naszą osoby działające przenosząc na scenę. Nad pogodnym niebem małżeńskiego szczęścia rozciągają się nagle chmury. Surma bojowa odwołuje Etelwolda z objęć młodej żony. Horyzont całego dramatu zaćmiewa się i miesza: w pięknie przeprowadzonej grozie wojennej czujemy zbliżającą się katastrofę. Król rzeczywiście zjeżdża do Dewonszyru, odkrywa się zdrada Etelwolda, a piękna i płocha kobieta poznaje, że była przez męża swego zwiedziona. Że Etelwold ginie później pod sztyletem zabójcy, że stary Olgar wzywa pomsty niebios, że król spostrzega całą przepaść zbrodni, w jaką go chęć użycia wtrąciła; wszystko to bardzo naturalne i konsekwentne. Czy jednak wrażenie, jakie wywarł na nas dramat w początku utrzymuje się do końca? Z żalem odpowiedzieć musimy, że nie. Od połowy aktu trzeciego poczynszy, czujemy, że pomimo nagromadzenia faktów, niknie poprzednie zajęcie, dyalog przestaje równie być żywy i szybki, a występujące osoby deklamują długie tyrady, zamiast się odzywać serdecznymi słowy. Zdziwieni zapytujemy siebie z kąd pochodzi ta zmiana. Odpowiedź bardzo prosta. Nie utrzymał autor charakterów na wysokości, jaką im naznaczył z początku. Że waha się, chwieje i niedołążne wybiera środki Etelwold, to jeszcze bylibyśmy w stanie przebaczyć, bo na sumieniu jego ciąży wina, która umysł jego płacze i skłania do napisania nieroztropnego listu do żony, a także do wyboru Lesley'a na powiernika. Za to grzechem do nie przebaczenia jest zmiana charakteru Elfrydy. Z próżności swój, dumy i kokieterji, o jakie mieliśmy prawo posądzać ją z początku, przechodzi ona do niepewności młodego dziewczęcia, które widzi cacka, jakie przed niem rozłożono, ale nie rozumie ich szkodliwości. Nie idzie do występku prostą drogą, jakbyśmy się spodziewać powinni, a pomimo to nie uspokaja obaw swego męża, jak powinna zrobić cnotliwa niewiasta. Etelwold nadto i stryj jój Olgar prawią jój ciągle morały i piorunują na cześć zatraconą, chociaż do tego niemasz jeszcze powodu. To ich zachowanie się, obok niejasności charakteru bohaterki, sprawia skutek taki, że pocatunek Elfrydy złożony na czole królewskim—miejsce, które stanowi kulminacyjny punkt dramatu, wynikać się zdaje nie z konieczności, zawartęj w charakterze, ale jest poprostu wypadkiem nictaktowne-



go zachowania się męża i stryja. Zgoda zresztą późniejsza pomiędzy Etelwoldem i Elfrydą i nienawiść téj ostatniej do króla, są zupełnie nie w miejscu i jakkolwiek piękne same w sobie, nie wiążą się organicznie z całością, ale owszem kardynalną wadę, o jakiej mówiliśmy dopiero, ujawniają jeszcze dokładniej. Najniepotrzebniej nadto autor do dramatu całego dodaje scenę 6 i wprowadza w nią księdza, który przy zwłokach Etelwolda mówi do wchodzącej Elfrydy tylko dwa słowa: *oto jest*. Znamy całą wartość sceniczną podobnych monosylabowych wykrzykników, umiemy je cenić w Szekspirze i Szyllerze, ale dlatego one tam takie wspaniałe wywołują wrażenie, że są właśnie wypowiedziane w chwili samego wypadku, bodajby nawet przez osoby poboczne. Jeżeli zaś dla jednego takiego słowa zmieniamy całą scenę i dekoracją, to zostawiamy przez to widzowi czas do rozważenia w głębi ducha zaszłego wypadku. Jedno słowo mu nie wystarczy, bo on już sam w istocie swojej przeżył refleksyjny proces. Ksiądz, jako przedstawiciel religijnych potrzeb ducha, był tu zapewne stosowną bardzo osobą, a więc może jeszcze dogadzał sposobowi widzenia rzeczy autora, ale zjawienia się jego nie powinny poprzedzać długie aparata scenicznego.

Wyznajemy wreszcie, że z prawdziwym żalem notować nam przychodzi te strony ujemne. W całym bowiem dramacie tyle życia, prawdy i artystycznego piękna, że gdyby nie parażenie na szwank głównych charakterów, „Piękna kobieta” byłaby prawdziwą ozdobą naszej sceny. Nie możemy pominąć milczeniem rozmowy między dworzanami królewskimi (Akt II, scenia 1 i 2), a jeszcze więcej między żołnierzami (Akt II, scena 4). Znanie są ustępy podobne w Szekspirze, w Goethego *Götzu*, lub w Szyllera *Wallensztajnie*. Potóżmy obok tych znakomitych wzorów wspomniane miejsca z „Pięknej kobiety,” a niezawodnie nic one nie tracą, większą nawet delikatnością swoją przewyższają je nieraz.

*Izabella d' Ayamonte*. Młody i rozpustny Rodryg de Sandowal zobaczył piękną Izabellę d'Aymonte. Postanawia ją posiadać. Izabella nie tak że ję się podobał piękny mężczyzna, ale skoro ojciec ję don Pedro wystawił skutki niecznych zabiegów młodzieńca, nie pozwala mu zbliżyć się do siebie. Ale Rodryg niezwykły się cofać. Posiada on potężne środki: złoto, szajkę sług na wszystko gotowych, na zawołanie straszną władzę świętej inkwizycyi i przeważne wpływy dworskie. Don Pedro ojciec i Don Fernando brat Izabelli mają przeciwko uwodzicielowi tylko swą uczciwość, ubóstwo i szpadę. Z tak nierównymi siłami rozpoczyna się walka. Zaraz Don Fernando zostaje uwięziony w szpitalu waryatów, Don Pedro w piwnicach Świętej inkwizycyi, a Izabelli pozostaje do wyboru, albo widzieć *auto-da-fé* dokonane na ojcu i bracie, albo okupić ich obu kosztem swego wstydu. Alternatywa straszna, a pozycya, powiadamy nawiasem, niezmiernie wyzyskana przez najnowszy romantyzm. Bohatérka postanawia siebie jako przyczynę nieszczęścia przynieść w ofierze, ale godnością ję zwalczony Rodryg prosi o ję rękę. Ojciec z radością na związek ten zezwala, kochankowie uszczę-



śliwieni i już zdaje się koniec temu straszному fatalizmowi, aż oto pomiędzy radujących się wpada z obnażoną szpadą Don Fernando, a nie-mogąc się zorientować w nowém położeniu, rzuca się na Rodryga i Izabellę, zastaniającą kochanka własnymi piersiami, zabija. Straszne słowa Don Pedra, zwrócone do Rodryga:

„Toś ty ją zabił, ty, któryś mnie chciał oddać na stos, a jemu (Fernandowi) odebrał rozum. Myślałeś, że co rozpusta zepsuje, to opamiętanie naprawi? Widzisz, że to nieprawda!” (Akt IV sce. ostatnia), są moralną sztuką treścią.

Z tego krótkiego streszczenia dramatu łatwo domyśleć się możemy, że przedmiot jego jest wzięty z podania, albo novelli. Mimo to oryginalnym być nie przestaje, a przeniesienie go pod gorące niebo Hiszpanii, ułatwiło autorowi przeprowadzenie charakterów. Pojedyncze bowiem narody mają ustalone cechy, mniej więcej zgodzające się z pojęciami wykształconych widzów. I tak, że Don Pedro jest dumny, że Don Fernando mściwy, ponury i do wściekłości zawzięty; że Rodryk namiętny i galant, nie dziwi nas to wcale, bośmy przyzwyczaili się wszystkie te cechy łączyć z pojęciami Hiszpana. Autor w takim razie ma już pewne dane z góry i przedstawionej osobistości, wraz z jej uczynkami nie potrzebuje długo motywować. Chodzi tylko o umiejętnie utrzymanie się na obranym gruncie, a tę zaletę dramat Korzeniowskiego posiada. Oprócz tego zdoła Izabellę piękna szlachetna idea. Niecna, właściwym wyuzdanym wybrańcom fortuny żądza, pod wpływem godności kobiecej podnosi się, wypięknia i w prawdziwą przechodzi miłość. Łaski zwodnicze powoli z oczu opadają, niczemność ludzka przedstawia się w całej nagości, i ten, który cel życia swojego jedynie na użyciu opierał, uczuwa niskość swego położenia, pragnie się poprawić, aby być godnym miłości prawdziwej kobiety. Fatalizm jednak w czysto chrześcijańskiem pojęciu, jako zasłużona kara za poprzednie występki, nie dozwala dostąpić mu szczęścia. Spada on w przepaść i ciągnie z sobą wszystkich, z którymi los go połączył. Tam dopiero spotkają się ze sobą dusze, które wymagały koniecznie chrztu krwi, aby w nim obmyć swe winy. O ile samo przeprowadzenie jest swobodne i lekkie, o tyle koniec prawdziwie dramatyczny. Litość i trwoga budzą się w sercu widza i świadczą najwymowniej o tragicznej wartości sztuki.

Te zalety, zawarte w samej osnowie dramatu mają także odpowiednie formy zewnętrzne. Zarzuciłoby tylko można zbyt częste gonienie za dowcipem i żartem, uosobniającym się w *Margarycie* (ochmistrzyni) i *Hernandezie* (marszałku). O ile jednak pierwsza przypomina mamkę z *Romea* i *Julii*, o tyle drugi jest równy znakomicie skreślonym typem łotrów dworaków u Szekspira. Wewnętrzny proces wyszlachtowania się Don Rodryga, przedstawiony jest naturalnie i z prawdą, ale charakter jego zanadto przypomina scenicznych Don Juanów francuskich. Ubranie osobistości podobnej w sympatyczne przymioty rycerskości, honoru i męstwa, robi szkodę etycznej stronie dramatu i osła-

bia tragiczny jego rezultat. W każdym razie mimo tych drobnych usterek, Izabellę d'Ayamonte zaliczamy do najszcześniejszych dramatycznych kreacji Korzeniowskiego, a uznając jej wielkie zalety, z przykrością zwrócić musimy uwagę na pewne niedogodności zewnętrzne. Tutaj jest więcej aniżeli gdzieindziej zmian sceny i dekoracji. Że zaś za każdą zmianą, scena nowa rozpoczyna się tém, czém się skończyła ostatnia, widz przez to uçuwa moralne znużenie: wystawiony jest bowiem na ciągłe międzyakty, a potrzeby ich wytłumaczyć sobie nie umie. Ta wada, będąca własnością początkujących dramaturgów jest zapewne jedną z najważniejszych przyczyn, dla których się Izabella na naszej scenie nie pojawia.

Naostatek zostawiliśmy sobie dramat, który powszechnie jest uważany za arcydzieło Korzeniowskiego. Są nim *Karpaccy Górale*. Rzeczywiście w krótkim tym, ale silnym i namiętnym utworze jest wiele warunków, z jakich arcydzieło powstaje. Charaktery narysowane wyraziście, akcja nietylko szybka ale gwałtowna, a prawda życiowa tryska na każdym kroku. Obok tego, koloryt dziki a zarazem wspaniały i z naturą miejscowości najzupełniej zgodny. Przedmiot zaczerpnięty z życia ludu, w kopalni napozór nie bogatęj w wyższe uczucia, a jednak jak produkcyjny! Skromnemi stosunkowo środkami włada tu autor znakomicie. Poznał wybornie usposobienie ludu, z dziejów którego ustępowiada, i ani na chwilę z zakreślonej sfery nie wychodzi. Bohatęj jego, *Antoni Rewizorczyk* jest zapewne osobistością wybraną między góralami, ale mimo tęj wyższości jest na wskroś góralem. Owo zżycie się z naturą, owa miłość do ponurych szczytów karpaccich i szumu Czeremoszu pięknie kwadruje z siłą i zwinnością górskiego dziecięcia. Uczucia jego ani na krok nie wychodzą ze sfery czysto ludowej. Poznajemy go zaraz w początku jako kochanka i narzeczonego *Praksedy*, ale z dalszego przebiegu dramatu widzimy, że więcej nad nią kocha swą matkę. Jest to cecha niezmiernie prawdziwa. Kto obserwował lud wiejski, spostrzedz musiał, że jakkolwiek wielką tam czasem bywa miłość między kochankami, to jednak uczucie to opiera się silnie na zmysłowych podstawach, uczucia zaś rodzinne są czysto idealnej natury. Jeżeli zwróciwszy na to uwagę oceniać będziemy Antosia, to oziębłość jego dla Praksedy a zbytne przywiązanie dla matki, co jako wadę w jego charakterze przedstawiali krytycy, uważać musimy za największą jego zaletę. Ze stosunku tego wynika jak najnaturalniejsz rozpacz *Marty* (matki), okropne jej przekleństwo, a następnie śmierć w skutek wieści o ujęciu syna. Zarzucającym zaś bohaterowi obojętność dla narzeczonej, radzimy przeczytać scenę I-szą aktu III-go, gdzie Antoś radzi Praksedzie zaręczynową obrączkę wrzucić w nurty Czeremosza. Obok głównych osób, znakomicie wygląda taki typ jak *Maksym*, szczęśliwie pomyślaną jest osobistość *Prokopa* i komiczny nawet dramatu żywioł pan Mandataryusz. Ekspozycya wspaniała. Początek obmyślany prawdziwie artystycznie. Owa gromadka górskiego ludu, wystrojona wozrysto i malowniczo z popularną dziś jeszcze piosnką: *Czerwony płaszcz*,



z muzyką, tańcem i ciskaniem toporków, wielki może efekt wywołać na scenie. Smutna zaś nuta kołomyjki w przywiezionym dwuwierszu, od razu na całość rzuca smutną barwę przeczcucia. Zmiana jaka zachodzi w końcu aktu drugiego jest może trochę zagwaktowna, bo nas autor nie przygotował do miściwości w charakterze bohatera; ale ponieważ jest ona źródłem następnych scen dramatycznych, przeto przebaczymy ją chętnie. Z estetycznymi tylko wymaganiami pogodzić się nie może scena ostatnia. Podług nas jest ona zupełnie niepotrzebną. Maksym o postąpieniu swoim z Praksedą powinien uwiadomić Antosia nie tu ale w scenie poprzedniej. Wystawiać na śmiertelnym tapczanie zwłoki matki po to tylko aby Antoś stał przy nich obojętnie, i aby urzędnicy nad sprawą samą robili uwagę, jest nietylko rzeczą niepotrzebną, ale drażniącą niemile delikatność uczucia czytelnika lub widza. Posiłkowanie się trumnami, a jeszcze bardziej sztywnymi martwymi zwłokami jest podług nas środkiem scenicznym, który nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko dopuszczanym być powinien. Może to wywołać uczucie okropności, jak np. w Słowackiego *Mazepie*, ale okropność ta nie będzie posiadać nic z artystycznej natury. W obec śmiertelnych szczątków nad którymi już zniszczenie zawisło, upaść musi wszelka namiętność i walka, a żal posągowy i niemy, szlachetnym naturom właściwy, nie przedstawia dramatycznego interesu. Korzeniowski jednak często środek tego używa, a jeżeli posługiwanie się nim przebaczymy w „Umarłych i Żywych,” w „Pięknej Kobięcie,” to zrobić tego nie możemy w „Karpackich Góralach.” I tam razi on nas nie miło, ale tam owa trumna i zimny trup nieboszczyka jest srogim wyrzutem za lekkość i zbrodnię, tu jest tylko fatalizmem, jakiemu podległ i sam bohater. Tam przy owych niemych świadkach występku cierpią sami występnicy, tu zaś wypowiadają się tylko prawno społeczne opinie. Scenę tę dodano dla lojalno urzędniczych przekonań autora, ale wprowadzając ją, popełniono wielki grzech artystyczny. Tę wadę jednak usunąć może każdy reżysser, a dramat sam z powodu zalet, jakieśmy wymienili, zdolny zawsze będzie wywrzeć silne wrażenie. Jedyny raz tylko, będąc małym jeszcze chłopięciem, widzieliśmy „Karpackich Górali” na ubogiej w środki prowincjonalnej scenie. Narodowa dramatu barwa i silny jego, namiętny rozwój, głęboko się odbijały na młodym umyśle. Dziś po wielu latach i po długich studyach nad ulubioną dramatyczną poezją, przeczytanie tego utworu Korzeniowskiego silnie rozbudza wyobraźnię i rozmaite wywołuje uczucia. Jesteśmy zaś pewni, że nie jest to tylko nasze indywidualne przekonanie, ale owszem dowód wielkiej poetycznej wartości dramatu. Czy jednak, sądząc rzeczy bezwzględnie, możemy nazwać „Karpackich Górali” arcydziełem? Niestety, pomimo wymienionych zalet i pomimo wielkiej miłości wszystkiego co nasze, zgodzić się na to nie można. Brak wykończenia uderza tu najpierw. „Karpaccy Górale” są właściwie tylko mistrzowskim szkicem dramatycznym. Każda ze scen prawie pojedynczo wzięta jest znakomita, ale stoją one obok siebie bez wzajemnego połączenia. Zarzut zresztą zrobiony już Ko-



rzeńskiemu, że zanadto on często lubi zmieniać miejsce działania, tu jest jeszcze słuszniejszy, bo tu każda scena odbywa się gdzieindziej. Zarzucaliśmy nieraz autorowi naszemu, że rozciągając treść zanadto, do znużenia doprowadza czytelnika. Tu dzieje się wręcz przeciwnie. Jakiś gorączkowy pośpiech zbił tutaj wszystkie wypadki na gromadę. Ztąd najlepiej nieraz pomyślane rzeczy nienaturalnymi się wydają, bo autor spiesząc gwałtownie ku końcowi, niema czasu odpowiednio wymotywić i uzasadnić wszystkiego. Nie wiemy dlaczego Korzeniowski zwykle pięć aktowym posługujący się rozmiarem, tu treść całą zawarł tylko w trzech aktach, a szczupłość ta wyszła na wielką szkodę dramatowi.

Oprócz tego treść „Karpackich Górali,” pomimo narodowej barwy, nie jest oryginalną. Każdy zapewne łatwo spostrzeże blizkie jej powinowactwo ze *Zbójcami* Szyllera. Już sam przywieziony na czele motyw, wzięty z pieśni gminnej:

Niemasz ryby w Czeremosi,  
Wsiu wyła szczuka.  
Powisiły Tychończuka  
I Rewizorczuka.

Łatwo mógł wskazywać, że twórczość na tle podobnego przedmiotu, skieruje lubiącego naśladownictwo autora ku temu wzorowi. Rzeczywiście, o ile z początku dramat płynie samodzielnie i oryginalnie, o tyle ku końcowi zachodzi rażące podobieństwo. Opowiadania opryszków i schwywanie Mandataryusza (Akt III-ci sce. II-a) prawie są dosłownie przetłumaczone z Szyllera. „Śmierć także Praksedy, którą najnieśluszniej niektórzy krytycy (Aleksander Przezdziecki) ohydny nazywają faktem, nie jest pomysłem Korzeniowskiego. Prakseida ginie tak jak Amalia, różnica zachodzi tylko w rodzaju śmierci, a chociaż w nurty Czeremoszu spycha ją Maksym nie Antoś, to zawsze kochanek później daje swoje afirmacyę. Na pochwałę także Korzeniowskiego powiedzieć trzeba, że bohaterki w swoim rodzaju czyn Maksyma, jest złagodzony poprzedniem pomieszanem narzeczonyj Antosia i prędjędzy zarzut ohydności (?) do Szyllera jak do Korzeniowskiego zastosować można. Pomiedzy jednym atoli i drugim poetą, obok podobieństwa zachodzi także wielka różnica, polegająca głównie na odmiennem zapatrywaniu się na rzeczy. Szyller pisał „Zbójców” w epoce, kiedy wchodził dopiero w lata młodości, kiedy genialny wzrok jego dostrzegał wielkie szpary w budowie społecznej, a dumne czoło nie nauczyło się jeszcze uginać przed koniecznością i zwyczajem. Autorem „Karpackich Górali” jest mąż czterdziestoletni, człowiek, który i przez swe stanowisko społeczne i przez osobiste przekonanie za rzecz świętą uważał nietylko prawo, ale w ogóle każdą konwencyonalną ustawę. To też kiedy Szyller tragedją swoją, niby rękawicę wyzwania społeczeństwu rzucił, a wszystkie refleksye widzowi zostawił; Korzeniowski w „Rewi-

zorczeniu" przedstawił tylko ślepią igraszkę losu i nad nią w końcu uwagi przedstawicielei prawa umieścić. Dla legalnych celów nie wahał się nawet praw artystycznej twórczości odstąpić. Niemiecki dramaturg za pomocą silnej antytezy jaskrawem światłem utwór swój ubarwił; polski, losowe wypadki gromadząc, wrażenie ogólne osłabił.

Na tém kończymy przegląd Korzeniowskiego dramatów. Pozostał nam jeszcze *Sąd Przysięgłych* czyli *Pozory*, ale o nim nic mówić nie będziemy. Zanadto bowiem dramat ten podobny jest do innych, i rozbierając go szczegółowo, musielibyśmy się tylko niepotrzebnie powtarzać. *Beata* zaś i *Spiący Kupidyn*, jakkolwiek w dramatycznej napisane formie, dramatami nie są. Obok dziwaczności pomysłu jak w *Beacie*, i suchego historycznego faktu jak w *Kupidynie*, mamy tu ciągle definicyą sztuki. Pogląd swój na malarstwo wyłożył Korzeniowski w *Garbatym*, ale tam dodał żywą i interesującą powieść; tu stanął na stanowisku cliwego profesora. Na równi z wymienionemi stoi także mały obrazek dramatyczny *Gentille Bellini*. Myśl podniesienia chrześcijaństwa nad inne wyznania, jaka tutaj głównie jest na celu, zanadto sztucznie i ryzykownie jest przeprowadzona.

Od rozbioru tych pojedynczych szczegółów, przejdźmy do ogólniejszego zdania sprawy, i postarajmy się wyrobić pogląd na dramatyczny Korzeniowskiego talent. Rozmaite są drogi, jakimi duch poety powzięte idee przeprowadza do całokształtu, objawiającego się w dramacie. Jedni, podsłuchawszy w najskrytszych tajnikach naturę człowieka, ze wszystkimi jego wadami i zaletami, w całej konkretności i prawdzie wystawiają na scenę. Powstają ztąd znakomite typy i charaktery, a jakkolwiek sztuka tu do realizmu się zbliża, jest mimo to wspaniałą i wielką, bo podstawą jej życie ludzkie. Tak tworzył niedościgniony w dramacie geniusz Szekspir. Droga wręcz przeciwną jest podniesienie kollyzyi, jaka zachodzi pomiędzy wysokimi dążnościami człowieka, a chłodem otaczającego go świata. Osoby działające podnieść tu trzeba do prawdziwego bohaterstwa i idealnej ekstazy, a warunki życiowe i społeczne, zniżyć odpowiednio. Rezultatem kierunku takiego, może być czasem zboczenie od codziennęj prawdy, ale walka na kontraście oparta, może być źródłem prawdziwych dramatycznych arcydzieł. Tak tworzył Szyller. Oprócz tych, jest jeszcze trzeci kierunek, oparty na estetycznych studyach i prawidłach poetyki; wypracowany, wyrozumowany na chłодно, i przez to zakrawający już na rzemiosło. Droga tą szli tragicy francuzcy pseudoklasycczni, a po części i *Lessing*. Do któregoż kierunku twórczości zaliczymy dramatyczną działalność Korzeniowskiego? Wychowanie jego, tudzież pobyt w domu generała Wincentego Krasińskiego, gdzie był punkt odśrodkowy zebrań tak nazwanych klasyków polskich, mogły oddziaływać na młody umysł, i w kierunku klasycznym podobno zaczął on stawiać pierwsze swe kroki w dramacie. Dwie tragedye: *Bitwa nad Mozgawą* i *Pelopidowie* miały powstać pod temi wpływami. Prace te jednak pozostały w rękopiśmie; p. Lewental stosując się do wyraźnego życze-



nia autora, nie ogłosił ich drukiem. Jeżeli wspomniane tragedye noszą rzeczywiście na sobie cechy klassycyzmu, to dążność Korzeniowskiego w tym kierunku trwać musiała bardzo niedługo. Już bowiem w *Kursie poezyi* napisanym w 1823 roku, jasno bardzo na tragedją francuzką się zapatruje i wady jej dokładnie dostrzega (T. XII, str. 101 i nast.). Pod wpływem jeszcze trzymania się z góry wytkniętych reguł, napisany jest dramat *Klara*. Dowodzi tego nie tylko sama strona techniczna, ale i treść wzięta z *Emilii Galloti* Lessinga. W dalszym rozwoju swojej twórczości, trzymał się wprawdzie Korzeniowski wzorów obcych, jakieśmy to widzieli, ale wzrok swój utkwiał w orłów pierwszeńej wody: Szekspira, Szyllera i Goetego. Naśladownictwo ich ogólne z początku, powoli zaczęło przybierać wyraźniejsze oznaki i zdradzać indywidualne upodobanie. Dla duszy naszego poety Szekspir był za nadto ziemski, Goete za chłodny i mistrzem jedynym pozostał Szyller. Jemu hołdował ciągle, i jeżeli w końcu swojego życia pisząc *Autorkę*, *Cyganów* i *Beatę* puścił się na oryginalne tory, to się potykał i nie wychodził zwycięzko. Uczuciowa, liryczna przeważnie natura naszego poety, zbliżała go do niemieckiego wieszczka, a w dramata swoje ujmował on także rojenia młodzieńczej duszy i utopie przejętego idealizmem serca. Naśladownictwo to, pożądanem było w braku oryginalnego talentu, ale narażało naśladowcę na wady, jakim i wzór jego podlegał. Charakterystyczna cecha dramatów Szyllera, która jest zarazem wadą psującą ich harmonią i jednolitość, jest wprowadzanie podwójnych bohaterów. Tak w *Zbójcach* Karol i Franciszek, w *Don Karlosie*—Don Karlos i Poza, w *Walensztajnie*—Maks i Walensztajn i t. p. Toż samo powtarza się i u Korzeniowskiego. Aniela i Marya w *Anieli*, Andrzej i Zygmunt w *Andrzeju Batorym*, Leonardo i Fabio w *Umarłych* i *Zywych* i t. p. Dwoistość zaś ta w *Dziewczynie* i *Damie*, dochodzi do nieskończonej wielości, bo każdy występujący tu mężczyzna, jest po kolei bohaterem dramatu. Za Szyllerem i u Korzeniowskiego wkrađa się nieraz deklamacya, nieuzasadnione patos, i marzenie na jawie, będące odbiciem subiektywizmu poety. Z wadami jednak, nie szły w naśladowcy współcześnie wszystkie zalety. Szyller z romantycznego zamętu doszedł do takich arcydzieł jak *Wilhelm Tell* i *Walensztajn*, Korzeniowski zakończył na dyalogu i suchej rozprawie. Ztąd prostym sposobem daje się wyprowadzić wniosek, że jeżeli Szyller obok genialności, na polu poezyi w ogóle, posiadał znakomity talent dramatyczny, to w Korzeniowskim był tylko talencik. Niemiecki poeta sięgał bystrym wzrokiem do najpoważniejszych zagadnień społecznych, i z dziejów wybierał prawdziwie bohaterские osoby; polski zamknął się w kółku czysto egotycznych uczuć, i nie wyszedł z zakresu właściwego powieści i romansowi. Z zalem prawdziwie zwrócić należy uwagę na fakt, że często współczesna krytyka (np. Bolesław Wiktor w *Bibl. Warszaws.*, przy rozbiorze *Cyganów*), wyżej stawiała Korzeniowskiego dramata, aniżeli powieści. Wyrządzano tém wielką krzywdę poecie, a zarazem składano świadectwo nieznanomości najprostszych artystycznych zasad.



Korzeniowski był znakomitym powieściopisarzem, ale bardzo miernym dramaturgiem. Z bystrością znakomitego obserwatora umiejący schwytać najdrobniejszy refleks uczucia w życiu powszedniem, nie umiał się wznieść do przedstawienia jakiegóś wielkiej i ogólnej idei, jak wymaga dramat. Biegły anatom serca ludzkiego, jeżeli je badał jako jedno z ogniw rodziny, nie potrafił wykazać śladów, jakie na nim sprawia zetknięcie z pojęciami szerszego zakresu. Ztąd miłość, oto jedyny motyw jego dramatycznej muzy. A jeżeli dodamy jeszcze, że i tę treść rzadko wsparł z własnych zasobów, ale chętnie brał ją z zewnątrz, to musimy się zgodzić, że ubogim jest wielce w dramatyczne pomysły. Za brakiem treści, szły zaraz wady w wykonaniu—cieniowanie prawdziwie mistrzowskie rzeczy drobnych, a niedostatki w wykazaniu chwil przejściowych, dramatyczne sytuacje, a brak jednolitości i organicznego związku. Miły wdzięk, jaki nas przykuwa do jego powieści, tu się okazał niewystarczającym, a na wzbudzenie prawdziwej trwogi i litości, jakich po dramaturgu wymagamy, zamało miał siły, zamało nawet, że się tak wyrazimy, skłonności ku temu, w swoim poczciwem i spokojnem sercu. Powstawano na scenę naszą, że dramatów Korzeniowskiego nie grywa, a gdy te zaraz po przedstawieniu upadały, gromiono znowu publiczność, że nie lubi rzeczy własnych. Tymczasem te wszystkie gniewy były niesłuszne. Publiczność, jeżeli nie rozumowaniem to instynktem czuła co złe a co dobre, co prawdziwe, a co sztuczne, i przez swój *vox populi* najsluszniejszy o dramatach Korzeniowskiego wydawała wyrok. I my cenimy w nim znakomity język, pełen siły wiersz, poetyczną jego dramatów prozę i obfitość w porównaniach. Sceny pojedyncze znajdujemy godne największych mistrzów, charakterystykę świetną, a do błysków podobnych przyzwyczaił nas Korzeniowski w powieściach, bośmy i tam takie same podnosili zalety. O całości mimo to nie możemy dać zdania innego, jak to które z rozbioru szczegółów i z tych kilku uwag ogólnych, mógł czytelnik powziąć.

Sam Korzeniowski za główną wadę dramatów swoich uważał to, że odbywają się one w jakimś idealnym kraju, a nie na ziemi, i że bardzo mało w nich żywiołu narodowego, „ale (jak twierdzi dalej) trzeba być najprzód poetą, potem poetą dramatycznym, i z temi tylko warunkami można zostać poetą dramatycznym polskim, ruskim, niemieckim lub angielskim. To ostatnie jest najwyższym szczeblem sztuki, a ja jestem dopięro na początku mojego zawodu”. („Panna Katarzyna w długach,” scena ostatnia).

Nie zgadzamy się na taką stopniową gradację, i na takie powolne doskonalenie się, a tém bardziej nie wierzymy, żeby każdy poeta za pomocą pracy stał się poetą dramatycznym. Potrzeba na to oddzielnego talentu, którego poczucie tylko miał Korzeniowski. On bowiem także w jednej ze swoich powieści, nie wahał się wyrzec, że coraz rozwielmożniająca się powieść, w przyszłości dramat zagłuszy i wyruguje. Słów takich nie wyrzekłby zapewne ten, kto prawdziwe dramatyczne powołanie w sobie poczuwa. Zważywszy jednak ubóstwo naszej dramatycznej

poezyi przed Korzeniowskim, musimy acz w skromnej działalności jego wielkie mu przyznać zasługi. Zamiłowanie sceny, jakie się jeszcze w młodym bardzo wieku w nim rozbudziło, o czém w pamiętniku swoim powiada, zagnęło prawdziwie obywatelski umysł jego do uprawiania tej zaniedbanej niwy. Niezważając na dojmujące pociski krytyki, na ciągłą odmowę polskich teatrów, pisał prawie do końca swego żywota. Wydoskonalenie scenicznego języka i wprowadzenie wielkiej różnorodności przedmiotu, oto ogromne zasługi, jakie mu zawsze potomność zawdzięczać będzie.

Obok oryginalnych prac dramatycznych, zostawił nam jeszcze Korzeniowski prawdziwie mistrzowski przekład całego *Króla Jana Szekspira*, i pierwszy akt *Ryszarda II*. Czytając te znakomite tłumaczenia, żałujemy prawdziwie, że zamiary o jakich mówi we wstępie nie przysły do skutku. Nie dziwimy się temu jednak wcale. Korzeniowski pomimo wypowiedzianych w Kursie poezyi i we wstępie do przekładu pochwał dla Szekspira, nie był, jakeśmy już wspominali, bezwzględny wielbicielem tego genialnego dramaturga. Wzmianki o nim w „Zaręczynach Aktorki,” są także tylko echem opinii publicznej. Naszego autora raziła zbytnia rubasznosc angielskiego poety, nie rozumiał takiego obiektywnego tworzenia, a silny efekt i zewnętrzna elegancja, zawsze go więcej wabiły ku sobie.

### III.

Kollizya dwu stron wrogich sobie wzajemnie, owa walka życiowa jakiej objawy śledziliśmy w dramacie, przenosi się do komedyi. Różnica polega jedynie na innym rezultacie i zakończeniu. W tragiczności pasują się dwie potęgi i w splocie węzowym padają na ziemię, a jedna tylko powstaje, druga ginie. I w komiczności porywają się za barki dwie siły i szamocą, ale obydwie padają w piasek i za chwilę powstają napowrót, choć może trochę zbrudzone i jedna utyka na nogę. Tam wstrzymuje się oddech i krwią nabiegają lica zatrwożonego widza; tu śmieje się on i to tém serdeczniej, im mniej sympatyj posiadał zapaśnik pokonany. Zwycięzca tryumfem swoim poświadcza szlachetność idei, którą przedstawił; zwyciężony nie ponosi żadnej szkody, tylko odbiera moralną naukę. Takie starcie i takie rozwiązanie stanowi istotę komiczności i w tym tylko kierunku rozwijać się powinna prawdziwa komedya, jako sztuka pojmowana. Im zaś naród dany wyżej stoi w swojej cywilizacyi i estetycznych swych gustach, tém téz i wyższej wymaga komiczności. Niedźwiedź, tańczący pod uderzeniami kija, zabawi publiczność jarmarczną, bo potężna siła zwierzęcia skępowana środkami przez dowcip ludzki wymyślonymi, stanowi istotę komizmu; ale żelazne kółko, przez nos jego przeciągnięte i razy poganiacza, w wykształconiejszym umyśle zamiast śmiechu, obudzą wrażenie przykrości. Ten tylko ze skoków niedźwiedzia śmiać się będzie, kto nie dostrzeże krzy-



wdy, jaką tancerzowi wyrządzają. Skoro zaś pojęcie szkodliwości do umysłu się wkradnie, natychmiast wrażenie komiczne ustaje.

Życie ludzkie to ciągła komedia. Tak przynajmniej wszyscy chórem powtarzają. Gdybyśmy je jednak z jego brzydota, głupstwem, namiętnością i dzikimi popędami przenieśli na scenę, nie uczulby widz estetycznego zadowolenia, boby zrozumiał, że sztuka tu nie przyłożyła twórczej ręki. Z drugiej strony, gdybyśmy w komedii choć na chwilę zapomnieli o ziemi i na skrzydłach sztuki w wyżyny idealne się wzniesli, nie szedłby widz w ślady za nami, bo w dążeniu naszym nie widziałby prawdy życiowej. Właściwy więc umiar między rzeczywistością i sztuką, waziutka ścieżynka między temi dwiema przepaściami jest drogą, po jakiej kroczyć musi komedyopisarz i w skutek tego droga ta jest trudną niezmiernie. W dramacie ma artysta w ręku środki potężne. Gra on tutaj na instrumencie, na którym nawiązane struny wszystkich uczuć ludzkich. Niech brzęknie w którąkolwiek, a jeżeli znajdzie odźwięk w sercu słuchacza, już cel swój osiągnął. W komedii zaś poruszać jedynie może te struny, które wesołość i śmiech wywołują. Ztąd komedia jest prawdziwym regulatorem życia, potęgą nakazującą człowiekowi ciągle być człowiekiem. Trzymając przed obliczem ludzkim jak zwierciadło, ustawiczny obraz harmonii, nie pozwala zawracać oczu w niezemskie sfery, a zarazem zabrania tarzać się w błocie ponizienia. Środkiem, jakim artysta tu działa jest jedynie dowcip. Siła wprawdzie wielka, ale ruchoma, migotliwa i nie ujeta. Jakże jęj zręcznie używać należy, bo oto raz ustawicznie wywoływana przechodzi w trywialność i płaskość, to znowu, zamieniając się w ironię kąsa, kaleczy, i rani. Pierwsze nadużycie komedią ze świątyni sztuki do budy jarmarcznej wypędza, drugie zabijając szyderstwem, istotę komiczności niszczy.

Te wszystkie trudności atoli niczem są, jeżeli do wrodzonego narodowi charakteru przyłączy się talent artysty. Nasz naród odznaczał się i odznacza wielką dozą swobodnego, prawdziwie twórczego humoru. Malowniczość wyrażań, skłonność do porównań, wybitna rubasność w życiu, a przedewszystkiem lekkość charakteru, o którą nas tak często winią sąsiedzi, znakomity to dla komedii materiał. To też gdy inne rodzaje dramatycznej poezji są jeszcze w kolebce, komedia bardzo pokaźne zajęła stanowisko. Utrzymujący przeciwnie, których nie mało u nas naliczyć można, nie znają chyba utworów Czartoryskiego, Niemcewicza, Zabłockiego, Skarbka, Korzeniowskiego, Bogusławskiego, Fredry i tylu innych. Nie wspominamy już o komedii w starych zawartych dyalogach, o owych Rybałtach, Klechach i Mięso-pustach. A ile to i tam nieraz prawdziwego humoru i rzetelnego komizmu. Jeżeli Francuzi, których w komedii za wzór zwykle stawiają, mają swoich Harpagonów, Tartiułów, to czyż i u nas niema Cześników, Dyndalskich i Geldhabów. Jeżeli u Francuzów przeważa zręczność w układzie intrygi i dowcip w dyalogu, to u nas, śmiało to powiadamy, wyższe miejsce zajmują charaktery i typy, rzecz w każdym razie dla ko-



medyi większej daleko wagi. To też kiedy tam uganianie się za dowcipem i komicznymi kontrastami poniżyło i zbrudziło scenę, u nas inny komedyi kierunek nie przyprowadzi prędko do rezultatów podobnych. Tam często widz nie czuje odrazy do nieprzyzwoitości i sprośności, bo pod wpływem swoich komedyo-pisarzy przywykł już do nich; my z odrazą spotykamy się u siebie z Gavautami i Minardami, bo czujemy, że to twórczość w innym aniżeli nasza idąca kierunku.

Korzeniowski w tym rodzaju literatury naszej bardzo ważne zajmuje stanowisko. Napisał on 31 komedyi, a w ostatnim roku swojego życia powziął zamiar utworzyć dla prowincjonalnych scen jedną a może i więcej całkowitych seryi scenicznych utworów. Okoliczność tę potwierdza prolog, ogłoszony w Bibl. Warsz. z 1863 r. do tragicomedyi pod tytułem: *Posag, czyli nowy sposób pożyczania*. O pięknych tych planach wspomina także K. W. Wójcicki w bardzo ciekawych swych notatkach o Korzeniowskim, drukowanych w *Wieku* z r. 1874. Śmierć jednak autora nie pozwoliła zamiarów tych urzeczywistnić. I z tego wszakże co pozostało, sąd o komedyo-pisarskim talencie Korzeniowskiego wyrobić sobie możemy.

Tu także zanotować należy tę okoliczność, że do pisania komedyi wziął się Korzeniowski dopiero, kiedy się już dobrze naporął i namordował z dramatem i kiedy, jak nam się zdaje, przyszedł do tego przekonania, że to nie jego pole. Pierwszemi komedjami jego były *Majster i Czeladnik* i *Zakład*. Napisane one w 1846 r. a po dacie tej już tylko dwa dramata *Autorka* i *Cyganie* z pod pióra Korzeniowskiego wyszły, i nietylko były one wywołane twórczą potrzebą, ile raczej długim nałogiem.

Rozpatrując komedyo-pisarski kierunek naszego autora, najprzód uderza nas widoczna w nim chęć naśladownictwa szkoły francuzkiej. Humor, dowcip ślizgający się po wierzchu, ubóstwo w treści i komizm, polegający jedynie na saméj intrydze, a nie na charakterach: oto cecha pierwszych jego utworów. Jeden „Majster i Czeladnik” stanowi tutaj wyjątek. Komedya ta jest udatnym i prawdziwym obrazkiem, wziętym z życia najniższej rzemieślniczej sfery warszawskiej. Typy pochwycone znakomicie i przeprowadzone z nieubłaganą, że się tak wyrazimy, konsekwencyą. Żywość w dyalogu wielka i akcja niezmiernie ruchliwa. Obok jednak tych zalet wielką nie dowypowiedzenia wadę stanowi za zbyt fotograficznie przedstawiona rzeczywistość i przy najprostszém w świecie treści, brakuje także tutaj właściwego Korzeniowskiemu dowcipu. Jedynie tylko wielki talent jednego z naszych artystów, długo sztuczkę tę w repertuarze warszawskim utrzymał. Obok tych niedostatków w formie, razi nas jeszcze jeden szczegół, odnoszący się do treści. Tak tu jak i w innéj komedyi: *Stary Kawaler* wyszukuje autor jak najniepotrzebniej ojców dla osób, które dotąd bez nazwiska błądząc po świecie, wybornie postannictwo swe spełniali. Jeżeli wykrycie pochodzenia *Julii* w *Starym Kawalerze* przyczynia się do załatwienia sprawy szczęśliwie, to natomiast też sama okoliczność niekorzystne bardzo

światło rzuca na Majstra. *Kasper* tutaj mógłby się i nadal śmiało obejść bez ojca, a widz wolałby niezawodnie, żeby należność *pana Szaruckiego* zaspokojoną była z oszczędności Czeladnika, niż żeby miała wypłynąć z mętnego dosyć źródła. Obudza to niesmak, tém więcej, że tu do wprowadzenia tego nowego czynnika, nie autora nie zmuszało. Przykre zapewne jest położenie pod względem społecznym dzieci, które nie umieją nazwać swoich rodziców i wielka wina tych, którzy mając śmiałość popełnić występki, później od skutków jego się odsuwają. Jeżeli autor tendencyjnie kwestyi téj dotyka, to powinien albo przedstawić nikezemność i podłość winnych, albo, dając ekspijacyą, dać ją zupełną. Półśrodki tu nie pomogą, a przesyłanie tajemnymi drogami pieniędzy i chwilowe, acz skryte budzenie się rodzicielskich uczuć, nie może wcale wyszlachetnić i poprawić grzesznika. Korzeniowski nadto za zbyt szczegółowo i plastycznie maluje same chwile popełnienia występku. Jakkolwiek nie jesteśmy wcale zwolennikami fałszywój pruderyi, wyznać jednak musimy, że obraz przedstawiony w „Starym Kawalerze, w rozmowie *Majora z doktorem Bańkowskim*, zakończenie Majstra i Czeladnika, a jeszcze więcej szczegóły zamieszczone w powiastce: *Włorek i Piątek*, obrażają estetyczny smak. Rzecz podobna oświecona gorącym ogniem namiętności uszłaby w poemacie erotycznym, ale nie uchodzi tam, gdzie z góry moralnie zakreślone cele. Na niedostatek ten zwracamy tutaj uwagę jeszcze dla tego, że nic więcej nie powiemy o słabym dosyć utworze *Stary Kawaler*. Zbytnią mnogość komedyj uwalnia nas od rozpatrywania każdej z nich po szczególe, i aby nie nużyć uwagi czytelnika, mówić będziemy współcześnie o cechach wspólnych kilku komedynom.

Obok *Majstra* i *Czeladnika*, prędko jedna po drugiej z pod pióra Korzeniowskiego wyszły lekkie, często udatne i zręczne komedyjki, do jakich zaliczamy: *Zakład*, *Pośredniczka*, *Okreżne*, *Narzeczone*, *Qui pro quo*, *Stacja pocztowa w Huleczy*, *Pierwój Mama*, *Dwaj Mężowie*, *Wojna z Kobieta*, *Przyjaciółki*, *Konkurent* i *Mąż*, *Pustynia*, *Młody Mąż* i t. d. Wszystkie one w czambuł wzięte, pomimo silnej w niektórych narodowój barwy, są naśladownictwem lekkiej francuzkiej komedyi—są tém co się pospolicie nazywa *farsą*. W pierwszej z nich nawet (*Zakład*) występują Francuzi, i rzecz odbywa się w Paryżu. Farsa, jakkolwiek o wiele niżej stoi od prawdziwój komedyi, jest mimo to ważnym bardzo utworem i w życiu i w sztuce. Obowiązkiem jój zabawa, a posłannictwem wysokiém obudzenie szczerój i swobodnój wesołości. Francuzi w tym rodzaju literatury doszli do szczytu wydoskonalenia, i nic dziwnego, że nasz autor starał się ich naśladować. W wielu razach udało mu się to wybornie i bez względu, że treść cała często jest pożyczana, wprowadzenie typów narodowych jest prawdziwą zastugą. Komuż nie podoba się naprzykład takie prawdziwe cacko jak *Pierwój Mama*, *Młody mąż*, albo *Narzeczone*. Środki komiczne w całym tym szeregu wymienionych komedyj, są prawie żadne, dziecinne nawet że tak powiemy. Bo zaprawdę przebicranie się, jak to robi



pan August: w Narzeczonych, Tekla: w Okrężnem, lub Henryk: w Fabrykancie, jest pomysłem, wystarczającym dla bardzo pobłażających widzów, jednakże całość przedstawia się wdzięcznie, i wiele z przytoczonych komedyj stanowią znakomite, w naszej literaturze jedyne, salonowe farsy. Nie o wszystkich jednak powiedzieć to można. Tak np. płaskim jest prawie komizm także na przebieraniu się oparty w komedyi: Dwaj Mężowie. Niesłuszna zazdrość, jaka trapi mężów, jest to przedmiot do znudzenia wyczerpany w rozmaitych komedjach wszystkich narodów i czasów. Niezmiernego potrzeba dowcipu, żeby tu jeszcze wywołać zajęcie, a i dowcip już z powodu treści, łatwo przechodzi w trywialność. Losowi takiemu uległ Fredro (ojciec) w komedyi: *Nikt mnie nie zna*, nie lepiej też poszło i Korzeniowskiemu w *Dwóch mężach*, chociaż więcej tu ruchu i akcji, niż w innych jego drobnych farsach. Niższym także jest komizm w Fabrykancie. Przekręcanie bowiem języka polskiego w ustach prawdziwych lub udanych cudzoziemców, może rozśmieszyć tylko bardzo mało wymagającą publiczność; a niestety scenicznego tego środka, bardzo często używać lubi Korzeniowski. W Fabrykancie: Henryk udaje Niemca, doktor Szpryc (Reputacya w miasteczku) jest prawdziwym Niemcem, jak Duclos (Wąsy i peruka) Francuzem; a oprócz tego wiele to po komedjach jego rozmaitych żydków, których niegramatyczny żargon jest jedynym do komizmu tytułem. Właściwość ta Korzeniowskiego nie może bardzo nas dziwić, jeżeli zwrócimy uwagę, że za czasów powstawania jego komedyi: *Zapieczelowany Icelt* napełniał zawsze kasę teatralną. W niektórych znowu z wymienionych komedyj rzecz cała jest jedynie tłem, na którym ma się uwydatnić jeden z ulubionych typów. Taką naprzykład jest komedya: *Qui pro quo*. Porucznik tutaj, nie należący zgoła ani do treści ani do intrygi, jest główną osobą. Jesteśmy wdzięczni za każdy typ narodowy, ale dla każdego wymagamy racyi bytu. W końcu mówiąc o całej tej grupie komedyj zrobić musimy uwagę, że udatniejsze z nich są pisane prozą. Gdzie tylko użyty wiersz, jakkolwiek jest on i piękny i gładki i w dowcip bogaty, występuje zawsze jedna z najważniejszych wad Korzeniowskiego: chęć do gadulstwa, długość dyalogu, znużenie i zeszywnienie osób i brak akcji. W prozie więc zbliża się do natury, w wierszu staje się za zbyt sztuczny. Może z tego powodu w utworach tego rodzaju przekładał on zawsze prozę, co nawet w swym Kursie poezyi wyznał otwarcie. Jeżeli jednak pięknym i poetycznym jest sam przedmiot, proza dla niego będzie niewystarczającą szatą. Niezmiernie wiele straciłyby naprzykład: *Słuby Panieńskie*, gdyby je Fredro prozą napisał.

Farsą także, tylko na obszerniejszą przeprowadzoną skalę, jest *Panna Mężatka*. Cecylia, dojrzała, przedsiębiorcza i pewna siebie panna, chcąc skłonić do stanowczego kroku konkurenta swego, pana Adolfa, udaje mężatkę. Oryginalny ten pomysł nie zawodzi jej wcale. Wahający się Adolf, poznawszy jaki skarb utracił, zaczyna kochać



namiętnie, a kiedy prawda wyszła na wierzch, po maleńkiej zemście ze swęj strony, oddaje jęj swą rękę. Sam pomysł więc, jak z tego krótkiego streszczenia widzimy jest bardzo naciągnięty, sztuczny, a nawet nieprawdopodobny. Mimo to jednak, Panna Męzatka, jako lekka komedia, jako farsa, jest prawdziwém arcydziełem. Zarzucano Korzeniowskiemu, że treść jęj wziął z komedyi francuzkiej pod tytułem: *Panna Pełnoletnia*. Komedyi tęj nie znamy wcale, i co prawda, nie zadawaliśmy sobie nawet pracy z wyszukaniem tego utworu, słusznie bowiem przypuścić można, że bardzo mało znana ta komedia jest jakąś miernotą i w porównanie z Panną Męzatką wcale iść nie może. Wyznajemy nadto z góry, że prawie w każdęj z wymienionych Korzeniowskiego komedyi, jest pewne powinowactwo z takimiż utworami francuzkiemi. Wynikło to z naśladowania metody, i nie ubliża wcale oryginalności, bo cechy narodowe każą nam zupełnie o pochodzeniu obcych pomysłów zapomnieć. Osoby w Pannie Męzatce wprowadzone, nakreślone są prawdziwie po mistrzowsku. Pomijamy już Adolfa, który obok swoich zasad i doświadczenia, posiada także porządną dozę niedołąztwa, a postępując nibyto racjonalnie, w coraz grubsze brnie pomyłki. Delikatny komizm w osobie tęj złożony, jest prawdziwie wzorem godnym naśladowania. O wiele jednak pana Adolfa przewyższają major i Cecylia; charakterystyka tutaj uderza nas prawdziwą wspańiałością. Stary wiarus prawdomówny, gorączka, duszą i sercem przyjaciel, znakomitym jest kiedy klnie po obozowemu i w tęjże chwili przeprasza; znakomitym kiedy niewinną intryzkę układa, a przedewszystkiém kiedy kobiecęj przebiegłości w pole wyprowadzić się daje. Obok niego główna osoba Panna Męzatka jest typem, do którego nic dodać i nic ująć nie można. Szlachetna jęj natura, połączona ze znaczną dozą przedsiębiorczości, wdzięku, kokieteryi i prawdziwie niewieściego sprytu, daje nam tak skończony obraz polskiej kobiety, że kreacyj podobnych w sztuce nie wiele da się naliczyć. Świetnie pomyslane sytuacje, w których ujawnia się cała jęj natura, cała skala towarzyskich i rodzinnych uczuć, od niewinnęj dyplomacyi do surowego zapatrywania się na życie, od figlarności do konwencyjonalnego chłodu, od wesołości szczeręj do łez prawdziwych lub udanych, stanowią tak piękną całość, że charakter ten może zawsze służyć za pole popisu dla prawdziwęj artystki. Niezmiernie szczegółowo rozwinięta kobiecość, że się tak wyrazim, jest najważniejszą zaletą tęj pięknej roli. Nie można także milczeniem pominąć zręcznego bardzo układu komedyi. W pierwszęj zaraz scenie widz dowiaduje się o całym planie, i w skutek tego jasną jest dla niego intryga i zakończenie. Mimo to zajęcie utrzymuje się do końca i wypływa jedynie z postawienia charakterów w danych sytuacyach. Interes zaś wywołany w ten sposób, najlepiej świadczy o wartości komedyi.

Wypróbowawszy talent swój w wymienionych komedjach, przeszedł Korzeniowski następnie do naśladownictwa na pole więćej oryginalne. Drugą grupę komedyi jego stanowią utwory tendencyjne,

powstałe na własnym gruncie, i mające na celu wytykanie wad narodowych. Do takich należą: *Doktor medycyny*, *Stara Eleganka*, *Młoda Wdowa*, *Stary Kawaler*, *Stary Mąż*, *Podróżomania*. Jakkolwiek kwestye w nich podnoszone, z wyjątkiem Starego Męża i Starego Kawalera, są ważne pod względem społecznym, nie możemy jednak powiedzieć żeby cel ich był osiągnięty, katastrofa bowiem jest zwykle sztuczna i naciągana. Doktor Medycyny jest obrazem przesądu, jaki już znikł zdaje się w kraju naszym, a przekonanie zebranych w komedyi szlachciców o zacności i potrzebie nauki, wywołane jest przez zbyt ryzykowny środek. Dla celu tego bowiem zwichnęła sobie nogę jedna z występujących figur—Hipolit. Typy zresztą tu przedstawione, jakkolwiek wady ich są rzeczywiste i prawdziwe, zażbyt są pospolite, żeby zajęcie obudzić mogły. Marszałek nadto ze swoim wyznaniem wiary co do kierunku młodego obywatela jest trochę karykaturą i przez to niekorzystne sprawia wrażenie. Kontrast nie przedstawia się w czynie, ale rozbiera się w nudnym i długim dyalogu. Druga kwestya emancypacji kobiecej, przeprowadzona w Młodej Wdowie, była za czasów Korzeniowskiego, dopiero w chwili swoich narodzin. Dziś stała się ona rzeczywiście palącą. Krzyczą o niej i za i przeciw wszystkim dzienniki, przedstawia ją scena, postępowi uważają ją za już rozstrzygniętą, a starzy konserwatyści z gościem zwątpienia i rozpaczy bezsilnie w kącie się chowają. Pomimo tego wszystkiego, jednak kwestyi tej w życiu i praktyce nie możemy uważać inaczej, jak tylko za złudzenie, dziennikarskim wywołane krzykiem. Kobiety emancypują się zapewne, ale żądania ich nie sięgają wcale do fundamentów rodzinnych i społecznych. Usamowolnienie się dla podziału pracy, dla codziennego chleba, dla rozłożenia obowiązków społecznych, jest i będzie zawsze najszlachetniejszym kierunkiem. Powstawać przeciwko niemu mogą tylko zakute głowy, które nie umieją wyrzeć poza kółko zakreślone długą rutyną. Jeżeli jednak mamy już dziś, chwała Bogu, kobiety pracujące samodzielnie i umiejętnie, to natomiast niema prawie zupełnie owych lwic śmiałych, które z cygarem w zębach, z pejczem w ręku, cwałując na koniach klną po wojskowemu, i wychylają szampana jak *Hrabina Strzalińska* Korzeniowskiego. Figury podobne nie są wzięte z życia, ale wymyślone przez autorów, którym zabrakło do komedyi przedmiotu. Chwilowe ich istnienie to jedynie rezultat sztucznego pochodzenia. W komedyi tej zresztą generałowa i pułkownik, mający przedstawiać zdrowe zasady, tak są bladzi i słabi, tak dużo mówią, a mało się ruszają, że z konfliktu nie może wypłynąć zajęcie. Nadto obawa hrabiny dostania się na języki plotkarek, która sprawia stanowczy zwrot w jej życiu, zażbyt błahym jest powodem do zupełnej zmiany przekonań przedsiębiorczej kobiety. Tębardziej zaś przerodzenia owego nie może wywołać poważna a nudna miłość pułkownika.

Daleko bystrzej pochwycona jest chętką właściwa narodowi naszemu do wycieczek zagranicę, przedstawiona w *Podróżomanii*. Ale budowa komedyi jest wadliwą i brak jej warunków scenicznych. Cią-



gła zmiana miejsca i refleksye osób do komedyi nie należących, psują całość zupełnie. Nie potrzebnym jest żyd pachciarz, niepotrzebne rozmowy celników na granicy, a sensu już wcale niema emeryt, który nielitościwie długie prawi morały i wyłuszcza to, co z przeprowadzenia komedyi samo wynikać powinno. W obec tych wad niknie prawdziwie dowcipny niekiedy dyalog, i pięknie pomyślane niektóre typy, jak np. major, ze swoim charakterystycznym „a, zachciałeś”.

Mniej znowu wad scenicznych, ale zato więcej dziwaczności w pomysle przedstawia długa komedia *Stary Mąż*. Sędzia Janikowski, przeznaczający ładną swą żoneczkę dla nieznanego porucznika, dla tego jedynie, że ten porucznik także Janikowski się nazywa, wydaje się nam figurą bardzo nieprawdopodobną. Zazdrość, jaką z powodu swój żony okazuje sługa jego Marcin, byłaby tu stosowniejszą, aniżeli owa nienaturalna szlachetność i gotowość do ofiary. Komedia ta w czasach dzisiejszych ukazała się na warszawskiej scenie, z żalem jednak wyznać musimy, że na przedstawienie jęj mimo gorliwych chęci, trafić się nam nie udało. Z samęj treści jęj jednak śmiało wnosimy, że powodzenia długiego mieć nie może. Dowcipne typy żołnierskie i pomimo zbytniego wyzyskiwania, udatnie przedstawiona postać staręj panny (panna Agnieszka), zanadto małemi są warunkami, aby niewłaściwość pomysłu zakryć sobą mogły.

Oryginalnym bardzo i prawdziwie znakomitym utworem Korzeniowskiego jest jego komedia *Wąsy i Peruka*. Jestto jedyny, zdaje się, w naszęj literaturze wzór komedyi prawdziwie historycznej. Stosunek miłosny zachodzący pomiędzy Zamiechowskim wojewodziecem bełzkim i Teklą kasztelaną Nakielską, jest rzeczą poboczną, intrygą, wprowadzoną jedynie dla obudzenia większego zajęcia. Główną treścią i zasadą jest starcie się dwóch ważnych prądów, jakie w XVIII wieku nagle na naszym gruncie się spotkały. Ważną tę historyczną chwilę poruszał już Korzeniowski w Panu Stolnikowiczu, ale tam nie wyszła ona zbyt udatnie, bo tworzył jedynie na podstawie pamiętników, nie przeniosłszy się duchem w czasy ubiegłe. Inaczej rzecz się miała w niniejszēj komedyi. Tu bohater Zamiechowski, a jeszcze więcej jego dworzanie Brzechwa i Mąciēj stanowią tak piękne i wsplane typy, że widząc je, najzupełniej pojmujemy dlaczego sympatyje autora stoją po stronie konserwatywnego stronnictwa. Poza strojem, który użyty jest tylko jako jeden z symbolów narodowego ducha, kryją się zacne obyczaje, dziejami przekazany polityczny kierunek i bohateriska chęć utrzymania się przy należnym bycie. Widzowi nie przedstawia się tego jasno przed oczy, ale z prawdziwie artystycznym kunsztem każe się przeczuwać, i nic dziwnego, że uczucie estetycznej harmonii wywiera wpływ pożądany. Charakterystyka nadto dwóch przeciwnych obozów tak jest świetna i zarazem prawdziwa, że komedia ta pod historycznym i obyczajowym względem ma daleko większe znaczenie aniżeli wiele prac naukowych i historycznych powieści. Obok zaś treści samęj, jakie tu piękne wykonanie techniczne, jaki żywy dowcip,



jaka ruchliwość i rozmaitość w przedstawionych typach. Jeżeli do zalet tych dodamy jeszcze piękność języka, to w obec tego zniknąć muszą niektóre drobne usterki. Douclos nawet ze swoją polszczyzną i płaskością dowcipu, polegającą np. na grze wyrazów *walet* i *niżnik*, jest osobą znośną a nawet potrzebną. Znany zaś zarzut znakomitego aktora naszego Królikowskiego, że niewłaściwem jest zachowanie się wojewodzica, który szambelanowi Kortyczellemu podstawią karabełę i mówi „hop lalko”—jest najzupełniej słuszny i dowodzi bystrości prawdziwego artysty; ale jestto wada tak mała, że chętnie ją w obec wspaniałej całości przebaczymy. Ta jedna komedia w braku innych utworów stanowiłaby już wystarczający tytuł do sławy autora.

Osobny znowu oddział stanowią Korzeniowskiego komedye: *Żydzi*, *Majątek albo Imię*, *Złote Kajdany* i *Plotkarz*. Są to prawdziwie wyższe, społeczne, charakterystyczne komedye. Do najlepszych pod względem pięknej i postępowej myśli zaliczamy Żydów. Przedstawienie zmateryalizowanego społeczeństwa, gdzie spodleli zupełnie ci, których stanowisko do przodownictwa naznaczyło, rehabilitacya pracowitego żydowskiego narodu, na który wiekowe uprzedzenia niesłusznie potępienie rzuciły i nadzieja lepszej przyszłości, ukazana w młodej zakochanej parze; oto są największe i prawdziwie artystycznie przedstawione warunki, zawarte w samej idei. Niestety tylko, wykonanie nie odpowiedziało wszędzie zamierzonemu celowi. W tej pięknej komedyi mamy taką niesystematyczność w układzie, tak wolny, nudny często i bez życia dyalog, że czytając zapominamy nieraz iż to rzecz przeznaczona dla sceny. Reżyserya warszawska słusznie postąpiła, wyrzucając długą scenę sprzedaży rękopisu, mimo to obcięcie jednak, całość jeszcze nużąca się przedstawia. Charaktery przedstawione są znakomicie: Hrabia Pazurkiewicz, Prezes, Stary Komornik, Szenionowa, są to typy narodowe, prawdziwie takie jak były kiedyś, albo jak i dziś jeszcze bywają. Hrabina tylko jedna zanadto przechodzi w karykaturę. Ta jednak skończoność typów i ich bogactwo nie są w stanie zakryć wspomnianych już wad technicznych. Pewien także niesmak estetyczny obudza w nas rozwiązanie; o czém już mówiliśmy przy powieściach Korzeniowskiego i tu powtarzać się nie chcemy. Dodamy tylko, że dla idei samej, dla postępu, za którym autor tak silnie i skutecznie walczył, należało młodą parę połączyć. Zakończenie takie, jakie mamy w Żydach przyczynia się wprowadzić do uwydatnienia postaci Komornika, ale zato robi krzywdę samej zasadzie. Oprócz charakterystyki nie możemy także pominąć milczenia sceny w kantorze Arona. Stary żyd wypowiadający jasno dlaczego współwyznawcy jego z wyparciem się honoru i godności za pieniędzmi gonia, jest znakomity, a rozmowa jego z Komornikiem, to prawdziwe arcydzieło. Owo stopniowe opuszczanie procentu, owo wzruszenie poparte słowami: „nu, ja jeszcze panu opuszczę pół procentu” tyle ma w sobie prawdy a zarazem tyle artystycznego zmysłu, że sceny podobnej nie powstydziłby się największy mistrz komedyi.

Utwarem więcéj dla czytania jak dla sceny przeznaczonym jest komedia *Złote Kajdany*. Zaczyna myśl że tylko pieniądze pracą nabyte stanowią istotną podstawę szczęścia jest tutaj tłem główném. Na niem dowcipnie bardzo, jakkolwiek nieraz zanadto czarno narysowane są nasze stosunki społeczne, literackie i artystyczne. Nawet w osobie Centaurowicza wprowadza tu Korzeniowski jednego ze swoich krytyków. Główną zaletę tego utworu stanowi zręczna charakterystyka i proces psychologiczny, umiejętnie przeprowadzony. Wmieszanie siły czartowskiej i późniejszy nagły powrót do pierwotnego stanu, uważamy za zręczną niespodziankę, która może zająć czytelnika, ale nie miałaby powodzenia na scenie. W ogóle okoliczności życiowe i odstępstwo od planów jakie się wykazuje na osobie pana Filozofickiego, przeprowadzone są porządnie i logicznie, ale dla sceny zaobszernie.

Podobnie zażyty rozwlekła jest komedia *Plotkarz*. Do pięknych ustępów w niej zaliczamy jedynie rozmowę spacerujących w Zofiówce gości, piękną scenę małżeńską pomiędzy hrabią i hrabiną, i samą katastrofę. Miejsca te wszystkie znajdują się w akcie trzecim, i ten téż akt tylko odpowiada warunkom, jakich wymaga komedia. Inne wloką się powolnie i nudnie i gdyby możliwość wystawienia téj sztuki przypuścić, dwa pierwsze akty niezawodnieby całość zabiły. Charakterystyka także tu słabsza aniżeli gdzieindziej. Osobistość Wincentego Grota, przypominająca trochę smakosza Fredry (Przyjaciele) ze swą skłonnością do rozpraw, byłaby dobrą w powieści, ale tu nieodpowiada swemu przeznaczeniu.

W piękne bardzo myśli i prawdziwie obywatelskie uczucia obfituje pięćto aktowa komedia *Majątek albo Imię*. Była ona napisana na konkurs dramatyczny 1859 r. i przysądzono za nią autorowi pierwszą nagrodę. Sądzimy, że tylko zacność tendencji i poetyczny nastrój, jakim się cała sztuka odznacza, były jedynym powodem do jéj wyróżnienia, warunków bowiem scenicznych nie posiada wcale. To téż pomimo przychylnego zdania krytyków, nie mogła się długo utrzymać na scenie. Do niéj najlepiej zastosować się dają dowcipne słowa Korzeniowskiego, które z powodu konkursowych komedii wypowiedział żyd Ruachowicz:

.....,to rzecz bardzo niebezpieczne.

To się zdaleka zdaje takie łatwe  
I takie proste; a jak tam na scene  
Przyjdzie postawić dwie lub trzy osobę,  
Żeby mówili, tak jak oni mówią,  
Kiedy po nasze chodzą trotuary;  
Żeby cieszyli się, albo płakali,  
Tak jak się cieszą, albo płaczą w domu;  
A wszystko, żeby było tak związane,  
Żeby słuchacze co gotówkę dali,  
Czy oni proste ludzie czy uczoney,  
Mieli o czego myśleć i na rozum

Wziąć każde słowo, które tam słyszeli:  
To bardzo ciężko.“

(*Złote Kajdany, akt III scena 2*).

Rzeczywiście w komedyi: *Majątek* albo *Imie* ludzie wypowiadają pewne zasady, ale sami są nadzwyczajnie bladzi, niewyraźni, a przede wszystkim bardzo mało ruchliwi. Z charakterami zapoznajemy się nie przez postawienie ich w danej sytuacji, ale o każdej osobie nowej, która się pojawia, obecni opowiadają wprzód długo, uprzedzając widza o tém co ma nastąpić. Oprócz tego często występujący człowiek nie zgadza się z wypowiedzianym portretem. Tak np. hrabia Janusz, jeżeli ma wady, o jakich nas uprzedził Antoni, to zato zalet takich jak:

„Lecz przytem nie pustą ma głowę,  
Odważny jest, uczciwy, skłonny do litości...“

tego nie spotykamy nigdzie. Artysta także Karol, który komedyi ma dodawać żywości i humoru, bardzo niezręcznie funkcją swoją wypełnia, a w sztuce niepotrzebny jest nawet. Wyjście bowiem za niego Heleny jest podług nas pomysłem chybionym i komedya zyskałaby na tém, gdyby Helena osiadła na koszu i śmiesznością za ciężkie swe winy ukaraną została, jak np. Flora w *Geldhabie*. Obok tych wad jednak *Majątek* albo *Imie* wyróżnia się od innych Korzeniowskiego komedyi pięknym lirycznym kolorytem. Są tu miejsca wielkiej poetycznej wartości. Do takich przede wszystkim zaliczamy scenę oświadczenia się Antoniego i całą osobistość Basi. Korzeniowski pisząc tę komedya, widocznie miał na myśli „Śluby Panieńskie” Fredry. Jakkolwiek bowiem intryga, wypadki i działające osoby są różne w obudwu tych utworach, to jednak jest także wiele punktów wspólnych. Stosunek Karola z Antonim przypomina Gustawa i Albina, Helena i Basia bardzo podobne do Anieli i Klary, a nade wszystko piękna poetyczna, prawdziwie młodzieńcza barwa „Ślubów” jest i tutaj widoczna. Jeżeli jednak utwór Fredry jest prawdziwem arcydziełem, to komedya Korzeniowskiego z wymienionych już powodów rościć do tego pretensyi nie może. W *Ślubach*, na każdym kroku spotykamy dowód, że utwór ten powstał w jednej chwili pod wpływem prawdziwego natchnienia; w „*Majątku*” działano z rozumą i namysłem i naśladownictwem oddano tylko hołd znakomitemu wzorowi. Pomimo jednak braku zalet scenicznych, komedya ta Korzeniowskiego pozostanie zawsze pięknym literackim utworem.

Dla przykładu jeszcze, w jaki sposób Korzeniowski korzystał z cudzych pomysłów, przytoczymy jego trzy aktową komedya: *Reputacya w Miasteczku*. Oryginalna jej osnowa i zawikłanie na pomysły polegające, wzięte są prawie dosłownie z *Rewizora* Gogola. Tylko, ponieważ tu niedostawało głównej sprężyny złodziejstwa urzędników, autor nasz ze swęj strony dodał stosunek miłosny, rzecz która mówiacz nawiasem, bardzo blado wygląda. Reputacya rozumie się nie dorów-



nywa wcale znakomitemu utworowi komedyo-pisarza ruskiego. Ale kiedy gorzka, okropna satyra, jaką jest Rewizor pozostawia uczucie przykrości i społecznego bólu; Reputacya natomiast wywołuje wrażenia zabawne i uspokajające. Tam przedstawieni są ludzie, zasadniczą cechą których jest podłość; tu występuje tylko śmieszna, ale niewinna głupota. Wady społeczne schwycone w utworze ruskim z genialną bystrością, Korzeniowski umiał przenieść na grunt narodowy i jeżeli nam nie dał typów takich jak *Lapkin Tiaphin*, lub Dierżynorda, to wy-nikło ztąd jedynie, że o warunkach miejscowych pamiętał.

Komedia: *Zaręczyny Aktorki*, wobec nowego kierunku, jaki komedyi naszej Korzeniowski nadał, jest jeszcze dowodem dawnych namiętności i przyzwyczajęń. Przedstawianie zakulisowych trosk i kłopotów, wszystkie trudy, jakie poprzedzają wywołanie złudzenia w teatrze wraz z obrazem biedy aktorskiego żywota, były u nas kiedyś ulubionym przedmiotem. Jasiński, Dmuszewski, a najwięcej Żółkowski probowali sił swoich na tém polu. Były to jednak pokuszenia niewłaściwe. Z wydoskonalaniem się artystycznych pojęć, publiczność przestaje żądać od sceny ujawniania zakulisowych tajemnic. Jeżeli chce prawdy życiowej, to domaga się jej w formie gotowej sztuki, a wszystkie przygotowania nie obchodzą jej wcale. Z tego powodu i *Zaręczyny Aktorki* nie wiele więcej dziś przedstawiają wartości, jak np. *Widowisko któremu trudno dać nazwisko*. Oprócz kilku stosownych bardzo zdań o sztuce dramatycznej i pięknych przekładów z literatury obcej, nic więcej tutaj nie mamy. Jedną osobistość entraprenera Umnickiego, ma w sobie trochę życia, ale zato inne są to marynetki, gdzie niegdzie strzelające płaskim dowcipem.

Działalność komedyo-pisarska Korzeniowskiego przypada prawie spólcześnie z pracą na tém polu Skarbka i Fredry. Wszyscy trzej oni w komedyi naszej położyli wielkie zasługi, chociaż kierunkiem swym pomiędzy sobą się wyróżniają. Skarbek, za przedmiot swojej twórczości obrał stany niższe i na scenę niemiecką, a głównie na Kotzebuego się zapatrzył. Fredro maluje nam dobę przejściową i za pośrednictwem połączenia figur kontuszowych z dzisiejszemi, łączy epokę starą z terażniejszością, Korzeniowski umiłował chwilę dzisiejszą i ulubioną sferą jego jest salon. Znakomity obserwacyjny talent jego, który już zauważyć mieliśmy sposobność w powieściach, był jednym z najważniejszych danych w komedyi. Za pomocą to niego powprowadzał na scenę czysto narodowe i swojskie postacie, które komedyom jego dały piętno prawdy i życia. Że zaś w trwającym chwilę czynie i dramatycznej sytuacji nie umiał często umieścić znakomitych swych typów, ale owszem potrzebował długich opisów i opowiadań, nie tworzył przeto tak po mistrzowsku jak Fredro. Mnogością za to poruszonych przedmiotów wskazał, gdzie prawdziwe źródło komedyi i jeżeli talentem nie dorównał Fredrze, to stanął obok niego, a może go nawet przewyższył zasługą. Fredro tworzył oryginalnie i przy oryginalności wytrwał; Korzeniowski od naśladownictwa rozpoczął, ale później stał się

prawdziwie narodowym. Z naśladownictwa wynikła właściwa jemu wada, polegająca na nadawaniu ważniejszej roli pokojówkom i lokajom. Począwszy od kamerdynera „w Złotych Kajdanach”, aż do domyślnego Stefana (Doktor medycyny), zgadującego z trupiej głowy, że panicz jego jest geometrą, wszędzie słudzy biorą czynny udział, dowcipami swemi śmieszają i robią filozoficznej treści refleksyą. Jestto wada właściwa komedyi francuzkiej od czasów Moliera. U Fredry wprawdzie także Dyndalsey i Krupkowscy ważną spełniają funkcją; ale są to właściwie nie słudzy, lecz opiekunowie swoich swych paniczów i przez typową swą wartość znakomicie powiększają zbiór charakterów narodowych. Z naśladownictwa także wynikło często u Korzeniowskiego spotykane ubóstwo treści, ale z drugiej strony autor nasz naśladowając Francuzów stworzył farsę, utwór na naszej scenie bardzo mało znany, a wypełniający znakomicie zakres sztuki komedya zwanęj. Zarzucono także Korzeniowskiemu, że za wyłączną formę do swych komedyi wybrał sobie prozę. Jestto zarzut niesłuszny, bo spotykamy u niego nierzadko wiersz rymowany i miarowy, a proza jego płynna, pigkna, poetyczna i iskrami prawdziwego dowcipu strzelająca. Za główny warunek komedyi kładł on podobieństwo jak można największe do rzeczywistości i prawdy, i dlatego prozą częściej się posługiwał. To estetyczne przekonanie sprowadzało go wprawdzie czasem z krainy sztuki na ziemię, ale zarazem było przyczyną, że osoby występujące u niego brane były z życia. Bogactwo typów zyskaliśmy zato, a w każdym razie zdobył to wielka. Bez względu na to że niektóre komedye jego nie posiadają warunków scenicznych, że niektóre tendencye już się przeżyły, komedye jego pozostaną zawsze ciekawym i wiernym obrazem społeczeństwa. W komedyi wprawdzie tak samo jak i w powieści umiłował Korzeniowski najwięcej stan średni szlachecki. Tam zawsze szukał ideału doskonałości, tam kopalnią komizmu odkrywał i działanie sztuk swoich przenośił. Pochodziło to ztąd, że klasę tę za prawdziwy rdzeń narodowy uważał. Typy starych wojskowych malował prawdziwie *con-amore*, i jeżeli wiele ich spotkaliśmy już w powieściach, to tu ich daleko więcej. Każda strona ich charakteru chciwie pochwycona i fotograficznie oddana. Typy te nikną coraz więcej, jak niknie buta i tężyzna właściwa Korzeniowskiego szlachcicom, z prawdziwą więc przyjemnością kiedyś kochający swą przeszłość i pragnący ją poznać, do utworów naszego autora biedz będą.

Współczesna krytyka nie szczędziła Korzeniowskiego. Robiono mu nieraz najdziwaczniejsze i śmieszne zarzuty. Tak np. dziwiono się zbytniej obfitości prac jego. My dziś rozpatrzywszy się szczegółowo w jego talencie możemy z pewnością powiedzieć, że prace jego nie zyskałyby na wykończeniu, gdyby ich mniej było. Wady techniczne, na jakie zwracaliśmy często uwagę nie wynikały wcale ze zbytniego pośpiechu, ale leżały już w naturze talentu. I dlatego nie mamy dziś pretensyi o to, że Korzeniowski pisał zawiele, ale raczej obwiniamy śmierć

przedwczesną, która nie dozwoliła mu dotrzymać owój obietnicy: „a stary autor... chociaż schorzały, chociaż tchu mu braknie,

Do nowój pracy zerwie się, pospieszy,  
I znajdzie jeszcze w sercu swém i głowie,  
Co w pięknej formie dobrze wam wypowie.”

Słowa te wypowiedział Korzeniowski w prologu do tragikomedyi „Posag,” wydrukowanym w *Bibliotece Warszawskiej* z 1863 r. Nieśluszenie postąpił p. Lewental, że prolog ten w wydawnictwie swoim pominął.

Powieści, dramata i komedye nie wyczerpują jeszcze całej literackiej działalności Korzeniowskiego. Oto jak on sam skreśla dzieje swojej twórczości.

„Wielem już pisał, a najwięcej prozą.  
Było to bowiem mém zadaniem wałném,  
Nauczać śmiesząc i przejmując grozą.  
Więc dramaturgiem nieraz pryncypalnym  
Zwano mnie, nawet mnie apoteozą  
Uczczono czasem w mieście gubernialném;  
Co lepsze, w każdym grano mnie teatrze,  
Czego w historyi sceny nikt nie zatrze.

Gdy mnie z téj drogi zbito, jak się zdarza,  
I jam się rzucił na pole powieści;  
Więc, która wyszła z mego kałamarza,  
W każdój znalazło się cokolwiek treści.  
Tak, że mnie jako powieścio-pisarza,  
Ten pierwszym, inny drugim wszędzie mieści:  
A każdy choć co złego krytyk powie,  
Prym daje sercu, gdy nie daje głowie.

Lecz mimo różne moich pism zalety,  
Za mało jeszcze pisałem wierszami,  
Ztąd w oczach wielu nie doszedłem mety,  
Gdzie sława czoło uwieńcza laurami;  
Zwą mnie pisarzem, lecz imię poety  
Dopiero teraz ten poemat da mi,  
I gdy go cały na wasz stół położę,  
Krytycy! powiem: patrzcie i ja orzę.

(*Pan Fortunat, pieśń I-sza Akt XII str. 155, 156*).

Rzeczywiście i w lirycznej i epicznej poezyi probował Korzeniowski sił swoich, a stojąc na rozdrożu pomiędzy kierunkiem klasycznym i romantycznym i jeden i drugi na sobie odbił. Pod wpływem pierw-



szego z nich napisane są młodzieńcze jego utwory: *List do Morawskiego*, *Osińskiego*, *Oda do pióra*. *Złamane drzewo* i t. d. Wszystkie one są miernej wartości, zbudowane bez natchnienia, a tylko wymęczone pracowicie. Było to tylko chwilowe uleganie niewłaściwemu prądowi, z którego samodzielny umysł prędko uwolnić się potrafił. Balady, pierwszy wzrok ku romantyzmowi, jak *Światelko*, *Ernestyna*, są jeszcze bardzo słabymi próbkami. Ale za to *Dwa Fragmenty* odznaczają się już prawdziwem natchnieniem i wielką poetycką wprawą i w opowiadającej poezji współczesnej stanowią prawdziwe perły polskiej muzy. Jak zaś prędko po drodze romantyzmu kroczył Korzeniowski, świadczyć mogą dwa urywki poematu *Pan Fortunat*, z którego jeden wyraźnie na wzór Beniowskiego rozpoczęty. Od Osińskiego do Słowackiego jakaż to przestrzeń ogromna?

Obok prac poetycznych zostawił Korzeniowski *Kurs Poezyi*, rozprawkę *O patetyczności*. Estetyczne te utwory służyły jedynie dla szkoły, a porządek, systematyczność i jasny wykład je zaleca. W swoim czasie były one wielkiej wartości i ważnością równały się podobnym rozprawom Brodzińskiego: dziś zostają już więczej zabytkiem historycznym.

Kończąc tę pracę wreszcie, czujemy się w obowiązku podziękować w imieniu czytającej publiczności Redakcyi „Kłósów,” która przez wydanie zbiorowe dzieł Korzeniowskiego położyła prawdziwą zasługę. Zebrawszy w jedną całość to, co było rozproszone i z powodu wyczerpania do nabycia trudne, dozwoliła przez to każdemu zapoznać się z autorem, który dla swych zacnych myśli, jak i prawdziwego piękna przeniknąć powinien do wszystkich warstw naszej społeczności.

## Kronika lwowska.

### II.

Wiek nasz tak pomnożył i utrudnił zadania społeczne, jakię zarówno całym warstwom, jak i luźnym jednostkom ludzkim przypadły w udziale, iż ciężar tych wielostronnych i różnorodnych obowiązków przerasta siły jednego człowieka i stwarza potrzebę zastąpienia sił indywidualnych pracą zbiorową stowarzyszeń. Jakkolwiek zaprzeczyć niepodobna, iż w takim wyręczeniu się jednostki przez większe grupy społeczne, jednym powiązane interesem, tępieje energia i zaciera się znaczenie jednostki, która w starożytności i wiekach średnich dokonywała cudów potęgą właśnie swojego indywidualizmu; to znowu uwzględnić należy olbrzymią doniosłość etyczną idei stowarzyszeń, które stały się wyrazem cywilizacyjnym wieku na ową naj-

szczytniejszą zasadę chrystyanizmu: miłość bliźniego. Cobykolwiek błyskotliwego i zdrowego nawet, powiedzić można o popularyzującą się dziś zasadzie samo-pomocy, to zdaje mi się, iż wznioślejszą otwiera duchowi perspektywę widok całych szeregów społecznych, powiązanych cementem jednej myśli, a choćby jednego, tylko materialnego interesu, aniżeli osamotniony trud jednostki, pasującej się z ciężkimi kwestyami życia, bez nadziei, że je rozwiąże, bez przekonania, że im wydoła.

Zasada stowarzyszeń, rozumne i piękne to godło postępowości naszych czasów, ma nazbyt wiele powabu w sobie, nazbyt obiecująco przedstawia się wyobraźni ludzkiej, ażeby którekolwiek społeczeństwo, nie ugrzęzłe w otchłani skrajnego konserwatyzmu, mogło oprzeć się owym widokom powszechnej korzyści, jakie przedstawia. Łatwiej wykrzywić zasadę stowarzyszeń, łatwiej zatracić jej zdrową istotę w przesadzie, łatwiej o wiele ją ośmieszyć niedojrzałym i wyuzdanym nadużyciem dóbr, jakie obiecuje i przynosi, aniżeli korzyści jej zanegować, aniżeli pokusom jej nie uleść. Im społeczeństwo mniej dojrzałe, tém opaczniej rozumie istotę idei, tém snadniej przesadą jaskrawą i nadużyciem ją wykrzywi. Fatalnym bywa dla społeczeństw, jeżeli do przeszczepienia tej zasady kosmopolitycznej na grunt narodowy, biorą się nie ludzie wytrawni, trzeźwi a gruntowni, ale młokosi, krzykacze lub nieuki, niezdatni do żadnej poważnej pracy organizacyjnej, a umiejący tylko, wrzawę i hałas około siebie czynić... Wówczas nastaje ogólne zamęcenie pojęć: ludzie czepiają się płytkich frazesów, które im na pożarcie i strawienie ciska patos historyonów, tracą zrozumienie swych potrzeb najbliższych i najpilniejszych, które zaspokajać potrzeba jak najprędzej cichym zakrzętnięciem się rąk zespolonych, a nie ochrzypłym hałasem gąb wydętych powietrzem i czczemi wykrzyknikami. A ponieważ zawsze znajdzie się więcej ludzi tej ostatniej kategorii, łudzących siebie i drugih pustemi mamidłami, nie umiejących rozumem dociegnąć do jądra kwestyi, a tém pochopniej lgnących do tego, co błyszczy się po wierzchu pozorem i szychem: przeto nie należy dziwić się, że wszędzie prawie, oprócz wzorowej Anglii, ugruntowanie się na zdrowych zasadach i prawach idei stowarzyszeń, poprzedzały niedołążne a hałaśliwe próby, nie oparte na gruncie rzeczywistych potrzeb, a przedsiębrane g'woli ambicyi, interesowi albo złudzeniom płytkich trybunów ludu i rzekomych obrońców interesu publicznego. Naturalnie, że stowarzyszenia takie o świetnych etykietach, nie wysnute jednakże z duszy społeczeństwa, nie zapobiegające ani jednej rzeczywistej potrzebie tegoż, a „wyprowadzone z niczego” jedynie dlatego, aby „były,” schlebując drobnym namiętnościom lub interesom ambitnych jednostek, nie mogą istnieć długo: zaświecą fosforycznym blaskiem, puszczą parę nieudałych rakiet, i nikną w otchłani zapomnienia, oczyszczając grunt dla usiłowań poważniejszych, przedsiębranych istotnie w duchu ogólnych potrzeb.

Jota w jotę naturalną tę kolój przebyliśmy i my tu w Galicyi. Nie ustrzeżliśmy się ani jednej prawie śmieszności, połączonej z narodzinami téj idei pod każdym prawie stopniem szerokości geograficznej. Mało posiadając charakteru oryginalnego w sobie, a wiele skłonności do małpiarstwa, bardzo snadnie, nazajutrz po wydaniu w Austrii ustawy stowarzyszenia, rzuciliśmy się w zawrotny wir stowarzyszeń politycznych, ekonomicznych i literackich, nie zdając sobie sprawy, które z nich zdołają się przyjąć w kraju, a które nie znajdą w jego gruncie soków żywotnych dla siebie. Następstwem téj epoki była szybko następująca kryzys, rodzaj bankructwa idei, tak w istocie swojej pożytecznej, a tak łatwo ulegającej nadużyciom. A szkoda, że tyle stowarzyszeń poczęto zawiązywać bez obmyślenia trwalszego i rozległego, bez zapewnienia sobie środków i narzędzi pracy w kraju, bo z takimi które nie miały żadnej racyi bytu, poczęły szybko rozchwiać się i upadać inne, które mogły rozwinąć się z pożytkiem dla ogółu, gdyby podstawy ich były obmyślane mniej gorączkowo, mniej z rachubą na chwilę najbliższą. Jednym z takich stowarzyszeń, które, bacząc na potrzeby i ustrój kraju, najwięcej miało cech żywotności, było Towarzystwo oświaty ludu. Któż nie wie, jak wiele w tym kierunku uczynić wypada jeszcze w Galicyi? Ten lud, potrzebuje u nas niezbędnie opieki dobrze myślących obywateli kraju. Potrzebuje on dwojakiego wpływu tychże: wychowawczego i naukowego. Zarówno w kierunku umoralnienia i nabrania samowiedzy praw i obowiązków, jak w kierunku oświaty, powinna rozpostrzeć się nad nim braterska opieka żywiołu, przedstawiającego inteligencyą w kraju, bez względu na warstwę, do której należy. Gdyby Towarzystwo oświaty ludowej, jakie posiadaliśmy już w Galicyi, oparło się było na zręcznej i gruntowniej obmyślanej organizacyi, natenczas nie byłoby się po kilku latach rozchwiało, pozostawiając massy ludu znowu samopas, na pastwę znowu tych samych przesądów i namiętności, z których poczynano się już stopniowo otrząsać.

Otóż najlepszą nowiną, jaką mógłbym rozpocząć moje kronikę, jest to właśnie, iż w ostatnich dniach stycznia, myśl ta oświaty ludu zadrgnęła jakby nowém życiem u nas. Może był to błędny ognik, który zamigotał przelotnie, ale dosyć, że zaświeciło coś w téj, całunem mroku pokrytej, okolicy. Pod sterem i za inicjatywą jednego z najszlachetniejszych obywateli naszego kraju, należącego do rzędu tych, którzy bywają uważani za ozdobę społeczeństw, p. Alfreda Młockiego, zawiązał się we Lwowie przed kilku tygodniami „Komitet do wydawania książek dla ludu,” mający mniej więcej tenże sam program, co zgłasze Towarzystwo oświaty ludowej. Jakkolwiek w dziele tak rozległym z natury swój i z obszaru działalności (wszak o całą prowincyą chodzi), wolelibyśmy organizacyą powołującą do współdziałania większy zasób sił, i decentralizującą, za pomocą filii pro-



wincjonalnych wspólną pracę; to jednakże nie chcemy mieć krytycznemi uwagami harmonii rozkoszy, jaką napawa nas myśl, iż do uprawy téj dziewiczej niwy, znowu ktoś bierze się na seryo w kraju. Nateraz czynność komitetu ma być ściśle wydawniczą; co roku ma pojawić się szereg popularnych książeczek dla ludu, zapoznający go z zasadami postępowego gospodarstwa, z ogólnemi prawidłami etycznego życia, jak oszczędność, wstrzemięźliwość i t. d., nowemi gałęziami produkcji, prawie dotąd obcej dla ludu naszego, nie mającego wyobrażenia o zasadach i korzyściach drobnego przemysłu i handlu; dalej zaś z historją kraju, z przykładami dziejowemi wielkich cnót, rozumów i poświęceń i t. p. Lwów i Kraków posiadają kilku uzdolnionych pisarzy dla ludu, że tu wymienię tylko Wł. L. Anczyca, Grzesia z Mogiły (Juliusza Starkla), Piotra Zbroszka i innych; wydawnictwa więc owe niewątpliwie zrozumieją ducha warstw, do których mają nieść oświatę. Chodzi tylko zdaniem mojem, o stworzenie organów na prowincyi, które zajęłyby się z należąną pieczołowitością rozszerzaniem książeczek. Lud nasz stoi dotąd na tym poziomie umysłowym, iż nie pójdzie sam książkę kupić, a zresztą po wsiach i miasteczkach nawet nie miałby sposobności ku temu; potrzeba mu je przynieść do chaty, wtłoczyć ją nie jako w jego grubą rękę, skokietować go słodyczą i trafnością osobistej wymowy. Poprzednie Towarzystwo upadło głównie dlatego, iż nie obmyśliło dostatecznie organizacji prowincjonalnej, iż nie stworzyło organów miejscowych, któreby bezpośrednio stykały się z ludem; na ten przeto wzgląd przedewszystkiem skierować powinien swą uwagę „Komitet do wydania książek dla ludu” jeżeli głos jego ma przedrzeć się istotnie do uszów tego ludu.

Rzucam tu myśl, która może okazałaby się praktyczną. Można by można zespolić siły komitetu ze siłami filij prowincjonalnych Towarzystwa pedagogicznego, które rozciągnęło sieć wzorowej organizacji po całym kraju i wykonywa troskliwie więz, interesów stanu nauczycielskiego w Galicyi. Niema prawie nauczyciela ludowego w kraju, któryby nie należał do rzeczzonego Towarzystwa za pośrednictwem miejscowej filii tegoż. Takowe rozsiane po całym kraju, każde prawie miasteczko powiatowe posiada filią, grupującą w sobie nauczycieli z powiatu. Otóż wydaje mi się, iż jeżeli kto, to nauczycielstwo ludowe, obok szlachty i duchowieństwa, mogłoby najpłodniejszą na tém polu rozwinąć działalność, tak z natury swęj pokrewną pracy szkolnej, która przecież nie co innego ma na celu, jak wykształcenie ludu. Ten tylko odcień różnicy umieliśmy dostrzedz, iż prace Komitetu wydawniczego skierowane będą nie tyle ku systematycznej nauce ludu, ile ku obywatelskiemu i gospodarczemu tegoż wychowaniu. A że nauka bez wpływu na charakter, na obyczaje, na wyrobienie się w człowieku samowiedzy ludzkiej i obywatelskiej bywa jałową, to już jest prawie pewnikiem. Nie przypuszczamy przeto, ażeby Rada szkolna mogła mieć jakie skrupuły przeciw tak uogól-

nionemu pojęciu obowiązków wychowawczo-edukacyjnych ze strony nauczycieli ludowych, a gdyby rzeczono filie zechciały przyjąć na siebie ową wskazaną im rolę, jako wykonawczych organów miejscowych centralnego Komitetu, natenczas dzieło oświaty najniższych warstw naszego kraju niezawodnie popchnęłoby się raźnie naprzód.

Do rzędu tych stowarzyszeń, które zakładają się z myślą zacną, ale bez praktycznego zrozumienia potrzeb miejscowych i bez zbadania gruntu, na którym rozpoczyna się działalność stowarzyszona, pozwoliłbym zaliczyć sobie powstałe tu świeżo Towarzystwo archeologiczne, powołane do życia, jakoby zaklęciem laski czarodziejskiej, przez znanego archeologa i heraldyka, dr. Stanisława Krzyżanowskiego, który wydaniem: „Roczników archeologicznych” zebrał sobie na tém polu pewne zasługi, nie tyle naukowe o ile obywatelskie, płynące z dobrych chęci dla kraju. Towarzystwo to pomijając ten wzgląd, iż rozdzierać będzie jednolitość prac, podjętych w kraju przez komisyję archeologiczną krakowskiej Akademii Umiejętności, nie może rozwinąć do lotu skrzydeł we Lwowie. Niema miasta, któreby mniej nadawało się ku podjęciu w niém prac archeologicznych. Do archeologii czują pewien wstręt we Lwowie, w którym wszystko liczą od wczoraj, w którym niecierpią muzeów starożytnych, a lekceważą tych parę pamiątek dziejowych, jakie miasto posiada. A zresztą nie posiadamy tu ani jednego archeologa na seryo; któż więc będzie pracował w przedmiocie, który oprócz dobrych chęci, towarzyszących zwyczajnie dyletantyzmowi, wymaga fachowej wiedzy? W ten przeto sposób oprócz rozstrzelenia prac komisyji archeologicznej krakowskiej, nie umiem przeczuc żadnego skutku z utworzenia się w mieście naszym Towarzystwa; natomiast jestem prawie pewnym, iż niebawem upadnie. Pierwszą czynnością Towarzystwa *in merito* rzeczy, ma być zwrócenie uwagi i ocalanie od zatury cennych zabytków familijnych Potockich i Sobieskich, znajdujących się w Czetkowie na Podolu, w domu starościca Sadowskiego, który, ożeniony w XVIII w. z jedną z Potockich, zgromadził tamże za życia galeriją portretów téj rodziny, wraz z innymi pamiątkami, które dziś nabrały historycznej wartości, jak dwa działa na lawetach i t. p. Ponieważ zabytki te marnieją obecnie i powolnie przechodzą do rąk prywatnych, nie mających pietyzmu dla starożytniczego ich charakteru, przeto komitet Towarzystwa postanowił odnieść się do hr. Borkowskiej, obecnej właścicielki dworcu starościca Sadowskiego, w celu dania opieki szacownym pamiątkom.

Z pomiędzy towarzystw, mających dobro publiczne na celu, które w ostatnich dwóch latach powstały i utrwaliły się we Lwowie, trzy zasługują na szczególne podniesienie. Jestto zaś charakterystyczném, iż dwa z nich zawdzięczamy kobietom. Mówię o Towarzystwie pracy kobiet i Towarzystwie kuchni ludowych. Noszą one cechy filantropijne, ale téż przyszedłszy szczęśliwie do chwili, w której rozumiano u nas, że zasada stowarzyszeń na tym gruncie ogól-

no społecznym, najbujniej rozrastać się może. Wszakże już dawniej wszystkie prawie gałęzie prac naukowych i zawodów publicznych, postawiały się u nas; mamy mniej lub więcej skutecznie rozwijające się stowarzyszenia lekarzy, prawników, farmaceutów, artystów i t. d.; obecnie nadchodzi pora na takie stowarzyszenia, które już nie pewne odrębne interesa warstw i zawodów przedstawiają, ale które wiążą w solidarne ciała ludzi najrozmaitszych przekonań, stanów i zajęć, w pewnych ogólnych po za sferą stosunków ich życia leżących celach, nie mających na oku uprawy odrębnych, rzekłbym kastowych interesów, ale dobro publiczne, dobrobyt całości społecznej. Jestto znamię dojrzałości społeczeństwa, jeżeli takie instynkta postawienia pracy kobiet powiązało się na długo w pamięci ogółu imię hr. Celiny Łączyńskiej, kuchni ludowe zawdzięczamy inicjatywie żony prezydenta miasta, pani Maryi Jasińskiej.

Mając być obserwatorem i kronikarzem życia tutejszego, niepodobna ażebym na tém miejscu nie podniósł uwagi, która zcharakteryzuje wam zjawisko, najciekawsze może z tych, jakie odkryćby mogły psychologiczne studia nad naszym miastem.

Już w pierwszym liście moim starałem się wykazać, iż w Galicyi umysły zaczynają się raźniej krzątać, skupiać i zaprawiać do poważnej pracy, zarówno na polu oświaty, jak życia ekonomicznego. Byłby to z mojej strony nietylko brak galanterji, ale co większa brak czci dla prawdy, gdybym nie przyznał, że na czele owego postępu, na sztandarze swoim wypisującego naukę i pracę, stanęły u nas kobiety. Tak jest, patrząc na fizjonomję rzeczy, niepodobna niewierzyć, że odrodzenie intelektualne przyjdzie krajowi z łaski kobiet. One to dziś przodują u nas wszelkiej inicjatywie publicznej, o ile takowa wkracza w zakres ich sił i obowiązków; one zajmują się ze szlachetną, rzekłbym, wzniosłą gorączką, sprawami literatury i sztuki; one jedynie bywają stałemi słuchaczkami odczytów, one garną się do pracy w zawodach praktycznych; one zajęły szereg najważniejszych posterunków pedagogicznych, a szkoły przez nie kierowane służą za wzór męzkim. Ten zastęp natchnionych jakimś demonem pracy młodych kobiet, czasem 18 letnich dziewcząt, które nie urońszy idealnego puchu kobiecości, ani nie zawróciwszy sobie głowy doktrynami emancypacyjnymi Zachodu, idą pod wiatr w ubóstwie i osamotnieniu, nieoparte o ramię mężczyzny, z jakimś blaskiem zapалу w spracowanych oczach, z jakąś niepojętą inspiracją w duszy, ażeby tylko nie upaść na śliskiej drodze nędzy; ten zastęp kobiety, który stał się dziś potęgą intelektualną w naszym mieście, jest zjawiskiem nowym a niepospolicie charakterystycznym u nas. Kto chce studyować kobiety nasze, najłatwiej mu to przyjdzie na odczytach Towarzystwa pedagogicznego, które trzy razy tygodniowo gromadzą we wielkiej sali ratuszowej 200—300 słuchaczek. Tu cały myślący świat kobiecy naszego miasta przesunie się przed jego okiem. Do-



statek i ubóstwo zasiadają tu obok siebie, uczennica seminaryum żeńskiego, troskliwie notująca osnovę wykładu w swym kajeciku, sąsiaduje z kobietą, dla której salon był dotąd jedyną areną życia. Tamta nauczyła się już pracować, zna geometryę, fizyologią i historią starożytną, i mogłaby zastąpić nauczyciela w każdej szkole publicznej; ta, czuje się jeszcze trochę znudzoną tym kramem uczonym, który rozłożył przed nią prelegent, ale już niektóre epizody prelekcji ją zajęły, już znudzenie, które wniosła do sali, rozprasza się dotknięte skrzydłem poważniejszej myśli, i ta kobieta, dla której wdzięk i czczość salonu były dotąd jedynymi mamiłkami spletanéj płochością duszy, wychodzi z prelekcji z niejednym surowém postanowieniem, z niejednym planikiem naukowym... Tak się tu z dnia na dzień odbywa ta propaganda oświaty kobiecój. I już nawet poczynają nas kobiety wypierać z naszych posturków tradycyjalnych, ale któżby nie miał tyle rycerskiej chevaleryi, aby im nie ustąpił zwłaszcza, że ta zdrowo pojęta emancypacja kobiet, drogą samoistnéj pracy i nauki, nie odbiera im przymiotów serca i kobiecego wdzięku. Na to są już Polkami, przychodzi tu w pomoc sama natura. Sentymentalizująca u brzozy nad strumykiem niemka, nie ma tyle poezyi, co polskie to dziewczę, uderzające o młotek telegrafu, albo uczące dziatwę składać litery. W tym ruchu umysłowym kobiet obejmującym wszystkie ich sfery towarzyskie, przyznać należy wielką zasługę kilku wzorowym pensyonatom żeńskim, których kierowniczkę, światłe a zarazem przejęte duchem obowiązków obywatelskich, umiały wpływem swoim obudzić w kołach kobiecych nowe instynkta. Nie można przemilczeć tutaj zasług pani Felicji z Wasilewskich Boberskiej, pani Horoszkiewiczowej lub Selingerowej. Tu należy także uznanie dobroczynnego wpływu nowych urzędzeń szkolnych, które wprowadziły kobietę na katedrę nauczycielską. Tych kobiet-pedagogów jest dzisiaj u nas mnóstwo i one to pracowitością, nauką i życiem wzorowém są żywą apoteozą polskiego typu kobiety-robotnicy.

Jeszcze o jedném towarzystwie tutejszém pragnę słowo dorzucić: mianowicie o „Towarzystwie przyrodników polskich imienia Kopernika.“ Już je zcharakteryzowałem poprzednim razem. Dziś muszę tylko zaznaczyć dwa pomyślne objawy jego rozwoju. Naprzód zaliczyć tu należy pożądaną reformę, jaką od niedawna wprowadzono, odbywania jawnych, publicznych posiedzeń. W roku zeszłym ogół nie odnosił żadnych korzyści z istnienia Towarzystwa, zajmującego się tak popularną dziś uprawą nauk przyrodzonych. Od dwóch miesięcy mur chiński usunięto i obecnie co dwa tygodnie odbywają się w jednéj ze sal wszechnicy publiczne posiedzenia, zapełnione wykładami i dysputami. Obecnie nauki przyrodnicze mają już przeto w mieście naszym poważny i kompetentny organ. Towarzystwo to rozpoczęło z bieżącym miesiącem wydawanie czasopisma peryodycznego: *Kosmos*, poświęconego naukom przyrodniczym w ich całej rozciągłości.

Redaktorem pisma obrano profesora chemii na wszechnicy lwowskiej, dra Bronisława Radziszewskiego, do redakcyi należą zaś wszyscy profesorowie wydziału przyrodniczego. W pierwszym zeszytcie czytamy zaraz prace profesorów: Kreutza, Radziszewskiego, Ciesielskiego i innych. Pismo to dlatego na szczególne zasługuje poparcie, iż charakter jego będzie czysto naukowym. Nie będzie to organ pewnych tendencyj, jedyną jego dążnością będzie szeregowanie faktów naukowych, bez oglądania się na syntetyczne wyniki tychże. Ani Darwin przeto, ani Haeckel, ani Agassiz, nie będą wytyczali kierunku pisma stroniącego od wszelkich cech doktrynerskiej propagandy. Co się wyłoni ze syntezy faktów natury, co wchodzi w zakres filozofii, na przyrodzie opartej, to nie jest już ściśle przyrodniczym, i to też nie będzie wchodziło w zakres jego. Nikt więc nie powinien sądzić, iż w „Kosmosie” przybywa organ, uścielający drogę jakim skrajnym pojęciom, kulminującym aż w materializmie lub czemś podobnym, i owszem, będzie to pismo bezstronne i zdrowe. I dla tego to właśnie ściśle naukowego charakteru swojego, powinno znaleźć u was gorące i uprzejme poparcie. Galicya bowiem nie zdoła go podtrzymać, to można uważać za pewnik; jeżeli czytelnictwo wasze, o tyle poważniejsze i głębsze od naszego, nie zechce zając się losem pierwszego polskiego czasopisma przyrodniczego, natenczas zasoby Towarzystwa nie wystarczą mu: „Kosmos” upadnie, aby torować po sobie drogę ideom jaskrawym a płytkim.

\* \* \*

Obrazem chwili bieżącej są tak dobrze fakta, które fala czasu przynosi i prądem swoim popycha dalej, tak iż w dni parę wspomnienie ich już tylko pozostaje, jak i stan a rozwój instytucyj, które jakkolwiek nie wczoraj powstały, ani jutro nie ustąpią nowym, ale przedstawiają się konserwatywną wśród przejściowych zjawisk, niemniej przeto charakteryzują chwilę, bo wpływają na nią i z niej czerpią wpływy. Dlatego nie rozminę się z zadaniem kronikarza, jeżeli rzucę tu okiem na obecny stan, ostatnimi ulepszeniami i nabytkami stworzony, naszej najpoważniejszej instytucyi publicznej, Zakładu Imienia Ossolińskich.

Jestto jedna z tych firm naukowych, które miastu naszemu nadają powagę i charakter. Zakład Ossolińskich równoważy u nas, choćby w pewnej części, ten fakt ujemny dla nas, chociaż z wielu względów uzasadniony, iż Akademia Umiejętności nie funkcjonuje w stolicy kraju.

Obecnie zarząd Zakładu spoczywa w rękach ludzi należycie dobranych i dających rękojmię wzorowego kierunku. Kuratorem jest hr. Kazimierz Krasicki, właściwy jednak ster naukowy sprawują: August Bielowski, dyrektor, którego stanowiska w umiejętności polskiej określać nie potrzebujemy, dr. Wojciech Kętrzyński, kustosz, zasłużony autor dzieł: *Die Lygier* i „O narodowości polskiej w Pru-

siech Zachodnich z czasów krzyżackich," p. Edward Pawłowicz, konserwator muzeów, i dr. Aleksander Hirsberg, młody pracownik na niwie historycznej, którego monografia o Decyuszu pochlebnie została oceniona przez areopag poważnej krytyki. Pełni on funkcję sekretarza naukowego Zakładu.

Obecny rok był wielce pomyślnym dla Zakładu. Pomijając potoczne bogacenie się księgozbioru i zawiązywanie stosunków coraz korzystniejszych dla Zakładu z zagranicznymi ciałami naukowymi, dzieje to zwyczajne każdej rozwijającej się instytucji; podniosę tylko takie fakta, które były niezwykłym, rzadko trafiającym się wydarzeniem dla Zakładu, a przyniosły mu cenne nabytki w upominku.

Tu przedewszystkiē zaliczyć wypada wspaniały dar, jaki otrzymał zakład od rady miejskiej lwowskiej. Wiadoma jest sprawa zapisu majora Kühnla, który umierając podobno w Bernie Morawskim, przez pamięć dla miasta naszego, podarował mu szacowny swój i niepospolity zbiór artystyczny, złożony ze 130 obrazów i 1,660 rycin. Nie cały ten obfity zbiór prywatnego miłośnika sztuki, stał na jednej wyżynie artystycznej; wiele numerów okazało się bez trwałszēj wartości. Dokładne jednak i umiejętne przesortowanie zbioru, odkryło w nim szereg dzieł niepośledniego pędzla, oryginałów z najlepszych czasów sztuki. Są tu Holendry, Flamandy, Wenecyanie, Bolończycy, szkoła staroniemiecka i starofrancuzka. Rada miejska przez lat kilka nie wiedziała co począć z tym drogocennym nabytkiem, skoro miasto nasze nie posiada galerji obrazów, w którejby takowy można pomieścić. Bardzo więc szczęśliwą była myśl urosła w jej łonie, ażeby zapis artystyczny majora Kühnla, przekazać Zakładowi Imienia Ossolińskich, w którym są już pewne zawiązki galerji obrazów, dziś nawet już dosyć obfite, jakkolwiek na utworach XVIII wieku głównie opartē, a po za tę nieodległą metę rzadko sięgającą. W obecnym przeto dopięro roku, obfity ów zbiór wzbogacił galerję Ossolińskich. Obrazy cenniejsze pomieszczone zostały we wielkiej sali Zakładu, stanowiącej właśnie ową galerję, która ma przyszłość przed sobą, zwłaszcza pod sterem światłego i gorliwego konserwatora tejże p. Pawłowicza. 26 obrazów otrzymało przeznaczenie wprost do galerji, inne mniej cenne, przyozdobiły sale zakładu. Wyliczymy najważniejsze, jak Bonifacya: „Chrystus oddający klucze św. Piotrowi”, Parmegianina: „Zdjęcie z Krzyża”, Barbierego: „Madonna z Dzieciątkiem”, Gwidona Reniego (prawdopodobnie): „Starczec”, jakotēż kilka dzieł nieznanomych malarzy włoskich: „Chrystus dźwigający krzyż”, „Chrystus upadający pod krzyżem”, „Portret mężczyzny, wszystkie ze szkoły weneckiej, „Wniebowzięcie N. P. Maryi” bolońskiej, „Św. Antoni z Padwy” hiszpańskiej, „Madonna z Dzieciątkiem, św. Jan i św. Elżbieta”, „Samson”, „Śmierć św. Klary”, jeszcze mniej posiadające odrębny charakter szkoły, w każdym razie staro-włoskie. Dalej widzimy Breugla: „Krajobraz morski”, „Bitwę” Bloemena, krajobrazy Brilla i Hobema, „Wnętrze chaty wie-



śniaczej", Femperta, „Portret kobiety”, zdradzający pędzel Holbeina lub jego ucznia, i kilka jeszcze francuzkich i flamandzkich.

Czem dla galeryi Ossolińskich był dar zbiorów majora Kühnla, tém dla księgozbioru niespodziewany upominek jednego z najzasłużeńszych obywateli galicyjskich, p. Ludwika Zaremby Skrzyńskiego, złożony z wielkiej liczby dzieł ekonomicznej i politycznej treści, wraz z zapisem corocznego uiszczania przez ofiarodawcę kwoty 100 złr., na systematyczne dopełnianie zbioru, i z jedynym, a tak słusznym warunkiem, ażeby uprzyśtępniono korzystanie z tegoż fachowym ekonomistom i towarzystwom ekonomicznym polskim. Ten dział umiejętny dotychczas był zaniedbanym w bibliotece Ossolińskich, która ograniczała się głównie na zbieraniu materyału do historii i literatury, zwłaszcza polskiej; obecnie jednostronność w tym przynajmniej kierunku usunięta.

W tento sposób zbiory Zakładu wzrosły w roku 1875 do cyfr następujących: dzieł drukowanych unikatów mieści on 69,721 (nie licząc w to poważnej cyfry przeszło 4,000 dubletów), prób druku 4,449, rękopismów 1966, autografów 2632, dyplomatów 727, rycin 21,492, obrazów 615. O zbiorach muzealnych powiemy za chwilę.

Prawdziwie budującym jest stosunek uprzejmiej i do obopólnych usług skłonnej wzajemności w rzeczach poszukiwań naukowych, jaki wiąże Zakład nasz z Krakowską akademią umiejętności. Ostatnia posiada znaczniejsze fundusze płynące z subwencji krajowych i rządowych, przyjęła więc na siebie dalszy nakład „Pomników dziejowych Polski,” których dwa pierwsze tomy wyszły pod egidą Zakładu Ossolińskich. W ogóle powiązanie się naukowych sił i środków obu tych instytucyj, ożywiło inicjatywę w przedsięwzięciu badań i poszukiwań, których niezbędną potrzebę uczuwał Zakład, ale dla dokonywania ich, nie posiadał odpowiednich środków materyalnych, a nawet ludzi. Teraz dopiero ściślejszy stosunek obu instytucyj, umożliwił członkom Zakładu podjęcie podróży naukowych, zbadanie archiwum gnieźnieńskiego, tak obfitującego w ważne dla historii krajowej dokumenta erekcyjne, rozpatrzenie najważniejszych kodeksów historycznych w bibliotekach warszawskich ordynacyi Krasieńskich i Zamojskich; ze współdziałania tego wynikło zamówienie wierzytelnych odpisów i podobizn manuskryptów znajdujących się w Rzymie i w Petersburgu, które pomieszczą się w III-m tomie wspomnianych „Pomników”, których druk rozpocznie się niebawem we Lwowie.

Obok tego istotnie pomnikowego wydawnictwa, przygotowuje Zakład wydanie dwóch nader cennych zabytków historycznych. Pierwszym z nich, który w tych dniach już opuści prasę, jest „Autobiografia Jerzego Ossolińskiego”, wielkiego kanclerza koronnego, syna Zbigniewa wojewody sandomierskiego i Anny z Firlejów. Pamiętnik tego męża jest nieoszacowanym zbiorem materyału dziejowego do owych czasów, czy to wtedy, gdy opowiada chłopięce swoje lata

i podróże do Niderlandów i Włoszech, kędy kończył studia, czyli poselstwo swoje do Anglii, gdzie z naiwną otwartością spowiada się ze swoich kłopotów dyplomatycznych. Żywot Jerzego Ossolińskiego, pisany językiem łatwym, dosadnym i wprawnym, rozjaśni niemały epizod dziejów Polski z połowy XVII wieku. W chwili, kiedy to piszę, ukazanie się jego na widok publiczny nakładem Instytutu Ossolińskich, oczekiwane jest z każdą chwilą. Pamiętnik o którym mowa, nie wyczerpuje obfitęj spuścizny literackiej tego wielkiego męża stanu i znakomitego uczonego; Zakład posiada znaczny ich zapas; są tam nieocenione relacye rozlicznych poselstw, jakie Ossoliński sprawował w imieniu Zygmunta III i Władysława IV do dworów zagranicznych, a mianowicie dokładny opis słynnego poselstwa do papieża Urbana VIII w r. 1633; nie mogąc jednak dla braku odpowiednich funduszów publikować odrazu cały ten materiał historyczno-literacki, zamyśla Zakład co roku wydać część onegoż, i obecnie rozpoczął swoje przedsięwzięcie wydaniem „Żywota”.

Niepospolitej również wagi jest wydanie Dyplomatarjusza klasztoru Tynieckiego. Któż nie zna starożytności Tyńca, sięgającej schyłku X-go stulecia? Po zniesieniu przez rząd austriacki tej odwiecznej siedziby mnichów benedyktyńskich, zwieziono tamtejszą bibliotekę wraz z archiwum, liczącem niemniej jak 4,000 dyplomów i podobnych dokumentów, częścią pergaminowych, częścią papierowych do Lwowa, i umieszczono je w latach 1817—1827 w bibliotece Wszczęnicy lwowskiéj. Tutaj po upływie znacznego czasu, odkrył takowe słynny miłośnik i badacz starożytności, jeden z uczonych grutownych a cichych, Aleksander Batowski. Widząc marniejący a tak drogocenny zbiór aktów, które mogą rzucić potężne światło na całe wieki dziejów ojczystych, zabrał on się z całą wrodzoną sobie skrzętnością do kopiowania ważniejszych egzemplarzy, zdejmowania ich podobizn i opisywania pieczęci. Batowski zamierzał przekopiewawszy w ten sposób mozolny całe archiwum tynieckie, wydać takowe następnie, zwłaszcza że tymczasem nadszedł burzliwy rok 1848, w którym zbombardowano Lwów, i obrócono w perzynę gmach uniwersytecki, wraz z całą spuścizną klasztoru. W chwili gdy zaginęły w płomieniach oryginały dyplomatów, urosła w podwójną cenę wartość ich kopij, będących w rękach śp. Batowskiego. Brak funduszów nie pozwolił mu jednak urzeczywistnić ulubionego marzenia i w ten sposób ugrzęzła w mieliznie szlachetna myśl publikacji dyplomatarjusza tynieckiego. Aż w r. 1865 nabył Zakład Ossolińskich całą tę pracę zmarłego już naówczas kopisty od brata tegoż, podopełniał i sprostował ją zestawieniem z niewielką liczbą rozrzuconych po zbiorach prywatnych oryginałów tynieckich; znalazły się takowe w zbiorach hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, w Uniwersytecie Jagiellońskim, toż samo w Lwowskim, a częśćka w Skawinie—i teraz powierzywszy opracowanie całości siłom naukowym, któremi rozporządzą,

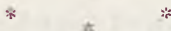
zamyśla je wydać. Rzecz już prawie na ukończeniu. Edycya ta zawrze jednak tylko dyplomaty z dawniejszj epoki, mniej więcj do roku 1506, późniejsze bowiem uznano za mniej ważne.

Obok działu ksiąg i rękopismów, rozwija się w zdumiewająco szybki sposób muzeum Zakładu, zostające pod nadzorem, jak już poprzednio wspomniałem, p. Edwarda Pawłowicza, artysty malarza i wytrawnego znawcy sztuki. Przed zajęciem się jego uporządkowaniem tych zbiorów, nie przynosiły one żadnej prawie korzyści ogółowi, ani też chwały instytucji. Korzystanie z nich było wprost niepodobnym dla braku wszelkiego usystemizowania chaosu różnorodnych przedmiotów z dziedziny sztuki, archeologii, sfragistyki, a nawet z niwy geologicznej i przyrodniczej. P. Pawłowicz poświęcił kilka lat pracy niezmordowanej a zarówno gruntownej znanstwem przedmiotu jak i subtelnym smakiem artystycznym postarał się na złożenie z tych luźnych materyałów całości muzealnej, w której zapanował obecnie rozumny ład, wzorowy system i nawet pewien ujmujący wdzięk układu. Muzeum wraz ze zbrojownią i niewielkim działem przyrodniczym, powstałym z darów Zejsznera i Konstantego z Siemuszowy Pietruskiego, mieści się dzisiaj w siedmiu salach, przepelnionych od góry do dołu przedmiotami. Zbiór to prawdziwie eklektyczny, nie dążący do przyswojenia sobie pewnego odrębnego charakteru, ale owszem garnący pod skrzydła swoje wszystko, co jakakolwiek może posiadać wartość historyczną, pamiątkową lub artystyczną. W jednej, wstępnej sali, spotykamy ciekawe i rokuszące zawiązki muzeum przedhistorycznego; szczególniej Podole Galicyjskie i W. K. Poznańskie złożyły się tu głównie na kilkaset charakterystycznych okazów epoki kamiennj i bronzowj, albo przynajmniej odwiecznej pogańszczyzny. Wypada mi tu wyszczególnić wykopaliska z Lgowa i Śmiełowa w W. K. Poznańskiem, liczące 38 urn, garnków, łzawnic i miseczek, dalej szczątki bojowe z epoki krzemienia, wykopane w mogile na polach Podhoreckich, jakoto siekiery, groty, szczątki ostróg, szable, gwoździe i węgle; podobny zbiór z Hulajpola, wykopany na starém cmentarzysku, w którym podziwiamy zapas spinek bronzowych i paciorek szklanych, koloru żółto-zielonego, białego i czerwonego; również zwraca uwagę miecz starożytny z głowicą w kształcie szabli zakrzywioną; na rękojeści piętno płatnerskie w kształcie miecza z krzyżowym jełcem. Na brzeszczocie, po oczyszczeniu z grubj rdzy, dały się dostrzedz złote gwiazdy po obu stronach; jelec zakrzywiony w literę C a głowica kulista, spłaszczona. Wykopano go w Białej nad Seretem. We Wycinie, w Złoczowskiem, wydobyto i nadesłano do muzeum obok naramiennika bronzowego i takichże bransoletek, narzędzie zagadkowe: trzy kółka bronzowe, na którym wisi wiązka dosyć grubych i ciężkich wieszadełek. Innych ciekawych okazów przedhistorycznych albo pogańskich dostarczyły wykopaliska z Sobieczewska, Połczyna, Nadziejowa, i innych miejscowości W. K. Poznańskiego. Do tego działu zaliczyć wypada trochę etrusków, wykopa-



lisk pompejańskich, wagę starożytną w kształcie amfory rzymskiej, wykopaną na starém cmentarzystku wśród kilkudziesięciu szkieletów, we wsi okręgu Tarnopolskiego, Maksymowie, a wreszcie stare bóstwa pogańskie, rzymskie, japońskie i chińskie. W zbójowni bardzo obfitej i różnostronne wyposażonej zwracają uwagę dwa działa starożytne, jedno z epoki wojen Karola XII-go. Dla uczuć tkliwych na zabytki rodzinnej przeszłości, czyliż nie będą drogiemi takie pamiątki, jak krzesło Piotra Skargi lub Jana Sobieskiego, jak włosy Juliuszu Słowackiego, ucięte mu w godzinę po jego śmierci przez ks. Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, jak liczne pamiątki z wyprawy wiedeńskiej, puchar Jana III, szkatułka z łupów tureckich uzyskana przez królewicza Jakóba i darowana nauczycielowi tegoż, Stanisławowi Mikoszewskiemu? Ten to właśnie dział pamiątek po drogich i znakomitych osobach jest najobfitszym i najcenniejszym: nie silę się nawet ważniejszych rejestrować, bo wszakże całość liczy 1500 przedmiotów. Wszystko się tu kojarzy w dziwną harmonię: porporce, mozaiki, ordery, medaliony, ryngrafy, miecze, tabakiery, dzieła sztuki, meble z XVII i XVIII wieku, emalie i posągi, miedzioryty i kość słoniowa, pierścienie i pieczęcie, materye i gobeliny, insygnia i bogactwa kościelne. Obok wybornie wykonanej kopii sławnych drzwi katedry Gnieźnieńskiej z męcząństwem i śmiercią św. Wojciecha (robotą p. Karola Beyera) spotykamy tu starożytne ikonostasy z cerkwi wołoskiej we Lwowie, obok krzyża z XVII w., z płaskorzeźbą przedstawiającą zwycięstwo nad Turkami i napisem: *cruce victorialis*, widzimy koran arabski z namiotu Kara-Mustafy wyniesiony w r. 1683. Zbiór starożytnych portretów mało której nie posiada wybitniejszej postaci z ostatnich trzech wieków Rzeczypospolitej. Może najciekawszym jednak z tylu drogocennych przedmiotów byłby zbiór autografów historycznych. Mamy tu list Zygmunta Augusta do magistratu lwowskiego z r. 1564, Stefana Batorego do Mik. Firleja, kasztelana brzeskiego, z r. 1585, Maryi Kazimiery do Szczuki, referendarza koronnego; Jana III do Dymitra Wiśniowieckiego z r. 1675, Stanisława Augusta do księżnej Lubomirskiej, datowany z Grodna 20 listopada 1795, królowej Anny z r. 1586 do K. Stanisława Zająca, kasztelana zamku krakowskiego, Gryzeldy z Zamoyckich Wiśniowieckiej z r. 1648, Teofili z Daniłowiczów Sobieskiej, matki Jana III; Napoleona I do ks. Józefa Poniatowskiego, Maryi Antoniny, i mnóstwo innych.

Słowem młodzieuchne to muzeum jest na drodze jak najlepszej, dziś jeszcze nie może ono współzawodniczyć ze zbiorami zagranicznymi tego rodzaju, ale przy powszechném zwróceniu uwagi na jego rozwój, przy umiejętnej i troskliwej pieczy jego dzisiejszych kierowników, ma wielkie widoki szybkiego i wszechstronnego wzrostu. Dla zachęcenia ofiarodawców i utrzymania ciągłego zajęcia w kraju losami młodej instytucji, może nie byłoby od rzeczy, ogłaszać w dziennikach krajowych dary nadesłane do muzeum wraz z nazwiskami dawców.



Mamy więc nową poetkę. O tém już trochę wiecie. Jest nią kobieta, kryjąca się wstydliwie pod pierwszą literą swego nazwiska: Marya B. Poezye tego anonimu obudziły w całej czytającej publiczności naszej prowincyi żywą sympatya, zadając kłom trenodyom, utyskującym na brak ideału w społeczeństwie i upodobania w tém, co piękne a nie materyalne.

I jakież są te poezye, które podobały się dzisiejszój prozie czasów? Czy może schlebają one jaskrawym lub modnym dążeniom chwili? Może dźwięczy w nich nuta popularnego·dziś socjalizmu? Może dały się porwać ich wiotkie skrzydła młodój poetki prądem wielkich, gorączkowych uniesień wieku? Może jest w nich przesyt Heinego; pogardliwa wyniosłość Musseta, gryzący jad Byrona? Wszystko to jest i nie jest w poezyach Maryi B. Zwątpienie tu sięgające aż do żądzы nicestwa, aż do jakiegoś indyjskiego utonięcia w odmętach Nirwany, gorycz, aż do wyrzeczenia się wszelkich spójni duchowych z ziemią posunięta. A jednak czy poezya ta ma w sobie takie pierwiastki rozstroju, które trująco działają na społeczeństwo, przyprawiając o dezorganizacyą psychiczną całe pokolenia? Otóż nie i w tém leży jój wdzięk, jój podniosłość i siła moralna. Znać, że te poezye tworzyła kobieta, i że po nad dysonansem jój zwątpień, unosił się ten cichy, z lilią w ręku a harmonią na czole anioł pokoju, który bywa geniuszem kobiety, symbolem jój natury, łagodnej nawet wtedy, gdy chce przeklinać. Nie mówię o fenomenach kobiecości, ale o tém co nazywamy rodzajem, typem, *genus*. I w ten to sposób, kiedy nasza poetka unosi się krzykiem namiętnym i oczy jój demonicznym chciałyby przerażać blaskiem, to my widzimy tylko srebrną łzę na jój rzesach i melancholijną smętność, błakającą się po liniach oblicza. W ten sposób, wszystko, co nazywamy w psychologii poetów sceptycyzmem, rozstrojem, złamaniem duszy, odnajdujemy w poezyach Maryi B., będącej przecież dzieckiem czasu, a jednak te wszystkie dyssonanse rozwiązują się u niej tak łagodnie, tak harmonijnie, że świat niepotrzebuje żadnych zamąceń spodziewać się od téj duszy, która niczego więcej nie pragnie, jak zgasić płomyk własnego życia i ustąpić w bezcielesną krainę swoich tęsknot, nie przeszkadzając w tém niewinném nawiązywaniu tęcz i jutrzeńek na wstęgę swoich marzeń!...

Niech przyzna sama poetka, czy nie to pragnienie ciszy „poza mgłami,” czy nie ta pogodna rezygnacya, prześwieca z jój strof cu-downych:

Wielkie w mém łonie zaległy ciemnie  
I cisze...  
Rajskie mi sfery nucą daremnie,  
Nie słyszę!...

Żadne mnie cacko na świata targu  
     Nie łądzi,  
 Żadne uczucie duszy z letargu  
     Nie budzi...  
 A gdy na sercu położę rękę,  
     Nie bije...  
 Lecz czuję życia gorycz i mękę:  
     Więc żyję!  
 Zapłakać trudno—zaśpiewać trudno—  
     Ach! po co  
 Nudzić wciąż ludzi tą piosnką nudną,  
     Sierocą!  
 Dla kogo promień miłości złoty  
     Połyska,  
 Nie pojmie łez tych, co żar tęsknoty  
     Wyciska!  
 Widząc szczęśliwych miłością, snami,  
     Nadzieją:  
 Duchy mych marzeń drżą gdzieś za mgłami,  
     Blednieją!  
 Cicho—szalone!... Spłynięcie w mgły szare,  
     Bez wieści...  
 Rzućcie o głązy spełnioną czarę  
     Boleści.  
 I dalej, dalej! bez łyzy, bez jęku,  
     Do końca!  
 W ciszy i mroku, bez pieśni dźwięku,  
     Bez słońca!

Albo to drugie echo duszy, która gdzieś poraniła się srodze cierniami żywota, ale nawet w konwulsjach bólu, raczej milczeniem rezygnacyi niż natarczywą skargą, szuka współczucia:

Niby piekielnych ognisk dym,  
     Chmur nad mą głową czarnych tłum,  
 I cisza... tylko myślom mym  
     Wtórurę głuchy rzeki szum.  
 A myśli te, to już nie sen  
     Jasny, różowych młodych lat!...  
 To już nie raj promienny ten—  
     Nie ów zaklęty marzeń świat,  
 Co pierzchły, jak poranne mgły,  
     Jak topniejący z wiosną śnieg—  
 Co rozplynęły się we łyzy,  
     Albo je uniósł życia bieg!



A myśli te, to już nie są,  
 To nie rozpaczny z losem bój!  
 Co niegdyś w biednym sercu wrzał,  
 Rwać je w namiętny uścisk swój!  
 Nie marzą już, nie walczą już,  
 Skarg nie miotają w niebios sklep,  
 Jak szczątki statku—morskich burz,  
 Siłą rzucone w skwarny step...  
 Nad niemi słońca palny żar,  
 Przed niemi fal zdąsanych są;  
 W przestrzeni ciężki pustyń skwar,  
 A w koło martwych piasków wał!

Poetka ma w duszy jedną siłę, która strzeże ją od rozdarcia wewnętrznego, pomimo, iż czara jej życia przepelnia się brylantami łez nowych, a całą jej istotę owładło jakieś nieokreślone uczucie: „sieroctwo,” tego sieroctwa ducha, jakiego nie stwarza brak rodziców, kochanka, przyjaciół, ale owa tęsknota ideału, czującego się wśród największego zgiełku świata, samotnym... Kto raz się skąpał w tym dalekim błękanie, który dla jednych jest najwyższą prawdą, dla drugich najkłamliwszą mrzonką, temu mimowiednie napływa dusza jakiś uczuciem samotności. Przychodzą mi na myśl słowa Kornela Ujejskiego, któremi młodego chrzci poetę, żegnając go na krążgankach, wiodących do przybytku poezji:

Tam cię ogarną dreszcze przestraszów  
 I bóle rodzicielki,  
 Ale jak Dante wyjdiesz z tych gmachów,  
 Ponury, błąd i... wielki!

Tę błądą ponurość ducha, którą wynieśli ztamtąd, Byron lub Musset, nie mogła skromniej a wdzięczniej przetłumaczyć poetka na swój kobiecy język, jak wyrazem—sieroctwo!

Więc jeszcze raz pytamy, co temu jej sieroctwu, które wystarczy, aby sto ciosów duszy zadawać od poranka do wieczora, daje pewne oparcie, pewien harmonijny spokój? Posłuchajmy tu hymnu, po nad który mało znam strof podniosłej wysławianych:

O! jakżeś ty dobry Boże!  
 Że słońcu świecić pozwalasz;  
 Że mi wieczorne Twe zorze  
 Na cichém niebie zapalasz.  
 Żeś w takie cudne sukienki  
 Przydział łono natury;  
 Że mi tak słodkie piosenki  
 Wiosennę śpiewają chóry!

O jakżeś ty wielki Boże!  
 W stworzenia Twego ogromie!  
 Jak trwożnie sercem się korzę  
 Czując cię wszędzie widomie;  
 Czując na niebie i ziemi,  
 W harmonii, co światy sprzęga,  
 W mądrości, co rządzi niemi,  
 W myśli, co Ciebie osiąga?

O! jakżeś ty mocny Boże!  
 Miłości i prawdy mocą!  
 Co nas przez życia bezdroże  
 Prowadzą, jak gwiazdy nocą:  
 Co leją w rany najkrwawsze  
 Tak błogi balsam pociechy,  
 Że twarz wybranych Twych zawsze  
 W niebiańskie zdobna uśmiechy!

Czuję Cię, widzę i słyszę!  
 O Tobie życia gwar dzienny,  
 Wieczorne mówią mi cisze—!  
 I światów orszak promienny!  
 O Tobie, któremu składam  
 Życie me, czyste cierpieniem,  
 O Tobie, przed którym padam  
 Tém jeduém, wielkiém westchnieniem!

Jaka harmonia posągowa w tym bólu, kojącym się przed majestatem siły, w którą wierzy i której dotknięcie uczuwa poetka. W dzisiejszych czasach ta głęboka, dziecięco-naiwna prawie wiara w Istotę Boga, stanowi rys oryginalny i pociągający w poezjach Maryi B., która téj myśli poświęciła niejednen z najwdzięczniejszych liryków swoich, jak ów np., noszący tytuł: *Mówią mi*, którego ostatnia strofa tém prześliczném kończy się postawieniem jednego z najżywotniejszych problemów czasu:

Mówią mi—o Boże, Boże!  
 Wielki Boże ojców mych!  
 Ty mnie usłyszysz, gdy w pokorze  
 Wołam: oświeć, oświeć ich!  
 Gdzie ich przyszłość? w jakie progi  
 Ten szalony dąży ruch?  
 Co u kresu czeka drogi,  
 Gdzie nie czeka Bóg i duch?

Niewątpliwie talent młodej poetki rozwieliżni się z czasem, rozszerzy horyzont swego natchnienia, dziś jeszcze może za jedno-

stronnie w sferze ściśle podmiotowej czerpiącego osnovę swych uczuć i myśli; serce tak tkliwe i tak delikatnie umiejące chwytać echa natury, boleści serc cichych, tajemnicze ogniwa pomiędzy duszą człowieka a duszą wszechświata; wzbogaciwszy się zapasem potężniejszych wrażeń, widokiem głębszych wstrząśnięć ludzkości, wyda niewątpliwie strofy szersze i ogólniejszego nastroju. Poetka jest jeszcze bardzo młodą, a stosunki nie pozwalały jej dotąd przyzierać się wielkim kwestyom czasu; ale uderzą one o jej czułą duszę i wywołają z niej pieśni, stojące na wyżynie idei, z którymi pasuje się dziś łono świata. W każdym razie takie utwory jak: *Aktorka*, *Do poety salonów*, *Myśli przedślubne*, *Gładyatorów*, *Nie ma mojego anioła*, należą nietylko do najwdzięczniejszych, ale zarazem i do najwznioślejszych liryków naszych.

\* \* \*

Przed kilku dniami opuściła prasę monografia historyczna: „Borys, ustęp z dziejów XII wieku,” przez Kazimierza Górskiego, młodego ucznia dr. Ksawerego Liskiego, o którego wzorowo kierowanej szkole historycznej, pisałem już w ostatniej kronice mojej.

Postać Borysa, naturalnego syna Kolomana węgierskiego (1095—1114) z Eufemii księżniczki ruskiej, nie wielkie ma znaczenie w dziejach sama przez się, gdyż ani mądrością, ani męztwem wojennym, ani cnotami nie zasłynęło to kłótlive i niespokojne książątko. Mimo tego losy jego są istotnie zajmującemi, ponieważ wiążą się z wielką mnogością zdarzeń historycznych, niepospolitego znaczenia dla dziejów Polski, Czech i Węgier. Matka Borysa, odepchnięta przez Kolomana za wiarołómstwo, powiła już za powrotem na Ruś rodziną Borysa i nie ma dotąd śladu pewnego, czyli tenże był istotnie synem Kolomana, czy owocem nieprawych stosunków? Dla Borysa jednak ta niejasność rodowa nie stanowiła przeszkody, ażeby po śmierci Stefana II, syna Kolomanowego, domagać się sukcesji tronu węgierskiego, zajętego tymczasem z woli umierającego bezdzietnie Stefana, przez Belę II ślepego (1131), syna Almosa. Udał się więc Borys z pretensjami swojemi na dwór wstawionego tyłu zwycięztwami Bolesława Krzywoustego, który uwiedziony widokami korzyści jakiby dla Polski ztąd wypłynąć mogły, gdyby na tronie węgierskim zasiadł książę z jej ramienia, przedsięwziął ów cały szereg niefortunnych wypraw do Węgier (1131—1134), które skończyły się smutnym upokorzeniem dla Bolesława, zmuszonego w dalszém następstwie aż w Mersburgu przeproszać za nie cesarza Lotaryusza, wypłacić mu dwunastoletnią daninę za Pomorze i Rugię i nieść goły miecz przed cesarzem udającym się do kościoła. Nieszczęsne te wyprawy z ostatnich lat panowania Bolesława Krzywoustego, zaćmiły świetlane pasmo dawniejszych jego czynów bohaterskich i szczęśliwych wojen. Zawdzięczamy to Borysowi, który w dziesiątek lat później (1146) na taką samą drogę sprowadził margrabię austriackiego Henryka,



a w roku 1155 bizantyjskiego cesarza Emanuela. Obaj ci książęta w podobny jak Bolesław sposób pragnęli wprowadzić na tron węgierski Borysa, łącząc z tém widoki polityczne własnych państw. Wyprawa margrabi Henryka skończyła się sromotną klęską nad Litawą, w dniu 11 września 1146 poniesioną, która należy do najsmutniejszych pamiątek monarchii austriackiej, w klęsce zaś wodza bizantyjskiego Bazylego Zinzilucesa, zginął sam Borys przesyty strzałą najemnego Kumana, służącego we własnym jego wojsku. Prawdziwie tragicznymi są losy tego książęcia, który nietylko, iż pomimo ówczesnego wieku trwających wysiłków, pomimo kołatania do względów najpotężniejszych monarchów ówczesnych, jak naszego Bolesława, jak czeskiego Władysława II, cesarzów niemieckich Lotaryusza i Konrada III, a nawet Ludwika VII francuzkiego i Emanuela Komnena, nie zdołał uzyskać upragnionego tronu, ale nawet, dziwnym jakimś fatalizmem związanym z jego sprawą, w przepaść klęsk i niepowodzeń wtrącał tych wszystkich, którzy się podejmowali jęj bronić.

Praca pana Górskiego oparta na licznych annałach, na kronice węgierskiej Thuroczego, na cenném a niedostatecznie jeszcze zużytkowaném dziele opata z St. Denis i kronikarza wyprawy krzyżowej Ludwika VII, Odon de Diogilo (*De Ludovici VII profectioe in orientem opus septem libellis distinctum*, wydane u Chiffletiusa r. 1660), a następnie na kronikach bizantyjskich Jana Cinnama i Niketasa Choniatesa, ma wszelkie cechy sumiennego i badawczego opracowania; autor starał się zużytkować troskliwie cały materiał historyczny, jaki miał pod ręką, i przysłużył się sprawie dziejów ojczystych wyświeceniem jednego z ciemniejszych, a mniej dotąd rozpatrywanych epizodów. Praca to zresztą pióra początkującego, dlatego nie będziemy strofowali ją o niektóre braki, odnoszące się do metody przedstawienia i toku rzeczy, do grupowania faktów i zgłębiania charakterów dziejowych, gdyż te przymioty zdobywają się dopiero z czasem, gdy się nabędzie większej swobody ruchów i rozległości widoków na niwie historyograficznej.

---

## Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Tajemnice ukryte w kamieniach.—Co nam może o nich powiedzieć mikroskop?  
—Znaczenie tego narzędzia w badaniach minerałów.—Dwa główne rodzaje skał.—Prace Sorby'ego.—Klucz do historii kryształu.—Główne cechy, po których poznać można początek skał.—Poszukiwania podmorskie jako prace przygotowawcze do budowy tunelu, mającego połączyć Francją z Anglią; raport komisyi naukowej.—Proponowany przez de Candolle'a nowy podział roślin na grupy fizyologiczne.—Niedostateczność dotychczasowych systemów.—Główne kategorie grup fizyologicznych.—Co przemawia za tą klasyfikacją?  
—Hypoteza o początku grup fizyologicznych.

Od czasu jak Ehrenberg wykazał z pomocą mikroskopu, że pewne skały składają się prawie wyłącznie ze skorupki drobnych organizmów, bardzo mało zrobiono na tém polu w celu rozwiązania, przy pomocy tego narzędzia, tajemniczych zagadek przyrody. A jednak w budowie skał i minerałów kryje się przed okiem naszym wiele, bardzo wiele rzeczy, któreby mogły być zbadane za pomocą mikroskopu, któreby mogły rzucić światło na początek i rozwój tych skał i minerałów, któreby mogły opowiedzieć nam cudowną historią różnych sił, co przyjmowały udział w wytwarzaniu materyałów, wchodzących w skład naszej planety. Nawet w Anglii przedmiot ten, jak przynajmą sami Anglicy, mało jest uprawiany, zwłaszcza w pismach przystępniejszych dla szerszego koła czytelników. Zaledwie bowiem kiedy niekiedy można się spotkać z artykułem popularniej napisanym <sup>1)</sup>, a i prace specjalne są również nie liczne. Za to w Niemczech prędzej można spotkać się z pracami tego rodzaju. W ostatnich czasach wydano tam kilka ważnych dzieł kwestyi téj dotyczących <sup>2)</sup>.

Większa część prac angielskich jest opisowego charakteru, i dlatego wymaga już pewnej znajomości przedmiotu ze strony czytelnika. Zresztą w téj gałęzi wiedzy o prace popularne jeszcze trudniej, niż w innych. Pewna część uczonych, cała zatopiona w swoich naukowych badaniach, podobna do kasty starożytnych kapłanów egipskich, nie chce wpuścić do świątyni wiedzy zwykłych

<sup>1)</sup> „Popular Science Review” vol. VI, artykuł Dawida Forbes'a pod tytułem: „The Microscope in Geology.” Ibidem, vol. XIV, „On the Microscopical Structure of Rocks,” by J. Magens Mello, F. G. S., President of the Derbyshire Microscopical Society.

<sup>2)</sup> „Untersuchungen über die mikroskopische Zusammensetzung der Basaltgesteine,” von F. Zirkel, Bonn, 1870. „Mikroskopische Beschaffenheit, der Mineralien und Gesteine,” 1873, przez tegoż. „Mikroskopische-Physiographie der petrographisch wichtigen Mineralien,” von H. Rosenbusch. Stuttgart, 1873 rok.

śmiertelników, odmawiając im nawet zdolności rozumienia tych rzeczy; inni z ochotyby to uczynili, ale ci prowadzić tylko badania są w stanie, nie umiejąc rezultatom, do jakich dochodzą, nadać nie tylko pojętną, ale nawet przystępną formę. Następstwem tego jest, że czytelnik, widząc się na każdym kroku otoczonym zagadkami, potrzebującymi objaśnień i uwag, zapomina o wielkiem znaczeniu podziału pracy, zniechęcony rzuca książkę i wynosi to mylne przekonanie, iż aby rozumieć dany przedmiot, koniecznie potrzeba samemu dokonywać całego szeregu doświadczeń. Gdyby tak było rzeczywiście, wszelki postęp w naukach stałby się niemożliwy; uczony badający swój tylko specjalny przedmiot, nie chcący nic więcej wiedzieć, nie interesujący się niczem więcej i nieprzyznający sobie żadnego prawa do sądzenia o innych gałęziach wiedzy, byłby rzemieślnikiem niezdolnym do posuwania naprzód postępu nauki, do wykonania pewnego ulepszenia w swoim zawodzie, a pojedyncze gałęzie wiedzy, w których uczeni dziś, dzięki łączności, jaka między temi gałęziami istnieje, do zdumiewających doszli rezultatów, popadłyby znowu w wiekowe odrętwienie.

Ale powróćmy do rzeczy, od której na chwilę odbiegliśmy.

Opierając się na pracach najnowszych, dokonanych na tém polu, postaramy się wykazać czytelnikom w niniejszej notatce, czego dokonać może mikroskop w odkrywaniu tajemnic przyrody.

Dla uczonogo badacza natury—powiada w cytowanej wyżej pracy, prezes Towarzystwa mikroskopowego, Magens Mello <sup>1)</sup>—nie ma skały, któraby, przy dostatecznem badaniu, nie powiedziała coś o swojej historii. Większa część ich objawia już pewien ułamek swojej historii nieuzbrojonemu oku, i nawet niewtajemniczonemu w rezultaty nauki jedno spojrzenie powiada niekiedy odrazu, że konglomerat, czyli zlepieniec, musiał przyjść do swego obecnego stanu pod działaniem wody. Tak samo rzecz się ma z większą częścią piaszczowców i wielu innych skał. Historią życia tych skał, jako téż większej części wapieni, opowiadają nam w podobny sposób ich szczątki kopalne, które zazwyczaj są dosyć wielkich rozmiarów, aby nie miały być widziane bez pomocy narzędzi powiększających. Ale jeżeli pójdziemy dalej, jeżeli badać będziemy poprzednią historią części składowych takich skał, samo oko nie wiele nas nauczy. Dopiero przy pomocy mikroskopu odszukujemy historią, wypisaną na najdrobniejszej cząstce, na ziarnku wziętém z danej skały. Z pomocą tego narzędzia możemy się dowiedzieć, czy pewna skała, której budowa jest zbyt drobna, aby mogła być bez niego zbadaną, ma być zamieszczoną w szeregu skał powstałych drogą wodną, czy téż tych, które są ogniowego pochodzenia; możemy się dowiedzieć, czy taka a taka skała winna swój początek stanowi płynnemu, powstałemu działaniem ognia, czy téż sublimacyi; czy podlegała wszystkim tym

<sup>1)</sup> „On the Microscopical Structure of Rocks,” 1875, London.



trzem wpływom: płynności ogniowej, sublimacyi i działaniu wody gorącej, jednocześnie czy też z kolei; można nawet zebrać pewne wskazówki co do wysokości ciepła i ciśnienia, jakim skała dana ulegała w biegu swego tworzenia się. Również mikroskop służy do wykazania drobnych organizmów, jakimi są otwornice, okrzemki, słabe ślady roślinne w skałach, w których bez jego pomocy nic odkryć nie można.

Uczeni dzielą skały na dwie wielkie klasy: ogniowe i wodne. Częstokroć trudno jest odróżnić między sobą dwa te rodzaje skał nieuzbrojonym okiem. Niektóre drobno-ziarniste piaskowce, z pierwszego wejrzenia wydają się oku naszemu bardzo mało różne od niektórych skał ogniowego pochodzenia, i odwrotnie; nawet analiza chemiczna niekiedy nie wykaże tej różnicy. Ale jeżeli poddamy cienką blaszkę takiej skały badaniu za pomocą mikroskopu, trudność w jednej chwili zniknie.

Skały ogniowe najwięcej zwracały na siebie uwagę mikroskopistów: zmienność ich budowy, różnaitość minerałów je składających, wielki interes przywiązany do ich historii, nadają im szczególnie wybitne stanowisko. Są one po większej części budowy krystalicznej, chociaż jednocześnie zauważyć należy, że wiele skał krystalicznych, albo części skał, wzięło bezpośrednio początek z roztworu wodnego. Gips, sól kamienna oraz niektóre formy kwarcu mogą służyć tu za przykład. Ale we wszystkich tych przypadkach, te które powstały drogą wodną, łatwo mogą być odróżnione za pomocą mikroskopu od tych, których początek jest ogniowy. Jakim sposobem tego dokonać? Chwilkę cierpliwości, a zaraz rzecz się wyjaśni. W znakomitej pracy swojej: *On the Microscopic Character of some Crystals*, Sorby <sup>1)</sup> zwraca szczególną uwagę na pewne drobniutkie wydrążenia, które prawie niezmiennie dają się odkryć nawet w najmniejszych kryształach, i pokazuje nam profanom, nie prowadzącym podobnych poszukiwań, dlatego jedynie że nam brak na to czasu, ale pomimo to zdolnym rozumieć otrzymane na tém polu rezultaty, w jaki sposób te mikroskopijne wydrążenia mogą dostarczyć klucza do zrozumienia historii kryształu. Wydrążenia te dzieli na cztery klasy: wodne, gazowe, kamienne i szklane (*water, gas, stone and glass cavities*). Wydrążenia wodne czyli płynne można często widzieć w kwarcu, i zawierają one w ogóle drobną bańkę, pochodzącą ze ściągnięcia się płynu w czasie oziębiania. Kiedy widzimy poruszające się te bańki, jak to często ma miejsce, dostarcza to nam dowodu, że wydrążenie zawiera płyn. Różnica pomiędzy wydrążeniami płynnemi, czyli właściwiej wypełnionemi płynem, a temi, które zawierają jedynie powietrze lub gaz, jest wyraźna; pierwsze bowiem są prawie niewidzialne za pomocą światła odbitego, ostatnie zaś jaśniejają świetnym światłem. Wydrążenie zawierające nieruchomą bańkę, albo bańki, jest prawdo-

<sup>1)</sup> „Journal of Geological Society,” vol. XIV.

podobnie wydrążeniem wypełnioném szkłem, a otaczający pas jest również szerszy, niż w przypadku wydrążenia płynnego; jasny środkowy punkcik jest prawie dwa razy większy w wydrążeniach wypełnionych płynem, niż w wydrążeniach zawierających szkło. Wydrążenia, które wypełnione są kryształami, nazywają mikroskopisci wydrążeniami kamiennymi.

Dokonany cały szereg bardzo starannych doświadczeń, doprowadził uczonych do następujących głównych wniosków:

1) Kryształy posiadające tylko wydrążenia zawierające wodę, więcej lub mniej nasyconą rozmaitemi solami, utworzone zostały przez osadzenie się z roztworu w wodzie.

2) Kryształy zawierające tylko wydrążenia szklane lub kamienne, utworzone zostały przez osadzenie, się z substancji, znajdującą się w stanie roztopienia ogniowego.

3) Kryształy zawierające same tylko wydrążenia gazowe utworzone zostały przez sublimacją, albo przez przeprowadzenie w stan stały stopniowój jednorodnej substancji, chyba że to są wydrążenia płynne, które straciły swój płyn.

4) Kryształy posiadające wydrążenia płynne, zawierające zmienną ilość kryształów i stopniowo przechodzące w wydrążenia gazowe, utworzone zostały za wpływem kolejnej obecności płynu i gazu.

5) Kryształy, w których znajdują się wydrążenia zawierające wodę, oraz wydrążenia zawierające szkło i kamień, utworzone zostały pod wielkiem ciśnieniem, przy połączoném działaniu rozpuszczenia ogniowego i wody.

6) Kryształy, które posiadają dwa ostatnie charaktery, utworzone zostały pod wpływem wielkiego ciśnienia, przy współdziałaniu roztopienia ogniowego, rozpuszczenia wodnego i sublimacji gazowój.

7) Przy innych tych samych okolicznościach, kryształy zawierające mało wydrążeń, utworzone zostały wolniej niż te, które zawierają ich więcej.

Wyliczone powyżej zasady znajdują bardzo ważne zastosowanie i mogą rzucić wielkie światło na początek każdego pojedynczego kryształu. Przy ich pomocy jesteśmy w stanie zaliczyć gips, sól kopalną i wiele innych ciał, do minerałów utworzonych drogą wodną; możemy dowieść, że niektóre odmiany kwarcu utworzone zostały bezpośrednio z roztworu wodnego. Takie np. formy kwarcu, jak chalcedon, liczne odmiany agatu i jaspisu, mają początek wodny. Wszystkie dawne skały trapowe, nowsze bazalty, oraz nowożytnie trachity i lawy, jak znaleziono, mają charakter wspólny; a natura ich wydrążeń, jaką odkrywa nam mikroskop, dowodzi, że miały wspólny początek—stan ogniowego roztopienia. Tą samą drogą przekonać się można, że skały granitowe powstały pod połączonym wpływem trzech wymienionych wyżej czynników: ogniowego roztopienia, rozpuszczenia wodnego i sublimacji gazowój.

Mikroskop jest wielką pomocą dla badacza przy oznaczaniu natury minerałów, składających massy skalne: minerały znajdują się często albo w tak małych ilościach, albo w tak drobnych postaciach, że nieuzbrojone oko nie wystarcza do ich odróżnienia. Mikroskopijna budowa większej części minerałów dostarcza cech charakterystycznych, przy pomocy których można je bardzo łatwo pomiędzy sobą odróżnić. Wiele skał ma tak drobno-ziarnistą budowę, że bez mikroskopu niepodobna jest dowiedzieć się czego o ich składzie. Jak tylko zdeterminowaną zostanie budowa skały, czyto krystalicznej, czy innej, otrzymujemy klucz, który pozwala nam wykryć sekreta sposobu tworzenia się, oraz początku samej skały.

Wyświetliwszy kwestyą tę, nie przechodzimy do szczegółów, gdyż chcielibyśmy tylko dać czytelnikom ogólne wyobrażenie o tego rodzaju badaniach i o ich wielkiej doniosłości.

\*

\*

Od budowy skał, od geologii i mikromineralogii do tunelu podmorskiego przeskok nie wielki.

Bardzo ważne sprawozdanie, odnoszące się do tunelu podmorskiego, mającego połączyć Francją z Anglią, ogłoszone zostało przez Towarzystwo, zajmujące się tém wielkiem dziełem XIX wieku <sup>1)</sup>, przechodzącém o wiele, pod względem trudności wykonania, kanał Suezki i wielką drogę żelazną Oceanu Spokojnego. W sprawozdaniu tém podane zostały rezultaty szczegółowego badania wybrzeża francuzkiego, oraz sondowań, dokonanych na kanale Kaletańskim w ciągu jesieni 1875 roku.

Wiele mówiono o tunelu pod tą cieśniną, wiele podawano projektów co do wykonania tego wielkiego dzieła, ale tylko jeden z nich otrzymał ogólne uznanie, t. j. projekt inżyniera J. Hawkshaw, który proponuje poprowadzić tunel od South Foreland do Sangatte. Jeszcze w roku 1864, z polecenia Sir J. Hawkshawa, E. C. H. Day dokonał, jak wiadomo, geologicznego badania sąsiednich wybrzeży w celu otrzymania pewnych wskazówek. Na podstawie tych badań przygotowana mappa wydana została przez Towarzystwo. Dokonane w następstwie świdrowania nie były bardzo pomyślne; sondowania również nie doprowadziły do stanowczych rezultatów.

Taki był stan rzeczy, kiedy Towarzystwo wzięło przedsięwzięcie to w swoje ręce. Koncessya zawotowaną została przez Zgromadzenie Narodowe d. 2 sierpnia r. z., podpisana przez Mac Mahona w d. 5 tegoż miesiąca; ale Towarzystwo, wyprzedzając rezultat tego głosowania, rozpoczęło roboty jeszcze w lipcu. Przy pomocy rowca rozpoczęło sondowania. Liczba sondowań zmieniła się, stosownie do okoliczności; średnio wynosiła 70 do 80 na dzień, ale dochodziła niekiedy do 100. Komissyą naukową do tych badań składali: La-

<sup>1)</sup> Chemin de Fer Sous-Marin entre la France et l' Angleterre. Rapports sur les sondages exécutés dans le Pas de Calais en 1875, Paris 1875.



valley prezes, Lapparent geolog, Larousse hydrograf, wreszcie panowie Delesse i Poitier. Położenie statku przy każdej obserwacji było dokładnie oznaczane. Każda zebrana próbka była znaczona i przesyłana do Paryża celem szczegółowego zdeterminowania. W ogóle dokonano 1522 sondowania, dobyto 753 okazów dna, z których 335 zostały dokładnie zdeterminowane.

Nie możemy tu przytaczać szczegółowych rezultatów, bo te wychodziłyby poza zakres popularnego sprawozdania. Komissya bardzo szczegółowo badała skały nadmorskie od strony Francyi, i rezultat tych badań stanowi oddzielny rozdział w raporcie, w mowie będącym. W r. 1819, W. Phillips ogłosił opis tych skał po obu stronach kanału. Sprawozdanie nie szczędzi słów uznania tej dawniej pracy prof. Phillips, powiada jednak, że od tego czasu geologowie angielscy nic więcej nie zrobili. O ile zdanie to jest słuszne, osądzą bezstronni specjaliści. Sprawozdanie zawiera wielką kartę, wykazującą pozycje wszystkich sondowań, oraz liczne rysunki w tekście. Specjalne dzienniki angielskie, które o przychylność i stronność dla Francuzów posądzić nie można, uważają sprawozdanie to za najcenniejszą publikacją, jaka dotąd ogłoszoną została o tym ważnym przedmiocie.

Od badań geologicznych i mikroskopowych przejdźmy w dziedzinę botaniki i powiedzmy z kolei słówko o nowym podziale roślin na grupy fizyologiczne, którego autorem jest Alfons de Candolle.

Dotąd łączono ze sobą rośliny według ich cech botanicznych, t. j. ich form i rozwoju tych form, albo według ich rozmieszczenia geograficznego. Metoda pierwsza prowadzi do klass, rodzin, rodzajów, gatunków; metoda druga, do flor obecnych albo dawniejszych. Żaden z tych dwóch systemów nie daje się stosować w sposób zadawalający, do geografii botanicznej dawniej, albo do ogólniejszego badania kolejnego następstwa pomiędzy florami.

Formy zmieniały się przy przejściu od jednej epoki do drugiej. Pewne rodzaje przestały istnieć, pojawiły się inne. Im więcej odkrywać będziemy dawnych form kopalnych, których istniały całe miliony—powiada Alfons de Candolle w obszerniej rozprawie, ogłoszonej nie dawno drukiem pod tytułem *Grupy fizyologiczne w królestwie roślinném* <sup>1)</sup> a której treść podajemy czytelnikom w niniejszym sprawozdaniu—tém mniej wystarczające będą nasze ramy klasyfikacyjne. Przejścia z każdym dniem dostarczać będą więcej kłopotów, że już nie powiemy nic o niedogodności łączenia w rodzaje i familie form, które były stanami kolejnymi przynajmniej według bardzo dawniej teoryi, iż każde jestestwo organiczne wzięło początek z jestestwa organicznego poprzedniego.

<sup>1)</sup> „Les groupes physiologiques dans le règne végétal,” par Alphonse de Candolle, 1875. Rozprawa ta drukowana była poprzednio w jedném z czasopism genewskich, noszącym tytuł: „Archives des sciences physiques et naturelles.”

Grupowanie według krajów również nie prowadzi do niczego. Wszelkie usiłowania w tym kierunku wykazały, że istnieje bardzo mało okolic zupełnie odrębnych. Rzeczywistość grup geograficznych, zwierząt i roślin, spoczywa na dwóch przyczynach, które sprowadziły obecny stan rzeczy: poprzedni rozdział jestestw i warunki fizyczne obecne. Przyczyny te zmieniały się. Nie jedna grupa, dziś odosobniona, była dawniej w zetknięciu z inną. W pewnej okolicy jest dziś klimat taki, który kiedyś istniał gdzieindziej. Najwłaściwsze wyróżnienia dla flor obecnych nie są odpowiednie dla okresów innych, nawet dosyć bliskich. Tak np. roślinność brzegów morza Śródziemnego rozciągała się aż do Paryża w początku okresu obecnego, i flora arktyczno-alpejska, rozdzielona dziś pomiędzy okolice biegunowe i szczyty gór Europy, panowała na płaszczyznach w ciągu wielkiego rozszerzenia się lodowców, będąc już raz rozdzieloną w sposób dzisiejszy. Roślinność Stanów Zjednoczonych południowych posunęła się od 35° do 60° szerokości, a flora międzyzwrotnikowa zbliżyła się aż do Londynu w początku epoki trzeciorzędowej. Obecne więc grupy geograficzno-botaniczne nie zgadzają się z badaniem historii roślin: tracą one znaczenie i wartość w miarę tego, jak przedstawiamy epokę bardziej oddaloną od naszej.

Nie lepszej podstawy dostarcza geologia. Florę morza Śródziemnego możnaby nazwać plioceniczną, gdyż szczególnie zbliża się do flory południowych pokładów pliocenicznych Francji i północnych Włoch przed nastaniem okresu lodowego; ale podobna flora odszukana została w pokładach miocenicznych, w okolicach Gdańska i na Szpicbergu, odpowiadająca epoce, w której klimat tych okolic był nie tak zimny, jak obecnie. Ręka w rękę ze zmianą klimatu szła zmiana form świata roślinnego.

Z tych względów znakomity botanik francuzki postawił następujące pytania: czy grupy oparte na własnościach fizjologicznych roślin względem warunków zewnętrznych nie miałyby więcej powodzenia? Czy te grupy istnieją? Czy są różne od grup, opartych na formach albo na rozmieszczeniu geograficznóm? Nakoniec, czy są nie już stałe, gdyż nic niema bezwzględnie stałego, ale obdarzone pewną trwałością, w obec zmian formy i okoliczności otaczających?

W odpowiedzi na te pytania, de Candolle zaznacza przedewszystkiem, że zwracając uwagę na sposób zachowania się roślin względem ciepła i wilgoci, odróżniamy pięć wielkich kategorii, prawie zupełnie zgadzających się z podziałami geograficznymi, a z których cztery powtarza się na obu półkulach. Jest jeszcze szóstą kategorię, ale ta dotyczy tylko małej liczby roślin.

Pierwszą kategorię stanowią liczne gatunki, potrzebujące do swego istnienia wiele ciepła i wilgoci. De Candolle daje im nazwę roślin megatermicznych (*Mégathermes*) <sup>1)</sup>. Są to rośliny, istniejące

<sup>1)</sup> Wyraz ten pochodzi od słów greckich μέγας wielki i θερμός ciepło.

dziś pomiędzy zwrotnikami, na płaszczyznach, niekiedy aż do 30° szerokości, w dolinach ciepłych i wilgotnych. Średnia temperatura tych okolic nie jest niższą nad + 20° C. a deszczów tam nigdy nie brakuje. Rośliny, które poprzedziły tę kategorię, pod formami już to identycznymi, już też podobnymi, były nierównie więcej rozpowszechnione. W okresie bardzo odległym, musiały istnieć we wszystkich częściach ziemi, ale w początku okresu trzeciorzędnego skoncentrowały się w pasie, który zbliżył się coraz bardziej do pasa równikowego. Ze stanowiska cech botanicznych rośliny te są nadzwyczaj rozmaite. Gatunki ich różnią się prawie zawsze przy przejściu z Azji do Afryki i Ameryki, a liczba ich jest znaczna w każdym z obecnych podziałów krajów międzyzwrotnikowych. Pod względem organów roślinności, stanowiących tylko część cech botanicznych, przedstawiają wiele jednostajności. Są to po większej części rośliny drzewne albo rośliny pnące się (lianes), o liściach trwałych i rozwiniętych. Liczą niewiele roślin zielonych, a nadewszystko rocznych. Familie, które tu przedstawione są przez wielką liczbę gatunków, jak ostromleczowate, storczykowate i t. p., istnieją również w innych kategoriach roślin.

Drużga kategoria roślin wymaga bardzo wiele ciepła, podobnie jak rośliny kategorii poprzedzającej, ale jednocześnie wymaga suszy. Tym botanik francuzki daje nazwę *Xerophiles*, czyli lubiących suszę. Istnieją one obecnie w okolicach gorących suchych, pomiędzy 20°—25°, 30°—30° szerokości, po obu stronach równika, to jest w pasie suchym, rozciągającym się od Kalifornii i Texas do wyżyny Meksyku, od Senegalu do Arabii i rzeki Indu, w całej prawie Australii, oraz w suchych okolicach La Platy, Chili, Peru i Andów. Rośliny te znajdują się również w suchych miejscowościach Brazylii, w okolicach morza Śródziemnego, Indyj, Chin i t. d. Są bardziej rozrzucone obecnie, niż rośliny kategorii poprzedniej. Obejmują wielką masę roślin złożonych (compositae), wargowych (labiatae), liliowatych, palm, mirtowatych, ostromleczowatych i t. d. Obejmują mało drzew i roślin rocznych, ale wiele krzewów o korzeniach cebulowatych, które pozwalają im opierać się wpływowi suszy. Obfite są tu rośliny tłuste (kaktusowate w Ameryce, ostromleczowate w Afryce, figowate na przykładu Dobrej Nadziei). Liście są wązkie, mocne; bywają albo trwałe, albo też opadają, prawie zawsze w porze bardzo suchéj.

Przyczyny powodujące wielką suchość poza pasem deszczów międzyzwrotnikowych, nie są właściwe naszej epoce, ale ponieważ rozdział mórz i wyniesienie pewnych okolic nad poziom morski ulegały zmianie, to prawdopodobnie i susza zmieniała się również, a wtedy i rośliny te zmieniały miejsce pobytu. Kańcuch Andów, który obecnie stanowi jeden z ich środków, uważany ze stanowiska geologicznego, nie jest bardzo dawny; wyżyny Meksyku, Persyi, nie były może zawsze tak suche; pustynia Sahara przed niezbyt dawnym czasem była morzem, którego brzegi musiały być dosyć wilgotne. Na



nieszczęście, paleontologia okolic, gdzie istnieje obecnie ta kategoria roślin, jest bardzo mało znana, i jeżeli rośliny te zmieniły miejsce pobytu, to nie posiadamy jeszcze dowodów, które pozwoliłyby to stwierdzić. W braku roślin kopalnych Senegalu albo Arabii, zauważyć możemy nowe rozszerzenie się roślin tej kategorii w okolicy morza Śródziemnego. Gatunki tej okolicy, które stają się rzadkie albo giną, są z natury tych, co nie znoszą suszy, a te co je zastępują, przeciwnie, stosują się do klimatu suchego.

Trzecia wielka kategoria roślin wymaga ciepła umiarkowanego, którego średnia temperatura roczna wynosi 14 do 20 stopni Celsjusza. De Candolle daje im nazwę *mezotermicznych* (*Mésothermes*), to jest roślin wymagających średniego ciepła. Stanowią one obecnie wielką ilość gatunków, rosnących w okolicach morza Śródziemnego, w północnych i niezbyt wzniesionych okolicach Indyj, Chin i Japonii, Kalifornii, Stanów Zjednoczonych południowych, wysp Azorskich i Madery, z wyłączeniem jednak gór tych różnych krajów; w końcu doliny i płaszczyzny niskie półkuli południowej, w Chili, Montewideo, Tasmanii, Nowej Zelandyi. Odszukać je można pomiędzy zwrotnikami, na spadzistości gór, ale na słabym wzniesieniu.

Rośliny tej kategorii zwracają na siebie uwagę obfitością gatunków drzewnych o liściach twardych, gatunków rocznych albo dwuletnich, oraz różnaitością familij, rodzajów i gatunków prawie tak wielką, jak rośliny pierwszej kategorii. Istniały one pod formami podobnemi w początkach okresu trzeciorzędowego, aż do Szpicbergu, jak to okazujesz się z badań dokonanych nad roślinami kopalnemi przez Heera. Odszukano je również w Ameryce północnej, i dowiedzioném jest prawie, że obecne flory Stanów Zjednoczonych południowych i Japonii zbliżyły się kiedyś na północy, pod wpływem klimatów umiarkowanych, według hipotezy Asa Gray'a <sup>1)</sup>.

Czwarta kategoria obejmuje rośliny klimatów umiarkowanych, których średnia temperatura roczna zawarta jest między 14° a 0°. Tym botanik francuzki daje nazwę *mikrotermicznych* (*Microthermes*), czyli roślin wymagających małego ciepła. Rośliny te cechują się głównie tém, iż wymagają mało ciepła w lecie, oraz że nie wiele im szkodzą mrozy w porze zimowej. Są to gatunki naszych płaszczyzn europejskich, od Alp aż do przyłądka Północnego; gatunki azyatyckie, pomiędzy Kaukazem albo Himalajami a 65°; gatunki Ameryki Północnej pomiędzy 38°—40° a 60°—65°, a na drugiej półkuli rośliny południowej części Chili aż do przyłądka Horn, wysp Kerguelen, Kampbell, gór Nowej Zelandyi, do pewnego wyniesienia nad poziom morza.

Obecna miejscowość roślin mikrotermicznych, na naszej półkuli, zajęta była kiedyś przez rośliny mezo- a nawet megatermiczne. W następstwie, kiedy zostały rozdzielone, jak obecnie, przy tych sa-

<sup>1)</sup> „On the botany of Japan,” 1859.

mych gatunkach, wyparte zostały wpływem okresu lodowego. W końcu znalazły się w pasie, w którym je obecnie widzimy. Te wędrowniki, zdaniem de Candolle'a, usprawiedliwiają użycie takiego terminu jak rośliny mikrotermiczne, zamiast wyrażenia flora europejsko-amerykańska, która zresztą nie dałaby się stosować do innych okolic o podobnej roślinności.

Piątą grupę fizyologiczną stanowią rośliny dziś arktyczne lub antarktyczne, które rozmieszczone są również na wysokościach gór okolic umiarkowanych. Są to rośliny poprzestające na bardzo małym cieple, i dlatego de Candolle daje im nazwę *hekestotermicznych* (Hékistothermes).

Wymieniona wyżej cecha nie jest jedyną, jaka je wyróżnia. Mogą znosić długo nieobecność światła w ciągu pory zimnej, co ma miejsce na górach i na północy, skutkiem nagromadzenia się śniegu, a oprócz tego, w tej ostatniej okolicy skutkiem długiej kilkomiesięcznej nocy. Rośliny tej kategorii liczą zaledwie do 4000 gatunków. Żadna familia nie należy do nich w zupełności, ale mchy, porosty, trawy, rośliny krzyżowe i złożone mają w niej stosunkowo licznych przedstawicieli.

Wymienione wyżej grupy fizyologiczne de Candolle'a przedstawiają się pod względem rozmieszczenia geograficznego w naszej epoce, w porządku następującym, jeżeli iść będziemy od jednego bieguna do drugiego, pomijając góry i miejscowości wyjątkowe i wyróżniając obie półkule:

Rośliny	hekestotermiczne	północne
—	mikrotermiczne	—
—	mezotermiczne	—
—	lubiące suszę	—
—	megatermiczne	po obu stronach równika
—	lubiące suszę	południowe
—	mezotermiczne	—
—	mikrotermiczne	—
—	hekestotermiczne	—

Ostatnia grupa nie jest wcale geograficzną i obejmuje obecnie rośliny bardzo wyjątkowe. Jest tu mowa o gatunkach, które wymagają bardzo mocnego ciepła, to jest średniej temperatury rocznej przeszło + 30° C. Tym de Candolle daje nazwę *megistotermicznych* <sup>1)</sup>. Istniały one w pierwszych epokach geologicznych, kiedy panowało wielkie ciepło; kształty ich były prawdopodobnie bardzo proste, a miejscowości, jakie zamieszkiwały, bardzo rozległe. Wodorosty, paprocie, widłaki, skrzypy formacyj węglowych były, że tak powiemy, ich dalszym ciągiem.

Niezgodność pomiędzy formami i własnościami fizyologicznymi pod względem warunków zewnętrznych, naprowadza de Candolle'a

<sup>1)</sup> Od μέγιστος bardzo wielki.

na myśl, że niema bezpośredniego związku, to jest związku, jaki istnieje między przyczyną a skutkiem, pomiędzy temi dwoma rodzajami zjawisk. Byłaby tu raczej, według jego zdania, zależność wspólna jakiejś przyczyny ogólniejszej, wpływającej na nie, i przyczyną tą wydaje mu się dziedziczność. Pewien gatunek ma pewną formę dlatego, że przodkowie jego mieli formę albo taką samą, albo też podobną; podobnież gatunek ten miałby pewne własności fizyologiczne zależne od klimatu, gdyż warunki zewnętrzne, jakie mu nałożone zostały w ciągu nieograniczonej liczby wieków, przez sam fakt jego pobytu geograficznego, nie pozwoliły rozwinąć się innym własnościom, i zapewniły dziedziczność tych, które mu pozwalały żyć. Kwestyą tę de Candolle tłumaczy na gatunku pieprzu zwanym *Piper longum*. W podobny sposób objaśnia, czém się to dzieje, że flory, poddane bardzo szczególnym warunkom klimatu, nie przedstawiają, w ogóle swoich gatunków, żadnej szczególnej cechy wyróżniającej.

Z kolei de Candolle zajmuje się kwestyą, o ile proponowane grupy fizyologiczne zgadzają się z danemi geografii botanicznej, popierając twierdzenie swoje praktyką ogrodniczą. W przypadku nowego gatunku, ogrodnicy traktują go według jego kraju rodzinnego, zwracając na tę okoliczność więcej uwagi, niż na cechy botaniczne, albo na organa vegetacyi. Gdyby wiedzieli zawsze, na jakiej wysokości rośnie dana roślina w swoim kraju rodzinnym, czy pochodzi z okręgu północnego, czy też z południowego, mogliby lepiej kierować swojemi doświadczeniami. Otóż ogrodnicy, powiada de Candolle, mają zupełną słuszość, gdyż długi pobyt w pewnym kraju był dla pewnego gatunku niejako szeregiem doświadczeń co do warunków klimatu. Roślina pochodząca z Chin północnych powinna znosić zimę paryżką, gdyż zima w Pekinie bywa nierównie ostrzejsza. Przeciwnie, gatunek przebywający od wielu tysięcy lat na wyspie Św. Heleny, gdzie nigdy nie doznał niższej temperatury, nie zniesie temperatury południowej Europy, gdyż osobniki, któreby były silniejsze od innych w ciągu wieków na wyspie Św. Heleny, musiałyby tam zginąć, gdyby termometr zniżył się tylko do  $+18^{\circ}\text{C}$ , i nie zostawiłyby potomków, zdolnych wytrzymać w Europie  $+10^{\circ}$ , a bardziej  $+6^{\circ}\text{C}$ .

Dziedziczność, jój anomalie i wybór powinny zatem wytwarzać pewną zgodność pomiędzy własnościami fizyologicznemi a klimatem, t. j. między grupami fizyologicznemi, a grupami geografii botanicznej. Jeżeli w szczególnych przypadkach nie dostrzegamy zawsze tej zgodności, przypisać to należy złym klasyfikacyom geograficznym wielu dzieł, np. pomieszaniu w jednej florze miejscowości różnego wyniesienia, albo co gorzej, stosowaniu rozgraniczeń politycznych zamiast granic fizycznych. Zresztą w okolicy najnaturalniejszej i najlepiej określonej, bywają bardzo wielkie różnice miejscowe, czém objaśnia się istnienie obok siebie roślin, należących do różnych grup fizyologicznych, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, mówiąc o wybrzeżach morza Śródziemnego.



Nieemożność ustanowienia grup geograficznych, zupełnie prawdziwych i czystych, obok téj okoliczności że klimat zmieniał się dla każdej okolicy przy przejściu od jednego okresu do drugiego, podług opinii de Candolle'a przemawia na korzyść proponowanych przez niego grup fizyologicznych. Określenie ich jest jasne, kiedy trzymamy się wielkich warunków ciepła i wilgoci. Trwanie ich jest dłuższe niż trwanie klimatu każdej okolicy, a nawet form, chociaż bez wątpienia warunki zewnętrzne, sprzyjając pewnym modyfikacyom i stając się szkodliwemi dla innych, ostatecznie wpływają na formy i własności fizyologiczne. Co większa, przy pomocy tych grup łatwiej i ściślej określić i roztrząsać się dają fakta geografii botanicznej, tak dawniej jak i nowszej, ze stanowiska praw ogólnych.

Ale w kwestyie tego rodzaju nie możemy się wdawać na tém miejscu, raz dlatego, że to rozszerzyłoby zanadto ramy artykułu sprawozdawczego, a powtóre dlatego, że musielibyśmy przytaczać wiele faktów, odstąpić od ogólnego sposobu traktowania rzeczy, którego o ile to jest możliwe, trzymać się chcemy. Nię możemy jednak niezwrócić uwagi na jedną okoliczność, którą de Candolle kończy swoją piękną rozprawę.

Hipotezy o kolejném powstawaniu klass, familij, gatunków, zajmują bardzo naturalistów; ale i hipotezy dotyczące początku grup fizyologicznych nie są mniej interesujące, a mają tę wyższość iż są nie tak ciemne.

Jeżeli zgodzimy się na przyjętą, przez fizyków opinią prawie równą i dosyć wysokiej temperaturze kuli ziemskiej w epoce odległej, po której nastąpiło bardzo powolne oziębienie i rozdział na klimaty w ciągu niedającego się obliczyć szeregu wieków, to należy przyjąć w okresie bardzo dawnym jedną tylko kategorią fizyologiczną roślin, t. j. roślin megistotermicznych. Ztąd wzięłyby początek rośliny okresu węglowego, jeszcze nie wiele różniące się między sobą w porównaniu z roślinami okresów następnych. Zdaje się że były to rośliny megatermiczne, a niekiedy mezotermiczne, gdyż paprocie i rośliny iglaste obecne odpowiadają tym dwom kategoriom. W téj liczbie mogły być gatunki, znoszące długie noce biegunowe. Śnieg zniszczył tę pierwszą roślinność Północy, ale utrzymała się ona gdzieindziej. Trudno jest pojąć, co się działo w czasie niezmiernego okresu formacyj drugorzędowych, z przyczyny rozrzucenia powierzchni ówczesnych, rozciągłości mórz pokrywających Europę, oraz rzadkości roślin kopalnych, zbadanych po dzień dzisiejszy. Z rozpoczęciem się okresu trzeciorzędowego, rośliny megatermiczne posunęły się aż do 58° szerokości północnej, t. j. zajęły wszystkie dzisiejsze okolice gorące i umiarkowane. Inne kategorie roślin oddzieliły się powoli od roślin poprzednich, zajmując okolice północne i góry, w miarę jak powiększające się zimno wypierało dawnych mieszkańców tych okolic. Stopniowo megatermy traciły coraz więcej gruntu, który zajmowały inne. Rzecz to bardzo prosta, zdaniem de Candolle'a.

Ale jak i jakimi środkami dokonany został rozdział grup fizjologicznych zgodnie z klimatami? Oto punkt, w którym rozpoczynają się hipotezy. Kwestya zdaje się być ta sama, co dla ewolucyi czyli rozwoju form, ale ma w znanych faktach podstawę, której brak téj ostatniej. Nikt nie może dowieść, że istniała pierwotnie jedna tylko forma roślinna, gdy tymczasem pewną jest rzeczą, że powierzchnia kuli ziemskiej miała kiedyś jeden tylko klimat. Jedność klimatu pociągała jedność fizjologiczną co do wspomnianego klimatu dla jakichkolwiek roślin danego okresu. Niema więc hipotezy, kiedy się mówi, że grupy fizjologiczne nastąpiły po jednej.

Co się tyczy przyczyny, ciągnie dalej de Candolle, na podstawie której jedne grupy powstały z drugich, to zaproponowana przez Darwina hipoteza dla form stosuje się również i tutaj, ale nie chcę jęj roztrząsać. Dostyc jest uznać, że istoty organiczne wyszły jedne z drugich, i to nie jest hipotezytycznym. Jestto fakt oparty na obserwacyach dnia każdego. *Modus operandi* rozwoju, kończy de Candolle, jest inną kwestyą, która dotąd jeszcze spoczywa w dziedzinie hipotez.

T. Skomorowski.

## FRANCISZEK DEAK.

Rzadko w dziejach napotyka się widowisko, jakie przedstawiały Węgry w początkach upłynionego miesiąca lutego. Dnia 28 stycznia r. b. w nocy zmarł w Peszcie wielki ich patryota i mąż stanu, Franciszek Deak. Gdy wieść o jego zgonie rozeszła się po krajach korony Św. Stefana, natychmiast jedném uczuciem wiedzieni mieszkańcy wszystkich miast, Madziary, Serbowie, Kroaci, Rumuni, zatknęli na swych domach chorągwie żałobne. Był to wszędy wielki tydzień żałoby narodowej. Ze wszystkich okolic rozległej monarchii Habsburgów, z przeróżnych kół politycznych, zwykle w nieprzyjaźni z sobą żyjących, posypały się do Pesztu adresy z ubolewaniem nad stratą dla wszystkich niezmierną. I wszyscy zapomnieli o sporach, by podać sobie rękę zgody przy trumnie człowieka, co był ich wszystkich wspólnym dobroczyńcą lub przyjacielem. Austryacka Rada państwa wysłała do Pesztu deputacyą na pogrzeb; osobno zaś od siebie wysłała jeszcze adres i deputacyą posłowie galicyjscy, pomni sympatyi któregoś świetnym dla nich objawem Deak zawód swój polityczny rozpoczął i którym wierny przez całe życie pozostał. Cesarz Franciszek Józef w pełnym serdecznego żalu i hołdów liście uczcił pamięć nieboszczyka, a piękna cesarzowa Elżbieta, tak narodowi węgierskiemu droga, osobiście złożyła wieniec na trumnie Deaka. Wszyscy go

opłakiwali, gdyż wszyscy poczuli się do wdzięczności: Węgrzy, bo wrócił im wiekowe prawa i swobody; Austria, bo jego głównie dziełem jest terazniejsza jej wolność konstytucyjna; dynastia habsburska, bo ją ocalił, tron jej umocnił; Europa nakoniec, bo dał jej odnowioną Austrią, która według słów księcia Bismarcka, tak jest dziś dla niej nieodzowną, że cesarstwo niemieckie gotowe jest wszelkimi siłami bronić tej monarchii austriacko-węgierskiej, co przedstawia świetny acz nie doskonały jeszcze obraz wielkiego państwa konstytucyjnego, z różnorodnych, a wolnych złożonego ludów.

Nietyle jednak wielkość dzieła spełnionego przez Deaka, ile cnoty obywatelskie, mądrość światłego patriotyzmu, bezinteresowność bezprzykładna, nieskazitelność charakteru i niezłomna moc duszy stanowią tytuł nieśmiertelnej chwały tego nadzwyczajnego człowieka, którego kreślimy tu życiorys według celniejszych jego biografów, korzystając głównie z prac belgijskiego publicyisty, Emila Laveleye'a.

## I.

Franciszek Deak urodził się dnia 17 października 1803 roku, we wsi Söihör w komitacie Szaladzkim. Jego ojciec posiadał tam dwie włości, Söihör i Kehida, odziedziczone po przodkach i sam zajmował się uprawą roli, z której dochody zaledwie starczyły na zaspokojenie skromnych potrzeb rodziny. Deakowie należeli do średniej, ale stariej szlachty. Matka sławnego Verböczy, autora węgierskiego *corpus juris* była Deakówną z Deakfalvy. Deakowie mieli w herbie książkę i pióro, a godła te, acz niedosyć feudalne, zdawały się już z góry wskazywać zkąd miała powstać świetność imienia nieznanego dotąd w historii. Franciszek Deak pobierał początkowe nauki w Győr, następnie słuchał prawa w Raab, gdzie został adwokatem; lecz broniąc spraw i wtajemniczając się w arkana prawne, zajmował się namiętnie polityką, jak to w Węgrzech powszechnym wtedy było wyczajem.

Wiekowy i nigdy nieustający opór Madziarów przeciw roszczeniom dworu wiedeńskiego, zawieszony na chwilę podczas wojen Napoleońskich, żywo się z ich końcem rozpłomienił. Sprzecznie z literą dawnych praw węgierskich, nie zwoływano sejmu od 1811 roku. Pomiedzy 1822 i 1824 rokiem rząd dla uniknięcia zbiegowiska ludzi, których wymagań się obawiał, zamierzył otrzymać wprost od komitatów potrzebną wówczas liczbę pieniędzy i rekruta. W nadziei że massy, gdy zaspokojone będą ich stałe ku wolności dążenia, nie ośmielały się stawiać oporu, nadał licznym tłumom drobnej szlachty powszechne prawo głosowania. W samym komitacie Szaladzkim było szlachty dwadzieścia tysięcy z górą. Ubodzy lecz dumni, a z powodu braku oświaty tém pyszniejsi z madziarskiego pochodzenia, stanowili



najruchliwszą część narodu i tę właśnie, w której nienawiść ku Austrii była najgłębiej zakorzenioną. Udając się bezpośrednio do nich, udzielając im przytém władzy, którą konstytucya jedynie sejmowi przyznawała, rząd popełnił jeden z owych błędów, od jakich nie umieją się uchronić dynastye stawiające opór postępowi. Nadzieje rządu zawiedzione zostały, mówcy ludowi dopięli swego celu, to jest rozbudzili ducha opozycyjnego w tłumach szlachty. Musiano zwołać sejm. Podczas jego posiedzeń w 1825 roku, Austria z przerażeniem spostrzegła na swoim terytoryum i nawet w królewskim mieście Presburgu rodzące się też same zasady wrzekomo rewolucyjne, a w rzeczy samej dążenia ku legalności i swobodzie, jakie koalicya wraz ze świeżą restauracyą we Francyi stłumiła w Hiszpanii i we Włoszech. Izby wydały proklamacyą pełną grózb i zamierzyły stawić komisarzy królewskich przed sądem. Pojedynawcze wdanie się Palatyna i ważne ustępstwa dworu, zaledwie zdołały uspokoić tę burzę. Zgromadzenie 1825 roku, nazwane zostało „sejmem odrodzenia,” odtąd bowiem datuje w Węgrzech rozbudzenie się życia politycznego, które nie przestało następnie wzrastać, pomimo klęsk 1849 roku i systemu nieustającej represyi, jaki po nich nastąpił.

Młody Deak wziął bez wahania udział w ruchu liberalnym, który unosił wówczas wszystkich prawie jego współziomków. Czynnie należał do wszystkich gorących rozpraw, jakie podnoszono na zgromadzeniach komitatu Szaladzkiego a miał prawo uczestniczyć w nich z dwóch tytułów: jako adwokat i jako szlachcic. Cztery razy do roku zbierało się w głównem mieście każdego komitatu zgromadzenie, w którym mogła brać udział wszystka szlachta, a było jój sześćkroć stotysięcy z okładem; obok niej zaś wszyscy ci, co pełnili jakibądź urząd publiczny, mianowicie: księża, lekarze, nauczyciele, notaryusze i inni prawnicy. W razach zwyczajnych liczba obecnych była nader umiarkowaną; lecz skoro tylko na porządku dziennym stawiano jaką kwestyą ważniejszą, zjawiały się natychmiast tłumy, zebranie stawało się burzliwem, mówcy zabierali głos wśród ciągłych przerw i oklasków, a często przeciwnicy wygrażali sobie pięściami. Zadaniem takiego prowincjonalnego zebrania był wybór urzędników komitatu: sędziów, podżupanów, inspektorów policyi, notaryuszów i wreszcie dwóch reprezentantów, których każdy komitat (komitatów było 52) miał prawo wysłać na sejm. Nigdzie, z wyjątkiem może Stanów Zjednoczonych, wybory bezpośrednie nie grają równie przeważnej roli jak w Węgrzech. Można śmiało powiedzieć, że tu wszelka władza od narodu pochodzi. Ponieważ reprezentanci otrzymywali instrukcye, czyli odpowiednie mandata, przeto zgromadzenie roztrząsało kwestye, jakie miały być wniesione na sejmie. Zakrawało to na sejmiki polskie, a podobniejsze było do metingów angielskich albo raczej do posiedzeń klubów, jakie rewolucye 1789 i 1848 roku wytworzyły we Francyi. Przywódcy stronnictw i trybunowie ludu, depu-

towani odznaczający się wpływem i mówcy kawiarniani, zabierali tu głos z kolei, tu bowiem rozstrzygał się ostatecznie bieg spraw wszelakich. Sam już fakt, że instytucja tak demokratyczna, z wadliwym mechanizmem reprezentacyjnym służyła jedynie do dobrych celów, dopóki ręka władzy ich nie zwichnęła: sam ten fakt przynosi największy zaszczyt Węgrom i przemawia na korzyść wpływu uspakajającego dobrze zrozumianej wolności.

Młody Deak wkrótce zdobył na zgromadzeniach swojego komitatu wpływ, usprawiedliwiony wczesną dojrzałością umysłu, połączoną z głęboką znajomością prawa. Podzielając pojęcia opozycji, Deak zapragnął wprowadzić w organizm społeczny Węgier zasady sprawiedliwości i równości, które się stały wspólną dziedziną nowoczesnego społeczeństwa i pierwszą potrzebą ucywilizowanych ludów; lecz równocześnie zamierzył bronić starych przywilejów swego kraju, to jest dopomódz do utrzymania jego narodowości, instytucji i języka. Wśród dyskusji odznaczał się wielką jasnością wykładu, ścisłą logicznością wywodów i nadzwyczajnym umiarkowaniem w konkluzjach. Zawsze dokładnie wiedział czego chce i dążył do celu stale z wytrwałością; co wszędzie stanowi wielką siłę, zwłaszcza na zgromadzeniach ludowych. Niebawem uznano go za przywódcę stronnictwa liberalnego w komitacie, a wkrótce dzielnością połączoną z rozumem, stał się godnym reprezentować ziomków na sejmie narodowym. Jak niegdyś młodzież grecka przygotowywała się w szrankach do przyszłych starć na polu bitwy; podobnie młodzi Węgrzy pragnący wywierać wpływ na losy kraju, uprawiali na komitатовych turniejach szlachetny dar słowa i wtajemniczali się w parlamentarne zapasy. Podobne instytucje trwające już przeszło od tysiąca lat, są najlepszym przygotowaniem do życia publicznego, które stanowi najdroższy przywilej krajów kroczących po drodze postępu. W tęto szkole wykształcili się wszyscy statyści i wszyscy mówcy węgierscy; z pomocą tego właśnie organu, zamiłowanie do praw krajowych przeniknęło do najniższych warstw ludu. Napróżno pyszczyć się będzie kraj z posiadania w stolicy parlamentu stynącego wymową i światłem, jeżeli jego prowincjonalne instytucje pozbawione są życia, działalności i swobody. Życie parlamentarne nie zapuści korzeni w narodzie i nie da rękoma trwałości.

Antoni Deak, starszy brat Franciszka, był oddawna na sejmie deputowanym z komitatu Szaladzkiego. Był to człowiek wielkiego rozumu i nauki, lecz zdrowia nader słabego. Dotknięty chorobą, z której miał umrzeć, złożył mandat poselski. Gdy zgromadzeni w Presburgu koledzy ubolewali że człowiek tak zdolny zawód publiczny opuszcza, Antoni Deak odpowiedział: „Nie kłopotcie się, przyślę wam na swoje miejsce młodzieńca, co w jednym palcu ma więcej rozumu i nauki, niż ja w całej osobie.” Mówiąc tak miał na myśli swego brata Franciszka, którego też wybrano posłem, chociaż zaledwie

miał dwadzieścia dwa lata. Było to w 1825 roku. Młody deputowany doznał serdecznego przyjęcia od wszystkich przywódców opozycji. Byli niemi w izbie wyższej Stefan hr. Széchenyi, zwany Wielkim Hrabią, sławny baron Wesselényi, olbrzym siedmiogrodzki, główny zarówno z herkulesowej siły, jak ze śmiałości i piorunującej wymowy; a w izbie niższej Paweł Nagy, wykwintny mówca, który w staroswieckiej sali presburskiej, oznajmiał słuchaczy z powabami nowoczesnej wymowy. Gdy Deak po raz pierwszy przemówił w sejmie, Dyonizy Pozmandy, odpowiadając winszował mu tak szczęśliwego wystąpienia. Nie przedź atoli jak między 1832 a 1836 rokiem, Deak zajął stanowisko głównego mówcy i przywódcy opozycji liberalnej. Dotychczas opozycja właściwie takiego przywódcy nie miała. Paweł Nagy, zbytnią uległością dla rządu utracił był wszelki wpływ, a nawet ściągnął na siebie podejrzenia. Ragalyi, opuścił stronnictwo postępowych; Köleséj stynał z wymowy, lecz nie miał taktu politycznego. Eugeniusz Beöthy i Maurycy Szentkiralyi byli jeszcze nieznanymi tłumom; Blinath zaś i Pozmandy, pomimo talentu, nie wierali wpływu.

Przymioty, które postawiły Deaka na czele swego stronnictwa, nie należały do tych, co uderzają odrazu, i zwracają uwagę. Jego wiadomości nie były nader rozległe; lecz za to Deak gruntownie znał dzieje swego narodu, zwłaszcza wszystkie koleje jego parlamentarnej historii.

Deak był mówcą pierwszorzędnym, a wielce różnym od innych mówców węgierskich. Nigdy nie przemawiał do namiętności słuchaczy, nie starał się zachwycać ich i porywać: zawsze chciał tylko przekonywać i do rozumu się słuchaczy odwoływał. Mówił po prostu, spokojnie, jakby gawędząc w towarzystwie; ale mówił jasno, zwięźle, wytwornie, w zdaniach pięknie ułożonych. Loiczny ciąg jego mowy zawsze był silnie powiązany niby w matematycznym dowodzeniu; mówca przedstawiał stan rzeczy, wskazywał cele, roztrząsał środki i sposoby. Rzadko wdawał się w polemikę; ale biada temu z kim polemizował, bo ze spokojnością największą zgębił go potężnym brzemieniem swoich argumentów. Jego rozumowania polityczne przeplatane były cytatami artykułów prawa i uchwał sejmowych, które w pamięci swojej, niby w arsenale chował, i przy zdarzonej sposobności, w porządnym szyku bojowym wyprowadzał do bitwy. Często zaprawiał swe mowy anegdotami, przypowieściami i porównaniami, zwykle braniami z powszedniego życia, był bowiem zdania, że trafne porównanie nieraz lepiej objaśnia niż długie rozumowanie. Słowem, gieniuszem Deaka, jako mówcy, był zdrowy rozsądek, chłopski rozum którym celował w rozjaśnianiu rzeczy drobnych zarówno jak i największych. Ten zdrowy rozsądek był jego szóstym zmysłem, który wskazywał mu dobrą drogę, uczył jak daleko ma iść, co czynić i cze-



go unikać powinien, i Deak tę samą drogę w mowach swoich wskazywał narodowi.

To też w sejmie złożonym z ludzi skłonnych do przesady, uniesień, do rzucania się myślami na manówce, ścisłość jego wywodów, rozsądne umiarkowanie i ów rozum praktyczny, co dąży jedynie do rezultatów natychmiast dających się osiągnąć, zapewniały niezaprzeczoną przewagę. Sterowanie stronnictwa opozycyjnego, skłonnego zazwyczaj do rzucania się w ostateczności, utrzymanie go w korbach i odpowiedniej spójności, nigdzie nie jest zbyt łatwe; o wiele zaś jest trudniejsze w Węgrach, gdzie ognisty temperament i podejrzliwa miłość własna bardzo wielką odgrywają rolę. Deak atoli bez trudności podołał temu zadaniu dlatego, że zdrowo myślał, i działał mądrze. Unikając zranienia miłości własnej przyjaciół, i nawet i nieprzyjaciół, nigdy nie dawał uznać swęj wyższości i nigdy nie stawiał się w pierwszym rzędzie; owszem starał się zawsze o dostarczenie kolegom sposobności do odznaczenia się, o podniesienie ich zasługi. Nakoniec, ile razy wyrażał swe zdanie, czynił to zawsze z prostotą, z pozorną nieufnością ku samemu sobie, i bez narzucania się drugim; mimo to, wszyscy je podzielali, czując że należy iść za niem.

Kadencya sejmowa od 1832 aż do 1836 roku była jedną z najważniejszych w historii Węgier. Najprzód rozbierano tak zwane *grawamina*, czyli zarzuty, jakie opozycya czyniła rządowi, który nie mógł przyzwyczaić się do szanowania starych przywilejów madziarskich, nieustannie prawie gwałt im zadawał, i wcale ich ducha nie uwzględniał. Izba przystąpiła z kolei do roztrząsania projektów dotyczących się reform społecznych. Opozycya żądała równości dla wszystkich i zniesienia przywilejów. Szlachta nie płaciła podatków, gdyż na nią jednę ciężył obowiązek pełnienia służby wojskowej. Wszyscy winni byli należeć do pospolitego ruszenia, które niegdyś przeciwko Turkom zwoływano, i które podczas wojen Napoleońskich, 50,000 ludzi dostarczyło. Obecnie, po wprowadzeniu konskrypcyi nie istniał już powód uchylania się od podatków. Chłopi uwolnieni z poddaństwa w końcu zeszłego wieku, ponosili wszelkie ciężary i obowiązani byli uprawiać za pańszczyznę ziemię swych panów. Stan ten stawał się coraz cięższym, gdyż podatki rządowe dochodziły do pięciu milionów florenów, a pobór ich był nadzwyczaj nieregularny. Na pochwałę wyższej szlachty węgierskiej trzeba powiedzieć, że najpierwsza domagała się zniesienia przywilejów, z których najwięcej korzystała. Gabinet wiedeński wszelkiemi środkami starał się ten ruch powściągnąć. W owym to czasie nastęrczyła się trudność wymagająca natychmiastowego rozwiązania: chodziło o to, czy szlachta zechce się poddać opłacie ustanowionej dla mostu wiszącego, który dziś w Peszcie stanowi chlubę Dunaju. Dotąd, na moście łyżwowym, tylko gmin składał opłatę; szlachcic przechodził przez most swobodnie, dumny z tak niegodnego przywileju. Właśnie

z powodu téj kwestyi Deak wystąpił z szeregiem mów, które zwróciły nań, całego kraju uwagę. Od téj to chwili zrozumiano, że jego głos stanowić będzie o przyszłości każdego wniosku, i że każdy z jego projektu pociągnie większość za sobą.

Po zamknięciu tych obrad zdawało się rządowi, że powinien powściągnąć ruch ogarniający kraj cały; kazał więc wtrącić do więzienia Lowasyego i Kossutha, młodych zapalonych trybunów.

Sejm 1839 roku zebrany pod wpływem ogólnego oburzenia, postanowił wymóżyć na rządzie, poszanowanie swych praw odwiecznych. Deak był głową opozycji. Wszyscy deputowani tego stronnictwa grupowali się około niego i od niego otrzymywali hasło. I kierował nimi z taką siłą, karnością i rozumem, że zaniepokoił się dwór wiedeński. Palatyn zmuszony odbyć naradę z Deakiem, wyniósł z téj konferencji przekonanie o konieczności ustępstw. Więc Kossutha wypuszczono na wolność, ale jego przyjaciel Lovassy umarł tymczasem w więzieniu. Hrabia Raday deputowany, któremu wytoczono proces o obrazę majestatu, uzyskał także amnestyą. Deak doczekał się takiej przewagi, że mu przyznano godność arbitra między koroną i narodem; w skutek czego udało mu się pogodzić te dwa obozy, i utrzymać w całości wszystkie przywileje konstytucyjne, jakie stanowiły podstawę bytu Węgier. Nietylko przywódcy stronnictwa zachowawczego, ale także i mężowie stanu, u steru władzy będący, schylali przed nim czoło, a nie zapominajmy, że odgrywając tak wielką rolę polityczną, Deak miał zaledwie trzydzieści sześć lat.

W owéj epoce jeden z przyjaciół Deaka, L. Toth taki skreślił obrazek o jego mowie w klubie: „W Presburgu odbywają się posiedzenia sejmu. Idziemy do klubu, z którego sali bucha dym z cygar; co wieczór zbierają się deputowani opozycji, naradzający się o przyszłych pracach parlamentarnych. Jutro ma być ważne posiedzenie; przysłano reskrypt cesarski z Wiednia, na który wypadnie odpowiedzieć. Tak mówią zapewne: inni radzą umiarkowanie, lecz nie słychać ich wśród tłumu. Mówcy coraz bardziej się zapalają, ale też błąkają się wśród niepewności. O porozumieniu się ani myśleć. Wtém wchodzi do sali narad klubowych mężczyzna jeszcze młody, dość silnie zbudowany. Ma barki szerokie, krótką szyję, okrągłą głowę, której wyraz twarzy jest pełen dobroduszości i jowialności. Gęste brwi ocieniają głęboko osadzone szare oczy, w których dowcip i złośliwość zdają się walczyć z dobrocią. Niktby nie przypuścił że to mówca klubowy. Ubranie ma czarne, bardzo porządne, czyściutkie, lecz nieco dawnego kroju. W rękę trzyma laskę z kościaną gałką. Widocznie jakiś pocziwy mieszczanin presburgski, co przyszedł do klubu jak do knajpy, żeby wypić szklanekę piwa. Jegomość ten rozsiada się wygodnie w krześle i zapala drugie cygaro od resztki pierwszego i z uwagą słucha

rozpraw klubistów; gdy zaś wszyscy zwracają się ku niemu oczekując jego zdania, zabiera głos spokojnie i flegmatycznie, wyraża się po prostu, jak gdyby sobie gawędził przy piwie; w kilku słowach jasno przedstawia przedmiot sporny; wskazuje rzeczy, co do których wszyscy mówcy są w zgodzie i cel jaki wszyscy pragną osiągnąć. Potém podnosząc głos wylicza środki jakich użyć należy, wykrywa słabe strony przeciwników, zaleca ustępstwa, jakie zrobić wypada, wymienia prawa, przy których nieodzownie obstawać należy, a wszystko urozmaica dykteryjkami i wesołemi żartami. I ta mowa spokojna, flegmatyczna i jowialna, uspokaja wzburzenia i fantazyą magyarską otrzeźwia. Zdrowy rozsądek zwycięża, sprawa jest wyjaśnioną, wszyscy słuchacze są przekonani i zniewoleni. Tym dobrodusznym i jowialnym mieszczaninem, co tak od niechcenia rozporządza i kieruje większością izby prawodawczej, jest Franciszek Deak."

Zdarzenie nadzwyczajne przyłożyło się jeszcze do wzmocnienia szacunku, jakim go otoczył naród. Podczas przygotowań do wyborów na sejm 1843 roku, Deak wystąpił przeciw przywilejom uwalniającym szlachtę od podatków. W komitacie Szaladzkim zarówno jak w innych dwie partye walczyły z sobą: jedna powoływała się na prawa nabyte, na stare tradycje i na świętą konstytucyą, z której nie można wyjąć ani jednego kamyka, bo inaczej cały gmach runie; druga przemawiając w imię sprawiedliwości, równości, prawa publicznego i zasad cywilizacji nowoczesnej, pragnęła dać równe prawa wszystkim. Uboga szlachta w łapciach „*bocskoros namesek*" jak ją nazywają w Węgrzech, była nader luźną w komitacie. Partya zachowawców umiała przeciągnąć do siebie większą część tego tłumu, naturalnie zresztą przechylającego się ku ideom ultra-demokratycznym. Ale tłumy mają słabość do pieniędzy i wina, a tych argumentów nie szczędzili zachowawcy, żeby opornych przejednać. W dniu wyborów biegły się do miasteczka tłumy głośno krzycząc: *Nem adozunk!* Precz z podatkami!

Wybory w Węgrzech nie odbywają się w porządku i spokojnie, jak w innych krajach; owszem przypominają walki zacięte, gwałtowne a często krwawe na hustingsach w Ameryce i Anglii. Kraje używające swobody nie przerażają się tym nieporządkiem chwilowym. Są to kanały odprowadzające gniew ludu. Gdy w łonie wulkanu roztwierają się małe kratery, przez które uchodzi lava, nie potrzeba się obawiać wybuchu. Deak tym razem nie został wybrany. Jego przeciwnicy posunęli się do pogroźek, napastowali go w własnej jego wiosce Kechidzie; lecz stronnicy reformy nie upadli na duchu po poniesionej porażce. Próba powtórzoną została, tym razem reformiści bez zawahania poszli za przykładem swych przeciwników, i podobnie jak zachowawcy nie szczędzili obietnic, przekupstwa i groźb, a nawet gwałtu. Przyszło do bójki, krew popłynęła, lecz w końcu zwyciężyli. Deak z całą energią wystąpił



przeciw knowaniom swych przyjaciół. I z góry zapowiedział, że nie przyjmie mandatu zdobytego szturmem, za pomocą środków, które potępiał. Nie chciano mu wierzyć; sądzono, że gdy go wybiorą, nie ośmieli się odmówić. Deak był nieugięty, nie nie mogło zachwiać jego postanowienia. „Nie używam dwóch miar, ani dwóch wag, odpowiadał z prostotą; nie mogę korzystać z nielegalności, którą u przeciwników potępiam.” Tu właśnie Deak dał dowód wielkiej odwagi, która go wiele musiała kosztować, nie z powodu utraty poselskiego mandatu, lecz z przyczyny srogiego zawodu, jaki uczynił tym co się poświęcali w sprawie jego kandydatury. Niektórzy z nich narazili swe życie, lub przypłacili workiem i zadłużyli się. W nagrodę tych ofiar otrzymali tylko naganę, tém boleśniejszą, że pochodziła z tak wysoka. Był to zawód srogiej; zagniewani nie szczędzili Deakowi najdotkliwszych wyrzutów. „Dla ambicyi i okazania jakichś cnót wyjątkowych, poświęca interes stronnictwa,” mówili z goryczą. Wybory w Węgrzech, podobnie jak i w innych wolnych krajach, wywołują zazwyczaj starcia wzbudzonych namiętności; dotychczas jednak nie widziano człowieka, coby nie chciał z ich rezultatu skorzystać. „Deak, mówiono jeszcze, poświęcił tryumf zasad, dla osobistego poglądu, a dobro publiczne dla jakichś mizernych skrupułów! Co za niedorzeczny egoizm!” Najtrudniejszym zadaniem w polityce jest umieć stawić opór swym własnym przyjaciołom. Deak miał tę odwagę, a nieprzyjmując wyboru, najcięższymi niezachwiany zarzutami, wyświadczył swemu krajowi daleko większą przysługę, niż gdyby był przyjął mandat poselski. Gdy chodzi o danie nauki moralności politycznej całemu narodowi, mowy parlamentarne są niczém; jeden czyn, przykład szlachetny, przemawiają głośniej niż najcudniejsza wymowa.

Nieobecność tego człowieka sprawiedliwego, sprawiła nieopisane wrażenie na sejmie. Uważano ją za nieszczęście publiczne, a w końcu każdy przyznał słusność szlachetnym uczuciom, któremi się powodował Deak. Eugeniusz Beöthy odezwał się w sali zgromadzenia w te słowa: „We Francyi, po śmierci Latour d'Auvergne'a, przywoływano do apelu jego imię, a wtedy głos odpowiedział: „Połegł na polu chwały!” W Niemczech, w dzień koronacji cesarza, pytano: „Czy znajduje się Dahlberg w orszaku?” ja wnoszę, aby w dzień otwarcia każdego sejmu zapytywano także: Czy wśród nas obecny jest Deak?” Zsedenii główny przeciwnik tego, którego przewano Wielkim Deputowanym z Zali, oddał na sposób angielski hołd swemu antagoniście, nie wahając się powiedzieć, że Izba pozbawiona jest tym razem tego, który posiada najczystszy charakter w całych Węgrzech. Dzienniki najprzeciwniejszych opinii z Deakiem, przemawiały tym samym tonem. Nie mając innego zadania nad pełnienie obowiązku, Deak dokazał więcej, niż najlepszymi mowami: był to tryumf jego politycznej uczciwości, który przyniósł równy zaszczyt tym, co mu go przyznawali, jak i temu co umiał nań zastąpić.

Nikt nie ośmielił się zająć miejsca opróżnionego po Deaku. Na sejmie 1843 roku, w miejsce dwóch, komitat Szaladzki miał tylko jednego przedstawiciela w osobie młodego Chusy. Deak żył samotnie na wsi, gdzie zgłębiał ważne kwestye rozstrzygane podówczas na sejmie i bacznie śledził ów ruch, co fatalnie popychał Węgry do tragicznych przezwaczeń.

Kossuth wyszedłszy z więzienia, zaczął wydawać nowe pismo: *Pesti-Hirlap*, które było pierwszym dziennikiem węgierskim w znaczeniu tegoczesném. Z odwagą i mocą które zjednały nowemu redaktorowi niezwykłą popularność, Kossuth bronił tu praw narodu. Szécheni co nadał całemu ruchowi liberalnemu popęd, zaczął się wkrótce niepokoić. W organie swoim *Kelet-Nepe* starał się niebezpieczeństwo zażegnać, uderzając na Kossutha z taką żywością, że przywódca stronnictwa zachowawczego Desseffy, otwarcie go za to zganił. Tak zwany Wielki Hrabia mniemał, że ruch liberalny jak to dawniej bywało, uniesie tylko klasy wyższe; lecz Kossuth z pomocą swego dziennika i mów ognistych, zdołał poruszyć kraj cały, a jak to wybornie wykazał Desseffy, nie można zmienić w mały sejmik kraju mającego prawo zbierania się w pięćdziesięciu dwóch komitatach po czterykroć razy w roku, gdzie roztrząsał wszystkie sprawy publiczne. W latach poprzedzających rewolucyą 1848 roku, starcie pomiędzy odcieniami stronnictwa reformistów, stawało się codziennym wybitniejszém. Deak tymczasem wciąż żył na ustroniu, nie odzywał się publicznie, nie drukował; lecz pozostawał wiernym zasadom, których był zawsze obrońcą. We wszystkich kwestyach rozbiernych podówczas: o wolności prassy, o równości wyznań w obec prawa, o prawach wyborczych dla miast, które nie były prawie reprezentowane na sejmie, o zniesieniu przywilejów, Deak był stanowczym zwolennikiem reform legalnych; ale wszystko pragnął otrzymać na drodze legalnego i prawidłowego postępu; nadewszystko zaś odpychał myśl o oderwaniu się od Austrii. „Jestem, dawał się często słyszeć, tylko reformatorem, ale nie rewolucjonistą.” Znakomity publicysta, wierny przyjaciel Deaka i współpracownik jego najgorliwszy, baron Etvös, który podówczas miał zaledwie lat trzydzieści, a już był sławnym poetą, powieściopisarzem i politykiem, wygłaszał w swoich pismach wspólne obydwom przekonania. Wprawdzie bronił Kossutha przeciw napaściom często przesadzonym Szécheniego, różnił się wszakże z wymownym agitatorem, co do reorganizacji politycznej Węgier. Kossuth posuwając opozycyą przeciw rządowi austriackiemu do ostateczności, pragnął jeszcze bardziej rozszerzyć już i tak dość wielkie przywileje komitatów, a mianowicie chciał, żeby dostała się im władza wykonawcza i żeby Węgry zamienity się w federacyą demokratyczną, złożoną z pięćdziesięciu dwóch komitatów, prawie zupełnie niepodległych. Byłoby to posunięciem decentralizacji aż do zupełnego rozkładu państwa. Eötvös i Deak, wyżsi nad namię-

tności ówczesne, utrzymywali, że gdy kraj otrzyma ministeryum odpowiedzialne i parlament opatrzony władzą prawodawczą, zgromadzenia prowincjonalne nie powinny pod pozorem samorządu zawieszają wykonywania praw uchwalonych przez sejm narodowy.

W roku 1846 Deak ciężko zachorował i dla poratowania zdrowia udał się do kąpeli krajowych i zagranicznych; podróżował po Szwajcaryi, Anglii i Francyi, był także we Włoszech. Powróciwszy zbyt jeszcze słaby, aby mógł przyjąć kandydaturę, którą mu ofiarowano podczas wyborów 1847 roku, niemniej żywo położeniem kraju się zajmował. Przenikliwy jego umysł widział tylko dwa wyjścia: samowładztwo lub rewolucyą. W istocie był podówczas przerażający zamęt wyobrażeń, była przepaść między zasadniczymi podstawami władzy wykonawczej, a uwieńczeniem konstytucyi węgierskiej. Kółka systemu reprezentacyjnego, przez wieki utworzonego, były tak powikłane, że tamowały urzeczywistnienie nowych idei wrzących na zgromadzeniach komitatów. Deputowanym jedynie wolno było projektować zmiany praw obowiązujących; lecz zmian tych deputowani nie byli w stanie przeprowadzić. Czas tracono na bezskutecznych rozprawach. Gdy przedstawiono jaki projekt w izbie magnatów, ta zwykle zmieniała go do niepoznania. Deputowani przyjmowali część ograniczeń i znów odsyłali projekt do izby wyższej. Była to wymiana not bez końca. Gdy wreszcie przyszło do porozumienia, należało jeszcze przestać ów *elaborat* do kancelaryi węgierskiej w Wiedniu, która zwracała go z nowemi zmianami i z reskryptem, lub też wcale nie odpowiadała. W ten sposób, izba niższa, będąca wynikiem gorących zgromadzeń komitatowych, stawała się zupełnie bezsilną. Gdy dwór wiedeński uczynił jaką obietnicę, przyjmowano ją zaraz przy okrzykach gromadnych *eljen!* lecz jeśli reprezentant monarchy, *personalis regius*, wyraził się z niejaką ujmą dla praw narodu, wnet krzyczano ze wszech stron *gravamen!* i wtedy prawnie roztrząsano kwestyą. Sejm zatem stanowią przeciwko samowładztwu tarczę, lecz nie mógł się stać narzędziem reformy i postępu. Pomimo że wielu myśli szlachetnych broniono tu bardzo świetnie; pomimo słów wymownych Klauzala i bystrój Szentkyrallyego logiki, sejmy od 1843 do 1846 roku nie osiągnęły żadnych rezultatów. Opozycja nie miała przywódcy, coby ją umiał poprowadzić do bitwy. Po wyborach 1847 roku, znalazła takiego przywódcę w Kossucie, którego hasłem było: „z wami lub bez was, a nawet przeciwko wam;” lecz nie wszyscy deputowani skłonni byli pójść za nim. Szechenyi namawiał Deaka do utworzenia lewicy umiarkowanej, którejby godłem był „postęp swobód bez rewolucyi;” i która by walczyła i z Kossutem i z rządem. Deak odmówił, nie sądząc by należało osłabiać stronnictwo narodowe otwarciem przeciw niemu wystąpieniem; i z dwojga złego, wolał raczej rewolucyą, niż podanie broni wiedeńskiemu rządowi. Partya liberalna zaczęła jaśniej widzieć węzeł



łączący losy Węgier z losami krajów dziedzicznych domu habsburskiego. Dopóki te kraje podlegać będą wszechwładztwu, dopóty swobody Węgier muszą być wciąż zagrożone. Jeden i ten sam monarcha nie może być panem wszechwładnym w Wiedniu i zarazem królem konstytucyjnym w Węgrzech. Władza w ręku ludu i samorząd z jednej strony Litawy, a srogi Metternichowski ucisk z drugiej strony, były sprzecznością nie dającą żadnej trwałości dla praw Węgier rękojmi. Wymownie to wykazali: Tolny-Bezenedi, autor humanitarny i Perczel późniejszy generał honwedów. Takie też było mocne przekonanie Deaka. Dlatego Deak w r. 1847 gorąco zalecał dzisiejszy dualizm dowodząc, że na podobieństwo Węgier i druga połowa monarchii powinna posiadać prawa konstytucyjne.

I przez czas pewien mógł się spodziewać spełnienia swoich pragnień, gdy mianowicie odgłos rewolucji lutowej w Paryżu, niby trzęsienie ziemi, obalił w Wiedniu dawny rzeczy porządek. Biografowie Deaka zapewniają jednak, iż wiara jego w przyszłość wkrótce zachwiana została. Spostrzegłszy, że w całym państwie austriackim lud i jego przywódcy są nader mało przygotowani do używania legalnej wolności; że ci co są u steru władzy, nie odstępują od autokratycznych przekonań i że wśród różnych narodowości panuje zaślepienie namiętności, przesada i niesprawiedliwość wzajemnych rozszczeń: Deak zmartwiony zapadł w wielki smutek i często zwykł był powtarzać: „Ach! to początek końca!“

Hrabia Ludwik Bathyani, upoważniony do utworzenia pierwszego ministerium Węgier, upoważnił do władzy Szechenyego i Kossutha, pierwszego jako ministra skarbu, drugiego jako ministra robót publicznych. Pragnąc sprowadzić porozumienie między dwoma przeciwnikami, wczoraj jeszcze tak zawziętymi, potrzebował pośrednika, którego powadze obadwajby ulegali. Takie zadanie spełnić mógł tylko mędrzec z Kechidy. Bathyani udał się więc do Deaka. Wielki obywatel z razu się zawahał. Nie czując pociągu do urzędów publicznych, lecz przyzwyczajony przekładać interes kraju nad osobiste upodobania i widoki, przyjął w końcu wydział sprawiedliwości, do którego rozległa znajomość prawa i sam charakter nieposzlakowany zdawały się go już powoływać. Objąwszy urządowanie 17 marca 1848 roku, przybrał na sekretarza stanu Kolomana Ghyczy, co we dwadzieścia kilka lat potem został prezesem ministrów, a dziś jest prezesem izby deputowanych i gorliwie popiera rząd Kolomana Tiszy. Na czele komitetu kodyfikacyjnego umieścił Deak Władysława Szalay, którego wkrótce potem wysłały Węgry jako swego reprezentanta w parlamencie frankfurckim, a który stał się odtąd jedną z największych powag historycznych i prawnych w swoim kraju.

Sławne prawa 1848 roku, co przetworzyły konstytucją polityczną Węgier, a które przywrócone znów zostały w roku 1867, nie były dziełem Deaka; zastał je już wypracowaną w chwili objęcia ministe-

ryum. Potępiając niektóre ich rozporządzenia, Deak starał się wszakże tak zastosowywać ich wykonanie, aby przyspieszyły wyzwolenie klas niższych bez podburzenia ich przeciwko dawnym panom. Było to podobno najtrudniejszym jego zadaniem. Zdawało się świeżo wyswobodzonym chłopom, że ziemię panów powinni między siebie rozdzielić. I przybiegali tłumnie do Deaka żądając wymiaru sprawiedliwości. Drzwi ministra były w ciągłym obłożeniu przez ludzi należących do różnych narodowości, a pokładających w nim jednakże zaufanie. Madziar z Bekesu, szwab z Banatu, Słowak z Arwy, Wołoch z Marmarosu, biegli do niego jak do ojca mającego załatwić ich spory. W Węgrzech, w owym kraju gdzie niby włada dumna arystokracja, nikt nie jest przystępniejszym od ministrów. Najczęściej zachowują oni to samo skromne mieszkanie jakie poprzednio zajmowali, w domu prywatnym lub w hotelu; tu w oznaczonych godzinach przyjmują wszystkich, a wieczorem udają się do klubu, gdzie każdy może z nimi rozmawiać. Dzięki tak prostym przywycieczajeniom, ministrowie są zawsze w bezpośredniem zetknięciu z opinią; kiedy gdzieindziej zamknięci w pysznych apartamentach, otoczeni woźnami i służbą, żyją wśród sztucznej atmosfery, do której nie może się precyzyjnie przycisnąć prawda, i mniemają że im się uda zbawić tron, w chwili gdy już nadchodzi burza mająca go wnet obalić. W wieku reform, prostota obyczajów jest nieocenionym sprzymierzeńcem władzy i większego jest znaczenia, niż ogólnie się zdaje. Deak w 1848 roku mieszkał w hotelu arcyksięcia Stefana. Wcześniej z rana przyjmował tu chłopków zbiegających się zewsząd do niego; tłumaczył im doniosłość nowych praw, które uwolniły od pańszczyzny, lecz nie przyznały im własności gruntów dworskich; wykazywał, że używając równości w obec prawa, mogą się łatwo przy pracy zbożać; oświecał i pocieszał, starał się natchnąć ich miłością sprawiedliwości, jaką sam był przejęty. I tak trafiał do ich przekonania, że ci ludzie wracając do domów, byli gotowemi przelewać własną krew pod dowództwem swych dawnych panów i w obronie tych właśnie praw, które dotychczas za niedość sprawiedliwe uważali.

W administracji Deak przyjął za godło to piękne zdanie, które często powtarzał swym urzędnikom: „Jeżeli chcecie być wolnymi, to wrzód stańcie się sprawiedliwymi!” Mawiał jeszcze: „Bądźcie sprawiedliwymi dla niższych, jeśli chcecie aby wyżsi byli sprawiedliwymi dla was.” Wspólnie z Szalayem i Eötvösem zajął się opracowaniem kodeksu kryminalnego, który zasłużył na uznanie sławnego Mittermayera i znakomitszych prawników niemieckich. Również przygotował prawo o sądach przysięgłych. W ministerjum popierał zapewne wspólnie z Bathyanim, Eötvösem, Meszarosem i Klauzalem, środki prowadzące do zgody z Austryją; pragnął uniknąć zupełnego zerwania, przewidując i przepowiadając okropne jego skutki. Węgry powinny były unikać odwrócenia się od nich sympaty austriackich kapitalistów i stronnictw liberalnych. Przyjmując systemat unii osobistej, należało

natychmiast skutecznie rozdział podatków. Z mniej niż 200 milionami Węgry usuwały się od wszelkiej solidarności finansowej z Austryą. Później musiały ponieść potrójne ciężary. W obradach sejmu w końcu 1868 roku, Deak wyraził się stanowczo pod tym względem. „Popelniliśmy w roku 1848 błąd ogromny. Mówię, my, gdyż i ja przyjąłem w tym błędzie udział. W Wiedniu żądano abyśmy uczestniczyli w długach zaciągniętych bez przyzwolenia z naszej strony, nie byliśmy do tego obowiązani, ani według prawa, ani według słuszności. Ministerium wiedeńskie zbłądziło nakazując nam z góry to, co mogło być tylko ustępstwem z naszej strony. My zaś zbłądziliśmy tém, żeśmy się oparli o kwestyę formy, zamiast przyjąć zaraz ugode, która wieleby krwi oszczędziła. Ale o ileż wtedy posunęlibyśmy się naprzód pod względem postępu swobód politycznych i pomyślności materyalnej.” Przyjaciele Deaka twierdzą, że niesłusznie w roku 1868 obwiniał się o niezrozumienie prawdziwych interesów swego kraju; bo już wtedy wiedział jasno, jakiej drogi należało się trzymać; lecz niepodobna mu było tchnąć swoje przekonanie w drugich.

I w rzeczy samej pomiędzy dworem wiedeńskim podburzającym Kroatów i Serbów przeciw Węgom, żeby im odebrać prawa jakby z musu udzielone, a strwożonemi patryotami, którzy tylko w powstaniu widzieli swoje zbawienie, nie było już miejsca dla stronnictwa, co pragnęło pozostać na drodze legalnej. W czasach rewolucyjnych krańcowe tylko stronnictwa stają przeciw sobie. Popularność Deaka zaczęła szybko słabnąć. Wielki obywatel z boleścią spostrzegał że nie ma już wpływu na lud, który miał się za zdradzonego. Przewidując niechybne starcie, ubolewał nad fatalnem zaślepieniem sfer rządowych. Pora do porozumienia się minęła. Wszyscy ci, co w zgodzie z rządem widzieli jedynie podstęp, zawzięcie rzucili się na Deaka. Dziennik 15 marcziński (15 marca) usiłował odjąć mu wszelki urok. Pismo to przyjęło sobie za godło „precz z polityką *Jablabira*.” Prawie we wszystkich komitatach przewano Deaka „*Jablabirem*,” czyli członkiem prowincjonalnego trybunału. Była to zrazu nazwa zaszczepiona, bo czyniła Deaka wybrańcem całego narodu; teraz zaś obrócono ją w śmieszność. Tytuł jaki Węgry przyznały swemu wielkiemu obywatelowi, stał się w czasach rewolucyjnych synonimem ciasnych idei, które zamierzano wymieść z kraju.

Wkroczenie bana Jełłaczycza z Kroatami do komitatów południowych i śmierć generała Lambergera, zamordowanego na środku Peszteńskiego mostu, w chwili kiedy w imieniu monarchy przybywał układać się o organizacyę armii, uczyniły zbrojne starcie nieuniknionem.

Poezya nawet nastroiła wtedy lutnię na ton wojenny. Petöfi, Tyrteusz węgierski ciskał wiatrom pustyni ogniste zwrotki. Kraj cały powstawał powtarzając te hymny, podobnie jak Francya w roku 1793 zdążyła ku granicom śpiewając Marsylianke. Rola Deaka już zdawała się być skończoną. Pomimo to, poświęcił się aż do



końca wciąż próbując sprowadzić zgodę, która podług niego mogła jeszcze ochronić kraj od wielkiej klęski. Sam też udał się we wrześniu do Wiednia na czele deputacyi, której zadaniem było porozumienie się z rządem. Rokowania te nie powiodły się i obie strony czuły się bardziej rozdrażnione. Z początkiem października Deak opuścił ministerjum: zachowując jednak mandat posła. Gdy książę Windischgraetz, na czele zwyciężkich Austryaków przybył pod mury Budy, Bathyanyi wniósł, aby wysłano do niego deputacyą w celu porozumienia się o pokój. Obiedwie izby zatwierdziły ten projekt. Deputacya ruszyła w ponury dzień zimowy 31 grudnia 1848 r. Składała się ona z ludzi, z którymi mógłby być dwór wiedeński się ułożyć, byli to: arcybiskup Erlański, Jerzy i Antoni Maylathowie, Bathyanyi i Deak. Pycha tryumfującej siły i dziwny reakcyjny obłęd upoiły do tego stopnia Windischgraetza, że nie chciał przyjąć Węgrów, oznajmiając że z buntownikami nie wejdzie w układy. Słowa te drogo przypłaciła Austrya. Spotkało ją za to upokorzenie pierwsze, że została zwyciężoną przez Węgry, a potem drugie groźniejsze, że była ocalona przez Rosyją. Dziś Węgrzy rządzą w Peszcie, a Franciszek Józef na koronacyjnym pagórku skłonił się przed chorągwią węgierską. O ileż byłyby różnymi losy Austrii, gdyby wówczas już podała była rękę zgody, owój niezwalczonój bogini, co zwycięzka przebiega nasze stulecie wywracając wszelkie zapory, tamujące jej pochód triumfalny! Całą odpowiedzialność za to ostateczne zerwanie złożył dzieje na tych, co w zaślepieniu je wywołali. Węgry wtedy w istocie nie miały innego wyboru, jak upokorzenie zupełne lub odwołanie się do broni. Woleli też dobyć z pochwy szablę Bethlemów i Rakocznych. Trudno zaiste poczytać im krok ten za występek; mieli za sobą prawo narodowe i prawo historyczne; ale Deak niezłomny przedstawca zasady legalności, nie miał już roli na scenie zamieniającej się w pole bitwy. Pierwsza część jego politycznego zawodu skończyła się w owym smutnym dniu Ś-go Sylwestra, gdy powrócił z austriackiego obozu, straciwszy wszelką nadzieję zgody. Gdy sejm przeniósł się do Debreczyna, Deak złożył mandat, usunął się z życia publicznego i smutny osiadł w wiosce rodzinnej.

(Dokończenie nastąpi).

# KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Projekt podróży naukowej w około świata.—Dzieła wielkich podróżników: Livingstona, Schweinfurhta, Backera.—Chińczycy w domu przez p. Arene: pieśni ludu, teatr, prawo karne.—Teatr w Paryżu.—„Daniszewy.”—Przekład arcydzieł Szekspira wierszem, przez p. Couroy.—Wystąpienia Włocha Rossi w dramatach Szekspirowskich.—„Neron,” komedia włoska p. Cossa.—Oratorium: „Piektło” Danta.—Fryderyk Lemaitre.—„Wielkość i zmierzch Francyi” Emila Girardin.—Laureaci konkursu franko-amerykańskiego.—Przygotowania w Filadelfii.—Inżynier poeta Denayrouze.—Biblioteka Kornelowska.—Mejsonnier; obrazy. „Dzień Friedlandu, Paryż obłożony.”—Starożytności Kartagińskie.—Uniwersytet londyński: prawa kobiet.—Symfonia: „Sąd ostateczny” pana Salveyre.

Wśród tegorocznych francuzkich publikacyj, uderza nas wielka liczba opisów podróży, bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych. Ten rodzaj literatury szczególną ma wziętość pomiędzy Anglikami. Zagorzali owi turyści, w braku osobistych wrażeń, lubią ścigać cudze wrażenia, pragną przynajmniej wędrować myślą po świecie, gdy okoliczności zmuszają ich do przebywania w domu. Upodobanie to zaczyna przechodzić do Francyi. Żywo uczuli Francuzi potrzebę rozwoju geograficznych nauk, a z praktycznością im właściwą, przysli do wniosku, że jedna podróż odbyta systematycznie, więcej przyniesie pożytku młodzieży, niż kilkoletni abstrakcyjny wykład po szkołach. W tymto celu znany marynarz Biard, poparty silnie przez grono uczonych, przedstawił Towarzystwu Geograficznemu wniosek urządzenia zbiorową siłą, podróży wkoło świata. Podróż taka ma trwać rok cały. Okręt powinien dostarczać turystom wszelkiego pokarmu umysłowego: książek, mapp, instrumentów matematycznych i t. p. Specyjalni profesorowie mają wykładać kursa. Koszta podróży obliczono po 20,000 fr. na osobę. W kraju tak zamożnym jak Francya, znajdzie się zapewne wielu ojców rodziny, którzy zechcą w ten sposób uzupełnić wychowanie synów po ukończeniu szkolnych nauk. Bogaci przemysłowcy popierają szczególniej ten projekt, rzecz zatem niewątpliwa, że się wkrótce urzeczywistni.

Z pomiędzy świeżo wydanych opisów podróży, największą wagę mają dzieła znakomitych eksploratorów. Na czele ich stawiamy *Ostatni Dziennik Dawida Livingstona*, (1863—1873). W końcu profesor Walter opisał ostatnie chwile wielkiego podróżnika i powrót zwłok jego do ziemi ojczyznej, według opowieści dwóch wiernych murzynów Choma i Souzi. Przekład z angielskiego wykonany przez panią Lo-

rean. W tymto dzienniku, Liwingstone zapisał wielkie słowa: „ze wszystkich odkryć moich, najważniejsze, iż przekonałem się jak wielu jest dobrych ludzi na ziemi!” Jakaż to tajemnica w sercu ludzkim: Liwingstone przez całe życie uchodził za niedostępnego odludka i dziwaka.

Zastępuje niemiń na uwagę wielkie dzieło dra Schweinfurcht'a opis trzyletniej podróży 1868—1871 r., pod tytułem: *W Sercu Afryki*. Schweinfurcht zdeptał Afrykę środkową, dotarł do miejsc wcale dotąd nieznanych; długo przebywał między ludożercami, u których dopatrzył wyższy stopień inteligencji, niżeli u innych Negrów; brak im tylko, jak mówi, dobroczynnych promieni światła. Inna podróż po Afryce Samuela White Backer, pod tytułem: *Ismaila*, podjęta w filantropijnym celu obalenia handlu niewolnikami, pełna przygód dramatycznych, wielką ma także wagę naukową. Wspomniemy tu jeszcze wyprawę pod biegun lodowatą, na statkach Hansa i Germania, napisaną przez Juliusza Gourdault, według urzędowych sprawozdań i opowieści rozbitków, którzy postradawszy statek na bryle lodu, przytłynęli szczęśliwie do wybrzeży.

Zatrzymamy się dłużej nieco nad dziełem p. Juliusza Arène pod tytułem: *La Chine familière et galante*. Jak świadczy sam tytuł, nie jest to praca ściśle naukowa, ani systematyczny opis podróży do Chin; takich poważnych dzieł nie brak w literaturze, ale brakło w niej dotąd owych lekkich zarysów, ukazujących naród z żywotnej strony, w domowych stosunkach, w pieśni, w teatrze, i t. p. Ten brak zapełnił pan Arène, który lat kilka przebywał w Chinach przy poselstwie francuzkiem.

„Zapytacie mnie—mówi autor—co to są Chiny? Ja wam odpowiem: to kraj mniej więcej podobny do naszego, gdzie mąż kocha żonę, gdzie mama z pomarańczową cerą i ukośnem okiem, kocha swoje dzieci, kubek w kubek takie jak ona; gdzie syn za ostatni grosz wyprawia wspaniały pogrzeb zmarłemu ojcu, i obleczony w konopny wór, idzie za orszakami zwrócony plecyma do trumny; to kraj gdzie oblubieniec szuka w narzeczonej nie samych wdzięków, lecz i moralnych zalet; kraj gdzie są wieśniacy, i mieszczenie, i bankierzy, i wojsko i marynarka; kraj w którym każdy pracuje na garść ryżu, jak u nas na kawałek chleba: słowem kraj nie z porcelany jak go sobie nie jeden wyobraża.“

Autor nie wychodzi prawie po za obręb Pekinu, nie oprowadza nawet czytelnika po mieście tylokrotnie już opisanem, pokazuje w niem to tylko, co rzuca światło na psychiczne usposobienie mieszkańców, potraça tylko w drgające życiem struny. Idźmy za nim do ogrodu, gdzie po całodzienniej pracy, mieszczenie schodzą się na herbatę, tak jak niemcy na piwo, w berlińskich lub w drezdeńskich ogródkach. Ruch i gwar niestychany. Tu żebrak w łachmanach błaga przechoźnia o jałmużnę, tam szarlatan zachwala plastry i olejki porozstawiane przed nim, lub wrywa zęby, krzyczącym od bolu pacjentom; dalej



sztukmistrz otoczony tłumem uliczników i starych kobiet, połyka pałaze przy ogólnym poklasku, tam znów stary bonz sprzedaje obrazki Budhy. Wśród wielkiej liczby przenośnych sklepików, autor zatrzymuje się najdłużej przed tandetą księgarza: istna to arka Noego, wszystkiego tu potrosze. Są tu i dzieła Konfucjusza, jest i Biblia wydana po chińsku, staraniem protestanckiej missyi; jest i kalendarz oznaczający dni feralne, i teoria uprawy jedwabników, i sposób czytania przyszłości z rąk ludzkich i t. p.: najważniejszą część téj literatury stanowią pieśni ludowe. I w Chinach uczeni klasycy z pogardą patrzą na te prostacze utwory, które przecież wiernie malują serca ludu.

Autor rozbiera kategorycznie te pieśni. Wielka w nich panuje rozmaitość. Osobna książeczka zawiera sto przepisów moralnych w czterowerszach: oto mała ich próbka.

„Nie znieważaj starca! Kto znieważa włos siwy, ród jego nie zakwitnie.”

„Nie słuchaj tego co ci szeptze poduszka, jeśli chcesz być szczęśliwym w domu.”

„Naprawiaj stare świątynie, nie uderzaj dziecka, nie wyrzucaj herbaty ani ryżu, oddaj raczej ubogim.”

„Nie zabijaj ptaków na wiosnę, pisklęta w gniazdku wyglądają powrotu matki.”

Praktyczny Chińczyk stara się obrócić pieśń na ogólny pożytek. W jednej znajdujemy geograficzny opis Chin: czy dokładny? przypuścić trudno: uczeni nawet chińscy nie znają dokładnie geografii ani statystyki swego kraju. W innej książeczce opisany wierszem Pekin, wszystkie jego pałace i zaułki,—Inna zawiera obrazy trzydziestu sześciu miast portowych, przeplatane humorystycznymi uwagami: „Najpiękniejsze dziewczęta przybywają z Kiang-Sin, płocze rodzą się wszędzie. Cukier przychodzi z wyspy Formozy, najlepsze wino z Shin-fou, i t. d.”

Inne wreszcie pieśni malują sceny z życia domowego. Tu oto młodzian wybiera się w Nowy rok z odwiedzinami do krewnych i przyjaciół. Opisuje każdy szczegół ubrania, istnie jak krakowski chłopiec w sławnej piosence: „Alboż my to jacy tacy!“ „Kładę—śpiewa chińczyk—kaftan ze skóry baranięj i pas czerwony bławatny, na wierzch piękną suknię błękitną, całą tkaną z jedwabiu; kładę na głowę kapełusz, strojny frendzlą czerwoną, biorę w rękę wielki kosz pełen kwiatów i słodkich owoców.”

Oto obraz młodej oblubienicy. „Rumieniec jęj lekki, jak brzośkwiniowe kwiecie, brwi podobne do listka wierzby, oko jasne jak woda jesienią.”

Inna piosenka żywo przypomina znaną dumkę:

„Ne hody Hryciu na wieczernicu.”

„Pierwszego dnia on poszedł, drugiego dnia czekałam go napróżno, trzeciego nie powrócił jeszcze. O czwartej dobie kur zapiał, o piątęj zorza zaświtała, a ja sama dumam i płacę. Głowa moja pęka od myślenia, serce kraje się z bólu!

Liryzm jednak nie stanowi przeważnej strony w poezji ludu chińskiego, więcej tu zawsze wyrozumowania, aniżeli tęsknej zadumy, częściej napotkać satyrę, niż miłosne kwilenie. Ale wyznać trzeba, że realizm tych satyrycznych obrazków, ożywiony jakąś serdeczną nutą. Dajemy na próbkę w przekładzie, maleńki, pełen dramatu obrazek pod tytułem: *Jak mieć ryż do jedzenia*, żywcem wyrwany z serca ludu. Przypomniał on nam podanie o Twardowskim, nie to które Mickiewicz tak zręcznie podjął a może i wymyślił, lecz inne zaczynające się znana strofką:

Stała się była w mieście pogłoska,  
Wybiła męża pani Twardowska;  
Wybiła, wytłukła i za drzwi wypchnęła  
Do sieni!

Oto pieśń ludu chińskiego.

Zdawna, nie tajno przecież nikomu,  
Mąż nad rodziną przewodził w domu;  
Prosty wyrobnik, mędrzec uczony,  
Mieszczuch czy wieśniak, panem był żony.  
Świat się przemienił; ej, dziś już nie to!  
Dziś mąż ze strachu drży przed kobietą.

Gdy na targ idziesz, biada twój głowie!  
Z ust jój się sypie słowo po słowie:  
Kup mi dwa motki barwnych jedwabi,  
A niech cię tylko wino nie zwabi!  
Nie strwoń sepeków <sup>1)</sup>, nie zgraj się w kości,  
Gdybyś przewinił... jam bez litości!

Mąż ma złą pamięć... gdy odbiegł proga,  
Wyszła mu z głowy żony przestroga.  
Słońce już zaszło, noc ziemię mroczy,  
Kiedy się stawił żonie przed oczy.  
— Ha rozbójniku! opoju brzydki!  
Czas jak należy skarcić te zbytki!  
A gdzież mój jedwab? i motek mały!  
Gdzież się sepeki moje podziały?  
Żeś je roztrwonil rzecz oczywista,  
Dałam ich przecie z górą czterysta!

— Kochana żono! sto ci odnoszę!  
Bądźże cierpliwa, posłuchaj proszę:  
Jam stryjecznego spotkał tam brata,  
Niedawno biédak wrócił ze świata,

<sup>1)</sup> Sepek, kopiejka, zdawkowa moneta chińska.

Przy pogadance, chwile wnet płyną,  
 Piliśmy razem gorące wino;  
 On mnie ugościł hojnie i szczerze,  
 Ja mu kupiłem za to wieczerzę.

— Ha niegodziwcze!—zawoła żona;  
 Twarz jój się iskrzy z gniewu czerwona,  
 Wałek od ciasta pochwyci żwawo,  
 Nuż nim wywijać w lewo i w prawo;  
 Wali gdzie trafi, w głowę, to w ramie,  
 — Niedość że zbroił, jeszcze mi kłamię!  
 A mąż nieborak padł na kolana:  
 — Przestańże, przestań żono kochana!  
 Matko mych dzieci! niebo mnie skarze,  
 Jeśli pójść na targ znów się poważę.

Próżne błagania, daremne jęki!  
 Niewiasta wałka nie puszcza z ręki,  
 On ku drzwiom pomknie—trudnaż-to rada!  
 W progu jak długi, na wznak upada.  
 — Już się nie wymknąć tobie z mych kleszczy!  
 Wali a tłucze.... aż on zawrzeszczy  
 Tak strasznym głosem, że wnet na zwiady,  
 Z wioski się całej zbiegły sąsiady.

— Co tobie bracie?—woła lud wszystkich,  
 Drżysz niby wąty na wietrze listek;  
 Sam sobieś winien, słyszał kto w świecie,  
 Tak się dać uprządz w jarzmo kobięcie!

A mąż przed nimi pokornie stoi:  
 — Słuchajcie—rzecze—sąsiedzi moi!  
 Jeszcze byliśmy oboje mali,  
 Kiedy rodzice nas zaswatali.  
 Długo na ślubne czekałem gody!  
 Jam mój dziewczeczki nie widział młodej,  
 Aż mi ją wreszcie w dom przywieziono;  
 Z licem pokrytém krasną zastoną.  
 Niebu i ziemi bijem pokłony,  
 Potém uchylam rąbek czerwony,  
 Rumieniec szczęścia pokrył mi lice,  
 Kiedym zobaczył cudną dziewicę.

A jój zalety nie w samej twarzy!  
 Wybornie w chacie mój gospodarzy,  
 Każda robota w ręku jój rośnie;  
 Barwiste kwiaty wyszywa w krośnie,



Co zaś ważniejsze, pierś jej matczyna  
 Już wykarmiła piątego syna!  
 Toż to harmidru w domu i krzyku!  
 Mały się czołga już na bałyku,  
 Wszystko to zdrowe, krzepkie i tłuste,  
 Ot! w kolebeczce śpi dziecię szóste;  
 Śliczna dziewczeczka!... Powiedźcież sami,  
 Jam z nią połączon tyłu węzłami.  
 Toć sfolgowałem lejców niewieście!  
 Ale się miara przebrała wreszcie,  
 Mówcie co czynić, posłucham rady.  
 Na to parsknęły śmiechem sąsiady.

A siwy starzec wystąpił z tłumu,  
 Poważny licem, znany z rozumu.  
 — Milczcie—zawoła—starzy i młodzi!  
 Wam się z sąsiada szydzić nie godzi.  
 Znam ja was wszystkich, człek doświadczony  
 Ten, który chodzi w jarzmie u żony:  
 Dopóki młody, suche ma usta,  
 Kaleta jego nigdy nie pusta,  
 Nad pełną ryżu zasiada misą;  
 A choć w starości ma głowę łysą,  
 Niechże niewiasty za to nie wini.  
 Statek ma w domu, a złoto w skrzyni <sup>1)</sup>!

Autor wprowadza nas wreszcie do teatru. Z rozbioru kilku sztuk widzimy, że scena pozostała tu dotąd w zupełnym stanie dzieciństwa. Sztuki dzielą się na dwie kategorie: na poważne dramata i proste farsy, zaprawne grubą solą. Pierwsze zwykle bywają śpiewane. Tak w jednych jak i w drugich, mężczyźni odgrywają role kobiet. Zakazano kobietom występować, odkąd cesarz Tehin-Loung upodobał sobie jakąś piękną artystkę.

W naiwny sposób Chińczyki zastępują dekoracje i łamią wszelkie trudności wystawy teatralnej. Jeśli np. rycerz chce dosiąść konia, podnosi prawą nogę i zatacza nią, jak gdyby kładł ją w strzemię; publiczność rozumie o co chodzi. Rycerz macha w powietrzu szpicrutą; znaczy to że koń galopuje. Jeżeli cesarz jaki występuje w dramacie, starzec z białą brodą wchodzi najprzód, trzymając dwa kwadraty

<sup>1)</sup> Po skończeniu kroniki wpadł nam w rękę przegląd etnograficzny niemiecki *der Globus*, świeżo wydany Nr. 4 tomu XXXIX, w którym znajdujemy rozprawkę p. Stuhlmana in Swatów pod tytułem: *Chinesische Märchen*. Autor przytacza bajki chińskie o wilkołakach; co dziwniejsza, iuna bajka przypomina tradycją o założeniu Kartaginy: p. Stuhlman tłumaczy to zjawisko wpływem misyounarzy katolickich.

materyi: na każdym wymalowane koło: to znaczy że cesarz przyjechał. W jednej sztuce mandaryn ucieka, dotknięty niełaską monarchy; matka pospiesza za nim, trzymając w ręku płótno z pomalowanym drzewkiem i skałą, co ma wyobrażać las i góry. Wygnaniec postanowił spalić las; życie mu zbrzydło, radby zemścić się po chińsku samobójstwem. Przynoszą mu żywiczną głównię; on ją zapala, to znaczy że las gore. Potrząsa głównią, kopci sobie twarz dymem; podczas gdy matka krzyczy przeraźliwie, nieszczęśliwy otwiera usta, gryzie płomień i upada, na znak że spalony.

Po tych sztucznych dramatach, autor pokazuje inny przerażający dramat na placu publicznej egzekucyi. Nie chcemy zatrzymywać się nad nim, pokażemy tylko kilka charakterystycznych rysów, prawa karnego w Chinach. Egzekucya odbywa się w Pekinie raz do roku w dniu 2 grudnia. Wyrok śmierci podpisuje sam cesarz, bez względu na stan iród winowajcy; dowód to zupełnej równości wszystkich w obec prawa. Kiedy sąd kryminalny rozpatrzył już sprawę obwinionych, mandaryn podaje listę ich cesarzowi; wówczas to monarcha macza pędzel w czerwonej farbie, zamyka oczy i zakreśla koło wymawiając tradycyjne słowa: „nie ja zabijam tych zbrodniarzy; oni to sami chcieli być ofiarą własnej przewrotności.” Widać ztąd, że filozofowie i prawodawcy w Chinach, tak samo jak i w Europie, pracowali głęboko nad wyrozumowaniem teoryi karniej.

Liczba dekretowanych nie wielka stosunkowo. Kiedy autor obecnym był egzekucyi, tracono dziesięciu mężczyzn i jedną kobietę. Po między skazanymi dwóch tylko było morderców; inni popełnili zdróżności mniejszej wagi; ten kradł ryż w śpichlerzach cesarskich, tamten sfałszował podpis, inny obdarł trupa z klejnotów i t. p. Wziąwszy na uwagę wielką ludność Pekinu, trzeba przyznać że stan moralny ludu nie tak upośledzony, jak się napozór wydawać może, ale pamiętajmy z drugiej strony, że pogaństwo chińskie toleruje występki, potępiane surowo przez nasze prawo!

Z Chin przenieśmy się do Francyi, od teatrów pekińskich obróćmy wzrok na scenę paryzką. Tu już nie zarzucimy sztuce że się nie rozpowiła z dziecięcych powijaków, że lekceważy wystawę i dekoracye, owe plastyczne efekta działające na zmysły publiczności. Przeciwny raczej zarzut uczyniłby tu wypadło. Ogólne te uwagi nie tyczą się jednak sztuki o której mamy dziś mówić; wystawa nie jest w niej rzeczą główną, jak to bywa w dramatach i komedjach pana Sardou. Dramat: *Daniszewy*, grany obecnie w Odeonie zajmuje Francuzów treścią samą, gdyż wprowadza ich w świat nowy, zupełnie im nieznan, świat odrębny całkiem od paryzkiego, o którym podróżujące jednostki słabe dają pojęcie: aby poznać obce społeczeństwo, trzeba je widzieć w własnym jego domu, pod wpływem właściwej mu atmosfery. Tę atmosferę uwydatnia wybornie dramat. Nazwisko autora, lubo nie jest dla nikogo tajemnicą, nie figuruje przecież na afiszu; powszechnie

téż wiadomo, że Dumas przyłożył silnie rękę do téj sztuki, ztąd nazwano go ojcem jéj chrzestnym. Oto treść w krótkich słowach.

Rzecz dzieje się w roku 1852, kiedy poddaństwo panowało jeszcze w Róssyi. Pierwszy akt wprowadza nas do obszernéj komnaty w zamku Khawa. Panią tego zamku jest hrabina Daniszew, dumna arystokratka, pełna przesądów rodowych, matka jedynego syna Włodzimierza.

Hrabina siedzi w wielkiém krześle, otoczona gronem kobiet dworskich, nad któremi wodzi rej, ochmistrzyni francuzka pani Germain. Ilekroć hrabina rzecze słowo, kobiety schylają nisko głowę, i potakują jéj z wyrazem uwielbienia. Do chóru z niemi, odzywa się raz po raz papuga w srebrnéj klatce. Jedna z panien dworskich ciągnęła kabałę; hrabina patrzy z uwagą na padające z rąk jéj karty. Rzecz idzie o to, czy hrabia Włodzimierz, który właśnie bawi w domu matki, otrzyma przedłużenie urlopu. Kabała zapowiada powrót gońca z wieścią pomyślną.

Wchodzi intendent zamku; przybywa do pani po rozkazy dotyczące się małżeństw jesiennych. Hrabina wymienia dwie pary. Próżne uwagi intendenta, że związki te nie uszczęśliwią nowożeńców, że serca ich skłaniają się inaczej. Hrabina marszczy brwi, odpowiada zimno, że nie zwykła zmieniać nigdy wyroku.

W suchém sercu hrabiny, jedyne panuje uczucie dla syna Włodzimierza. Uczucie to samolubne; więcej w niém dumy niż prawdziwéj miłości. Matka postanowiła ożenić go z piękną księżniczką Lydyą Walanow. Wprawdzie księżniczka nie szczególnéj używa reputacyi; hrabina nie zważa na to, krążące pogłoski składa na karb złych języków. Lydyja bogata dziedziczka, ród jéj należy do najświetniejszych: w obec takiego blasku, potwarz zniknąć musi.

Podczas gdy hrabina marzy o tym związku i oblicza wielkie korzyści jakie ztąd spłyną na ród Daniszewów, przybywa Włodzimierz, wyznaje matce że kocha Annę Iwanównę młodą poddaną, że postanowił ją poślubić. Hrabina osłupiała zrazu, po chwili wybucha gwałtownym gniewem. Napróżno młodzian usiłuje przemówić do jéj serca, napróżno głosi postępowe idee o równości; stara arystokratka zrozumieć ich nie może. Widząc jednak że nie złamie stanowczéj woli syna, używa podstępu. Prosi Włodzimierza o rok cierpliwości. Przez ten czas młodzian przebywając z pułkiem w Moskwie, pozna bliżej księżniczkę Lydyę, będzie uczęszczał do domu jéj ojca. Jeśli za rok po takiej próbie nie zrzeknie się dobrowolnie związków z poddaną, matka pozwoli na małżeństwo.

Włodzimierz odjeżdża zaspokojony. Ledwie że się oddalił z zamku, hrabina rozkazuje Annie Iwanównie poślubić stangreta Osipa. Rozkaz ten uderza piorunem serce Anny. Młoda poddanka odebrała świetne wychowanie, od dziecka przebywała w zamku u boku pani swojej, nieodstępna była jéj towarzyszką. Maż ona poślubić prostaka? co więcéj, przysięgła wieczną miłość Włodzimierzowi. Biędna rzuca



się do nóg nieprześląganój hrabiny. Próżne łzy i błagania! arystokratka nie ustąpi. Powleczono Annę do kaplicy zamkowej, zaślubiono nieszczęśliwą z Osipem.

Akt drugi odbywa się w Moskwie, w salonie księżniczki Lydy. Tu jak widmo grobowe występuje książę Walanow, starzec zdziecinniały, który dobiega kresu dni, słodząc je szampanem, rozrywając grę w karty. Różne tu przesuwają się postacie, między nimi fortepianista Niemiec. Lydyja prosi go aby zagrał, wirtuoz uderzył kilka taktów Szopena.

— Przystań pan!—woła księżniczka zatykając uszy ze wstrętem —niecierpię Szopena i jego melodyi!

Dowcipny Francuz sekretarz ambasady, ożywia całe towarzystwo. Zawdzięcza on życie Włodzimierzowi, który wyrwał go z paszczy niedźwiedzia podczas łowów. Uniesiony wdzięcznością sypie alluzye i wyciąga ztąd wróżby. Od niego Włodzimierz dowiadyuje się o tém co zaszło w zamku Khawa, o małżeństwie Anny z Osipem. Jeszcze młodzian nie ochłonął z pierwszego gniewu, kiedy hrabina Daniszew ukazuje się w sali. Przybyła tu aby przyspieszyć związki syna z Lydyą.

Po gwałtownej scenie z matką, Włodzimierz pośpiesza do zamku. Hrabina uprzęda go jeszcze. Młodzian z harapem w rękę staje przed Osipem, na chwilę przepomina idei postępowych, gotów już podnieść rękę na poddanego, kiedy ten rozbraja go jedném słowem. Odpowiada mu, jak znając uczucia Anny, zmuszony do małżeństwa, widział w niej tylko siostrę; ofiara ta tém cięższa, że i on gorąco w niej zakochany. Z razu miał nadzieję że czas uleczy rany jej serca, iż stałą miłością potrafi ją zniewolić ku sobie. Nadzieja ta zgasła. Anna należy do tych kobiet, co raz tylko w życiu rozporządzają sercem. Ale jest na to sposób—dodaje Osip—prawo pozwala niekiedy na rozwód. Niechajże panicz odbiera z rąk jego drogą Annę.

Hrabina inne miała zamiary; wypowiada je synowi z całym cynizmem. Dyrekcyja teatru obcięła połowę tych rad macierzyńskich, aby nie obrażać ucha słuchaczek; dzienniki podchwyciły jednak te ustępy i powtórzyły je z właściwą sobie niedyskrecyą. Przemilczmy lepiej o tém.

Rozwód jednak nie tak łatwy, jak się to zrazu wydawało. Potrzeba nasamprzód zezwolenia gubernatora nim sprawa przejdzie do wyższej władzy. Otóż więc Lydyja, której gubernator odmówić nic nie może, powodowana zemstą, działa usilnie aby niedopuszczyć rozwodu. W obec niezłomnych trudności, Osip czepia się stanowczego środka. Zostaje zakonnikiem. Nowy ślub mocą prawa zwalnia od dawnych ślubów. Włodzimierz pojmuje w małżeństwo Annę; co dziwniejsza, hrabina nie stawia już oporu.

Według powszechnego uznania, nie brak w tej sztuce efektów dramatycznych, zakończenie jednak nie wszystkich zadowolnia, Osip wydaje się zbyt idealnym. Niektórzy widzą w nim odbicie Jakóba, jednego z bohaterów Georges Sand, który widząc że serce żony odbie-

gło w inną stronę, rzuca się w przepaść z lodowiska, aby wrócić jej wolność.

W jednym z podrzędnych teatrzyków paryzkich, grają już parodję téj sztuki. Nie znamy jej, ale trzeba przyznać że sam tytuł *Du-machef* dowcipnie wymyślony.

Mało widzimy w ogólności nowych sztuk na repertoryach teatrów paryzkich. Kogo obwiniać o to? czy dyrektorów że nie ufają młodym talentom i bądź co bądź liczą na pewniejsze powodzenie, kładąc na afiszu imię popularnego już autora? czy téż złożyć winę na autorów? Gdyby pomiędzy nimi znalazł się nowy Kornel albo Moliere, potęgą talentu skruszyłyby zapory i wkroczył zwycięzko na scenę. Ależ ani Moliere, ani Kornel, w pierwszych próbach nie okazali tego geniuszu, jakim nacechowane późniejsze ich arcydzieła. Są dziś młodzi pisarze niezaprzeczonej zdolności, którym brak tylko pola do rozwinięcia twórczych polotów; jeden z tych Marek Bayeux. W roku zeszłym odrzuciono jego piękny dramat *Praojcowie Nasi*, pod pozorem że mógłby obrażać Niemców, jako przedstawiający zapasy Gallów z Arminiuszem. W tym roku przyjęto do Ambigu nowy jego utwór pod tytułem: *Krzyżowcy*, pełen genialnych polysków, jak wyrzekł Paweł Feval na publicznej konferencji. A oto dowiadujemy się że dramat z niewiadomych przyczyn odłożony do roku przyszłego!

W ostatnim numerze buletynu towarzystwa autorów dramatycznych, znajdujemy wymowne potwierdzenie naszego wniosku, że dyrektorowie są głównym powodem dzisiejszej stagnacji. Komisya delegowana przez rząd do zawarcia nowej ugody z dyrektorem Odeonu, położyła za warunek przedstawienie w ciągu roku czterech oryginalnych dramatów lub komedyi, w trzech co najmniej aktach, oraz czterech jednoaktowych obrazków dramatycznych. W razie niedotrzymania słowa, dyrektor zapłaci 2000 franków za każdą obszerniejszą, po 1000 f. za każdą mniejszą sztukę, gdy jej brak pokaże się w repertuarze rocznym. Młodzi artyści przyklasnęli szczerze nowemu układowi.

Zapał dla Szekspira wzrósł bardziej niż kiedykolwiek pomiędzy Francuzami, w skutek wystąpienia sławnego artysty włoskiego Rossi, w rolach Otella, Hamleta i Romea. Rossi opuszcza w tych dniach Paryż po kilkumiesięcznym pobycie, ale Szekspir jak sądzimy pozyskał na scenie stałe obywatelstwo. Do pięknych tłumaczeń prozą Larochea i Franciszka Hugo, przybył jeszcze nowy przekład arcydzieł dramaturga angielskiego, dokonany wierszem przez pana Cayrou. Nie znamy go jeszcze, gdyż tylko co opuścił prasę drukarską, ale wstępne słowa akademika Mezièra zalecają dostatecznie tę pracę. Francuzi jak widać otrząsają się z zakorzenionego przesądu, jakoby język francuzki nie dał się nagiąć do przetworzenia rymem obcej myśli. Zrozumieli oni, że wierność przekładu nie zależy na powtórzeniu każdego słowa, ale raczej na przejęciu się duchem oryginału. Już przed stu laty Wolter składał na karb lenistwa, uprzedzenie Francuzów przeciw

użyciu rymu w tłumaczeniach, i czemuż sam nie przebił pierwszych lodów? Dziś jednak te lody przebite już stanowczo, z niewątpliwym pożytkiem dla poczty francuskiej, która czerpiąc w obcych źródłach, wydobędzie z siebie nowe formy, pozbędzie się owęj monotonności, jaką jęj nieraz zarzucają.

Oprócz przekładu Szekspira przez p. Cayrou, widzimy już w literaturze francuskiej świetne próby, tłumaczonych wierszem arcydzieł. Pan Marc-Monnier wydał niedawno tłumaczenie Fausta; koroną zaś wszystkich prac tego rodzaju jest przekład Enejdy, rozpoczęty przez profesora Wailly, nieustępujący pięknością oryginałowi: pracę tę w roku zeszłym uwieńczyła akademia.

Rossi wywdzięczając się Paryżanom za gorące przyjęcie, sprawił im niespodziankę wystąpieniem w komedyi *Neron*, włoskiego poety Cossa. Jestto, według uznania krytyków, pierwszorzędny utwór nowęj szkoły dramatycznęj we Włoszech. Cossa ukazuje krwawego cezara w ostatnich czasach gasnącęj potęgi. Wielcy aktorowie dziejowego dramatu opuścili już scenę. Seneka zamordowany, Agrypina padła ofiarą. Niewidzialna Nemezis trzyma podniesiony miecz nad głową matkobójcy. Przy dźwięku biesiadniczych gędźb, słyhać poszepty spiskujących Rzymian; legiony Galby wypowiedziały posłuszeństwo. Główna intryga polega na współzawodnictwie dwóch kobiet: jedną z nich wyzwolona Akte, dawna ulubienica Nerona; drugą tancerka ateńska Egloge, czarująca wdziękami i młodością. Akte zwycięża. W dziwnie dramatycznęj scenie, otruta Greczynka pada trupem w chwili gdy Neron śpiewa pieśń na cześć bogini Wenus. Dramat kończy się tryumfem Galby i ucieczką Nerona. Ścigany okrutnik chwytą w rękę samobójcze żelazo.... Waha się.. drży... nie śmie przyłożyć go do piersi. Akte nadbiega, patrzy z pogardą na tego, który niedawno wstrząsał światem. Przebija się w oczach nędznika, uczy go jak umierać!

Dlaczego autor nazwał komedya utwór pełen krwi i trupów, bezprzykładnych okrucieństw i zbrodni? W nazwie tej widoczne szyderstwo, tak samo jak bolesna ironia ukryta w tytule „Boskiej komedyi Dantego” i „Nie boskiej” naszego genialnego mistrza.

Ale otóż i arcydzieło Danta pojawi się wkrótce na scenie. Kompozytor Bozzano Genuenczyk, przybył do Paryża z towarzystwem pierwszych muzyków i śpiewaków włoskich. Ma w ciągu dwóch miesięcy przedstawiać wielkie oratorjum, osnute na trzecięj i piątęj pieśni *Piekła*. Dwustu pięćdziesięciu artystów składa orkiestrę i chóry. Primadonna wystąpi w roli Franceski z Rimini, kontralto i tenor w rolach Wirgillego i Paola, baryton i bas w rolach Danta i Charona. Uświetni widowisko wspaniała wystawa, do której posłużą za wzór obrazy Dorego. Kostiumy wykonane będą z całą ścisłością archeologiczną. Pierwsze to w Paryżu oratorjum uświetnione w ten sposób. Dla praw-



dziwych miłośników muzyki, cała ta fantazmagorya może nie potrzebna, to pewna jednak, że roku zeszłego, w oratoryum Rubinstejna *Wieża Babel* psuli złudzenie patryarchowie i prorocy w postaci i stroju prostych śmiertelników.

W chwili gdy to piszemy, Paryż głęboko poruszony śmiercią wielkiego artysty dramatycznego Fryderyka Lemaitra. Tém boleśniej śmierć ta dotknęła Paryżanów, że towarzystwo artystów i pisarzy dramatycznych, przysposabiało właśnie wielką uroczystość, na pięćdziesięcioletni jubileusz zmarłego, przypadający w tym roku.

Imię Fryderyka Lemaitre sławném zostanie w dziejach francuzkiej sceny. Kiedy Hugo i Dumas burzyli zastarzały klasycyzm i popychali sztukę w nowe tory, genialny Lemaitre przyczynił się dzielnie do ich tryumfu. Wiktor Hugo wyraził to, zowiąc go pierwszym z tegoczesnych aktorów francuzkich, godnym następcą Talmy.

Też same zapory, jakie napotykali poeci dramatyczni w początkach zawodu, napotykał także i Lemaitre; długo walczyć musiał z ogólném uprzedzeniem, i ciężko dobijać się sławy. Gdy zdawał egzamen opuszczając konserwatoryum, sędziowie odmówili mu nagrody. Jeden z grona przemówił za nim, jeden go tylko zrozumiał, był nim Talma; lecz głos jednego, nawet Talmy, nie przemienił wyroku.

Uczeń pozbawiony nagrody, nie znalazł miejsca na żadnej poważniejszej scenie. Wystąpił w Teatrze różnaitości r. 1826, w sztuce *Pyrame i Thysbe*; powierzono mu rolę *Lwa*, nie w przenośnym, lecz w istotnym tego słowa znaczeniu. Lemaitre potrzasał grzywą, najeżał pazury, i ryczał przeraźliwie. Kto wie czy ta romantyczna rola, nie przypadła mu lepiej do myśli, niż jakiś pompacyjny dyalog utkany z konwencyonalnych frazesów.

Później oddano mu rolę bandyty w nudnym melodramacie: *Dom zajezdny w Adrets*. Artysta chciał uwydatnić komiczną stronę roli, ożywić ją humorem. Zakrzyczano go podczas próby; dyrekeya uparła się nowatorstwu, autor silnie protestował. Lemaitre musiał ustąpić, ale sztuka upadała widocznie po kilku przedstawieniach. Aby ją podźwignąć dyrekeya okazała się powolniejszą:

— Graj jak chcesz, mówiono do Lemaitra, byleś ocalił sztukę!

I tak też się stało; artysta idąc za pierwszym popędem, stworzył krotochwilny typ bandyty, jakiego niewidziano dotąd na scenie. Paryż przyklasnął, dramat pomimo niedostatków, długo pozostał na afiszu. Odtąd uznano w Lemaitrze doskonałego przedstawiciela wszystkich odrzutków społecznych. *Trzydzieści lat życia Szulera*, ustaliło do reszty jego wziętość. Wkrótce przekonali się Paryżanie, że straszny bandyta i ohydny szuler, umiał zmienić się w poetycznego Rawenswooda, szczytnego kochanka Łucyi z Lamermooru, w szarpanego zawzięcia Otella, w chytręgo Mefistofila, że umiał nawet oddać pamiętne i drogie naówczas wszystkim oblicze Napoleona, w Dumasowskim dramacie. Niczém to jednak w obec prawdziwie twórczej potęgi, jaką rozwinał w roli Ryszarda Darlington, Keana, a szczególnie Ruy Blasa.

Odtąd rozpoczął się prawdziwy jego tryumf, odtąd przez lat trzydzieści zbierał wieńce po teatrach paryzkich.

Od ostatniej wojny Lemaitre czasami tylko ukazywał się na scenie. Bolesny cios wstrząsnął nim do żywego. Jeden z trzech synów w napadzie gorączki, wyskoczył oknem i roztrzaskał głowę o bruk. Niepocieszony po tém nieszczęściu, biedny ojciec nie pragnął już nowych warzynów. Umarł przywiedziony niemal do ubóstwa. Pogrzeb jego odbył się z niesłychaną uroczystością. Za trumną postępował świętny orszak artystów i literatów francuzkich. Wiktor Hugo stojąc na karawanie podtrzymywał róg baldachimu. Wielki poeta przemówił u grobu. Pożegnawszy sławnego artystę, dziękował Paryżanom, że w chwilach kiedy gorączka polityczna, wywołana wyborami, porusza wszystkich tak gwałtownie, przybiegli uczcić ostatnią postugą wielkiego przedstawiciela ideału!

Znany publicysta Emil Girardin, niegdyś redaktor Pressy, obecnie gazety *France*, ogłosił w jednym tomie dziennikarskie swoje artykuły. kresłone ostrém piórem z dnia na dzień, pod wpływem wypadków, które w ostatnich latach wstrząsnęły Francją, i chwilowo przyćmiły jęj gwiazdę. Tytuł książki: *La grandeur, et le declin de la France*, (Wielkość i zmierzch Francyi). Sam już tytuł razi niewłaściwością, z jednej strony jako parafraza dzieła Monteskiusza, *Grandeur et decadence de Rome*, z którym nie wytrzyma porównania zbiór przepieprzonych artykułów, rzucanych dorywczo na szpalty dziennika, niby błyszczące fajerwerki; z drugiej znów strony wyraz: *Zmierzch Francyi* w ustach Francuza smutne sprawia wrażenie. Po zmierzchu, następuje noc, to jest bezwładność, sen, martwota, zakończenie jednej doby nim się druga rozpocznie. My wolimy wierzyć z Gizotem, że historia narodów chrześcijańskich nigdy się nie kończy, ani téż na nowo rozpoczyna.

Niech inni rozbierają paradoksy pana Girardin. Praca to nie lada; co krok jakiś kamień na drodze, a ztąd powód do dyskusyi. Z tych wszystkich paradoksów, uderzył nas jeden na samym wstępie: jest nim apoteoza dziennikarska. Według autora, to alfa i omega wszystkiego. Po co dziś pisać historią, kiedy dziennik obejmuje z dnia na dzień wszystko, cokolwiek zaszło na świecie! Po co spisywać pamiętniki, skoro reportery wygrzebują co dzień ze śmietników, tysiące skandalicznych plotek! Po co nawet mozolić się nad listami, kiedy wszyscy wszystko wiedzą z dziennika! Lepiej więc spożytkować sity jednostek na rozwój dziennikarstwa, wszystko co żyje umysłowo wprzód do dziennikarskiego warsztatu. Dziennik zbawi Francją! Pan Girardin wziął jak widać na seryo tytuł króla dziennikarzy, dawany mu nieraz przy biesiadniczym toaście, to téż z równą pychą z jaką Ludwik XIV, wyrzekł: *l'Etat, c'est moi!* zda się przemawiać w dziele swoim, *La France c'est le journal, et le journal c'est moi!*

W roku zeszłym daliśmy program konkursu p. Michielis, ogłoszonego w Paryżu na trzy dramata z dziejów Ameryki Północnej, za czasu wojny o niepodległość. Otóż dwa sądy przysięgłych wywiązały się już z zadania. Pierwsza instancja, złożona z krytyków francuzko-amerykańskich, wyróżniła pięć sztuk, z sześćdziesięciu kilku, które jej nadesłano.

Z tych pięciu wyższa instancja złożona z członków Akademii: Legouvego i Augiera, oraz z panów Murray i Perrin, pod prezydencją Wiktora Hugo, wybrała trzy najznakomitsze. Żaden utwór nie miał tak wielkiej doniosłości, jakiej sąd wymagał do przysądzenia pierwszej nagrody. Trudno obwiniać o to autorów, pamiętamy bowiem ciężkie warunki, narzucone przez osoby dyrygujące konkursem. Autor zmuszony przemilczeć o nienawiści Amerykanów ku Anglikom, nienawiści, która zapełniła podówczas wszystkie serca, zanadto był skrepowany, aby mógł z całą swobodą rozwinąć twórczy polot.

Drugą nagrodę w ilości 4,000 franków, rozdzielił sąd pomiędzy dwa dramata: pierwszy z nich pod tytułem *Nowy Świat*, jest utworem p. Villier de l'Isle Adam, drugi p. t. *Wielki Obywatel*, zbiorową jest pracą dwóch autorów pp. Armand d'Artois, i Gustawa Lafaille. Trzecią nagrodę 1,000 franków otrzymał p. Michel, za dramat *Ameryka wolna*.

Mimo twardych warunków, trzy nagrodzone sztuki wychodzą po nad miarę pospolitych utworów. Wszystkie trzy mają być natychmiast przetłumaczone na język angielski i przedstawione w Ameryce podczas uroczystego obchodu. W tymże czasie będą grane i na ziemi paryzkiej.

W Filadelfii przygotowano już program na stuletnią rocznicę. Henryk Lee z Wirginii, odczytać ma na zagajenie deklaracją niepodległości; poeta Henryk Longfellow wypowie utwór poetyczny, osnuty na tymże wątku. W teatrze nowojorskim odegrany będzie dramat Tuppera, pod tytułem *Washington*. Ciekawem będzie porównanie utworu wyrosłego na własnym gruncie, z utworami trzech francuzkich laureatów. Czy i amerykański poeta potrafił uniknąć sytuacji, któreby mogły obrażać Anglią?

W zaprzeszłej kronice mówiliśmy o dramacie Regina Sarpi, który silnie poruszył publiczność paryżką. Otóż dowiadujemy się, że autor téj sztuki p. Denayrouse jest jednym z najznakomitszych inżynierów dzisiejszych. Akademia nauk, na ostatnim konkursie, przysądziła mu 3,000 franków nagrody za rozmaite ważne wynalazki w świecie czysto naukowym. Wydoskonalił on przyrząd dla nurków, zwany *scaphandre*, wymyślił lampę podmorską, tém jaśniej przyświecającą im głębiej zanurzona; nadto przyrząd akustyczny podmorski, wreszcie automatyczny rezerwoar powietrza, który pozwala człowiekowi przebywać parę godzin w głębi wody, lub w pośród zabójczych gazów, w zupełnym oderwaniu od świata zewnętrznego. Oprócz tego wynalazł spo-



sób utrzymywania światła w głębi kopalni, bez niebezpieczeństwa wybuchu. Dodajemy tu jeszcze projekt statku podmorskiego i wiele innych zadziwiających pomysłów. Inżynier-poeta, wiernym jest uosobieniem narodu swego, który umie połączyć dobrze zrozumiany pozytywizm z głęboką czcią dla ideału. Ta równowaga dwóch prądów, stanowi według nas wielką siłę intelektualną Francji.

Pod tytułem *Bibliothèque Corneillienne*, Emil Perot zebrał w obszernym tomie spis niezliczonych edycji wielkiego dramaturga, twórcy tragedyi francuzkiej. Bibliograf nie pominął także tłumaczeń. Dotąd nie mieliśmy dzieła w ręku, nie wiemy zatem czy przekłady polskie Morsztyna, Osieńskiego i Godlewskiego zaliczone zostały i ocenione według ich wartości. Wiemy tylko że wydawca wymienił ośmdziesiąt siedm całkowitych przekładów Kornela na rozmaite języki, Na sam język holenderski przełożono szesnaście razy *Cyda*, dwanaście razy *Cynne*.

W akademii sztuk pięknych toczył się zawzięty spór o reformie w wystawach rzeźb i obrazów, na polach Elizejskich. Członek Instytutu Dupont podał wniosek, aby coroczne wystawy zamienić na trzyletnie: artyści mieliby tym sposobem więcej czasu do wykonania dzieł pomnikowych. Wniosek jednak nie utrzymał się, postanowiono tylko, że oprócz zwykłej, odbywać się będzie co lat pięć powszechna wystawa; na tej przyjęte będą do konkursu nie same nowe utwory, lecz i te które figurowały na czterech poprzednich wystawach. Uradzono niemniej, że obrazy przysyłane na wystawę doroczną, ulegać będą nadzwyczaj ścisłej kontroli, aby nie zapełniać napróżno miejsca.

Malarz Meissonnier, którego mikroskopijne obrazki tak wielki mają rozgłos, chciał pokazać światu, że potrafi zarówno władać pędzlem na płótnie szerokich rozmiarów. W pracowni tego mistrza jest właśnie na stalugach skończony wielki obraz, przedstawiający dzień bitwy pod Friedlandem. Wpółrodku stoi Napoleon I, otoczony sztabem, w oddaleniu widać ugrupowane masy wojska. Na pierwszym planie galopuje pułk kirasyerów. Obraz ten będzie ozdobą tegorocznej wystawy, jeśli go wprzód jeszcze nie zabierze Filadelfia. Dowiadujemy się że go nabył amerykanin Steward za 300,000 franków.

Na innych stalugach widać szkic innój, równie wielkiej kompozycji alegorycznej: przedmiotem jój oblężenie Paryża. Wspaniała niewiasta, uosabiająca gród stołeczny, góruje po nad tłumem dzielnych obrońców poległych w jój obronie.

Starożytnik francuzki Sainte-Marie, kierował w roku zeszłym wykopaliskami w Kartaginie. Pod jego okiem wydobyto z ziemi wielkie skarby archeologiczne; pierwsze wśród nich miejsce zajmował marmurowy posąg cesarzowej Sabiny, małżonki Adryana. Drogocenne przedmioty pomieszczone w stu przeszło pakach, przewoził do Europy

statek Magenta, który jak wiadomo spłonął na morzu. Łatwo pojąć trwogę uczonych i rozpacz wynalazcy! Napróżno zapewniano, że paki złożone na dnie okrętu, nie uległy pożarowi, lecz ze szczątkami okrętu ugrzęzły nietknięte na dnie morza. Parę miesięcy upłynęło w niepewności. W końcu jednak, dzięki niezmiernym usiłowaniom, wydobyto z pod wody starożytności kartagińskie, z pomiędzy nich, zniszczony tylko posąg cesarzowej, resztę złożono w Luwrze.

---

Uniwersytet Londyński odbył naradę w celu wyrobienia sobie nowych statutów, upoważniających go do udzielania stopni kobietom, we wszystkich fakultetach sztuk i nauk, prawa i medycyny. Wielu członków uniwersytetu chciało ograniczyć nowy ten wniosek, do fakultetu literatury, ale większość objawiła się przeciw wszelkim ograniczeniom.

Uniwersytet Sorboński, jakkolwiek nie nadał kobietom takich przywilejów, pozwolił im jednak uczęszczać na kursa bez żadnego szczegółowego upoważnienia, którego dotąd wymagano.

---

Uczeń akademii muzycznój w Rzymie p. Salveyre, przysłał do Paryża na konkurs wielką symfonią: *Sqd Ostateczny*. Z raportu sekretarza akademii sztuk pięknych dowiadujemy się, że młody kompozytor urzeczywistnił wielkie nadzieje, jakie położyła w nim akademii. Ostatni dramat ludzkości, ma być oddany z nadzwyczajną siłą, godną olbrzymiego pomysłu, do którego dał zapewne pobudkę sławny fresk Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej. Podnoszą szczególnież przepyszny hymn *Dies Irae*.

Inna kompozycya biblijna p. Salveyre, *Super fluminae Babyllonis*, wykonana także z prawdziwem natchnieniem. Wkrótce zapewne Niemcy nie będą mieli powodu upokarzać Francyi, rzucając jęj ciągle w oczy nieporównany geniusz Wagnera.

---

# FELIKS ZIELIŃSKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Niespodzianą a zbyt bolesną stratę zmuszeni jesteśmy zapisać na kartach niniejszych. Feliks Zieliński współ-redaktor Biblioteki Warszawskiej, w dniu 23 stycznia r. b. zakończył życie w *Rapallo* pod Genuą.

Jakkolwiek zmarły nie należał do pierwotnych założycieli naszego pisma, jednakże od chwili pojawienia się pierwszych zeszytów, wziął w nióm gorący udział, wszedł najchętniej w grono współ-redaktorów i odtąd wyłącznie tylko dla Biblioteki Warszawskiej pisał i dla niej pracował.

W pierwszym zaraz tomie 1841 roku umieścić: „Uwagi nad dziełem Augusta Cieszkowskiego: *Du Credit et de la Circulation.*”

Jest to obszernie studyum, które gruntownie przedmiot, poruszony przez znakomitego męża, rozbiera, i samodzielne wnioski swoje podaje.

Praca ta do razu zwróciła uwagę na młodego pisarza: oceniono też należycie jego naukę, głębszą myśl, obszerną wiedzę, przy wystąpieniu jasnym i potoczystym stylu.

W tomie czwartym tegoż roku, podał: *Wiadomość historyczną o księdzu Krusińskim* słynnym podróżniku, który z zakonu Jezuitów, jako misyonarz na Wschodzie w początkach XVIII stulecia dwadzieścia pięć lat przebywał, (od roku 1704 do 1729) i wydał opis Persyi w języku łacińskim.

Dwa więc kierunki widome w których wystąpił F. Zieliński: ekonomii politycznej i historii krajowej, i w obu tych gałęziach następnie pracował, badając przytém dawne prawo polskie.

Tu położył nieocenione zasługi, stanąwszy do razu pomiędzy pierwszymi badaczami dziejowymi. Rozprawy jego szczupłych rozmiarów, staną za dzieła. Wnika on w główną treść pytania, i nie ogólnikowém zdaniem, ale z dokumentami w rękę i wyższą krytyką, albo je odrzuca jako nie mające prawdy, albo podnosi i umacnia.

Do tych drogocennych badań należy: „*Kilka słów z powodu zdania p. Szajnochy, o dwóch groszach lanowych i opisu Zjazdu Koszyckiego, przez tegoż* (Biblioteka Warszawska tom II z roku 1860),



w których biorąc na uwagę dopisek do tomu pierwszego, znakomitego dzieła „*Jadwiga i Jagiello*,” odpowiada zarazem na zarzut uczyniony mu przez Szajnochę co do opłaty *poradnego* przez drobną szlachtę uprawiającą własną ręką swój zagon; a oparł takowy na rozprawie F. Zielińskiego „*O finansach XIV i XV wieku*.”

W téj odpowiedzi, w tych „*Kilku słowach*” wyjaśnia stanowczo, że w dawnych pomnikach prawa polskiego, gdziekolwiek jest mowa o szlachcie w ogóle, rozumianą przez to bywa szlachta, mająca kmieci; popiera swe zdanie ważnym pomnikiem, jakim jest potwierdzenie przez Zygmunta I-go artykułów ułożonych na Zjeździe Warszawskim, które Mazowsze zastrzegło sobie przy przyłączeniu go do Korony, i rozjaśnia, że szlachta mająca kmieci, obowiązana była płacić *poradne*, a drobna *zagonowa* na Mazowszu płaciła tylko od głowy (*a capitibus*).

Następnie przechodzi do spadków i dzierżenia ich przez córki, rzucając wielkie światło na stosunki rodzinne i ustrój społeczny, urządzający się, to *starym zwyczajem*, to nowém prawodawstwem.

W ostatku zbija zdanie Szajnochy, co do wielkiego wpływu drobnej szlachty na sprawy krajowe, jaki starał się wykazać znakomity ten historyk, przy opisie Zjazdu Koszyckiego. Uważa to za błędny jego pogląd, i kończy rozprawę swoje temi słowy:

„Nietylko drobna ale nawet średnia szlachta nie miała w owe czasy stanowczego głosu w sprawach publicznych. Zasadnie twierdzi Helcel (str. CXL), że w wieku XIII, faktyczna potęga i wpływ możnowładców był najsilniejszy i zaćmiewał monarchiczną księżąt władzę. Kardynalne stosunki społeczeństw nie ulegają nigdy nagłym zmianom: wpływ i znaczenie klas społecznych stopniowo tylko maleje lub wzrasta. Wpływ możnowładztwa nie ustał z wiekiem XIII; w wieku XIV i XV był jeszcze przeważnym. Przełom téj przewagi, na korzyść średniej szlachty stanowi panowanie Zygmunta Starego. Historyczną postacią, w której uwydatniła się, i w pełnym lubó krótkotrwałym blasku zajaśniała przewaga polityczna średniej szlachty, był dopiero wielki kanclerz i hetman Jan Zamoyski. Nieugięty ten przeciwnik domu austriackiego, opierając się na średniej szlachcie, której dążenia najświetniej przedstawiał, od której namiętności i uprzedzeń wolnym nie był, w równości szlacheckiej szukał podstawy swojego systemu politycznego. W dalszych czasach upadła równowaga między możnowładztwem i szlachtą, lecz oddziaływanie na siebie dwóch tych najważniejszych czynników politycznego społeczeństwa nie ustało, jest owszem główną może sprężyną, poruszającą dziejowe zjawiska.

„Polityczna przewaga średniej szlachty, nie podniosła w równym mierze szlachty drobnej, która nie uzyskała samoistnego wpływu na sprawy krajowe, nietylko w czasach Koszyckiego Zjazdu, lecz nawet do samego upadku Rzeczypospolitej.“

W małej rozprawce: „*Miejscowości w Królestwie Polskiem, nazwane od stanu, zajęć i pochodzenia zamieszkujących je osadników.*“ (Biblioteka Warszawska 1872 r. tom III) wzięwszy na uwagę spostrzeżenie A. Zygmunta Helcla ogłoszone w Bibliotece Warszawskiej (rok 1863, tom III), w przedmiocie *Dziesięcin w Polsce*: że, „przeliczne wsie mają nazwiska od osadników ich dawnych,” i przytoczył jako przykłady dwanaście nazw: F. Zieliński wziął za przedmiot swój pracy rozszerzenie tych badań; przegląda więc starannie dzieła *Röppel'a* i *Miklosicza*, i zwraca uwagę że: „język przechował nam ślady przeszłości starszej nawet, niż czasy z których mamy dokumenta piśmienne, i zupełniejsze od przechowanych w tych dokumentach.” Kładzie więc za zasadę, że „badania językowe służyć powinny za kontrolę i uzupełnienie badań opartych na dziejowych pomnikach.”

Wstępując na tę drogę i pierwszy krok na niej stawiając, nie tai przed sobą zmarły badacz, że rzecz nie wiele posuwa, ale jak sam dobrze wyraża: „zacząć raz trzeba, pozostawiając dalszy postępek pracy następcom.”

Za podstawę do swych poszukiwań bierze opisy uposażenia trzech biskupstw: gnieźnieńskiego arcybiskupstwa w buli papieżkiej z 1136 roku; włocławskiego w oryginalnej buli Ojca Świętego z roku 1148 i płockiego w dyplomie księcia Konrada z roku 1203.

Wskazówki z tych zabytków poczerpnięte porównywa do dzisiaj utrzymujących się nazw jeszcze i podaje ich liczny szereg. Olbrzymią erudycją i głęboką znajomością praw i przywilejów w średniowiecznej Polsce wykazał F. Zieliński w rozprawie swęj, rozbierającej *Liber beneficiorum* Długosza (Bibl. Warsz. t. IV. z roku 1871).

Ogromne to dzieło, wydane w trzech wielkich tomach, po raz pierwszy z rękopismu przez Aleksandra Przeddzieckiego, wertował przez lat dwa z gorą i owocem tych krytycznych badań, jest pomienione studjum.

Długosz rozpoczął pracowity swój żywot pełniąc obowiązki sekretarza przy sławnym kardynale i biskupie Zbigniewie Oleśnickim. Widząc, że skutkiem bądź zaniedbania, bądź częstych pożarów, ztratcone zostały najdawniejsze przywileje dyecezyi krakowskiej; że nawet granice jęj uszczuplone zostały, Długosz w roku 1440 opisał zamki, miasta, wsie, dziesięciny i różne dochody biskupstwa krakowskiego, układając ten rejestr porządkiem kluczów, tenut i powiatów. W trzydzieści lat później, w roku 1470 będąc podówczas nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka, przedsięwziął w dalszym ciągu podjętej pracy, opisywać prawa i dochody duchowieństwa katedry krakowskiej, kolegiat, zgromadzeń zakonnych i klasztorów.

Jestto druga, zupełnie odrębna część jego pracy, poświęconej opisaniu dyecezyi krakowskiej. Pierwsza dotyczyła uposażenia samego biskupstwa, stołu biskupiego; druga ściągała się do praw całego zresztą duchowieństwa w dyecezyi krakowskiej.

Pierwsza część pracy Długosza zaginęła jak się zdaje, nie wiemy nawet czy ślad jęj jaki pozostał; część drugą Aleksander Przezdziecki wydał.

F. Zieliński w obszernym rozbiorze swoim zwraca uwagę najprzód na dziesięciny, prostuje w tej rzeczy zdanie A. Z. Helcla, wykazując usterki co do dziesięcin Szajnochy (w dziele *Jadwiga i Jagiello*); przechodzi do uposażeń biskupstw i kościołów parafialnych, z których pierwsze korzystały z hojności panujących, drugie z gorliwości prywatnych.

Z umów o kupno czynszu oznacza stopę procentu 6—7 od sta rocznie; jak i wartość monet w obiegu podówczas będących, oraz pokazuje miary przestrzeni, ciał sypkich i płynnych.

Bogactwo szczegółów tu wymienionych jest wymownym dowodem wysokiej wartości pracy F. Zielińskiego. Ograniczył się w niej tylko (jak sam wyraża) na skreśleniu zarysu stosunków własności i rolnictwa jaki za czasów Długosza istniał i na podaniu wniosków, co do bezpośredniej przeszłości, z której stan się ten wywiązał: *Długoszowa teraźniejszość*. W skromném ograniczeniu swoim jakże bogaty nam daje obraz wewnętrznego ustroju społecznego narodu w tym okresie!

Studując *Liber beneficiorum*, zwrócił uwagę naszego badacza wraz jeden, pisze więc rozprawę: *Co znaczy wyraz „narok” w dawnęj mowie*. (Biblioteka Warszawska, tom II 1871 r.)

Starannie przeto przegląda wszystkie dyplomatury i *indexa* do nich, jak do wydania pomienionego dzieła dodane i po długięj a mozolnej pracy, przychodzi do pewnego wniosku, że wyraz *narok* oznacza pewne *territorium* z rozlicznych wiosek złożone, odkrywa i ustala bardzo starożytny podział ziemi w Polsce na *naroki*.

Szereg prac historycznych F. Zielińskiego drukowanych w naszym piśmie, jest nie mały w ciągu lat trzydziestu pięciu; złożony już to z rozpraw oddzielnych, już z licznych rozbiorów dzieł dotyczących dziejów ojczystych i Słowiańszczyzny, wydanych tak w polskim jak i obcych językach <sup>1)</sup>. Zebranie ich razem stanowić może nie szczupłą księgę, a byłaby ona najpiękniejszym pomnikiem dla zmarłego, wykazując zarazem jakie wniósł nowe a ważne zdobycze na polu dziejów ojczystych, a dla literatury historycznej drogocennym nabytkiem, z powodu że zbiór kompletny Biblioteki Warszawskiej dziś do rzadkości bibliograficznych należy.

W kierunku *Ekonomii politycznej*, nie mniejszy moglibyśmy wliczyć szereg prac zgasłego myśliciela i badacza. Zwracał on szczególnie pilną uwagę na Anglię, ulubionym rzec można przedmiotem była

<sup>1)</sup> Wspomniemy tu tylko: *Komentarz Herbersteina* wyszły w Londynie 1851 roku w tłumaczeniu angielskiem. *Geschichte Polens von Dr. Jakob Caro*. Czytelnik znajdzie szczegółowy spis wszystkich prac F. Zielińskiego w dziele K. Estrejohera: „Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej, z lat 1841—1874.” Kraków 1875 r. (w 8-ce str. 319).



pod tym względem Wielka Brytania, i zaznajamianie społeczności naszej z jej instytucjami ekonomicznymi.

W pierwszych latach zawodu literackiego mamy w roku 1843 jego rozprawy: „O drogach publicznych w Anglii,” „Banki szkockie i różnice ich od angielskich.” A w latach następnych: „MacLeod i banki angielskie,” „Wypadki finansowe i ekonomiczne ze zniżenia ceł w Anglii.” Zajmujące są też rozprawy: „O instytucjach municypalnych” i „O pożyczce na procent u Rzymian.”

Poprzestajemy na przytoczeniu samych tylko tytułów najważniejszych prac w tej gałęzi, pozostawiając ocenę wysokości ich wartości właściwym znawcom; tu tylko nadmienić możemy, że były one współcześnie, kiedy je drukował autor, kwestyami żywotnymi na czasie, które rozszerzały sferę wiedzy w społeczności naszej.

Jeżeli kto może stawić zapytanie, dlaczego w stosunku tylu lat, nieodpowiedni pozostawił ich poczet, odpowiemy, że F. Zieliński dawszy się poznać z nauki na linii obrończej, powołany jako urzędnik na wyższe stopnie, tu musiał oddawać większą część życia na prace poświęcone obowiązkom publicznym. Tak w komisji rządowej przychodów i skarbu, w projektach banku polskiego i towarzystwa kredytowego ziemskiego, brał przeważny udział i wiele prac jego cennych pozostaje ukrytych w archiwach tych władz. Z najważniejszych w ostatnich latach jego urzędowania są, projekta organizacji rady stanu, rad gubernialnych, powiatowych i miejskich. Projekta te, głównie co do rad powiatowych i miejskich, jakkolwiek w krótkiej praktyce, pokazały wszelako, że ich autor pomimo tego że zmuszony był trzymać się ram zakreślonych, potrafił nadać tym instytucjom nie małą żywotność z pożytkiem dla kraju; praca to była nie mała, a twórca ich w skromnym ukryciu pozostał.

Teraz musimy podać chociaż krótki życiorys zmarłego.

Feliks Kazimierz Zieliński urodził się w Warszawie, tu odbywał nauki początkowe, wyższe zaś ukończył na uniwersytecie w Królewcu. Za powrotem do kraju wszedł do służby rządowej, w zawodzie sędziowskim i równocześnie wystąpił na niwę literacką.

Kiedy okazała się potrzeba poprawy tekstu polskiego w nowym kodeksie „Kar Głównych i poprawczych,” ówczesny dyrektor prezydujący w komisji rządowej sprawiedliwości, Onufry Wyczechowski, wezwał F. Zielińskiego do zasiadania na posiedzeniach tejże komisji i przeglądania pomienionego przekładu. Zieliński był patronem, za ten udział został mianowany adwokatem i równocześnie „urzędnikiem do szczególnych poruczeń” przy boku Morawskiego dyrektora głównego prezydującego w komisji rządowej przychodów i skarbu.

W roku 1862 mianowany sekretarzem Rady Stanu Królestwa Polskiego. Na tym stanowisku, w godności rzeczywistego radcy stanu zostawał, aż do zwinienia w roku 1867 tej instytucji.

Wysokie znaczenie jakie sobie zdobył w hierarchii rządowej, nie żadnym bocznym względem i opiece wyższej zawdzięczał; zbyt był prawy ażeby dróg takich szukał, ale jedynie własnym zdolnościami.

Przez tę niemal ćwierć wieku służby publicznej, zajęty obowiązkami swego urzędu, nie wychylał się z murów rodzinnego miasta, ale gdy został wolny jako emeryt, w dostatniem mieniu, bezżenny, urządził się z czasem w ten sposób, że wiosnę i lato do grubej jesieni przepędzał w Warszawie, zimę całą we Włoszech lub południowej Francji.

Przemieszkując w rodzinuém gnieździe, codziennie prawie gdy był czas pogodny, używał dalekich przechadzek. Najczęściej oprócz Bielan gdzie dumał przy grobie Staszica, odwiedzał Willanów. Była to ulubiona jego miejscowość, w której oddychał swobodnie; spoglądając na zabytki i pamiątki po królu Janie III, pod cieniem drzew jego ręką sadzonych spoczywał. Przechadzki te zwykle odbywał sam, bo samotność lubił, w niej rozmyślał i marzył.

Przechadzkami temi pokrzepiał siły znużone codzienną pracą umysłową. Niskiego wzrostu, krępy, żywy w ruchach, odznaczał się czerstwem zawsze obliczem, na który wybijał żywy rumieniec, wywołany chwilą głębszego wzruszenia albo zapału. Oczy czarne, pełne ognia i życia, z wyrazem młodości, zwiastowały niezwykłą inteligencją. W zebraniach towarzyskich zwykle milczący, słuchał uważnie, rzadko się odzywał; zawezwany do głosu, zdanie swoje objawiał krótko i zwięźle.

Wyjeżdżał zagranicę nie dla rozrywki i zabawy jak inni, bo jak mówiliśmy lubił życie samotne, ale dla swobody oddechu i zdobyczy naukowych. W drodze zatrzymywał się w większych miastach, zwiedzał księgarnie, zakłady naukowe, biblioteki i muzea sztuk pięknych. Z każdej wędrowki przywoził zasób nie mały zbieranego plonu z literatur włoskiej, niemieckiej, francuzkiej i angielskiej. Najznakomitsze dzieła skupował i niemi powiększał swoją zamożną bibliotekę, która bogatą téż jest nietylko w dzieła wyborowe literatury ojczyźnej, ale i europejskiej. Wielka namiętność do rozszerzania własnej wiedzy, we wszystkich gałęziach literatury, może téż była dlań główną zawadą do przedsięwzięcia prac szerszych rozmiarów, na co mu sił, talentu i nauki nie brakło, ale więcej czytał jak pisał; a kiedy brał pióro do ręki, robota nie szła skwapliwie, bo zawód literata ceniąc jako kapłaństwo, wzięty przedmiot wszechstronnie badał i zgłębiał. Ztąd każda Zielińskiego praca, tak wysoką ma wartość. Ileż to czasu potrzebował, gdy podejmował krytykę czy sprawozdanie o jakimś dziele!

Oprócz przeczytania od deski do deski, przygotowania notat odpowiednich i wyciągów; oceniał całość z krytyką światłą a sumienną, podnosząc strony dodatnie, obok ujemnych.

W pracach redakcyi Biblioteki Warszawskiej brał przeważny udział: jeżeli mniej pisał, nie wymawiał się od zażądanej pracy, a najchętniej dopomagał w ocenie nadsyłanych artykułów. Za bytności w rodzinuém mieście, nie opuszczał żadnego posiedzenia redakcyi i światłem zdaniem, nieraz pożyteczną myślą podpiczał ten organ prasy polskiej, której przez lat trzydzieści pięć był jednym z najgorliwszych współpracowników.

Dziś to miejsce osamotnione wzbudza żal i smutek rzewny w pozostałym gronie wiernych towarzyszków, którzy umieli w zgasłym mężu cenić zarówno naukę jak i charakter prawy i szlachetny.

Niech to wspomnienie będzie wymownym hołdem naszej czci i szacunku dla zmarłego brata ducha i myśli.

---

## PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Romuald Hube, Statuta Nieszawskie z roku 1454* (Bibl. Umiejęt. Praw. 1875), rozważane jako przyczynek do historii konstytucjonalizmu w dawniej Polsce.

Ważność i ilość kwestyj poruszonych w króciutkiej tej (o 54 stronnicach) broszurce, wymagałyby właściwie nie krótkiego streszczenia głównych jej punktów, ale raczej rozwinięcia każdego z nich w poważny artykuł. Autor bowiem albo poruszył nowe, albo dawnym kwestyom nadał nowy obrót. W kraju, gdzieby ogół się interesował poważnym studjum dziejów własnej przeszłości, a zwłaszcza dziejów wewnętrznych nie politycznych, praca naszego autora jużby wywołała szereg zapytań z różnych stron rzuconych. Musimy poprzestać na tém, co natęraz sprawozdanie jednostki dać może.

A najprzód rozprawa wspomniana porusza ważną kwestyą konstytucjonalizmu w Polsce, której rys pobieżny i więcej teoryjny dał dwa lat temu prof. Bobrzyński w dziele „O ustawodawstwie Nieszawskim Kazimierza Jagiellończyka” (1873. Kraków, str. 168). R. Hube porusza tę kwestyą w sposób dosadniejszy, bo przemawia faktami, chcąc wyjaśnić czém były statuta Nieszawskie w stosunku do innych tego rodzaju dawniejszych i społecznych pomników prawodawczych, jakie powody skłoniły rycerstwo do domagania się onych, i co istotnie przez nie rycerstwo osiągnęło (str. 8).

By odpowiedzieć na te pytania, autor daje najprzód obraz tego, czém byli dygnitarze do roku 1454, jaką rolę pełnili w zarządzie kraju. Rzecz swoje zaczyna stosunkami wieku XIII-go, potem przechodzi ważniejsze dokumenty XIV i XV wieku i z nich dobywa wnioski, że w całym tym przeciągu czasu (por. str. 10 i 17) wszystko się dzieje za sprawą i radą prałatów i baronów. to jest dostojników duchownych i świeckich.

Autor nie chciał dawać kompletnego zbioru materyałów do historii ówczesnego parlamentaryzmu i pono niesłusznie Piekosiński w Przeglądzie krytycznym krakowskim (Nr. 10 pisma, a 166 recenzji) doma-



gając się kompletności, oraz widząc ją po części w zupełnym spisie wszech *colloquiów*, pominął ważną zasługę autora w postawieniu samego faktu udziału, choćby wyższych warstw społeczeństwa w zarządzie sobą w dawniej Polsce. Nie tak to dawne czasy, jak ś. p. Helcelw słusznej zkądinąd krytyce Długosza, burząc wskazówki tego kronikarza o podobnych spółrządach kraju z swym rządcą w wieku X i XI i t. d., jako nie oparte na wiarogodnych pomnikach—obalał jedyne niemal do jego czasów podstawy wywodów konstytucjonalizmu u nas. Następnie zbijając wywody Lelewela, Hubego, Maciejowskiego o istnieniu pomników legislacyjnych ogólniejszych przed-Kazimierzowych, utworował wydawca starodawnych pomników prawa polskiego drogę twierdzeniu p. Bobrzyńskiego (Praw Niesz. stron. 125), że Kazimierz W. wydając swe statuty na wiecach za radą i zgodą przybyłej na zgromadzenia szlachty, wraz z tym wiecem, nie stanowił jeszcze władzy prawodawczej, nie ograniczał władzy ustawodawczej, której nie posiadał, a która spoczywała przy ogóle społeczności rolniczej; ale stworzył urządzenia konieczne, aby zwiększyć znaczenie i powagę statutów, którym jako samowolnym ukazom, nie byłby mógł mocy obowiązującej zapewnić. Ze śmiercią Kazimierza W. proces przemiany wieców czysto sądowych na zjazdy ustawodawcze, przez tego króla zdaniem p. Bobrzyńskiego (str. 130) rozpoczęły, ustał i odtąd ktokolwiek nowe ustawy wydawać zamierzał, musiał z gruntu nad przelaniem władzy ustawodawczej ogółu na jakiś samoistny organ pracować.

Okres téż całkowity dziejów wewnętrznych od roku 1347—1505 ma być zajęty taką przeróbką prawa zwyczajnego w statuty i przeniesienia władzy legislacyjnej z narodu na sejm z trzech stanów złożony (str. 122).

Naród po r. 1347, zdaniem prof. Bobrzyńskiego nie miał własnego organu władzy ustawodawczej (str. 121). Zresztą i potem nie monarcha, ale same ustawy, zdaniem tegoż autora, nabywając powoli ustawowych znamion i siły, musiały sobie zwolna władzę ustawodawczą, jakiej przedtem nie było, wytwarzać (str. 122),

Otóż jeśli dobrze rozumiemy te zdania (prócz ostatniego), to z nich najoczywiściej wynikać się zdaje, że już nietylko nie było większych zbiorów praw przed rokiem 1347, jak twierdził Helcel, ale nawet nie było zgromadzeń legalnych, na którychby mogły zapadać czasotkowe legislacje przed 1347 r. Co zatem idzie o udziale narodu w tym kierunku w dawniej Polsce przed tą datą ani mowy być nie mogło wedle prof. Bobrzyńskiego.

R. Hube cytata choćby dwu faktów udziału baronów w rozporządzeniach prawodawczych z XIII-go wieku (str. 9) i to cytata z dyplomatów spółczesnych cofa kwestyą badań legislacyjnego spółdziałania kraju na stanowisko przed-Helcelowskie, i nadto otwiera szerokie pole dla jej rozstrzygnięcia na dokumentach najwiarogodniejszych. Jest to téż jedna z różnic między dwiema pracami nad prawodawstwem Niesz-

wskiem przez tylekroć wspomnianych badaczy podjętemi, oku recenzenta Przeglądu niewidocznych.

Nie rozszerzamy się bardziej nad tą różnicą, zwłaszcza onęj uwydatnieniem w pracy R. Hubego, gdyż jeszcze raz do niej z czasem wrócić wypadnie. Dlatego poprzestajemy na zaznaczeniu zbytecznego nacisku, jaki zrobiono na znaczenie formuły aktów Łokietka (str. 12 n. 1) *in praesentia* sprzecznie z uwagami (str. 9), które równoważą to *in praesentia z cum consensu*.

Następuje drugi punkt téjże pracy, to jest wskazanie bardzo dawnego, a wysokiego znaczenia dygnitarzy w dawnéj Polsce. Jako ważne tego faktu ilustracye podano dwie okoliczności. Najprzód tytuł wojewodów z *Bożej łaski* z r. 1185 (str. 11), który pewne światło rzuca na takież same tytuły książąt pomorskich w XII-ym wieku. Następnie zaznaczony został fakt niejakiéj dziedziczności w piastowaniu tych samych dostojenstw przez pewne rody (str. 10 cytat. z Maciejow. Pamięt. 1) II 378 nie 278) już w wieku XIII, fakt znany już Helclowi (klasztor Jędrzej. 199) cytowanemu przez autora, a stwierdzony przez Stosława Łagunę nawet na niższych urządach (O prawie granicz. pols. str. 10 n. 3). Zdaje się że i Lelewelowi myśl podobna nasuwała się, ale rażony rzekomą jej niestosownością, w ważnym ze wszech miar akcie 1311 2) zachodzący frazes *de maturo consilio nostrorum baronum et heredum ipsorum*, tłómaczy: „baronów i ich letnich synów.” Takie omińnięcie prawdziwego znaczenia wyrazu *heres*, zbyt jest rażące by było przypadkowém.

R. Hube prócz wskazówek dyplomatycznych z XIII-go wieku co do istnienia dziedziczności urzędów, podał odnośne zdania Długosza i Ostroroga z XV wieku. Ztąd wnosićby można że ta zasada dziedziczności urzędów albo się zaczęła wyrabiać dość dawno, albo téż jest przekształceniem z jednéj strony a rozszerzeniem z drugiéj strony nierówności społecznej, datującej z czasu bytu odrębnych pokoleń, i rodów, z czasów istnienia naczelników pokoleniowych i tak zwanych wodzów, jak u Indyan. Łatwo pojąć już *a priori*, ile fakt dziedziczenia pewnych urzędów w XIII wieku przemawia na korzyść istnienia bardzo dawnego potężnej arystokracji w dawnéj Polsce. Nie potrzeba przypomi-

1) Takich pomyłek korektorskich jest więcéj (str. 9 tekst i nota 2. 1254 nie 1245, str. 28 w. 16, § 18 nie 10, str. 36 pod Nr. 11 cytowany być ma § 8 Wielkopolski nie 9; str. 37 Nr. 13, jest opocki § 15 ma być O § 14, str. 40 n. 2 jest O § 22, ma być 21.

2) Pol. Wick. śred. III 180. Akt ten nazywamy ważnym ze wszech miar, bo prócz kwestyi dziedziczności baronów, popiera niewinność osławionego wójta Alberta. W liczbie karanych, niema Alberta, tak 1311, jak niéma go w liczbie buntowniczych wójtów, jest podany tylko Jaśko i Henryk, i Henryk nie Albert iest ukarany przez Łokietka zaborem domu wójtowskiego. Wreszcie Opolczyk nie miał racyi więzić Alberta, jeśli ten był jego stronnikiem (Por. Mon. Biel. II, 813 Miechovia str. 253—4, Akta Gr. i Ziem. III, 1).



nać ile takie spostrzeżenie odkrywa nowych widoków, nastęrcza nowych pytań w rzeczy tworzenia się stanów wyższych u nas.

Trzecią kwestyą postawioną przez R. Hubego jest stosunek rycerstwa do arystokracji, a zarazem ściśle z tym stosunkiem związany udział rycerstwa w konstytucyjnym ustroju dawniej Polski. Kwestya to może najmniej wydatnie zarysowana w rozprawie uczonego badacza. Najprzód w przeciwieństwie do metody innych założeń autora, nie mamy odwołania się do aktów, które okazywać się zdają, że nawet i osoby bez tytułu, nie zaszczycone dostojemstwem ziemskim lub dworskim, wbrew zdaniu na str. 17 cytowanej rozprawy wyrzeczonemu, miały takie same znaczenie polityczne, jak baroni, o ile ono określiła rozprawa na str. 9 udziałem przy alienacyi dóbr prywatnych, darowiznie, książeńcych, wydawaniu przywilei libertacyjnych lub wyroków sądowych księcia. Akty Konrada I z lat 1221 i 1222 (Rzyszcz. I, 29 nast.) najprzód podpadające pod oko wykazują, jak obok sądzącego przy księciu urzędnika (*judicante iudice*) występują w sprawie alienacyi dóbr książeńcych bracia Tomasz i Filip, Żasota syn Marcina, jako asystenci *bez tytułu* sądu i aktu.

Przy wydaniu libertacyi 1222, podobnie występują na akcie dwaj nietytułowani świadkowie.

Okoliczność że np. na *colloquium* w Skaryszowie w miesiącu maju 1228 r. odbytém, prócz baronów występuje całkowite i świadczące rycerstwo (*militia*) ziemi krakowskiej i sandomierskiej (ibid. str. 32), oraz ciekawe świadectwo z 1285 o postanowieniu legislacyjnym, powziętém (za zgodą) *baronów i ziemian* <sup>1)</sup>, co prawda świadectwo aktu uszkodzonego, ale którego części brakujących łatwo domyślić się, pozwalają chociażby pewne ograniczenie uczynić w uwadze szanow. badacza (str. 187), że ze śmiercią Kazimierza W. dopiero, nietylko arystokracya dygnitarska podniosła się, ale i reszta rycerstwa wyszła na obszerniejsze pole działania. Powyższe już doraźnie wzięte szczegóły pozwalają stawić hipotezę, że ten udział rycerstwa nie z 1370 r. dopiero datuje, ale ma miejsce w XIII stuleciu, a sięga zapewne i dawniejszych czasów.

Z kolei rzeczy wynurzająca się u Hubego kwestya dworzan (*familiaris*), jakich rolę podrzędną mieli grać prości rycerze już przed XIV wiekiem, jest zupełnie nową. Przyczynek źródłowy do niej, ale w innym duchu jak u autora stanowią *familiars* Mieszka i Chrobrego, będący spółrządcami kraju (wedle Dytmara i Galla), nieznani zresztą bliżej *alumpni* Przemysława II, świadczący wraz z swym mecenasem na akcie Bolesława Wielkopolskiego z 1267 r. (Rzyszczewski I, 89). Z drugiej strony rzecz podejmuje artykuł 2 Statutu mazowieckiego z roku 1390, mówiący o wzajemnym przebywaniu milesów u siebie w charakterze definiowanym z jednej strony przez wyrazy *amicitia, fraternitas, scultetia*, a z drugiej przez zastrzeżenie, że jeżeli żadnego

<sup>1)</sup> Kodeks mazowiecki str. 26, edicto nostre constitutionis... (assensu) baronum et terrigenarum accedente....



z tych charakterów nie ma pobyt milesa jednego u drugiego, w takim razie miles chwilowo bezziemny, na czas tego pobytu, staje się kmieciem. Nowe nareszcie na tę kwestyę stanów przechodnich i środkujących między włościanami a rycerstwem światło rzuca instytucya „pół-rycerzy i pół-rodowych” tak zwanych skwirywów, włodyk czyli skartabelów, to jest niedoszłej szlachty, poznana bliżej z drugiego tomu „Pomników” Helcla, a głównie tam pomieszczonych krakowskich źródeł <sup>1)</sup>.

W skutek tego sama kwestya udziału lub nieudziału nieszlachty, zupełnie pominięta milczeniem przez obu badaczy Statutów Niezawaskich, naraz się z nową siłą wynurza i rozwiązania domaga. Szczególniej R. Hube dość nieostrożnie przemilczał ważny ten punkt naszego konstytucjonalizmu, ile że wspomniane przez tego badacza akty z roku 1433 i 1434 (Rzyszczewski, II, 2, 859, Hube, str. 21, n. 2) mówią nie tylko o wystaniu po dwu baronów i po dwu rycerzy z każdego klejnotu, ale nadto (czego R. Hube nie wskazał) jest zastrzeżoną *rathibitio scientia consensus* wszech *procerum militum nobilium communitatum indigenarum et incolarum*. Przez *communitates* tych ostatnich są bezwątpienia rozumiane społeczności miejskie a może i wiejskie, wspomniane na początku aktu w formie *civitates totaque communitas Regni Poloniae*. Hypoteza ta co prawda nie znajduje potwierdzenia w pieczęciach obecnie wiszących u pergaminu z roku 1434. Wszakże bardzo być może, że pieczęcie miast, lubo zostały przywieszzone, ale się zatarty. Bo najprzód czytamy w nocie samego wydawcy (str. 858), że pieczęć 63 jest większa od innych, „należy więc może do jakiego miasta.” Powtórę choć liczby świadków i pieczęci się zgadzają, ale są pieczęcie tych samych osób podwojone i potrojone np.: 26, 43; 58, 59; 40, 41; 27, 62, 64; także pieczęcie osób niewspomnianych (Piotr z Drahima Ogończyk), z kąd wynika wniosek, że osób pieczęciami sprawdzić nie można, a przeto w liczbie pieczęci zatartych mogą być zatarte nie szlacheckie ale miejskie. Że tak być mogło z aktem z roku 1434, przekonać może fakt istotnego znajdowania się pieczęci miejskich przy akcie Wielkopolskim z 1432 roku (Raczyński *Codex Maj. Pol.* str. 164), którego pierwszy wydawca, jak się okazuje ze słów Łukaszewicza (Opis powiatu Krotoszyńskiego, I, str. 427) opuścił i kilka osób i nie wymienił, że na potwierdzenie zastrzeżone słowami aktu (*civitatum indigenarum et incolarum rathibicione scientia pariter et consensu*) odpowiedziały miasta: Poznań, Wschowa, Środa, Międzyrzec, Szrem, Oborniki, Rogoźno, zawieszeniem swych pieczęci.

Jestto fakt tak ważny, że wzmianka o *rathibicio* miast w akcie z 1434 roku dozwala przypuszczać bytu samych pieczęci, i otwiera szerokie pole śledzeniom udziału *miast* w rozwoju konstytucyjnym dawniej Polski.

<sup>1)</sup> NN. 2375, 2167, 1829, 1490, 1498, 1601, 2369, 1603; stronic: 360, 322, 265, 215, 216, 232, 358, 232.

Blizki zaraz rok 1425 nowe tego dowody przynosi, a kto wie czy formuła *communitas* do samej tylko rodowej części społeczeństwa, jakby wynikało ze słów R. Hubego, odnosi się w akcie z 1382 r.? Powątpiewanie w tej mierze témbardziej jest usprawiedliwione, że znalazł się w 1871 r. aż na cztery lat przed rozprawą naszego badacza, dokument udowadniający udział mieszczan w rządzie ówczesnym tymczasowym. (Sprawozdania i Rozprawy Akademii umiejętności 1871 r., str. 170).

Udział legislacyjny urzędników miejskich 1356 r. oraz akt Ludwikowych zobowiązań z 1355 r. daje dużo także do myślenia i w ogóle dużo faktów pcha koniecznie badaczy do uwzględnienia w swych badaniach roli żywiołu nieszlacheckiego w konstytucyjnym życiu dawniej Polski.

Co do kwestyi dwu izb, dla których genezy autor (str. 22) z Al-bertrandim, rok 1453 jako stanowczy wskazuje, ośmielamy się przypomnieć wzmianki senatu z kroniki mistrza Wincentego, i cytat W. A. Maciejowskiego, senatu z aktu roku 1317 Łokietkowego (Bartoszewicz, III 177).

Pomijamy lekką sprzeczność R. Hubego (str. 23) i prof. Bobrzyńskiego (str. 147) przypisujących to baronom, to szlachcie inicjatywę aktu z roku 1422 czerwińskiego, gdy w akcie próśby obu stanów a „głównie” nacisk Witolda są zaznaczone; pomijamy i inne podrzędniejsze rzeczy, a zwracamy się do kwestyi samych Statutów Nieszawskich.

Rzeczą jest wiadomą, że dotąd przypuszczano sfałszowanie tych statutów w czasie upływającym między ich wydaniem przez Kazimierza Jagiellończyka, a potwierdzeniem przez Jana Olbrachta, i to sfałszowanie miało się odbyć w tym artykule, którym zapewnia ziemianom udział w prawodawstwie i w pewnej mierze decyzją o wojnie w formie zwołanych po temu zgromadzeń. Domysł ten Bandtkiego, wydawcy *Jus Polonicum*, opierał się na istnieniu owego artykułu w dwu tylko rękopismach, gdy wydanie pierwotne i reszta rękopismów o nim milczą, a wciągnięciem się okazuje dopiero w confirmacyi Olbrachtowej z przywileju Kazimierzowego *bardzo zniszczonego*. Dalej zauważył wydawca, że potwierdzenie owo było dokonane na próśby prałatów i szlachty, którym jedynie wzmiankowany artykuł dogadzał, umniejszając wpływ króla. Następnie pora wydania przywileju roku 1454 przedstawiała się być wydawcy raczej przychylniejszą do sprawiania szyków wojennych jak układania artykułów prawa. Nakoniec „rady Kallimacha dawane Janowi Olbrachtowi (a jemu miłe), dotyczące ujęcia szlachty w karby, być może dały téjże szlachcie podniecie do oszukania króla” i wstawienia artykułu rozszerzającego nie atrybucyę króla, ale szlachty <sup>1)</sup>.

Profesor Bobrzyński (str. 12) zbijając twierdzenia te Bandtkiego, wyraża się o tej ostatniej jego uwadze dość nieostrożnie. „Niepojętym

<sup>1)</sup> *Jus Polonicum* 270 u. *Consilia Callimachi Joanni Alberto satis grata de nobilibus coercendis forsans iisdem ansam dederunt ad regem decipiendum.*



sposobem przypisywał Bandtkie wszystkie późniejsze (1496) poprawki sławionym radom Kallimachowym *de nobilibus coercendis*. Gdzie bowiem (mówi dalej prof. Bobrzyński) w Statucie swoim Nieszawskim widział poniżenie i ukrocenie szlachty, tego (Bandtkie) nie wytłumaczył."

Tylko pośpiech niejaki wyjaśnić nam może zagadkowość tego zarzutu, który, w sobie niesłuszny, t $\acute{e}$ m mniej jest na miejscu, że i nowa hipoteza Bobrzyńskiego, w rzeczy genezy Statutów Nieszawskich, mimo swych zalet, także trudności nie usuwa. Mianowicie prof. Bobrzyński kollacyonując jeszcze raz rękopisma tych statutów, rozdzielił je na pięć grup, zamiast dwu, jakie przyjmował Bandtkie <sup>1)</sup> i do dwu statutów Wielkopolskiego i Małopolskiego, dodaje Chełmski (ruski), Sieradzki, oraz tak zwany ogólny. Wskazówką samodzielności tych statutów jest wyłączenie wzmiankowanie tych ziem, dla których są przeznaczone, jakoteż różnice w datach i miejscach wydania, niedające się wytłumaczyć przypuszczeniem omyłki. Mimo to dualizmu Bandtkowskiego nie znieziono. Owszem, znano już przywilej tymczasowy Cerekwicki dla Wielkopolski. R. Hube obecnie wynalazł i ogłosił petyta małopolskie opockie, w ten sam sposób grunt statutu dla Małopolski jak Cerekwicki statutu Wielkopolskiego stanowiące. Nadto i rękopisy mimo wydobywania z nich jasnych wskazówek bytu pięciu statutów sp $\acute{o}$ łecznie 1454 r. wydanych, g $\acute{ł}$ ównie tylko dwa odcienia Wielko i Małopolski przedstawiają. Są i inne zboczenia u prof. Bobrzyńskiego. Usunięto wprawdzie podejrzenie omyłki pisarza w datowaniu (11, 12, 16 listopada 11 grudnia i ubikacyi Radzyń, Nieszawa, Sieradz, Środa) hipotezą federalistycznej legislacji. I statut ogólny 1496 r. przestał być nowym, gdyż tylko zastąpił formułę „dla wszech ziem Królestwa“ wyrażenia statutów 1454 dla ziemi Chełmskiej, Sieradzkiej Wielko i Małopolskiej. Niesłusznie więc prof. Bobrzyński wbrew sw $\acute{e}$ j teorii (str. 31) że „różnicy w datach (wydania statutów) *niepodobna* już b $\acute{ł}$ ędowi przepisywacza przypisywać.“ która grunt jego twierdzeń stanowi, pyta się czy różnica dat 16 listopada (Sieradzkie statuta i 23 listopada 1454 ogólnego) jest „prostą pomyłką“ (str. 27). Pr $\acute{e}$ dz $\acute{e}$ j może należałoby przypuścić, że już Kazimierz III Jagiellończyk wydał statut ogólny, na tle Sieradzkiego, a Olbracht go powtórzył.

Nie pokazał następnie prof. Bobrzyński, czemu tylko Wielkopolski i Sieradzki oraz ogólny posiadają § udziału ziemian w rządach, a inne statuty tego § nie mają <sup>2)</sup>. Nie wyjaśnił t $\acute{e}$ ż tenże badacz, dlaczego potwierdzenie wielkopolskich przywilej $\acute{y}$  z r. 1488 (J. Pol. 321) podobnie jak przywilej Małopolski 1456 r. (ibid. 300) owego słynnego paragrafu nie zawierają, oraz nie wskazał, że Podole, Ruś, w Korczynie coś podobnego do owego § uzyskały dopiero w 1456 r. (ibid. str. 292), które to fakty

1) Jus polon: 272 u 12 Distinguuntur ergo Major Minorque Polonia ita ut *diversa et separatim concessa privilegia appareant*.

2) Godzien uwagi akt 1255 o udziale baronów w stanowieniu podatków. Lelewel Pol. W. Sred. III, 159.



okazują, że jeszcze dzieje powstania statutów 1454 r. i stosunek ich do innych objawów owoczesnej legislacji nie są jasne.

R. Hube udowodniwszy, że Małopolanie tak wystąpili z separatystycznym wnioskiem do praw dla siebie, jak kiedyś Wielkopolarie, głównie zajął się wykazaniem śladów tych petytów w statutach, oraz scharakteryzowaniem działaczy, które przez modyfikacje petytów swój wpływ na statuty wykazały.

Takie działacze są przeważnie dwa wskazane w pracy szanownego badacza. Najprzód inicjatywa Wielkopolan (str. 46) w całych tych zabiegach o uzyskanie przywilei dla rycerstwa, a powtórne wpływy kancelaryi królewskiej, który nie tylko formy, ale i treści sięga i znacznie ostatnią, co do natury swęj nawet, zmienia (str. 31, 44 Nr. 11).

Widoczne to zwłaszcza w odrzucaniu przez kancelaryą żądań Cerekwickich, aby przed Średzkim zjazdem ogólnym bywały jeszcze mniejsze zjazdy wielkopolskie. Kancelarya tak nawet wielką gra rolę w układzie statutów 1454 r. iż w obec faktu, że oddawna już rycerstwo i baroni obok naczelnika kraju tymże krajem rządzą faktycznie i teoretycznie, musimy wyznać że rok 1454 bynajmniej nie może uchodzić za datę nagłego wykwitu konstytucjonalizmu, a upadku władzy królewskiej. Nawet w późniejszych czasach mimo potwierdzenia legislacji 1454 r. przez Aleksandra, tenże król 3 września 1505 r. „wbrew statutom Nieszawskiemu i innym“ zastawem obciążył mienie grodzkie inowrocławskie (Rzyszczewski II, 979).

Co najwyżej lata 1454 i 1496 zostawiły ślad statutowy udziału narodu w rządach króla sobą.

Objaśnienia dane przez autora do pojedynczych §§ petytów i statutów nastęrczają nie jedną uwagę. Najprzód tekst źródeł nie jest zawsze wiernie oddany. I tak np. (str. 26 Nr. 1) w przekładzie § 1 petytów Cerekwickich, opuszczano godności wojewodów i kasztelanów w liczbie tych urzędów, które nie pozwalają kumulacji ze starostwem a podano tylko dygnitarz (ziemski) i oficyał.

W skutek tego gdy jest mowa o odpowiednich statutach nieszawskich (str. 33 Nr. 4) niełatwo bez *Jus Polonicum* domyśleć się, że statut wielkopolski 1454 r. w § 3 mniej przyznał jak chciano w Cerekwicy, zabraniając kumulacji województw i kasztelaństw ze starostwem. Tu też autor zatarł różnice prowincjonalne, widoczne w statutach różnych, co do tego punktu. Tak Chełmski, oraz Małopolski znosi tylko kumulacją z wojewódzką godnością.

Autor może zbyt dobitnie mówi o kumulacji Krakowskiego starostwa i kasztelanii, gdy § 3 małopolskiego nieszawskiego statutu oraz żądanie niekonieczne (*non de essentia*) mówią tylko o kumulacji województw i starostw, prócz krakowskiego starostwa (*dempto Cracoviensi capitaneatu*).

Na tej samęj stronie 33 nr. 3 autor mówi o zastawie zamków i ziem gdzie są starostwa. Powołane petyta opockie mówią o *castra i civitates capitales* (§ 1).

Daléj np. na str. 37 nr. 13 autor uważa, że w petytach opockich *stało coś jeszcze* jakby różnego i od statutów i od petytów Cerekwickich. Nie ulega kwestyi, że tekst statutów jest rozciąglejszy, ale oba petyta zgodne (Cerek. 14, Opoc. 14) téż samą myśl choć tautologicznie wypowiadają <sup>1)</sup>

Podobnie autor (str. 37 nr. 15) upatruje jakiś „dodatek” w petytach opockich nieznanym innym a mianowicie, że prawo rozciągnięcia konfiskaty i uwięzienia ma służyć starostom. Cytowany § żądań opockich brzmi *item quod dominus rex nec sui capitanei cuiquam bona recipiant absque jure nec aliquem captivent nisi prius jure victo*. Jednoznaczny z tym §-em, §12-ty cerekwicki tak samo orzeka, że król i starosta nie będą więzić (*scinać*) i mienia zabierać bez dowodów prawnych. Statuty Nieszawskie używają liczby mnogiej *recipi mandabimus aut captivari*, bez wzmianki o królu, lub starości imiennéj. Jeśli to jest ograniczenie, to zapewne obu petytów, nie jednego. Wniosek téż ztąd wyciągnięty o chęci ominięcia tym § dwu instancyi przy takich sądach, dawniej zachowywanych, nie zdaje się być ścisłym. Nie uwzględnia bowiem faktu, że osobnym § określona w 1454 r. jurysdykcyja starostów kryminalna, już w § 24 roku 1430 została oddzieloną w tych samych granicach, jak w 1454 r. od sądownictwa sędziów ziemskich, którzy osądzonych na konfiskatę mienia lub t. p. kary w ręce króla, lub starostów oddawali, gdy kryminalistów odrazu starostowie sądzili.

Do takich kryminalistów robi téż aluzyą § 12 cerekwicki, oddając ich pod sąd starostów, inną kategorię oddając zgodnie z § 1 Nieszawskich statutów i § 23 z r. 1430 w ręce sędziów do sądu (bo *jure convicti*) a potém króla i starostów do egzekucyi; redakcyja nieszawska uważała za zbyteczne mięszać w jednym § to, co było jasno określone i odróżnione w starościńskich sądach.

Daléj zaznaczamy na str. 41 n. 1, uwagę opiewającą, że kancelarya jak się zdaje „dodała nie istniejące w petytach opockich” a na wzór § 27 Wielkop. zastrzeżenie (§ 29) dla Małopolan, że szlachcic raniony przez plebejusza, lub mieszczanina, może winnego powołać do sądu ziemskiego. Istotnie punkt ten znajdujemy w § 27 statutów wielkopolskich, nie wiemy jednak czy to jest dzieło tylko samowoli i niechętnych mieszczanom dążeń kancelaryi, która tu w tém świetle koniecznieby się okazała, gdyby istotnie chciała małopolski statut zbliżyć do wielkopolskiego (jak sądzi autor) na niekorzyść zasady prawnej, że skarżący idzie do forum skarżonego.

1) Cerekwicki: Ita tamen quod pars propositionem faciens, expedita sua propositione taceat, et eundem ordinem respondentibus observari.

Opocki: Ita quod quando aliqua pars coram Judice suam causam proponit, tunc pars adversa respondeat postmodum partes ambe silent.

Źródłem omyłki zdaje się być postmodum partes ambe silent, tkwiące wszelako wirtualnie w tekście Cerekwickim expedita taceat, eundem ordinem.



Takiemu pojęciu roli kancelaryi zdaje się przeczyć własne spostrzeżenie autora (str. 42 n. 2), że gdy w § 26 opockim do obejrzenia ran skaleczonego, jest powołaną szlachta (*nobiles*), to w § 30 małopolskiego statutu do obejrzenia powołuje dwu równych stanem rannemu (*duobus sibi similibus*). Po czem R. Hube zauważa słusznie „Wyrażnie tu kancelarya chciała z zastrzeżenia, idącego wyłącznie na korzyść zasady symlejowania szlachty *zrobić przepis ogólny*.” Podobny przepis (o § 29) wychodzący na korzyść szlachty, kancelarya (M. § 27) rozszerzyła i do duchownych (Hube str. 42 n. 4). Otóż przeciw tej myśli równoważenia stanów, widocznej tu w działaniu Kazimierza Jagiellończyka, rażąco występowała manipulacja kancelaryi jego powyżej skreślona, wedle R. Hubego przy redagowaniu § 29 Statutu małopolskiego z 1454 roku.

W istocie też okazuje się, że r. 1420 zostały ogłoszone jakieś „lau-da i konstytucye,” mocą których szlachcic raniony lub zabity w mieście skargę wytaczał nie w sądzie (to jest miejskim) lecz w królewskim. Uchwały te „dopiero co wydane” zastosował Władysław Jagiełło w przywileju wydanym dla Krosna w Sanockiem. (AGZ III, 173). Nie wchodzimy w roztrząsanie tej kwestyi, czy ta uchwała była małopolską czy wielkopolską, bo nie mamy danych innych potemu, jak tylko onę stosowanie w Małopolsce. Za to mamy w tej uchwale dowód że 1) przed Kazimierzem Jagiellończykiem już obalono zasadę, że *actor forum rei undique sequi debet*, którą stosowano w XIV w. (Jus Polon. Bandtkie 71 § 67) w Polsce, już około 1232 r. i w Mazowszu (Kod. Mazow. stronica 6, 7) była wprowadzoną. Nie od kancelaryi więc wyszła inicjatywa § małopolskich. 2) Małopolanie nie żądali § 29, bo im go zapewniać się zdają ustawy z r. 1420. Następnie widzimy, że § 29 małopolski jest spisany 11 listopada, a § 27 wielkopolski wydano o jeden dzień później. Daty więc same wskazują, że inicjatywa § 29 małopolskiego dla nas możliwa w ustawach 1420 roku wyjść nie mogła z § 27 jeszcze nie spisanego. Przypuściwszy jednak, że to naśladownictwo było możliwe, spostrzegamy że wspomniane § § zostały spisane nie w jednakowej formie. Małopolski mówiąc o wzywaniu nieszlachcica raniącego przed forum ziemiańskie szlachcica rannego, używa wyrazu *possit*. Wielkopolski zastępuje tę wskazówkę „możliwości” twardym nakazem (*tenebuntur*). Gdyby istotnie Małopolanie w postępowaniu swém z klassami niższemi mieli brać wzor z Wielkopolan, jak na to autor wskazuje i gdzieindziej (dz. cyt. Hubego str. 38 n. 18), okazałoby się, że mimo to naśladownictwo prowincyi, kancelarya modyfikowała znacznie doniosłość ich żądań, na korzyść klass ciemieźzonych. W porównaniu z prawem 1420 roku okoliczności te jeszcze bardziej się uwydatniają, bo okazuje się, że Kazimierz Jagiellończyk, modyfikuje, osłabia rozporządzenia poprzednika.

Gdy jeszcze porównywa się § 21 petytów małopolskich z § 23 pet. cerekwickich, w których zasada *libre echange*, wypadająca na niekorzyść mieszczan przez Małopolan wzmożona jest groźbą grzywien na



monopolistów, żadną miarą nie będziemy mogli uważać § z słówkiem *possit*, zamiast inostronnego *tenebuntur*, za bezpośrednio małopolski, za niezłagodzony przez kancelaryą króla, pod wpływem ogólnych uczuć sprawiedliwości, nie zaś na wzór Wielkopolski.

Jeszcze co do jednego szczegółu pozwolimy sobie zrobić uwagę i skończyć na tém zgoła nie wyczerpujący, ani téż dostateczny przegląd objaśnień statutów r. 1454, ale i tak przekraczający ciasne ramy sprawozdań. Autor (str. 36 n. 12) cytuje na dowód istnienia 4 terminów w sprawach wielkopolskich: Ostroroga, aczkolwiek 3 uznał był za obowiązujące u nich w XIII wieku. I dodaje, że „celem głównym zastrzeżeń małopolskich było niedopuszczać czterech terminów, jak to czyniło postanowienie krakowskie (1420 r.)”. Na Rusi, jak się okazuje z aktów grodzkich i ziemskich (V, 164, 193) 1448 rok 4 termina są nazwane *ultra iuris formam*, a 1456 *iuxta iuris formam*.

Czujemy całą niedostateczność niniejszych uwag. Sądziłyśmy jednak że nie godziło się choćby bez takich, dać przejść rokowi milczenia, od pojawienia się pracy R. Hubego. Nie ma prawie tam poruszonej kwestyi, któraby palącą nie była, któraby nie wkraczała w najgłębsze tajniki żywota dawniej Polski i to tajniki mało znane i uwzględniane jej żywota konstytucyjnego. W obec li politycznych podręczników naszej historyi, praca R. Hubego staje jako poważny postulat innego zupełnie kierunku w ich pisaniu. Mniej króli, mniej wojennych laurów i wrzawy; a więcej choćby gorszącej wymowy sejmowej, bo w jej tylko odbłyśkach nie w mroku bitew, lub uniesieniu ze zwycięstw można czytać wykład zagadek bytu i losów dawniej Rzeczypospolitej.

Nie wszystko jeszcze zostało poruszone przez szanownego badacza Statutów r. 1454. Jeszcze przymilczał ważną kwestyą dyktatury narodu, który sam w swe dłonie bierze ster rządu, gdy nim wolnemi głosy obrani, lub dziedziczny król źle, lub nie po myśli ogółu kieruje.

Ani słówka, powtarzamy nie ma w pracy R. Hubego, o konfederacyach, które sięgając (o ile są znane) wrzekomo silnie centralizującą, znoszącą udzielnosci ziem epokę Kazimierza Wielkiego <sup>1)</sup> np. 1352 (Cod. Maj. Pol. Raczyń. 108) dowodzić się zdają, wbrew autorwi (str. 12) nie większej swobody tego króla w działaniu i mniejszej zawistości od baronów, ale owszem silniejszego jak dotąd ograniczenia przez dygnitarzy i nietytułowanych rycerzy. Nikną wprawdzie za Kazimierza W. kanclerze prowincjonalni, symbole samodzielnego bytu połączonych już dzielnic, ale za to ludność prowincyi zmedyatyzowanych wytwarza sobie nową formę zaznaczenia onego nadal. Mamy konfederacyą 1352 roku. 1382 r. Wielkopolska zawiera sojusz z Małopolską i to w kwestyi już

<sup>1)</sup> Na Szlązku już wcześniej spotykamy konfederacyą miejską pod tą nazwą r. 1310 (Städtebuch des Landes Posen Wuttkego str. 17, n. 15). Podobnież za Łokietka znamy pewne związki miast lubo bez nazwy konfederacyi w r. 1299 i 1307 (Rzyszcz).

ogólniejszej, jak 30 lat temu (Vol. leg. I 26). To też godna uwagi że prócz dygnitarzy, szlachty występują i communitates ziem, tak nieokreślonego jasno znaczenia. O tych dwu przynajmniej objawach autonomii narodu i to objawach nierównomiernych dodatnio, R. Hube nie wspomniał, a już oneby zaprzeczyły dobitnie jednostronności w dotychczasowem ocenieniu skutków śmierci Kazimierza Wielkiego. Nie ulega kwestyi, że konstytucjonalizm polski silnie się objawił po 1370 r., ale też elekcyjność tronu, pakta konwenta i tym podobne po dacie tej zachodzące dowody autonomii narodu nie są taką nowością w dziejach kraju przed tą datą, lubo z innych powodów, aby o nich jako cesze dopiero czasów po-Kazimierzowych i przeważném źródle władzy baronów godziło się mówić (str. 13 Hube). Jestto właśnie takie samo zastrzeżenie, jakie zrobić należy w ocenie wypadków 1454 roku a którebyśmy skłonni byli rozciągnąć do całych rządów obu tych Kazimierzy.

W ogóle bowiem kataklizmy, jakie w dotychczasowej ocenie rządów tych dwóch króli określeniem ich najlepszem być się zdają, należą do zjawisk zupełnie obcych, nie powiem już stanowczo historii narodów w ogóle, ale obcych historii naszego kraju. Organizm narodowy nie jest maryonetką, którą nagle w nim objawiające się wpływy odrazu w ruch wprawiają, lub trupem kładą. On rozwija się i działa na zasadzie praw ścisłego postępu. Jak w przyrodzie, wedle nowego hasła Lyella, nic się nie dzieje przeskokami, tak tém bardziej w życiu jednostek ludzkości, w życiu narodów, nie ma konwulsyi, nie ma gwałtownych miotań się.

Jednym z objawów przebrzmiewających na wieki pod powagą innych postrzeżeń pp. Hubego i Bobrzyńskiego jest własna ich teoria, że jakiś gwałtowny kataklizm miał miejsce czy to za Kazimierza Wielkiego, czy za Kazimierza III Jagiellończyka. W zebranym już przez nich materyale znajdujemy obfite wskazówki dla wniosku, który przedstawia nam taki potok życia narodowego, jaki wzbiera czasem wprawdzie obfitszemi wody, ale w miarę tego fal wzrostu, pogłębia swe koryto już w dawniej wytkniętych kierunkach, rozszerza swe brzegi, oraz ustala odpowiednio do obecnego swego stanu. Nigdy przecie w gwałtowniejszych skokach nie naśladuje Niagary, nigdy przemożnym rzutem wód swoich na wyższe lub niższe od swego źródła poziomy, w formie niespodzianej katarakty, lub z pomocą sztucznego jazu nie przedobrywa się. Przebieg tego dziejowego procesu, który zwięźle konstytucją nazwiemy, odzwierciadla się właśnie w pracy p. Hubego we wszech właściwościach normalnego stanu rzeczy, z możliwemi cechami ograniczonego rozwoju danych, które od początku tkwiły w zarodzie i czekały tylko stosownej pory, aby ze swych obstępów w pełni rozkwitu się dobyć i zabłysnąć.

Przy niewielu nowych szczegółach, władza centralna, zwierzchnia, oraz jój podwładni występują przed oko czytelnika, jako odwieczne równouprawnione, choć genetycznie nie spółrzedne pierwiastki bytu politycznego, oraz form jego. Sama społeczność przedstawia nam się jako podzielona oddawna na pewne warstwy ludzi różnego znaczenia w spo-



łeczeństwie, a więc spełniające niejednakowe czynności w tak zwanym konstytucyjnym ustroju narodu.

Przy obecnym stanie pracy w tym kierunku elementa nowo odkryte życia narodowego, to jest władza centralna wyszła z łona narodu i ów naród sam w sobie jeszcze jasno się niescharakteryzowały w swych odrębnościach, granicach i podziałach. One dotąd zdają się być podobne w swych wzajemnych stosunkach do nieustającej, a nie odłącznej od bytu przeciwników walki, jaką toczy woda i ziemia tam, kędy się spotykają zawsze i stale. To fala silniej na brzeg wybieży i urwie coś z niego, to ład siłą podziemną, więc pod wpływem praw ogólnych, ziemią rządzących, lub pracą ludzką dźwignięty, wkracza na morze i ujmuje mu obszar. A niezależnie od nieprzyjaznych tych zajazdów pogranicznych, oprócz tego wzajemnego uszczuplenia swych granic, obce elementa, rząd i rządzeni—(chciałem rzec raczej) ład i woda wspólnym działaniem odsypują mielizny, wydmóchowiska na swych ukrainach. Wspólne to ich dzieło wpływa później na ich stosunki dalsze, często bardzo niekorzystnie, rozszcza je coraz bardziej, lub jednego działanie unicestwia. To odsepisko w życiu telurycznym,—to obyczaj tak ruchomy nieujęty prawie w swojej genezie, a tak silny i trwały, gdy do pewnego stopnia zakorzeni się, to norma i forma życia wspólnego, to wspólny wytwór elementów jego ciągle zmieniający się, a jednolity w naturze; który dopiero w części nam się objawia, bezładnie tu i tam jakiś epizod swego rozwoju pokazuje i zaledwie chronologicznie w trop niewielu jeszcze danych dozwala przeniknąć w ciekawe i pouczające fazy swego tworzenia się.

Takie świadectwo z małemi wyjątkami przynosi nam o życiu dawniej Polski do wieku XV, praca R. Hubego. W pracy p. Bobrzyńskiego błysnęła w nowej obsłonie, w nowém zastosowaniu do legislacji myśl federalizmu w dziejach politycznych b. Rzeczypospolitej, rozwijana najszerzej przez Bartoszewicza. Jestto myśl ważna popierająca w wysokim stopniu zasadę konstytucjonalizmu tamże i barwiąca ją, kto wie, czy nie specjalnie słowiańskim (historycznym) kolorytem. Wszakże tej myśli niepodobna nam tu rozwijać! I tak szerzej mówiliśmy, jak ramy pozwalały. Każdy jednak, kto weźmie do ręki pracę R. Hubego przyzna, żeśmy raczej za mało jeszcze, jak za dużo powiedzieli, i że rzecz zasługuje na jak największe rozpowszechnienie i najszersze rozpatrzenie.

J—d.

---

*Pestalozzi. Idee und Macht der menschlichen Entwicklung.*  
 Bearbeitet von Josephine Zehnder, geb. Stadlin. Gotha 1875.  
*Erster Band. Zeit und Vorzeit von Pestalozzi's Entwicklung.*  
 XVI 828.

Jest to na wielką skalę obmyślane dzieło, siedm olbrzymich to-  
 mów stanowi je mają. Na nieszczęście los nie pozwolił pracowitej



autorce skrzętniej tej pracy dokonać; przed skończeniem druku pierwszego zaledwie tomu, Józefa Zehnder-Stadlin umarła, niemając nawet pociechy oglądania swjej pracy, choć w części na widok publiczny wydanej. Jakkolwiek dzieło to właściwie nie jest skończonem nawet w rękopiśmie, materyał jednakże następnych sześciu tomów przez samą autorkę był zebrany i jak nateraz wymaga tylko sumiennego przejrzania i uporządkowania. Pracy tej podjął się D-r Zehnder-Stadlin.

„Człowiek genialny — powiada autorka w przedmowie do pierwszego tomu pracy swojej — „jest przedewszystkiem samodzielnym, różni się téż od innych głównie tém, że jest zawsze *samem sobą*“. W całej działalności takiego człowieka przebija, zdaniem jej, promyk boskości to jest idea wyższa, a w przeprowadzeniu takowej uzewnętrznia się prawie zawsze energia i wybitna indywidualność, zwykłe cechy charakteru tego rodzaju ludzi.

Każdy rozwój człowieka, dodaje jednakże pani Zehnder-Stadlin, warunkuje się otoczeniem, mimowoli ulega najrozmaitszym wpływom środowiska, wśród którego jednostka działalność swą rozwija. Duch epoki, nastrój domu, charakter stron rodzinnych, duch narodu uzewnętrzniający się w mowie i zachowaniu się, w sukni i sprzętach, przenikający pałac i chatkę, przemysł i handel, naukę i sztukę, widniejący w zwyczajach i obyczajach, w ustawach i prawach, w szkole, kościele i państwie: oto co, zdaniem zmarłej autorki, bezwiednie, z mniejszą lub większą siłą, wplata się w pasmo życia, w istnienie najgenialniejszych nawet ludzi; co warunkuje ich pogląd na świat, rodzaj i kierunek ich uczuć, charakter całej niemal ich działalności.

Tak zaś jak ten rozwój człowieka, tak téż i samo rozumienie go zależy od uwzględnienia pojedynczych momentów życia jego, momentów napozór nie wiele znaczących, a często nawet same przez się żadnego znaczenia nie mających. Ztąd téż mimowoli nieraz, i bardzo słusznie, zdaniem autorki, powstają pytania:

Jakim sposobem, pod wpływem jakich okoliczności, wśród jakiej sfery działalności i poglądów, ten lub ów stał się tém czém jest?

Otóż i pani Zehnder-Stadlin dla tém łatwiejszego uchwycenia indywidualności i działalności Pestalozzi'ego, przedewszystkiem postanowiła zbadać i przedstawić charakterystykę epoki i okoliczności wśród których Pestalozzi żył i pracował. Że zaś duch czasu, charakter państwa, położenie kościoła, szkoły i rodziny tworzą jakby naturalne czynniki, składające się na ocenę danej epoki, więc i dla oceny działalności Pestalozzi'ego, autorka nader sprawiedliwie rozbiór zasług tego męża, poprzedzić zamierzyła rozbiorem i charakterystyką współczesnej mu epoki.

Stosownie do wskazanego planu autorki w przedstawieniu charakteru i zasług tak wybitnej jak Pestalozzi osobistości, wstępną część swjej pracy poświęciła ona głównie uwydatnieniu barwy wieku, w któ-

rzym Pestalozzi działał i ocenieniu warunków i okoliczności, które życiu jego towarzyszyły.

Pierwszy też tom tego olbrzymiego zakresu dzieła, wydany w końcu zeszłego roku staraniem D-ra Zehnder-Stadlin, a który jest przedmiotem rozbiórki naszego, nosi odpowiedni zadaniu swemu tytuł: „*Charakter epoki, w której Pestalozzi działalność swą rozwijał.*”

Jest to właściwie zbiór dokumentów i listów, wiernie malujących stan Szwajcaryi a głównie Zurychskiego okręgu w drugiej połowie przeszłego stulecia. Znajdujemy tam wszystko co tylko do charakterystyki danej epoki posłużyć może: i ustawę państwa i zarząd jego, i położenie kościoła i szkoły, stosunek ich względem siebie, i stan religii i nauki, i znaczenie cechów.

Z życia publicznego przenosi się potem autorka do życia rodzinnego. Następnie, na zasadzie współczesnych dokumentów, opisów i listów wybitniejszych i wpływowych osób, jaskrawo maluje ona zwyczaje i obyczaje owoczesne, szlachetne cele i usiłowania pewnych korporacji młodzieży Zurychskiej, stowarzyszeń zakładanych dla krzewienia i rozwijania pojęć sprawiedliwości i prawa, ich prace i dążeńności.

Od charakterystyki młodego pokolenia przechodzi pani Zehnder-Stadlin do charakterystyki ludzi dojrzałych z owej epoki; działalność ich i poglądy na współczesne im sprawy, jasno i to same przez się, bez pomocy komentarzy, uwydatniają się z ciekawej ich korespondencji.

Ludzie, których z listów tych poznajemy, są to po większej części przyjaciele i powiernicy Pestalozzi'ego. Znajdujemy między nimi i dwóch uczonych, znanych poniekąd w literaturze naukowej Niemiec a głównie w historii pedagogiki (Bodmer i D-r Zellweger). Inni, jakkolwiek nieznanymi światu naukowemu, tém nie mniej jednak znaczną odegrali rolę w dziejach umysłowości Szwajcarów. Onito pracując nad ulepszeniem wychowania młodych pokoleń, znosili co kto mógł z duchowych swych skarbów, dla przeprowadzenia i rozwinięcia idei mistrza swego, Pestalozzi'ego. Nie tyle jednak nauką, ile wytrwałością i poświęceniem się dla szlachetnych celów, utrwaliли swoją pamięć wśród ziomek.

W ogóle rzecz można, że wczytując się w te nieważne napozór korespondencye o różnych drobiazgowych nieraz i czasowych sprawach, nabieramy wysokiego szacunku dla piszących je niegdyś ludzi, i mimowoli utwierdzamy się w przekonaniu naszym o tém, jak wielką rolę w cywilizacji odegrywa serce ludzkie, praca dla idei. Niedosć bowiem wygłaszać prawdy etyczne, stwierdzanie takowych własnym przykładem, przyobleka je dopiero w ciało, nadaje im życie.

Dlatego też i listy pomieszczone w dziele pani Zehnder-Stadlin, z których wieje tyle szlachetnego zapału, i które tak jaskrawo malują całe koło współpracowników Pestalozzi'ego, tworzą, zdaniem naszym, nietylko prosty materiał do dziejów jego szkoły, ale zarazem i obra-

zowe uwydatnienie charakteru danój epoki, jakby rodzaj dyalogów scenicznych w wiernym przedstawiających świetle współczesne Pestalozzi'emu społeczeństwo, i dowodzących przytem niezmiernego wpływu, jaki ten ostatni wywierał na swe otoczenie.

Cała ta wstępna jakoby część dzieła kończy się nader zajmującym dodatkiem, właściwie dopełnieniem, integralną część z całością stanowiącym a noszącym tytuł: „*Rozmaitości, do charakterystyki epoki służyć mające.*“ Pomieniona ostatnia część wstępu do całej pracy pani Zehnder-Stadlin zawiera różne fragmenta z listów, z opisów współczesnych Pestalozzi'emu czasów i z niewydanych dotąd dokumentów.

Po tém wszystkiem idzie charakterystyka położenia „Zurichskie-go państewka“, przez samegoż Pestalozzi'ego przedstawiona, a mianowicie w systematycznie ugrupowanych wyjątkach z dzieł, mów, petycyj i listów jego, z których ostatnie noszą datę 1798 roku i pisane są do *Lavatera*.

Oto treść pierwszego tomu téj nader ciekawej i sumiennej pracy. Z uwagi na osobistości, których pisma wciągnięte są w to dzieło, stanowi ono zajmującą charakterystykę nie tylko ducha danój epoki w ogólnym słowa znaczeniu, ale i ducha ożywiającego niegdyś tych ludzi, których los do wspólnej z Pestalozzim pracy powołał.

Dzieło to ma poniekąd nawet i literackie znaczenie, niektóre bowiem z listów tam przytoczonych zarówno odznaczają się głębokimi myślami jak i formalną swą stroną.

Wniknijmy teraz w ducha teoryi Pestalozzi'ego i zobaczmy jak pani Zehnder-Stadlin pojmuje zadanie pedagoga w ogóle i jakie znaczenie nadaje całej umysłowej działalności Pestalozzi'ego.

Pestalozzi (urodzony 1745, zmarły 1827 roku) jak wiadomo głosił teorię rozwijania człowieka na zasadzie znajomości praw ludzkiego organizmu, prawa zaś te wywodził przez zazuaczanie zjawisk ludzkiej natury uważanych w całości jęj objawów, stosunku jęj do innych organizmów i jęj działalności. Głównym celem wychowania jest podług teoryi Pestalozzi'ego rozwijanie w człowieku samodzielności, pobudzenie ducha jego do działalności i rozbudzanie tym sposobem władzy myślenia aż do możności wyrabiania samodzielnych sądów. Jedynym zaś środkiem dla dopięcia tego celu jest, wedle doktryny jego, dokładne poznanie organicznej natury człowieka, to jest poznanie téj drogi jaką sam organizm ludzki rozwija się ciągle a przytem tych praw jakim duch człowieka podlega. Jednym słowem rozwijanie samodzielności ludzkiej pomagając w tém samęj naturze człowieka, oto, zdaniem Pestalozzi'ego, cel wychowania.

Ztąd téż i działalność pedagoga, wedle doktryny jego, nie powinna opierać się na prostym, mechanicznym że tak powiemy, nagromadzeniu faktów i wiadomości, co stanowiło zasadę wielu poprzedzających go pedagogicznych systematów, ani téż na wyłącznym skierowaniu ca-



tęj usilności na praktyczną tylko stronę życia ludzkiego, na przyswajanie sobie danych ze ścisłych nauk czerpanych i wyuczanie się języków, w czém naprzykład uczniowie *Bernharda Basedow'a*, znanego założyciela zakładu *Philantropin* w Dessau, (1774 r.) upatrywali główne filantropijne zadanie pedagogiki. Przeciwnie Pestalozzi dążył do rozwijania harmonijnego wszystkich władz w człowieku, nietylko władz rozumowych, ale i tak zwanych władz serca.

To też pani Zehnder-Stadlin kreśląc w ogólnej przedmowie do całego dzieła, ducha teoryi Pestalozzi'ego, nader sprawiedliwie uważa, że metoda jego nie zawiera się bynajmniej w wykładach jego, w pojedynczych środkach na jakie wskazywał tu i owdzie przy nauczaniu, ale w duchu ożywiającym całą działalność jego, w tej zgodności uczuć i myśli jego z nauką Chrystusową, zgodności, która rzeczywiście na każdym niemal kroku przebijają się w jego nauczaniach, i wreszcie w ciągłej dążności do połączenia, a poniekąd zupełnego zlania indywidualnych cech jego z ogólnie-ludzką naturą.

Potęga metody Pestalozzi'ego—powiada pani Zehnder-Stadlin—jest potęgą naturalnego rozwoju i uduchowienia się człowieka (*Die Macht der Methode Pestalozzis ist die Macht der menschlich-natürlichen Entwicklung und Beseligung... str. XII*).

Zgodność ztém i współdziałanie genialnych stron człowieka z ogólnymi prawami człowieczego ducha, rozwijanie tak zwanego przez Pestalozzi'ego *genialno-ludzkiego* prądu, oto zarówno wedle doktryny znanego pedagoga, jak również wyznającej zasady jego pani Zehnder-Stadlin, cel, do którego wychowanie dążyć powinno; oto wzniosłe zadanie, które ich zdaniem jest jedynie prawdziwie filantropijném. Bezpośrednim zaś owocem takiego wychowania będzie zawsze, jeśli wierzyć słowom Pestalozzi'ego, dobrobyt mass, pomyślność ludu.

Ale mimowoli zapyta każdy czytelnik, i słusznie zdaniem naszym, czémże jest ów ogólnie-ludzki genialny rozwój (*die allgemein menschlich-geniale Entwicklung*)? Niech nam na to odpowie sama autorka.

„Wszystko co żyje—powiada pani Zehnder-Stadlin—(str. XII) w Bogu ma początek, jest rozwojem tej siły przedwiecznej, która przejawia się zarówno w atomach jak i w najbardziej skomplikowanych, najwyższych, jeszcze nam nieznanach może, tworach.”

Rzecz ta możemy sobie przedstawić, idąc za jej radą, linią spiralną (węzownicą) wznoszącą w przestrzeni i ginącą w nieskończoności. Linia ta składa się ze zlewających się ze sobą punktów oznaczających stworzenia. Punkta te, czyli cząsteczki nieskończonej linii są wiecznie w ruchu, płyną w jednym kierunku. Że zaś indywidua punktom tym odpowiadające, w miarę rozwoju organizmu swego a ztąd i wzrastającej w nich swobody w działalności, zbaczają często od normalnego kierunku, a powodując tym sposobem przerwę i zastój, krępują rozwój ogólnie-przyrodzony; to, ani stałość w kierunku, ani harmonia świat cały przenikająca, nie mogłyby istnieć, gdyby nie było jakiegoś silniejszego nad wszystkie prawa organiczne, stałego pierwiastku. Otóż pier-

wiastek taki istnieje, zdaniem autorki, a natura jego jest jak zaraz zobaczymy czysto duchowa.

Na dnie duszy pojedynczych ludzi, powiada pani Zehnder-Stadlin, a nieraz w samejże nawet ich swobodzie, leży tchnienie boskie, regulujące prąd ogólnego rozwoju. Tchnienie to (der göttliche Odem) jest to instynkt człowieczy, dzięki któremu rozwija się w nas bezwzględne prawo ludzkości, *sumienie*. Sumienie to jako niezbędny objaw czystych, wyższych uczuć ludzkich, przejawia się w „łaknieniu i pragnieniu sprawiedliwości,” w tęsknocie za tem co jest zawsze i wszędzie, jednem słowem wiecznie, prawem, uwidacznia się zaś w uczuciu litości, w znoszeniu cierpień, w szlachetnych porywach serca, w zaparciu się samego siebie i w gotowości znoszenia dla wiecznej prawdy, dla idei prawości, zarówno zapoznania jak i prześladowań.

Oto zdaniem autorki cecha a zarazem potęga *chrześcijańsko-ludzkiego* ducha.

Taki właśnie duch, twierdzi ona, ożywił myśl Pestalozzi'ego. Taki duch, mówi ona, z łaskością rozwinąć można w każdym nawet dziecku, jeśli tylko wychowanie jego oparte będzie na zdrowych zasadach, jeśli w osnowie onego leżąc będzie dokładna znajomość natury ludzkiej, i jeśli zawczasu dziecię uzbrojone będzie w religią.

Religijność jednakże, dodaje autorka, nie może być *nauczaną* (gelehrt) ale rozwijaną, pielęgnowaną i umacnianą. Tak zaś jak religia i uczucie zlewają się w jedno, jój zdaniem, to pierwsza musi być rozwijaną równoległe z drugim. Boskie tchnienie bowiem, powiada pani Zehnder-Stadlin, to z jednej strony prąd miłości i rozwoju w nieskończoność płynący, a z drugiej siła dająca popęd i możność w skończoności domyślania się i szukania nieskończoności.

Tak pojęty rozwój religijny stanowi ogólną zasadę wychowania podług metody Pestalozzi'ego; to też usiłowaniem jego było zawsze od najmłodszych lat dziecięcia, taki płomień religii w młodym podsycać sercu i pielęgnować go nadal. Ztąd także wynika i baczne zwrócenie uwagi ze strony Pestalozzi'ego na rodzinę, owe niewyczerpane źródło uczuć ludzkich. I rzeczywiście ognisko rodzinne, oto jedyne źródło z kąd płyną najczystsze, najwznioślejsze popędy dla serca dziecięcego; wpływ matki, oto najważniejszy czynnik wychowania.

Równoległe z rozwojem unyśtu, rozumuje dalej pani Zehnder-Stadlin, rozwija się w domowym wychowaniu dziecka i serce jego; w miarę bowiem tego jak duch poznaje, doświadcza i kombinuje, rozwija się w nióm i element miłości, bezwiednie i to coraz głębiej gruntuje się w nióm, niematerialny pierwiastek.

Pierwiastek ten duchowy, opromieniający cały żywot ludzki, wtenczas jednak tylko, zdaniem autorki, przeniknąć zdoła serce człowieka i ugruntować się w nióm, jeśli między szkołą a domem rodzinnym istnieć będzie najzupełniejsza zgoda, jeśli łączność ich będzie najściślej organiczna, jeśli nakoniec jedno służyć będzie dopełnieniem dla drugiego.



Inaczej jednak uważa pani Zehnder-Stadlin, dzieje się w rzeczywistości. Szkoły elementarne nie są podporą dla uczuć dziecka, idealny pierwiastek, sam przez się wyłaniający się z realnego nawet materiału przygłusza się tam nawałem słów i formułek, niemających żadnego dla dziecka znaczenia. I dlaczegoż, zapytuje autorka wtórując w tym myśli Pestalozzi'ego, dlaczego zmuszać dziecię do szukania w książkach tego, co wypływając z życia samego, bezpośrednio je okala i własnym swoim, realnym, rzeczywiście istniejącym nęci urokiem?

Podobnież oburzał się na współczesnych sobie nauczycieli-pedantów i Pestalozzi. „Bolesniem jest—mawiał on—prowadzić dziecko na spalone słońcem ugory, gdy przecież dokoła otacza je świeża, zielona, życia łąka.”

Zaznaczyć przytém musimy, że prawdziwa szkoła Pestalozzi'ego jest zawsze *realną*, to jest kształcącą myśl ludzką przeważnie na otaczającej przyrodzie. Materiał zmysłowy, dotykalny, jest w niej najpierwszym przedmiotem, na którym wsparta myśl wznosi się następnie do krań ducha. To też bez względu na to jakie działy wiedzy w zakresie jej nauczania wchodzą, jakie strony ducha rozwija i jakie odkrywa dla umysłu młodzieńczego źródła prawdy, szkoła Pestalozzi'ego zawsze nosi na sobie odcień realizmu, rzeczywistości, odcień samej przyrodzie badanego przedmiotu odpowiadający.

Zadaniem szkoły Pestalozzi'ego nie jest stwarzanie, ale rozwijanie; ztąd nie narzuca nowych myśli, ale raczej treść ducha na jaw wydobyć usiłuje. Dla tego też i działalność szkoły takiej objawia się przeważnie wzmacnianiem i prowadzeniem dalej tego, do czego z natury już uzdolnione dziecko samo czuje skłonność, co w niem zawiera się już, że tak powiemy, *in potentia* i potrzebuje tylko nadania kierunku i spotegowania.

Słusznie też pani Zehnder-Stadlin, charakteryzując teorię Pestalozzi'ego, powiada: „szkoła taka buduje na fundamencie wrodzonego człowiekowi *Inter-esse*,” gdyż wierzy ona w to głęboko, że to *Inter-esse*, to jest łaknienie i pragnienie prawego, sprawiedliwego, jedném słowem wiecznej prawdy, jest podstawą przez Boga daną dla rozwoju człowieka.

Otóż w Pestalozzim to *Inter-esse* objawiło się, zdaniem autorki, w pragnieniu urzeczywistnienia dobra bliźniego. Sumienie czyli owe technienie boskie w człowieku, zrobiło zeń, jak mówi ona, *Demagoga* w młodości, *Pedagoga* w dojrzałym wieku. A skierowawszy ciepło serca swego na indywidua, kształceniem i rozwijaniem w nich boskiego tego pierwiastku, dążył on do ugruntowania i zapewnienia na przyszłość pomyślności ludu.

W późniejszym jednak, sędziwym wieku, tak kończy pani Zehnder-Stadlin, obraz działalności pedagogicznej Pestalozzi'ego, pod nawałem pracy i pod wpływem obcych kierunków, zbłądził może ten szlachetny myśliciel, tak względem siebie samego, swój misyi, jak i względem wiernych przyjaciół swoich. Ale, dodaje ona, ludzkość nie prze-



stanie rościć prawa do jego idei, jako do legalnej i drogiej spuścizny, wtenczas nawet, gdy oddzielone od niej będzie wszystko co osobistości i charakteru twórcy jęj dotyczy.

Zwracając się teraz do oceny rozbieranego przez nas dzieła, zauważymy w ogóle, że sądząc z pierwszego tomu i programu na przyszłe, przyznać musimy, że taki sposób opracowania działalności Pestalozzi'ego, jaki u pani Zehnder-Stadlin znajdujemy, zasługuje na najzupełniejsze uznanie i posłużyć powinien za przykład a nawet za wzór dla opracowań działalności wszelkich ludzi zasługi, trwałe po sobie ślady zostawiających.

Sumiennosc w pracy, wszechstronność w poglądach a przytęm skrzętnosc i umiejętnosc w zbieraniu materiału, cechują głównie to dzieło. Zmarła autorka nie obawiała się trudu i uwzględniała wszystko, rzecz można, co tylko w przedmiocie tym pojawiło się w literaturze naukowej. I tak wciągnięte tu zostały i zdobycze, jakie ostatnie prace o Pestalozzim dla literatury tego przedmiotu przedstawiają, a z których trzy mianowicie zasługują na przytoczenie, jako rzeczywistą i doniosłą dla pedagogiki wartość mające. Dzieła te są następujące: 1) *Zur Biographie Pestalozzis. Ein Beitrag zu Geschichte der Volkserziehung*, 2 tomy, w latach 1868 i 1869 wydane.

Jestto jasne, historyczne przedstawienie działalności Pestalozzi'ego ze źródłowych danych, bez oceny jednak takowej i krytyki.

2) *Najlepsze wydanie dzieł Pestalozzi'ego* w 18 tomikach w latach 1869—1870 r., wstępem i wyjaśnieniami przez Seyffarth'a, rektora z Luckenwalde, wzbogacone.

3) *Histoire de Pestalozzi, de sa Pensée et de son oeuvre par le Baron Royer de Guimps, élève de Pelancion, élève de l'école polytechnique*. Obszerne zakresem i bogate w cenne uwagi dzieło.

Każde z wyżej przytoczonych dzieł przynosi coś nowego, każde jednak przedstawia doktrynę Pestalozzi'ego z pewnego sobie właściwego punktu widzenia. Otóż „z temi trzema dziełami—powiada pani Zehnder-Stadlin—wiąże się i mój Pestalozzi, jako czwarte i ostatnie dzieło.” Sprawiedliwie też mówi autorka:

„Cztery te prace wzajemnie się dopełniają, właściwie nawet mówiąc, bezwiednie; przytęm razem wzięte przedstawiają one zarówno osobistosc Pestalozzi'ego jak i działalność jego tak wszechstronnie i w tak wierném świetle, o ile to dziś jeszcze możliwém jest, osobistosc i działalność jego z minionego przywołać wieki” (str. XVI).

Kończąc sprawozdanie z tego ze wszech miar szacownego dzieła, nadmienić musimy, że w ogóle rozbierana przez nas część dzieła, to jest wstępna jego część, treść pierwszego tomu stanowiąca, jest dopiero raczej zbiorem dokumentów i listów posłużyć mających do systematycznego przedstawienia charakteru i działalności Pestalozzi'ego, aniżeli samémże takowych przedstawieniem. Pomimo tego jednakże ma ono

wielką wartość dla cech jakie je charakteryzują. I tak prócz wierności i sumienności pracy, odznacza się ono nadto ciepłem i kolorytem, co przypisujemy trafnemu doborowi materiału i związaniu takowego nader umiejętnym sposobem w pewną systematyczną całość.

Dla mniej obeznanych z metodą Pestalozzi'ego, która właściwie już do historii należy, nadmieniamy przytém, że i w języku polskim posiadamy dziełko takową przedstawiające. Jest to mianowicie przetłumaczony przez A. Marcinkowskiego, w Wilnie w 1808 roku wydany: *Wykład metody elementarnej Pestalozzi'ego, przez A. Chavannes.*

SEWERYN SMOLIKOWSKI KAND. PRAW.

*Czaszki z kurhanów pokuckich, jako materiał do Antropologii przedhistorycznej Ziemi polskich, opracował dr. Izidor Kopernicki. (Kraków 1875).*

*Spostrzeżenia nad właściwościami językowymi w mowie Górali Bieskidowych, z dodaniem wyrazów góralskich. Opisał d-r Izidor Kopernicki. (Kraków 1875).*

Doktor Izidor Kopernicki znany w uczonym świecie ze swych prac antropologicznych, mianowicie z badań nad kształtami i budową czaszek w różnych rodu ludzkiego plemionach, ogłosił świeżo w Pamiętniku Akademii Umiejętności w Krakowie, wiadomość o czaszkach wydobytych z mogił przez A. Kirkora, oddającego się czynnie archeologii krajowej, w lecie 1874 na Pokuciu znalezionych i rozkopanych. W okolicy téj po prawym brzegu Dniestru leżącej nawprost Obertyna, pamiętnego zwycięstwem Tarnowskiego hetmana nad Wołochami, znalazł p. Kirkor na przestrzeni mniej więcej milowej trzy grupy mogił większych i mniejszych, w pobliżu wsi Żywaczowa, Chocimierza i Czortowiec, a wiadomość o tém odkryciu komisji archeologicznej złożył. Zbadaniem czaszek zajął się dr. Kopernicki, opisał je i przedstawił w odpowiednich rysunkach. Ze szczegółowych tych badań taką treść można wyciągnąć. Mogiły z pod Żywaczowa i z pod Chocimierza są cmentarzyskami z bardzo odległej przeszłości, z wieku brązu; mogił z miejscowości pierwszej wymieniono trzy (n. 1, 4, 6) i każdej skielet opisano, z drugiej miejscowości mogił sześć (n. 16, 18, 21, 20, 24, 28) każda z jednym także skieletem. W mogiłach znajdowano na spodzie podkład z kamieni wapiennych, w niektórych ślady drzewa, jakby resztki trumny, oraz skorupy gliniane. Przy skieletach męzkich, zwykle pierścien brązowy na palcu, przy żeńskich takżeż zausznice; od czego kości przyległe zdarzały się mocno zabarwione na zielono, przy żeńskich téż znajdowano guziczki ze szkła kolorowego i takżeż paciorki. Głowy wszystkich bez wyjątku tych skieletów miały kształt długoczaszkowy (dolichocephala orthognatha), uderzająco odmienny od kształtu głów

tegoczesnej ludności miejscowej Rusinów, te bowiem jak w ogólności słowiańskie, są krótkoczaszkowe lub pośredniczaszkowe. Jakkolwiek oznaczenie rassowości tych czaszek wykopaliskowych jest trudne, można wszakże wykazać ich podobieństwa z czaszkami starożytnych ludów Europy, tudzież różnice od czaszek obecnych miejscowych. Podobieństwo największe daje się upatrywać do czaszek skandynawskich, a także do czaszek mieszkańców zachodniej Europy: starych etruskich i latyńskich, staro helweckich, tudzież południowo germańskich. Fakt ten zresztą nie jest wcale odosobnionym, uzupełnia go d-r Kopernicki ważną dla przyszłych badań nad wędrówkami ludów wiadomością, że tak samo jak te czaszki pokuckie, czaszki znajdujące w najstarożytniejszych wykopaliskach na Ukrainie i na Białej Rusi, kształtem swym różnią się bardzo od czaszek obecnej tam ludności, i wszystkie są podługowate. Przybywa tedy wskazówka, że ludy osiadłe obecnie w Europie, różniami tu od Wschodu dążyły szlakami, ślady po nich z jednej strony w dolinie Dniestru, z drugiej w dolinie Dniepru pozostałe, przesyłają nam z mroku dziejowego świadectwo, że nie odrazu i nieprędko się ludzie na stałych zatrzymali siedzibach, całe plemiona zmieniały kolejno miejsca pobytu, na opuszczonych siedliły się inne, i ostateczni dziedzice ziemi spadek ten po niejednokrotnym zapewne jej osieroceeniu objęli.

Odłożyliśmy na koniec wzmiankę krótką o wykopalisku Czortowieckim: jest ono jak się zdaje pobojuwiskiem, skielety a raczej kości znalezione tu obficie są niewątpliwie o wiele późniejsze od Żywaczowskich i Chocimińskich; jedna z głów dobrze zachowana oznaczona w opisie nr. 10, jest od wszystkich tamtych i kształtem i w budowie bardzo odmienna, grubokostna, o czaszce wprawdzie podłużnej, lecz oraz jajowatej t. j. w czole wązkiej, w tyle szerokiej, twarz duża koścista, mocniej wystająca i nieco prognatyczna. Głowa ta zbliża się w ogólności do typu bułgarsko-wołoskiego i bardzo być może, pozostała tu po znanym najściu Wołochów w 1531 r.

Obeznanych z metodami wymierzania czaszek zająć może dokładniejsza wiadomość o wypadkach wymiarów d-ra Kopernickiego. Czaszki obecnych mieszkańców Galicyi wschodniej w ogóle są krótkie i z dwustu kilkudziesięciu wymierzonych, średnio wypada na szerokość głowy 0,82 jój podłużnego wymiaru. Z wymiarów dawniej przez dra Kopernickiego zdejmowanych z czaszek naddnieprowych, stosunki głównych wymiarów (wskaźniki, indices, jak je nazywa) są: przyjąwszy oś długości czaszki za 100, oś poprzeczna, czyli szerokość wynosi 81, wysokość sklepienia czaszki nad jój podstawą 78. W czaszkach z wykopalisk pokuckich wymiary te dały średnio: wskaźnik szerokości 73, wysokości 74. Granice, między którymi stosunek ten się waha, dla szerokości (po wyłączeniu jednej z czaszek z boków ciśnieniem ziemi przynięcionej), od 70—77, dla wysokości od 69—81.

Na czterech tablicach rysunków wyobrażono czaszek wykopaliskowych 10, każda z trzech stron widziana, z boku, z wierzchu i z tyłu, dla



porównań dołączone są dwie czaszki bułgarskie i jedna krakowska. Rysunki pod względem dokładności i kunsztu wzorowe.

Obok streszczonej tu pracy, dla antropologów głównie przeznaczonej, wymienić jeszcze należy inną tegoż autora publikacją, szczególną co do objętości, lecz każdego badacza mowy ojczystej mogącą zająć; jest to rzecz o właściwościach mowy górali Bieskidowych, z dołączeniem słowniczka wyrazów odznaczających się szczególnością użycia. Kto miał sposobność zapoznać się z ustną mową ludu różnych części kraju, bezwątpienia nabył tego przekonania, że różnaitość narzeczy prowincjonalnych u nas, polega nierównie więcej na odmienniej intonacji i w ogólności na różnicach wygłoszenia, niż na różnicach organicznych mowy, np. odmiennych prawach przemiany dźwięków, inakszej składni, lub oddmiennych zwrotach. Uwagi tej nie mogą osłabić spotykane tu i owdzie osobne wyrazy nieznanne gdzieindziej, lub konwencyonalne jakie wyrażenia, zwykle z przygodnej jakiej okoliczności, lub miejscowego wydarzenia zrodzone, bo te, jeżeli z duchem języka okazały się zgodne, rozprzestrzeniają się stopniowo i wchodzą nakoniec do ogólnego narodowej mowy zasobu.

Ze spostrzeżeń dra Kopernickiego okazuje się widocznie, że narzecze górali Bieskidowych nie wyróżnia się żadną głębszą cechą od ogólnej mowy ludu polskiego, chociaż ma pewne właściwości, odznaczające wymowę Mazurów i Szlązaków; od pierwszych przejęli oni nieprawidłowe wymawianie dźwięków *cz. sz, ż*, i w całym kraju sporadycznie napotykanie niedomawianie dźwięku *ł*. Wszystko to dla badaczy mowy bez istotnego jest naukowego znaczenia, jako zjawiska z braku jedynie ukształcenia idące, spowodowane niedbalstwem w należytem wyćwiczeniu narzędzi mownych. Sąsiedztwu Szlązka zawdzięczają górale zachowanie się u nich staropolskiego *a* grubego, które zaginęło zupełnie w wymowie małopolskiej i zaledwie w kilku wyrazach jednozgłoskowych daje się tu i owdzie słyszeć; zaniechano go również w mowie ustnej i pisaniej klas ukształconych całego prawie kraju. Przywrócenia tego dźwięku mowie naszej niema już ani możności, ani potrzeby; dla znawcy jednak języka wiadomość jasna o stosownem jego użyciu jest potrzebną koniecznie, gdyż po dziś dzień tkwi on w głębi organizmu języka i wywiera wpływ niezaprzeczony na urabianie odmian wyrazów. Nabycie zaś tej wiadomości jest tém trudniejsze, że chociaż znanem jest ogólne prawidło, że to *a* jest widomym znakiem kontrakcyi wyrazu, rozwinięcie prawidła tego do szczególnych przykładów jest już w języku mocno zaćmione, i ani przewodnictwo ks. Kopczyńskiego, ani ks. Malinowskiego nie zawsze tu wystarcza, wsłuchiwanie się zaś w mowę prostą wielkopolską i szlązką więcej razi ucho niż uczy. Nie można przeto robić zarzutu d-rowsi Kopernickiemu, że trudnej tej kwestyi nie rozwinął wyczerpująco, godzi się jednak zwrócić uwagę, że przystąpiwszy do badań języka ojczystego, powinien był ustrzedz się takich usterek jak np.: „przedstawiam tu moją własną teorię tworzenia się... (w przedmowie),

i, chociaż to prąd mający dziś za sobą całą potęgę nowości, nie pisać: studyjowałem górali, dla specjalnych badaczy, uporządkowanie tych materyjałów i t. p.

Już ks. Kopczyński gromił współczesnych, ale tylko rymotwórców, że naruszają formę przypadkowania pisząc Boginię moją, zamiast Boginią moję (przypisy do Gram. na Kl. III str. 224), dzisiaj błędna ta forma coraz więcej się uciera, najświeżsi zaś prawodawcy języka tracąc już poczucie różnicy w zakończeniach wyrazów ściągniętych, pochodzenia po większej części obcego, jak np. linia, lilia, chemia, akademia, Francya, naciągają ich odmiany do wyrazów o zakończeniu pełnem na *a* otwarte i każą mówić: kreślę jedną linię lub kilka linii, zerwałem lilię lub kilka lilij, jakby mówili o żmii, zabiłem żmiję i kilka żmij; a wszakże wyrazy te są téj kategorii, co inne ściągnięte: lutnia, bracia, zbrodnia, a nawet nadzieja i kąpiel. Pozbawiając nas w ten sposób jednej z właściwości i zalet naszego języka, w konsekwencji musieli i pisać te wyrazy bez ściągnięcia: linija, Francycja, wreszcie przyjmując chętnem sercem teorią samogłosek jotowanych, zastosowali ten sposób pisania i do środka wyrazów, jak: studyjować, specjalny, materyjały. Czujemy się w prawie do bronienia się przeciw téj nowości w języku, téj jedynej już instytucji narodowej, pod wspólną pieczę całego narodu jeszcze nam pozostawionój. Naukowa wartość teorii samogłosek jotowanych potrzebuje jeszcze stwierdzenia i uznania, wysnutą ona została z alfabetu na innych opartego zasadach, i innych używającego sposobów do wyrażenia sylaby miękkiej; myśmy to poruczyli zmiękzonej spółgłosce, wiedząc że naturalnem już następstwem będzie zmiękczenie samogłoski. Kształcąc język na łacinie nie obawiamy się rozziewu tam, gdzie się go i łacina nie bała; o niezdolności zaś ust polskich do wymawiania pewnych samogłosek bez jotowania przekonać się nie możemy. Nie wiadomo zresztą czy taki to jest sposób pisania samego autora, czy tóż rękopism poprawionym został w drukarni; czytaliśmy bowiem niektóre prace prof. Małeckiego z podobnemi drukowane zmianami, a przecież on tak nie pisze.

A. W.

---

*Fr. Lenormant* La magie chez les Chaldéens et les origines accadiennes, (Magia u Chaldejczyków i początki akkadyjskie).  
Paryż 1874.

Autor książki, której tytuł wypisałem wyżej, dostąpił przed kilka miesiącami rzadkiego zaszczytu; dzieło jego p. n. *Les premières civilisations*, ogłoszone w roku zeszłym, wychodzi obecnie w przekładzie niemieckim w Jenie. Kto zna wstręt Niemców do wszystkiego co francuzkie w ogóle, oraz nienawiść prawdziwie ślepą, rozdmuchaną ostatnich lat wypadkami do ich sąsiadów zarcńskich, ten będzie musiał przyznać,

że trzeba było chyba czegoś znakomitego, iżby nakłonić zarozumiałego Germańczyka do przyswojenia na korzyść rodaków „produktu retoryki francuzkiéj;” bo tak ryczałtowo objawy nauki i wyobraźni sąsiadów nazywać raczą. Jakoż istotnie Lenormant w pracach swoich o starożytnym Wschodzie, a w szczególności o Assyryi, w niedługim stosunkowo czasie zajął stanowisko pomiędzy pierwszymi orientalistami. Podręcznika jego do dziejów Wschodu starożytnego, przygotowuje się siódme już wydanie, a inne prace szybko się rozchodzą i powszechnie wysoko są cenione.

Dzieło o którym piszemy, składa się właściwie z dwóch części. Pierwsza powstała z wystudowania świeżo przez znakomitego Rawlinsona wydanego 4-go tomu „Nadpisów klinowych zachodniej Azji (*Cuneiform inscriptions of Western Asia*), który Lenormant miał sobie udzielony od wydawcy w pierwszych odbitkach, przed ukazaniem się ich w handlu księgarskim. Nadpisy tego tomu zawierają część glinianej biblioteki króla Assyryi Assurbanipala (z VII wieku przed Chryst.) przewiezionéj do Londynu, z miejsca gdzie niegdyś stała Niniwa. Wiadomo czytelnikowi iż starożytni Assyryjczycy pisali pismem tak zwaném klinowém lub ćwiekowém, na tabliczkach albo walcach glinianych; że tabliczki te w części uszkodzone dotrwały aż do naszych czasów; że wreszcie Rawlinson, Oppert i inni zdołali dojść pisma na nich pomieszczonego, oznaczyć i zrozumieć języki nadpisów, rzucających nowe i niespodziewane światło na dzieje i wyobrażenia ludów Mezopotamii. Tom czwarty dzieła Rawlinsona obejmuje część wielkiego traktatu o czarach i zamawianiach, i o nim właśnie mówi Lenormant w pierwszej części swojej pracy.

Zamawiania te są prawie zawsze w dwóch językach: assyryjskim, należącym do rodziny semickiéj (a zatem blizkim hebrajskiego) i akkadyjskim, należącym do gałęzi turańskiéj, tak przynajmniej sądzą nowsi assyryologowie, wbrew zdaniu Renana i innych wschodoznawców, którzy nie odważają się mowy téj zaliczyć do jakiegokolwiek znanéj gromady. Forma zamawiań dość jest jednostajna: wylicza ono naprzód duchy, które ma zakląć, opisuje ich władzę, potem wyraża życzenia odegnania ich i kończy wezwaniem podobném do naszych litanii: „Duchu niebieski, pamiętaj o tém! Duchu ziemski, pamiętaj o tém!”

Podajemy jedno takie zaklęcie, aby dać wyobrażenie o tych sławnych tajemnicach magii chaldejskiéj. Służy ono do zamówienia chorób i innych klęsk człowieka.

„Zaraza i gorączka trapiące kraj, choroba wyniszczająca okolicę, ciało szkodliwe, wewnątrznościom zgubna; złośliwy szatan, złośliwy *atal*, złośliwy *gigin*; człowiek złośliwy, złośliwe oko, złośliwe usta, złośliwy język, niech wyjdą z ciała człowieka, syna swojego Boga, niech wyjdą z jego wewnątrzności! Nigdy nie opanują one mojego ciała, nigdy przedemną nie złęgo nie zrobią, nigdy za mną chodzić nie będą, nigdy do mojego domu nie wnikną, nigdy progę moją nie przestąpią, do mieszkania mojego nigdy się nie dostaną. Duchu niebieski i t. d. Duchu Muł-



tego, władco krain, pamiętaj o tém! Duchu Ningelali, pani krain, pamiętaj o tém! Duchu Nindara, potężny zapaśniku Mulgego, pamiętaj o tém! i t. d. i t. d.”

Niektóre wyrazy i wyrażenia tego zaklęcia potrzebują wyjaśnienia. *Alal* i *gigin* są to nazwy turańskie, brzmią po assyryjsku *alu* i *ekim* i oznaczają złe duchy. „Syn swojego Boga” znaczy mniej więcej „człowiek bogobojny.” Wyrażenie to bardzo częste w nadpisach assyryjskich, powstało z pojęcia, iż każdy człowiek ma swojego ducha lub boga, wyłącznie nad nim czuwającego (coś naksztalt naszego anioła-stróża); prawie niepojętym dla nas sposobem, duch ten w pojęciu starożytnych Akkadów, czyli plemienia turańskiego zamieszkującego prawy brzeg Eufratu w Chaldei, rozszczepiał się że tak powiem na istotę podwójną, męża i żonę i jak stadło był pojmovany; a co dziwniejsza, każde bóstwo miało takiego swojego ducha opiekuńczego, niby sobowtóra i to również dwoistego; ztąd wyrażenia: ducha Mulgego, ducha Nindara i t. p. Mulge zaś jest bóstwem piekielném, panem ciemnych otchłani pod ziemią; nazwa ta jest akkadyjska; w późniejszych czasach semiccy Assyryjczycy nazywali tego boga Belem (czyli Baalem) stwórcy i twórcy. Ningelal albo Ninge jest małżonką Mulgego, imię jej po akkadyjsku znaczy: pani otchłani. Nindar syn Mulgego, jest słońcem po zachodzie wędrującém w kraju ciemności, a zarazem panem przeznaczenia i bóstwem wojowniczym, później utożsamiono go z bogiem chaldejsko-babilońskim, zwanym Adar.

Litania powyższa wylicza wiele jeszcze bóstw, wzywając je zawsze aby „pamiętali o tém.” Nie będziemy mówić o nich szczegółowo i w ogóle nie jesteśmy w stanie streścić całego zasobu nowo-wygrzebanych przez Lenormanta faktów, bo rzecz tak dalece jest nową, szczególnie u nas, że streszczenie powyższego dzieła równałoby się jego przetłumaczeniu. Powiemy więc tylko kilka słów o głównych kierunkach dowodzeń autora i zanotujemy kilka faktów ciekawszych.

Lenormant, a z nim i inni assyryologowie twierdzą: że przed osiedleniem się gałęzi szczepu semickiego po obu stronach dolnego Eufratu, miejscowość ową zajmowało plemię turańskie, które nadpisy nazywają Akkadami; że język ich i wiara bardzo podobne były do mowy i wierzeń dziś żyjących szczepów turańskich jako to Węgrów, Finnów i ludów północno-syberyjskich, a szczególnie do grupy tego szczepu, naukowo zwanój ugro-fińskiej. Co do języka nie tylko podobieństwo w słowniku, ale i w zasadzie składania wyrazów zdaje się uderzającym: tak zwana aglutynacya odznacza i dziś żyjące języki turańskie, i owe przebrzmiałe narzecza akkadyjskie. Ze zbliżeń słownikowych cytujemy niektóre. Droga po akkadyjsku brzmi *mar*, po węgiersku *mor*; *urud* miedź, po fińsku *rauta* żelazo; *ma* kraj, po fińsku tak samo; *pal* miecz, po węgiersku *pallos* (czytaj *palosz*, jestto nasz *palasz*. ten wyraz wzięliśmy z za Karpat); *dingira* Bóg, po turecku *tengri* i t. d.

Opisowi języka Turanów Mezopotanii i porównaniu jego z żyjącymi mowami fińskimi, poświęcona jest druga mniejsza część dzieła.

W pierwszej zaś jak powiedziałem, autor opisuje zaklęcia i bóstwa przed-assyryjskiej ludności nad Eufratem, porównywa je z magią i mitologią egipską, a dalej z chaldejsko-babilońską, która nastąpiła po chaldejsko-turański. O ile dowodzenia i zbliżenia językowe przekonują i mają wszelkie cechy pewności, o tyle w zbliżeniach i wywodach mitologicznych czuć brak mocy stanowczej u autora. Widać że mówiąc o tych rzeczach, porusza się na gruncie dość mało mu znanym; znakomite prace Tylora i Bastiana, które przedstawieniem wszechludzkiego rozwoju pojęć religijnych rzucają niespodziane światło na tę tak dotąd niedokładnie znaną sferę ducha, oczywiście są obce p. Lenormantowi. Gdyby nie tak było, nie twierdziłby iż szczególne, rodowe podobieństwo wierzeń Akkadów i innych Turanów zasada się głównie na demonologii, a szczególnie na wierze w ogromną ilość złych duchów. Taki kierunek religijny odznacza bowiem nie tylko Turanów, lecz *wszystkie* ludy pierwotne, jak o tém ludoznawstwo porównawcze przekonywa. Nie marzyłby również o jakimś początkowym monoteizmie, tak gorliwie, choć bezzasadnie windykowanym przez Renana, dla szczepu semickiego. Nieuprzedzone, a wszechstronne badania innych uczonych przekonują, że ani Semici, ani żaden inny szczep nie rozpoczął religijności od jednobóstwa. Najprostsze zastanowienie okazuje, iż człowiek pierwotny czcić musiał każdy objaw większej siły od ludzkiej oddzielnie i że dojście do pojęcia jednego i jedynego Boga wymagało niezmierzonej ilości wieków; a cóż dopiero gdy ten prosty wniosek logiczny popiera się przeświadczeniem, że nie odkryto dotychczas ani jednego plemienia, któreby kiedykolwiek nie znało wielobóstwa, a przed niem czci duchów, przedewszystkiem złych, a jeszcze piérwój czci rzeczy i istot pojedynczych, zwierząt, wód, kamieni, sprzętów i t. d. Fetyszizm, animizm, wielobóstwo, jednobóstwo i jedynobóstwo; oto pięć stopni, przez które koniecznie, bezwarunkowo przechodzić musiała ludzkość wszędzie i zawsze.

Za to część opisowa w pracy p. Lenormant jest niezmiernie zajmująca. Dowiadujemy się z niej, że pierwotni mieszkańcy Chaldei wyobrażali sobie ziemię jako płaską wyspę na oceanie; nad nią widzieli stałe niebo, pod nią przypuszczali ciemną otchłan; myśleli iż słońce po zachodzie przebywa to piekło i że tam jest mieszkanie zmarłych. Trzy główne bóstwa dzierżyć miały władzę nad wszechświatem: Anna, nad niebem, Ea, nad ziemią i oceanem, Mulge, nad otchłanią podziemną. Późniejsza mitologia assyryjsko-babilońska przezwiała te trzy istoty Anu, Nuah i Bel. Nuah, ma to być Noe hebrajczyków: Akkadowie wyobrażali go sobie pływającym w korabiu po oceanie opasującym ziemię. Bel zaś oczywiście jest Baalem wszechsemickim. Oprócz téj trójcy, najbardziej godném uwagi jest istnienie pewnego pośrednika pomiędzy ludzkością a bogami, zwanego po akkadyjsku Silikmubuchi (znaczy dosłownie dobroczyńca ludzi); postać ta nader podobną jest do Mitry Persów, do Agni indyjskiego i do Logosa aleksandryjskiego. Dziwnie téż podobne są wzywania ognia u Akkadów i starożytnych In-

dów: cegiełki niniwskie zwać go: „najwyższym kapłanem na powierzchni ziemi,” a pierwszy hymn Rigwedy „kapłanem i arcykapłanem, heroldem ofiarnym.”

Powtarzam kończąc ten z konieczności niedokładny pogląd, iż takich nowe drogi torujących dzieł, jak powyższe, streścić niepodobna; zbyt wiele zawierają nowego zasobu, zbyt wiele poruszają pytań, iżby sprawozdanie nawet obszerne objąć je mogło. Ograniczam się poleceniem czytelnikom téj sumiennej a oryginalnej pracy, ostrzegając wszakże o tém, co mi się wydawało niezupełnie pewnym i zapewniając iż znaczna większość dowodzeń autora, zasługuje na pilne baczenie, bo posuwa o krok dalej świeżo narodzony zakres badań o pierwotnym stanie cywilizacji Wschodu i świata w ogóle.

J. K.

*Marya. Powieść Malczewskiego.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1876. (w 4-ce str. 63. Druk J. Ungra z ośmią fotografiami z rysunku M. Audriollego).

Któż z miłośników poezji narodowej nie zna *Maryi* Malczeskiego? Poeta po pięćdziesiąt groszy własnym kosztem, wydrukowany ten utwór w Warszawie 1825 roku, nie mógł rozprzedać na pokrycie wydatku za druk i papier; złamany troskami i niedolą skończył życie smutne, kilku tylko przyjaciół odprowadziło jego zwłoki na cmentarz Powązkowski. Dziś śladu mogiły odnaleźć nie możemy, by uczcić nagrobkiem pamięć wielkiego poety.

W cztery lata po jego zgonie, gdy Maurycy Mochnacki, w gruntowniej krytyce (*Gazeta Polska* 1829 r.) pokazał całą wartość tego poematu, zaczęto go poszukiwać i całe wydanie pierwsze wykupiono. W kilkanaście lat przedruki *Maryi*, w tysiącach egzemplarzy rozeszły się szybko.

Kiedy zagranicą rozpowszechniły się ilustracye arcydzieł, pierwszy przedsiębiorczy księgarz i nakładca B. M. Wolf, w Petersburgu wydał w roku 1851 ten poemat z drzeworytami w maleńkim formacie. Ilustracye tu załączone, są raczej karykaturą poematu, aniżeli jego ozdobą. W szesnastu lat później, księgarz J. K. Żupański, w prawdziwie przepysznój edycyi wydał ten poemat, z dwunastu miedziorytami i pięciu drzeworytami kompozycyi Antoniego Zaleskiego ilustratora *Pamiętników Paska*.

Z miedziorytów więcćj odpowiednie myśli poety są: postać wojewody, gdy:

„Otworzył wązkie okno, patrzył czas niejaki  
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki.”

*Marya* modląca się pod krzyżem; najazd kuligu zamaskowanego, i w ostatku śmierć miecznika na cmentarzu przy grobowcu córki. Je-



żeli rysunki, jakkolwiek utalentowanego artysty, nie odpowiedziały tak trudnemu zadaniu, wydanie staranne samego tekstu, podług pierwotnej edycji nic nie pozostawiało do życzenia. Po dziewięciu latach, jedna z pierwszych firm księgarskich Gebethnera i Wolffa, podjęła nakład, na wydanie *Maryi* z rysunkami, jednego z najznakomitszych ilustratorów polskich, M. Andriollego.

Zadaniem tego rodzaju publikacji jest uwydatnić najpiękniejsze ustępy poematu, lub sceny dramatu; podnieść ich znaczenie i domówić ołówkiem to, czego nie wypowiedziało słowo poety. Rzecz to nie łatwa, bo artysta musi mieć natchnienie jeżeli nie wyższe, to równe poecie; musi on dopatrzeć strony nie powiemy słabsze, ale pozwalające ołówkowi uwydatnić brak w poezyi, uplastyczyć bez ujmy oryginału, to co sam przedmiot więcej uwydatnić może; wciskać się pomiędzy więcej luźne wiersze i strofy, a szczegółkami napozór drobnymi, uzupełniać poetę. Taki ilustrator powinien mieć jego duszę, połot jego fantazyi, czuć jego sercem, i też same uskrzydłone myśli, któremi on szybował w ponad ziemskie krainy.

Przymioty te właśnie wszystkie posiada M. Andriolli. Dusza gorąca, poetyczna, nieprzebrany skarbiec bujnej wyobraźni, rękę posłuszną na każde skinienie pomysłu; nie dziw przeto, że prawie każdy rysunek jego porywa, nieraz zachwyca, a tak różny i właściwy sobie ma charakter, że dość rzucić okiem, ażeby poznać jego ołówek. Rzecz oczywista że tego znaczenia artysta, dopiero odpowie swemu zadaniu, gdy sam wybierze przedmiot idąc za własnym natchnieniem, a nie na obstalunek. M. Andriolli długo się nosił z myślą illustrowania *Maryi*, zanim znalazł sposobność jej urzeczywistnienia. To też to ostatnie wydanie o którym mamy mówić, należy do pierwszych ilustracji polskich.

Przejrzyjmy te rysunki szczegółowo. Na czele widzimy, jak wedle słów poety:

„W okazałe komnaty (długo nie widziany)  
Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany,  
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić,  
Zdawał się więcej synem, niż chluba unosić.”

W drugim rysunku, wsparty na czekanie sędziwy miecznik:

„Przy nim młoda niewiasta;—czemuż, kiedy młoda,  
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?  
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty:  
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty.”

Jeżeli w pierwszym artysta, wśród wspaniałej sali zamkowej wybornie oddał dumną postać wojewody wśród zebranego grona szlachty, księży i dworzan, to przedstawiając na tle ogrodu, pod olbrzymiem starodrzewem miecznika z córką, podniósł sam ustęp poematu potęgą swego ołówka. W obliczu i postawie ojca, na zchmurzonym czole, w poch-

murnym wzroku, maluje się głęboka troska: wsparł lewą rękę na ramieniu siedzącej Maryi. A Marya z anielskiem obliczem, której „uroda świeci zamglonym promieniem.” Jakież to czarowne spojrzenie, zapatrzone w dal, jakby wypatrywała przyszłą dolę swoje. Postać wiotka, pochylona, trzyma w jednej drobnej rączce księgę, druga bezwładnie opadła. Oczu oderwać trudno od tej nadziemskiej istoty: artysta zaklął w niej, potęgą swego talentu, całą typową piękność, wdzięk, powab i urok dziewicy polskiej. O takiej *Maryi* marzył sam wielki poeta, taką widział i w swym poemacie odmalował.

W głębi ogrodu, zdala ukazuje się w pomroku wieczornym, młody Wacław, w zbroi i hełmie, cel myśli zadumanej *Maryi*. Przybywa on dla pożegnania się z ukochaną, i mamy scenę porywającą, jak w tymże samym ogrodzie, przytula się do jego piersi, i główkę małą opiera na jego ramieniu. Jest to chwila w której Wacław zapytuje:

Maryo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,  
 Jakbyś się do aniołów myślała już dostać;  
 I w nowém udręczeniu, choć cię jeszcze pieszczę,  
 Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?

Kulig dał naszemu artyście szersze pole do puszczenia wodzy bujnej fantazyi; szalony taniec masek, wśród których postać śmierci z kosą wzniesioną w górę, dobrze odpowiada myśli poety i głównej treści jego utworu.

Walka z Tatarami jest pełna życia i prawdy; wśród niej pojedynki starego miecznika z hanem dobrze uwydatniony. Wacław przy zwłokach Maryi. jest osnową szóstej ilustracyi. Ostatnia ucieczka jego z tajemniczym pacholęciem, w nocnej dobie, na rozhukanym ruma-ku, gdy z zachmur bladym światłem, czasami księżyc się w pełni wychyla, godnie odpowiada treści poematu. W końcu ósmy rysunek przedstawia ostatni sen starego miecznika na grobie Maryi. Postać jakby używająca po strudzeniu spoczynku...

„Tylko że gdy trwogi  
 Odgłos, z trąby wojennej dochodził daleki,  
 Nie porwał się do korda: już spał, spał na wieki.”

Tekst w tém wydaniu zachowany wedle pierwotnej autora edycyi; niepotrzebnie nazwisko poety zmieniono, i z Malczeskiego, jak się sam podpisywał i jak jest w Żupańskiego przedruku, to znajdujemy Malczewskiego. Opuszczono też przypisanie Maryi J. U. Niemcewiczowi. Na zaletę tej publikacyi w końcu dodać winniśmy, że druk, papier, staranne fotografie i ozdobna nawet oprawa, są wyłącznie w kraju wykonane, a pomimo to, może śmiało się porównać z najokazalszemi, jakie daje nam zagranica. Piękny to i okazały pomnik ku czci Malczeskiego.

*Teatra w Polsce przez Estreichera.* Tom II. W Krakowie, czcionkami „Zsasu.” 1876 r. (w 18-ce, str. 718).

Tom pierwszy tój zajmującej pracy, najznakomitszy z bibliografów polskich, Karol Estreicher wydał w roku 1873. Sprawozdanie o pomienionym tomie, podaliśmy zaraz w Bibliotece Warszawskiej; obecnie część druga wyszła. Obejmuje przeciąg lat 28, i poświęcona wyłącznie samej scenie Krakowskiej, gdy poprzednia podawała nietylko o niej, ale ogarniała miast pięćdziesiąt dwa w dawnych granicach Rzeczypospolitej.

Autor z mrówczą skrzętnością zapisywał każdy objaw sceny polskiej, którą popierały wędrowne trupy aktorów, idąc porządkiem alfabetycznym od Bałty, Białocerkwi, Dynaburgu, Gdańska, Gniezna, Grodna, Jass, Kowna, a kończąc na Krakowie.

Nie znajdujemy wszakże Odessy, z czasów zarządu księcia Richelieu'go, gdzie Jan Nepomucen Kamiński, tłumacz Szyllera ballad i trylogii tegoż poety, Obóz Wallensztejna, Dwaj Piccolomini, i Śmierć Wallensztejna, z trupą swoją otworzył teatr polski, i świetne miał powodzenie. Zapewnie w następnych tomach znajdziemy i o tём pojawieniu się sceny naszój, pożądane wiadomości.

Tom drugi, o którym mówimy, zaczyna sprawozdanie szczegółowe od roku 1843, kiedy dyrekcyą teatru krakowskiego objął Meciszewski. Czasy jego zarządu są pamiętne, bo wyprowadziły tak znakomych artystów jak Jan Królikowski i Józef Richter.

Były to czasy najświetniejsze dla sceny krakowskiej. Stała ona wyżej nierównie od warszawskiej tak doborowym repertoarem, jak talentami aktorów, którzy trupę Meciszewskiego składali. Dbał on wielce i o zewnętrzną wystawę, to tóż od czasu gdy teatr krakowski przeszedł pod innych zarząd, świetność jego zagasta, i do dziś dnia stoi na tój stopie, że z tamtą dołą porównania nie wytrzyma.

W sporym tym tomie, autor opisuje działalność następnych dyrektorów, jak Mączyńskiego, Pfeifra, Chęłchowskiego, Miłaszewskiego, wreszcie Skorupkę, a w ostatku od roku 1871 Koźmiana.

Mamy tu kronikę tój sceny bardzo szczegółowo podaną, w końcu samym *Domówienie*, w którym zebrano dawne afisze z XVII stulecia. Pomijając widowiska obcych, przedstawiane w Krakowie, nie możemy pominąć: *Dyalogu* albo rozmowy grzesznego człowieka z anioły i z innymi osobami o męce Chrystusa Pana, przez Marcina Paszkowskiego, drukowane w Krakowie 1612 r. Jestto zapewne jeden z ostatnich Dyalogów, grywanych zwykle w Wielki Tydzień: i ten był odegrany w Wielki piątek „przed najświętszym grobem Chrystusa.“

Zachował się program wielkiego dyalogu z dnia 1 grudnia 1690 r. p. n. „*Śmierć dobra*. Przy pierwszej introdukcji, kongregacyi i nabożeństwa dobrej śmierci, wprowadzona do kościoła ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła przy collegium Krakowskim Soc. Jesu.“



Dyalog ten miał *antiprolog*, *prolog*, pięć *indukcyi* czyli aktów, i *epilog*.

W anti-prologu roztwiera się dom śmierci, który różnych ludzi jako trupy swe pokazuje a drzewo Rajskie obficie pokazuje śmierci ludzkie, niż owoce. W samej akcji wyprowadza śmierć kolejno na scenę pijanicę, który sobie zaprosił umarłego z cmentarza na wieczerzę. Gdy razem wieczerzują, pijanica pada trupem. Ztąd przeniesiony do piekieł na wieczerzę. Tam go raczą, jako jest zwyczaj w piekle. Dopiero gdy osiwiął, wraca na świat, by go ludzie za przykład widzieli: poczem znów się zapada z trumną do piekieł. W innej scenie Teodoryk za zabicie Symmachusa otrzymuje na półmisku głowę szczupaka, którą ten za głowę Symmachusa uznaje. Jakoż wyskakuje śmierć z półmiska, zabija Teodoryka, a Symmachus z Boecyuszem wtrącają go do piekieł, jako egzekutorowie Bożej sprawiedliwości.

Po tych złych przykładach, akt drugi przedstawia *dobrze*, jako to: Ścięcie Św Jana, ostatnia usługa św. Pawłowi, św. Marcin, biskup Toruński, Karol V żywy na pogrzebie swoim. Akt 3 i 4 również dobre wizerunki stawia z Jezusem Chrystusem i Najświętszą Panną.

W epilogu śmierć składa życzenia słuchaczom. „Takiemi jeszcze (pisze K. Estreicher) dziecinnęj treści, o niemowlęcej formie sztukami, bawiono u nas naród, wówczas, gdy na Zachodzie sztuka dramatyczna nawet w misteryach religijnych kwitła w całej pełni. Najlepszy to dowód braku miłośnictwa widowisk scenicznych w Polsce.“

Rzeczywiście, brak tego zamiłowania pokazują najdowodniej dzieje sceny polskiej. Dopiero scenę narodową Wojciech Bogusławski podniósł, i smak do niej rozszerzył, gdy pierwszy teatr stały w Warszawie, Stanisław August w drugiej połowie zeszłego stulecia otworzył.

Jestto przyczynek nieobojętny dla dziejów teatru polskiego, do których już zgromadzono niemało materyałów. W.

---

*Etudes Bulgares* (Studyja bułgarskie), p. A. Chodźko. *Chargé du cours de Langues et Littératures d'origine Slave au Collège de France. Paris, 1875.*

Pierwsze studyum poświęcone jest mitologii śpiewów słowiańskich Rodopu, których odkrycie dokonane przez Werkowicza żywo poruszyło sfery literackie. Pieśni Rodopu t. j. pieśni górali bułgarsko-słowiańskich (szczególniej w górach Perymu i Despato-Daghu), jak każde podobnego rodzaju odkrycie, przejść musiały to, co nazwaćby można krytyczną kwarantanną. Dziś po siedmiu latach autentyczność ich jest prawie dowiedziona. W obecnej pracy, znakomity ziomek nasz przedstawia swój filozoficzny pogląd na mit staro-bułgarski, na zasadzie odkrytego zabytku. A. Chodźko zaznacza dwie teorie panujące w mitologii porównawczej: solarystów i meteory-

stów. Podług solarystów, główną osią wyobrażeń mitycznych jest słońce i ten „dramat słoneczny“, który się od początku wieków rozwija przed oczyma ludzi, stanowi ich zdaniem główne tło wier pierwotnych. Podług meteorystów, pierwszym bodźcem dla spostrzegawczego ducha były zjawiska meteorologiczne: burze, grzmoty, tęcze, zmiany pór roku i t. p. Piorun i uragau, ich zdaniem, jaskrawiej budziły zmysły i wyobraźnię, aniżeli najgorętsze upały słońca.

Otóż pieśń Rodopu daje sprawdzenie tak jednej, jak i drugiej teorii. Rzeczywiście słońce odegrywa wielką rolę w micie Rodopu, ale nie jest ono pojęciem centralnym. Bóstwa „Juda“ tak często spotykane acz tylko w pieśniach Rodopu, (niema ich w czysto ludowych pieśniach Bulgaryi, o których w innym miejscu powiemy obszerniej), Juda są to potęgi należące „do dzielnicy meteorologicznej.“ Przypominają one, zdaniem naszym, Zarwona, albo Zarwana, postać kopalną mitologii, tak zdrowo zachowaną w mowie naszego ludu.

Po ogólnym zagajeniu, A. Chodźko przechodzi szczegółowo postacie mitowe Rodopu, jakimi są: Judy, Wisznu, Koleda, Ziwa, Agni, Wolos, Samowila. Co do autentyczności pieśni Rodopu, nasz autor zachowuje jeszcze pewną oględność; jedno tylko stanowcze orzekła: że ani Werkowicz, ani Szafarzyk, nie retuszowali ich swoją ręką. Najwięcej do myślenia dają tu imiona: Zywa, Agni, Wisznu, wyglądające z wedyjska. Autor jednak sądzi że nazwa Wysznu nie powinna nasuwać podejrzania, gdyż niema nic wspólnego z sanskryckim: *Wisznu*, mającym za swój pierwiastek: *wisz* (przenikać); gdy tymczasem bułgarska nazwa oznacza *wysokość* (s. 9). „W każdym razie, mówi A. Chodźko (s. 47), — zdrada trzeciej ręki — jeżeli tylko można tu przypuścić zamiar rozmyślnego fałszerstwa — niedługo zostanie odartą z maski. Jak dotąd odnosić się ono może jedynie tylko do niektórych nazwań bóstw, które owa trzecia ręka mogła być przestroić na indyjskie. Wreszcie nie przywiązuje on zbyt wielkiej ceny do stroju fonetycznej. „Mogą sobie imiona tych bóstw być lub nie być perskimi albo indyjskimi, ale bóstwa noszące te imiona są i zostaną wytworami gruntu słowiańskiego. To pożyczanie imienia, ten chrzest egzotyczny nie wdziera się bynajmniej w grunt samej narodowości ochrzczonego.“

Filozofia mitu pod piórem autora popartą została w niniejszej rozprawie nadzwyczaj ceunemi zastosowaniami filologii porównawczej, — a siły autora na tém polu znaniami są oddawna. I tak np. autor mówi (str. 42): „ludy słowiańskie nietylko zachowały u siebie wedyjską nazwę *wolu*, lecz i indyjską nazwę *mleka*.” Dla dowiedzenia tego autor radzi nam porównać wyraz sanskrycki: *sara-s* (twaróg), perskie: *szyr*, łacińskie: *serum*, bułgarskie: *cyrat* (doić), i polskie: *serwatka*.

Gdyby stanęła autentyczność *wszystkich* pieśni Rodopu, t. j. i tych, które Werkowicz otrzymał niedawno od swoich zbieraczy, a których

liczba według listu pisanego do autora już po ogłoszeniu niniejszych studyów ma dochodzić do stu tysięcy! — w takim razie nader wielkie światło na kwestye rzuciłaby ta okoliczność, że pieśni Rodopu zachowały się właśnie u Bulgarów muzulmańskich.

Uogólniając nasze wrażenia, oświadczamy w imieniu nauki i prawdy, iż zdaniem naszym studyum A. Chodźki zasługuje na wysokie uznanie.

F. J.

## OD REDAKCYI.

W styczniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej z roku 1872, ogłoszony został konkurs na dzieło dla dzieci od 10 do 14 lat wieku, z oznaczeniem premium w wysokości rs. 150. Z powodu nieosiągnięcia zamierzonego celu, redakcja ogłosiła konkurs ponownie, podnosząc premium do rs. 215 z dodaniem do nich procentów, jakie narosną do czasu przyznania nagrody. Wybór treści pozostawiono w zupełności autorom, którzyby rękopisma swe do konkursu przedstawili chcieli, z zastrzeżeniem tylko, aby dopełnione były warunki przez ofiarodawców podane, a mianowicie, aby książka traktująca przedmiot z zakresu moralności, historii lub umiejętności, czy to oddzielnie, czy w połączeniu, dążyła do zaszczepienia zasad cnoty, pobudzała duszę do energii i wzbogacała umysł temi wiadomościami, któreby mu do poważnej myśli wątku dostarczały. Forma opowiadania miała być dla umysłu dzieci pociągającą bez oschłości w moralizowaniu i definicyach. Rękopism uwieczniony nagrodą, pozostanie własnością autora. Termin oznaczony został na dzień 1 października 1875 roku.

W dniu tym redakcja już posiadała pięć rękopismów na powyższy konkurs nadesłanych, a po szczególe: 1) Gawędki o geografii w szkółce wiejskiej, 2) Opowiadania dziadka Bojomira o dziejach i rzeczach krajowych, 3) Różne powieści zebrane przez babkę, 4) Religia w wiedzy, 5) Wiano macierzyńskie. Komitet wybrany po odczytaniu wszystkich prac powyżej wymienionych, usunął trzy pierwsze, które pomimo niektórych zalet, treścią i układem, jak obrobieciem literackim nie mogły się utrzymać na konkursie; czwarta *Religia w wiedzy*, lubo odznaczająca się pięknym stylem, szlachetną dążnością myśli, jako jednak w całości głównemu zadaniu nie odpowiednia, przyjętą być nie mogła.

Pozostało *Wiano macierzyńskie*, które trafiając w myśl konkursu treścią swoją, wykonaniem, językiem czystym i pięknym, zajmowało pierwsze miejsce.

Redakcja przeto zgodnie z wnioskiem komitetu téj pracy, jednomyślnie przyznała nagrodę, z zastrzeżeniem niektórych uzupełnień, które autorowi wskazane zostaną.



Po otwarciu koperty, we właściwe godło zaopatrzonój, wyczytano, że autorką *Wiana Macierzyńskiego* jest Władysława z Rogozińskich Izdebska.

Autorowie rękopismów nieuwieńczonych, zechcą się zgłosić do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, po odbiór takowych.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Luty 1876.*—Dnia 16 lutego r. b., na posiedzeniu redakcyi *Biblioteki Warszawskiej*, znany i zasłużony badacz starożytności krajowych Aleksander Wejnert, odczytał obszernie swoje sprawozdanie o szczęśliwém odkryciu nieznanego dotąd dzieła Ignacego Krasickiego, o którém ani najbliższy przyjaciel F. Dmochowski i wydawca jego dzieł nie wspomniał, ani późniejsi biografowie znakomitego poety. W następnym zeszytacie sprawozdanie to naszego starożytnika podamy, które obejmuje wszystkie szczegóły tego odkrycia, do niego więc naszych czytelników odsyłamy. Jestto w ogromnych rozmiarach *Herbarz* szlachty polskiej, o wiele uzupełniający Niesieckiego, własną ręką Krasickiego napisany. Pięć tomów już jest w ręku zacnego badacza, trzy brakuje jeszcze i w tym celu robi skrzętne poszukiwania.

— Dzieł dramatycznych Szekspira, nakładem *Spółki Wydawniczej Księgarzy* wyszło XI zeszytów tomu drugiego. Obejmują dramata: *Romeo i Julia*, *Otello*. i *Król Lir*. W dalszym ciągu publikacyi téjże Spółki: Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowój, wyszedł tom 2 obejmujący: „Powieści moralne dla starszych dzieci: Anegdoty prawdziwe o dzieciach, i komedyjki. Zamyka ten tom ustęp: „O grach ćwiczących umysł.“

— Ogłoszoną została przedpłata przez pp. Jana Karłowicza i Aleksandra Walickiego na *Album niewydanych utworów Stanisława Moniuszki*, na rzecz wdowy po kompozytorze. Pewni jesteśmy świętego powodzenia téj publikacyi bacząc na jój wartość, cel szlachetny i pamięć wielkiego narodowego muzyka.

— *Album widoków, obrazów i pamiątek Willanowa z opisem*, wyszedł zeszyt III, w którym oprócz widoku na galeryą wielką, z gabinetu przed galeryą w Willanowie: mamy kopie obrazów w niej się znajdujących, Jana Fryderyka księcia Saskiego; wspaniały wjazd Radziwiłła do Rzymu. Madonnę Van-Dycka, Najświętszą Pannę Sas-

so Ferrato, Obraz Chodowieckiego, Krajobraz Ruisdaela i portret Vander Helsta; Młodzieńca Holenderskiego w bogatym stroju, Stro-bath'a i portret Papieża Klemensa XIV przez Rafaela Mengsa.

— Biblioteka najcelniejszych utworów literatury Europejskiej pod kierunkiem Redakcyi *Kłosów* i przy témże piśmie wychodząca, już skończyła z Nowym Rokiem dwa lata swego istnienia i 24 tomy publikacyi. Przeważnie w nięj góruje literatura krajowa. Po historycznej powieści J. U. Niemcewicza: *Jan z Tęczyna*, mamy najlepsze powieści Fryderyka hr. Skarbka, H. Rzewuskiego *Zamek Krakowski* i Adam Śmigielski. Aleksandra Bronikowskiego romans historyczny: *Hipolit Boratyński*, tłumaczony przez J. K. Ordyńca a poprawiony, z nowym przekładem przedmowy autora przez K. Kaszewskiego. Z prac poważnych dziejowych, znajdujemy *Dziewicę Orleańską* K. Libelta. W zbiór ten wchodzi jeden z najlepszych romansów historycznych Walter-Skotta *Kenilworth*, w przekładzie z oryginału angielskiego przez Erazma Rykaczewskiego, ale także przejrzany, poprawiony i w wielu ustępach uzupełniony. Najświetniej reprezentowany tu jest żywioł poetyczny. *Poezye Juliusza Słowackiego* i *Seweryna Goszczyńskiego*, w wydaniu o ile być mogło zupełnem. Z literatury dramatycznej: Moliere są tu dwie komedye tłumaczone przez Kazimierza Zalewskiego: *Szkoła kobiet*; i *Świętoszek*, *Wdowa Agisa* W. Jordana w przekładzie K. Kaszewskiego, wreszcie trylogium Szyllera *Obóz Wallensteina: dwaj Piccolomini* i *śmierć Wallensteina*, w tłumaczeniu bezimiennego. Przekład to po mistrzowsku wykonany, jest prawdziwą chlubą literatury naszjej. W ostatku wspomnieć należy o dziele Aleksandra Tyszyńskiego b. profesora Szkoły Głównej Warszawskiej p. n.: *Wizerunki polskie. Zbiory Szkiców literackich*, które weszły w poczet téj publikacyi z r. 1875, i prawdziwą są jēj ozdobą. Wyliczenie szczegółowe utworów jakie obejmuje pomieniona *Biblioteka*, daje miarę jēj prawdziwej wartości przy cenie dostępnej, bo bardzo niskiej. Rok obecny rozpoczęty został najznakomitszą powieścią Wiktora Hugo: *Katedra Najświętszej Panny w Paryżu* (Notre Dame de Paris), w przekładzie J. T. Hodięgo.

— Przy tytu wydaniach zbiorowych dawnych pisarzy, ogłoszono nową i całkowitą edycyę: *Powieści Pawła de Kocka*, w zeszytach tygodniowych. Po romansach Walter-Skotta, przed trzydziestą laty Kock był wielce ulubionym u nas pisarzem, i chciwie czytany. Zapewnie i dziś znajdzie się niemały zastęp jego zwolenników.

— Ogłoszono drukiem *Sprawozdanie roczne Zakładu Rękodzielniczego dla kobiet, z działalności w ciągu 1875 roku*. (Rok drugi). Z niego się dowiadujemy o pożytecznym rozwoju tego zakładu, i wpływie na dalsze okolice kraju. Wychodzące ztąd uczennice otworzyły pracownie rękawiczek w Radomiu, introligatorskie w Częstochowie, Radomiu, Kaliszu, oraz obuwia damskiego i kwiatów sztucznych. W Cesarstwie otworzone zostały przez uczennice, także tegoż zakładu, pracownie sukien damskich w Smoleńsku, Mińsku, Saratowie, Białej Cerkwi, Kowlu i Dubnie.

— *Ateneum*, pisma naukowo-literackiego, wyszło dwa zeszyty pod redakcją pana H. Benni.

— Między nowszemi wydawnictwami staréj i zasłużonej firmy Zawadzkich w Wilnie, notujemy dwa abecadniki. Pierwszy z nich nosi tytuł: *Nauka czytania pisma polskiego dla małych dzieci z różnym nabożeństwem, katechizmem katolickim i z wielu potrzebnemi dodatkami na nowo przedrukowana*, Wilno 1874, str. 36 (cena kop. 3). Drugim zaś jest *Elementarz polski czyli nauka czytania pisma polskiego z krótkim katechizmem dla małych dzieci* przez Ks. S. K(oźłowskiego), Wilno 1875. str. 36, cena kop. 4. Część religijna podana starannie i obszernie jak na abecadnik. W *Nauce czytania* znajdujemy kilka psalmów Dawidowych tłumaczenia Kochanowskiego, w *Elementarzu polskim* zaś historią świętą i pieśni nabożne. Część pedagogiczna przedrukowana jest z dawniejszych wydań, nawet z *roszczką Ducha Świętego* i tabliczką mnożenia na końcu.

— W miarę ruchu piśmiennictwa tak żywo się objawiającego, księgarni nie wiele powstaje w Warszawie. Oprócz dawniej otwartéj Kowalskiego, przybyły tylko Stopella i Stana. w miejsce Michała Glücksberga, który swoją nakładową księgarnię przeniósł dalej. P. Casius objął po staréj firmie S. Merzbacha; nowa zaś zupełnie przybyła p. Henryka Trenklera w dawnym hotelu angielskim przy ulicy Wierzbowéj. Nie możemy tu pominąć księgarni i składu nut Ferdynanda Hoesick Warszawianina, który jako wydawca nut przeważną liczbą ich i dobozem, nie małe oddał usługi sztuce. Na czele postawić należy *Muzykę kościelną*; jest tu obfity zbiór kompozycji kościelnych, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmują *Msze i spiewy kościelne* Stanisława Moniuszki, oraz wybrane przez tegoż mistrza, tegoż rodzaju utwory cenniejszych kompozytorów polskich. Nakładem téż księgarni wydanym został: *Pamiętnik do nauki harmonii wykładu Stanisława Moniuszki*. Oprócz wielu innych tak do gry na fortepian, jak do śpiewu, *Album śpiewów salonowych* tłumaczenia Jana Chęcińskiego i *Album pamiątkowe* Ign. T. Dobrzyńskiego zasługują na wspomnienie. Z wydawnictwa książek, oprócz *Wypisów polskich* dla ćwiczenia się w przekładach z języka polskiego na ruski w 3-ch częściach, księgarz ten rozpoczął pożyteczną publikacją p. n. *Biblioteka Ilustrowana dla młodzieży*, której w r. b. trzy tomy już wyszło. O tém wydawnictwie we właściwym dziale naszego pisma obszerniej powiemy.

— Redakcja nasza otrzymała list z Ameryki (*Grand-Rapids, Michigar*) pod datą 8 stycznia r. b. od p. Jarosława de Żiliński dyrektora orkiestry i organisty przy katedrze, który dowiedziawszy się z dziennika *Musik Zeitung* o obszernéj biografii Stanisława Moniuszki przez Bolesława Wilczyńskiego w Bibliotece Warszawskiej drukowanej, prosił o nadesłanie takowéj. Żądaniu temu stało się zadosyć.

— W dalszym ciągu wydawnictwa pod godłem *Viribus unitis* z drukarni J. Bergera, wyszła w staranném wydaniu: *Historia Staro-*



żytna wyłożona sposobem elementarnym przez Tadeusza Korzона, z dołączeniem trzech map, planu, tablicy synchronistycznej i 97 drzeworytów. (w 8-ce str. III, 296, IV. Warszawa 1876 r.) Upoważnienie do tłumaczeń na obce języki, autor sobie zastrzega.

— *Najlepsza metoda języka francuzkiego* dla uczących się z pomocą lub bez pomocy nauczyciela, w 36 listach podług 22 wydania metody *Touissant Langenscheidt'a*, wychodząca zeszytami nakładem i drukiem S. Orgelbranda synów, ukończoną obecnie została z wydaniem ostatniego listu: całość stanowi wielką księgę o 661 stronicach ścisłego druku.

— Z zapowiedzianego wydawnictwa Redakcyi „Bluszczu,” wyszły dwa tomy powieści, obejmujące: *Fiat justitia, Odrącony,* i *Czy nie zapóźno?* W przekładach z niemieckiego i angielskiego Edwarda Sulickiego, Heleny Glücksberg, i M. Falcuskiej.

— Z powodu podanej wiadomości w styczniowym z r. b. zeszycie naszego pisma (str. 156), o Logice Smigleckiego, otrzymaliśmy od p. S. W. Paniewskiego, następnę uzupełnienie.

„Jestem w możności uzupełnić cokolwiek wiadomości o Smigleckim. Był to jeden z najuczeńszych jezuitów polskich. Nietylko logika jego wykładaną była powszechnie w szkołach angielskich i francuzkich, ale główne jego trzy tomowe dzieło, którego owa logika jest częścią pierwszą, przez bardzo długie lata służyło za podstawę wykładów filozofii we wszechnicy Oxfordzkiej w Anglii. Dzielił z nim ten zaszczyt drugi jezuita sławny Sarbiewski, którego Ody wykluczyły ze szkół angielskich Ody Horacyusza. Tak o Smigleckim jak o Sarbiewskim, najłatwiej można by zebrać szczegóły dokładne u OO. Jezuitów w Galicyi. Był jeszcze trzeci Polak, którego dzieło, równego uznania dostąpiło w Anglii. Nazwiska autora, ani tytułu książki w tej chwili nie pomnę. Może kiedy będę szczęśliwszym. Dość, że z niej uczono we wszystkich szkołach, i że dzieła tych trzech Polaków, w licznych wydaniach przez sto lat z górą odbite, dziś jeszcze łatwo napotkać można w handlu księgarskim w Anglii. Tak to dawniej nawet cudzoziemcy umieli oceniać zasługi uczonych naszych, o których my dzisiaj nic już prawie nie wiemy.“

— „Ryżskij Wiestnik” w odcinku swoim wydrukował *Wędrowki Delegata* (Jordana), zamieszczone w „Tygodniku Ilustrowanym.”

— Dnia 11 stycznia b. r. w teatrze czeskim w Pradze przedstawiono z niemałym powodzeniem komedią redaktora „Wieku” Kazimierza Zaleskiego *Przed Słubem*, w przekładzie aktora tamtejszej sceny Bittnera.

— Akademia umiejętności w Krakowie coraz więcej rozwija się i ważnemi pracami wzbogaca literaturę polską. Działalność tej instytucyi, tak wiele użytecznej, podniesiona i uwydatniona zostanie publikacją sprawozdań rocznych, mających zawierać streszczenie prac Akademii Umiejętności we wszystkich jej oddziałach. Sprawozdania te wychodzić będą zeszytami po 60—100 str. w językach francuzkim i nie-

mieckim. Egzemplarze francuzkie przeznaczone są dla towarzystw naukowych francuzkich, słowiańskich i innych, niemieckie zaś wyłącznie dla towarzystw niemieckich. Pierwsze sprawozdanie już się redaguje.

Komissya historyczna jako wydział tój akademii odbyła posiedzenie 29-go stycznia. Grono lwowskie komissyi doniosło o ukończeniu prac około 3-go tomu „Monumentów” i blizkiem rozpoczęciu druku. D-r Smolka zdał sprawę z „Wiadomości o archiwach in-flandzkich,” przez dra Kanteckiego podanej. Przewodniczący d-r Szujski oznajmił o druku „Kodeksu małopolskiego,” wydania d-ra Piekosińskiego, i „Acta historica” (1384—1492), wydania dra. Szujskiego i A. Sokołowskiego. A. Stoeger z Bochni nadesłał zbiór swoich odpisów dyplomatów archiwum nowosądeckiego. D-r K. Waliszewski w Paryżu doniósł o postępie prac w archiwum spraw zagranicznych, tamże przedsiębranych z polecenia komissyi do przyszłego wydawnictwa „Acta Joannis III.” Członek honorowy Franciszek Kulczycki przedstawił nowe dokumenta do mało dotąd wyjaśnionego spisku przeciw Janowi III na sejmie 1668/9 roku. Resztę posiedzenia zajęły sprawy zarządzenia kopii manuskryptów po Hozyuszu i innych. W końcu dr. Szujski, przypominając rocznicę śmierci Długosza na rok 1881 przypadającą, poruszył potrzebę przygotowania na tę rocznicę stosownego obchodu, i zajęcia się choćby przed tym terminem, uczczeniem pamięci wielkiego historyka, przez przyozdobienie jego grobu u Św. Stanisława na Skałce, a gdyby na to fundusz się zebrał, umieszczeniem stosownego pomnika w kościele katedralnym na Zamku. Postanowiono do starań w myśli tój przedsięwziąć się mających, wezwać zrazu tylko te osoby, których prace łączą je bliżej z pamięcią Długosza, w szczególności zaś porozumieć się z p. Konstantym Przędzieckim, członkiem komissyi i z dyrektorem wydawnictwa dzieł Długosza dr. Łepkowskim.

Wydział jój prawny poruczył członkowi swemu d-rowi Bojarskiemu wypracowanie memoriału w przedmiocie założenia osad rolnych dla małoletnich przestępców. Na posiedzeniu dnia 27 stycznia odbytém, dr. Bojarski objaśnił, iż opracowanie odnośnego projektu nateraz musi być odroczone, a to ze względu na zamierzone przez Radę państwa uchwalenie nowój ustawy karnój, której przygotowany już projekt, uznaje pożyteczność tego rodzaju zakładów dla małoletnich i zapewnia im opiekę i pomoc władz rządowych. Na ténże posiedzeniu dr. Kasperek przedstawił wniosek, aby komissya zajęła się zbieraniem zwyczajów prawnych między ludem przechowywanych. Ważność tego wniosku jednomyślnie przyznana została, aby zaś pracom w tym kierunku nadać jak największą jednostajność i osiągnąć z nich jak największy pożytek i korzyść naukową, uznano potrzebę wskazania najważniejszych punktów, do których badania na tén polu odnosić się mają. Do przysposobienia takiego przewodnika komissya wybrała ze swego grona delegacją złożoną z pp. dra Kasparka, Bojarskiego, Zatorskiego, Piekosińskiego i Bobrzyńskiego.

Dnia 18 lutego r. b. odbyło się posiedzenie komisji archeologicznej akademii umiejętności, któremu przewodniczył prof. Żepkowski. Zebrany, członek p. A. Kirkor odczytał sprawozdanie z odbytej jesienią r. z. wspólnie z panem Strutyńskim, wycieczki w okolicy Krakowa w celach archeologicznych. Na wniosek prof. Szujskiego, co do zbierania materyałów do epigrafiki polskiej, postanowiono wznowić rozpoczęte jeszcze w r. 1861 przez prof. Majera prace, których owocem dotąd są zebrane w liczbie około 300 kopie rozmaitych napisów z pomników. Następnie komisja zajmowała się wnioskiem opracowania mapy archeologicznej Kolskiego, przedstawiającego bogaty materyał dla badacza starożytności. W końcu po zatwierdzeniu czynności administracyjnych, zatwierdzono wniosek sekcji wykopalisk, dotyczący mających się w tym roku przedsięwziąć poszukiwań.

Dnia 15 lutego r. b. odbyło się posiedzenie komisji językowej pod przewodnictwem dra Skobla. Przewodniczący złożyli list profesora Rymarkiewicza z Poznania, wraz z wyciągami zrobionymi przez tegoż do staropolskiego słownika z „Książeczki do nabożeństwa Jadwigi.” Podobnie zbiory wyciągów z dwóch rzadkich książeczek w Dzikowie się znajdujących, t. j. „Rozmyślanie o bożem umęczeniu” (przed r. 1548) i „Księgi próbowane przez doktory” (z r. 1545), zrobione przez siebie złożył dr Wisłocki. Następnie zdawali sprawę: dr. Wisłocki z „Głosowni ludu wielkopolskiego,” napisanej przez O. Kolberga, i dr. Bećkiewski ze „Słowniczka wyrazów i wyrażeń marynarskich polskich,” ułożonego przez p. Witkowskiego inżyniera. Wreszcie dr Janikowski zwrócił uwagę na ważność zaniedbywanych coraz więcej w drukach znaków pisarskich i podał wniosek, czyby nie należało, w celu przypomnienia tych przepisów, zrobić nowe wydanie dzieła Bentkowskiego w tym przedmiocie. Wnioskodawca dr. Wisłocki i dr. Bećkiewski mają zająć się bliższem rozpatrzeniem projektu.

Taż akademia, oceniając ważność prac *ks. Władysława Siarkowskiego* dla etnografii, umieszczanych w *Gazecie Kieleckiej*, przez pośrednictwo znanego zbieracza pieśni ludowych i badacza w tej gałęzi Oskara Kolberga, wezwała go do współpracownictwa w dziale etnografii krajowej.

Zarząd pomienionej instytucji bezpłatnie rozsyła gimnazjom Galicyjskim swoje wydawnictwa. Dla wyższych szkół realnych przeznaczyła dzieła z zakresu nauk matematyczno-przyrodniczych.

— Biblioteka Jagiellońska liczy obecnie dzieł 138,926, tomów 175,580, atlasów i map geograficznych 1418, rękopismów 5,746 w 2891 woluminach, monet 8,989, dyplomatów 213, nut 345. Pod umiejętnym zarządem Karola Estrejchera, w ciągu lat kilku biblioteka ta o wiele wzbogaconą została i uzupełnioną, szczególnie w dziale literatury polskiej. W końcu roku zeszłego otrzymała dar szacowny od Prota Lelewela, młodszego brata Jonchima. Jest to bogaty zbiór rękopismów własnoręcznych tego historyka, obejmują-



cych jego studia, notaty i wypisy z dzieł i rękopismów w rozmaitych językach, które mu posługiwały do prac następnych. Służyć one mogą za wymowne świadectwo jego w młodych latach żelaznego trudu, jakim zdobywał naukę i olbrzymiej erudycji. Rękopisma te zebrane starannie i ułożone w ozdobnej skrzynce, z napisem na blasze stosownym, szanowny dawca już przesłał dla *Alma Mater*.

— Biblioteka Czartoryskich dotąd przechowywana w Sieniawie, obecnie przewożoną jest do Krakowa, gdzie w budynku przy bramie Floryańskiej urządzonym odpowiednio, umieszczoną zostanie. Tym sposobem skarby dawnej literatury polskiej, staną się przystępnymi dla badaczy naszych.

— *Przegląd Krytyczny* przeszedłszy na własność tutejszej filii księgarni Gebethnera, rozszerza ramy swoje; oprócz zwykłego działu sprawozdań krytycznych z ruchu naukowego i literackiego polskiego, zaprowadza on nową rubrykę, streszczającą cały ruch naukowy, literacki i artystyczny zagranicy.

— W Krakowie wyszedł: „*List otwarty względem założenia osady niezależnej w Oceanii*“ (1875 r.), napisany przez W. Korczaka, który w nim przyrzeka dać na ten cel 32,857 fr. i bibliotekę wartującą 37,833 fr. Korczak jest to pseudonym znanego obywatela.

— Z ruchu artystycznego w Krakowie otrzymujemy zajmujące wiadomości. Nowy obraz Matejki „*Bitwa pod Grünwaldem*“, o ile z podmalowania sędzić można, przewyższy wszystkie dotychczasowe utwory tego genialnego malarza. Na płótnie olbrzymich rozmiarów przedstawia ogromna ilość osób, epizod wickowej walki śmiertelnej dwóch wrogich narodowości z niewymownym ogniem i życiem. W głębi obrazu na lewo widać pożar miasta, a wśród zgliszcz, gruzów i dymu snują się jakby niedobitki zwyciężonego wojska. Na prawo, również na drugim planie, na cieniście wzgórzu ukazują się na dzielnym rumaku Jagiełło, obejmujący orlim wzrokiem doświadczonego wodza całość i wszystkie szczegóły krwawego boju, który jakby u stóp jego, wre bliżej pierwszego planu. Środkiem obrazu pędzi szarża konnicy polskiej, prąc przed sobą część głównego zastępu Niemców z wielkim mistrzem na czele. Dowódzca ten śmiertelnie ranny, spada z karego rumaka i stanowi rozwiązanie dramatu. Gdy staniesz przed obrazem i ujrzysz ten zastęp w żelazo zakuty, lecący prosto na siebie z niepokohamowaną siłą, mimowolnym dreszczem przejęty pytasz siebie, czy zdążysz usunąć się w porę, by nie być stratowanym? Równocześnie z odgrywającym się na osobie wielkiego mistrza epilogiem, wpada na pierwszy plan, na sam środek obrazu Witold, przedstawiciel zwycięstwa. Leci on na dzielnym koniu „żelaznym szpaku“, z mieczem w prawej, a podniesionym sztandarem narodowym w lewej ręce. Postać jego odznacza się niewysłowioną siłą akcji i prześlicznym charakterem. Słowem obraz ten, artystycznie zamknięty od prawej i lewej strony

dwiema pięknymi i z sumiennością Matejce właściwą wystudowanymi grupami, zapowiada arcydzieło. Między innymi niepospolite stanowisko zajmuje Żyzka, przedstawiający nie już wyłącznie polski, ale wszech-słowiański charakter walki przeciw germanizmowi. Dodać tu należy, że Matejko rozszerzył studia przygotowawcze do tego obrazu po za widziane dotąd u nas rozmiary. Studia archeologiczne nad ówczesnymi zbrojami i ubiorami niczem są w porównaniu pracy i kosztów, jakie ponosi artysta celem wystudowania konia.

— Malarz Lipiński, po drogo zakupionym przez p. Fischer'a w Wiedniu pięknym „Targu na Kleparzu,” pracuje nad „Targiem jarzynnym na Szczepańskim placu.” Postęp jest tu uderzający, bo obok życia, werwy i prawdy w ugrupowaniu postaci ludzkich, stawiających młodego artystę prawie obok takich mistrzów niemieckich jak Knaus, objawia się w sposobie traktowania natury roślinnej talent, godny mistrzów holenderskich wielkiej szkoły. Jest to realizm, ale najszlachetniejszego charakteru. Austriacki wydział oświaty, temuż artyście dał 1,000 złr. na wykonanie obrazu: „Konik Zwierzyniecki.”

— W dalszym ciągu wydawnictwa „Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego,” w nowej edycji przejrzaney i poprawioney przez autora, wyszły we Lwowie tomy od 88 do 96; tomy te obejmują: *Stanieczykową kronikę, Staropolską miłość, Pan i Szevc, Improwizacye dla moich przyjaciół. Trapezologion, historyjka. Kordecki powieść historyczna.* Na czele każdej, autor dodaje kilka słów wstępnych, które w obrazie olbrzymiej działalności J. I. Kraszewskiego będą ważną wskazówką dla biografii i estetyka, który takową weźmie pod uwagę.

— Towarzystwo Archeologiczne krajowe we Lwowie ukonstytuowało się na walnym zgromadzeniu odbytym dnia 12 lutego r. b. przez wybranie wydziału, którego prezesem jest dr. Stanisław Krzyżanowski, podskarbis Władysław Zawadzki. Towarzystwo uchwaliło przystąpić ile możności najrychlej do wydawania „Przeglądu Archeologicznego.”

— Walne Zebranie Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika odbyło się we Lwowie 19 lutego, jako w dzień urodzin astronoma polskiego i zarazem w rocznicę założenia Towarzystwa. Prezydujący prof. dr. Kreutz zagaik posiedzenie mową o działalności i celach Towarzystwa przyrodników, poczem prof. Tyniecki zastępujący sekretarza, odczytał sprawozdanie z walnego zebrania w roku zeszłym odbytego, a następnie urzędowe sprawozdanie z czynności Towarzystwa w roku ubiegłym. Głównym przedmiotem dyskusyi była kwestya wniesiona przez d-ra Ciesielskiego, który zwrócił uwagę na to, że nauki przyrodnicze mało są uwzględniane w szkołach normalnych, gimnazyach i w seminaryach nauczycielskich; że wykładają się w sposób niedostateczny i według niewłaściwej metody; należałoby więc aby Towarzystwo wystarało się o wprowadzenie pod tym względem reformy. Wniosek został jednogłośnie przyjęty. Poruczono

zarządowi Towarzystwa napisanie odpowiedniego memoriału do rządu z wykazaniem konieczności obszerniejszego i lepszego wykładania nauk przyrodniczych w niższych i średnich szkołach.

— We Lwowie wyszedł *Kalendarzyk Myśliwski*, wydany nakładem hr. Romana Potockiego. Miniaturowy ten kalendarz składa się z tabelki, która uwidocznia, kiedy i jakie rodzaje zwierzyny polować wolno lub nie wolno, oraz z przedruku ustawy krajowej z dnia 30 stycznia 1875 roku regulującej przepisy myśliwskie. Wyborną jest tabelka kolorowa, daje bowiem doskonały i łatwy przegląd pory polowania na rozmaite rodzaje zwierzyny, uwzględniając ściśle wspomnianą ustawę. Korzystając ze sposobności i z tej praktycznej tabelki, zapisujemy, że w drugiej połowie stycznia polować jeszcze wolno na słonki, kozły, rogacze, zające, lisy, jarząbki, cietrzewie, głuszcze, ptaki błotne i wodne; nie wolno zaś już strzelać lub łowić: jeleni, borsuków, kuropatw, bażantów, przepiórek i dzikich gołębi.

— W témże mieście z początkiem stycznia r. b., pani Zofia Lewandowska, na mocy udzielonego pozwolenia przez magistrat tamtejszy, otworzyła pracownię introligatorską, w której najważniejszym zadaniem jest broszuowanie.

— Wiadomo naszym czytelnikom o straszny pożarze w salinach Bochni i o śmierci wielu w nich pracujących. Na rzecz wdów i sierot pozostałych po górnikach bocheńskich, którzy wśród katastrofy w tej kopalni stracili życie, urzędnicy i robotnicy kopalni węgla w *Morawskiej Ostrawie*, za inicjatywą miejscowego inżyniera górniczego p. H. Schrotta i na jego ręce złożyli złr. 157 i 32 ct., którą to sumę już odesłał do kopalń bocheńskich.

— Towarzystwo pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego, ogłosiło sprawozdanie z trzeciego roku swjej działalności, który się skończył 30 września r. z. Towarzystwo to liczy członków 438, z których około 100 przypada na Galicyą, między tymi tylko 9 z Krakowa, reszta ze Lwowa i Stanisławowa. Dochody Towarzystwa wynosiły 1,227 złr., wydatki 474 złr., z których przypada na koszt administracyi 89 złr., na zapomogi 385 złr. Reszta dochodu idzie na założenie funduszu żelaznego. Majątek Towarzystwa wynosił w chwili zamknięcia rachunków 2,371 złr. Towarzystwo Cieszyńskie w krótkim czasie istnienia swego potrafiło wejść w bliższe stosunki z najniższymi warstwami społeczeństwa; przedewszystkiem zasługuje pod tym względem na wzmiankę fakt, że pewna chałupnica, Anna Suchankowa, zapisała Towarzystwu 20 złr., tudzież chałupnik Franciszek Michejda 25 złr. Sekretarzem Towarz. jest p. Paweł Stalmach redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej,” na którego ręce publiczność przesyła datki.

— W roku 1874 znany i zasłużony księgarz i nakładca J. K. Żupański, który tylu ważnemi dziełami wzbogacił literaturę krajową, ogłosił prospekt na całkowite wydanie pism Karola Libelta. W ciągu dwóch lat wyszła serya pierwsza, pod ogólnym tytułem: *Filozofia*



i *krytyka*, w sześciu tomach, a obejmująca rozprawy: „Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej,” „Estetykę czyli umnictwo piękne” i „System umnictwa, czyli filozofii umysłowej.” Każda z nich przejrzana na nowo przez autora, poprawiona i uzupełniona, opatrzona jest jego wstępami. Całość ma obejmować XVIII tomów, jest to więc jedna trzecia część tej publikacji. Wydawca w prospekcie swoim pisze: „Od łaskawego udziału publiczności w prenumerowaniu, zależność będzie szybkie wydanie następnych dwóch seryi, obejmujących pisma autora naukowe, całe, jeszcze w jedną całość nie zebrane i pisma pomniejsze, które już są całkowicie wyczerpnięte.” Nie powątpiewamy, że publikacja ta w spoważniałem społeczeństwie naszym, znajdzie szerokie rozpowszechnienie.

Tenże księgarz i nakładca, po ogłoszeniu w przepysznym wydaniu *Historji powszechnej konia*, przez Maryana hr. Czapskiego, o którego wysokości wartości już mówiliśmy w piśmie naszym; ogłasza *Atlas* do pomienionego dzieła, złożony z 76 tablic in folio, z portretem autora na miedzi rytym, na który przedpłatę przyjmuje w Warszawie księgarnia Stoppelle i Stan, w kwocie rs. 30. Dzieło zaś samo w 3 tomach kosztuje rs. 14 kop. 40.

— W Wielkiem Księstwie Poznańskiem wę wsi Nieparcie, własności p. Zygmunta Czarneckiego, znaleziono ważny i ciekawy zabytek piśmienniczy. Jest to dokument spisany na pergaminie, obejmujący układ zawarty pomiędzy plebanem a włościanami Niepartu, o założenie szkoły elementarnej. Dokument datuje się z czasów króla Władysława Łokietka (1260—1333 r.). Zachowany był dotąd w aktach miejscowego kościoła.

— Pod prezydencją p. Stanisława Koźmiana utworzył się komitet w celu zebrania funduszu na wieczyste stypendyum ku uczczeniu pamięci Karola Libelta. W wydanej świeżo odezwie, zwraca uwagę na ogromne zasługi ś. p. Libelta. Pracował on w roli, podnosił dobrobyt i oświatę ludu, spełniał wszelkie najpowszedniejsze obowiązki gospodarza rolnego, a przytém zajmował się nauką, którą szerzył w wydawanych przez siebie książkach przeznaczonych dla wszystkich i w pracach poświęconych wyższym zagadnieniom umiejętności i wiedzy. Oprócz tego dał on początek wielu stowarzyszeniom, dobro ogólne na celu mającym, a niektórymi z nich przez długie lata kierował.

— W Poznaniu zaczęło wychodzić nowe pismo: „Oświata” tygodnik dla stanów średnich. Wydawcą jest Tytus Daszkiewicz, redaktorem ksiądz S. Tomicki znany z nauki i prawości charakteru.

— Donoszą nasze pisma codzienne, że p. Józef Chełmiński rodem z Księstwa Poznańskiego, który przez długi czas przebywał we Francji, gdzie się poświęcał studjom inżynieryi, a następnie udał się do Portugalii, pracą i zdolnościami dorobił się zaszczytnego stanowiska, niedawno został mianowany generałem inżynieryi. W roku 1875 zwiadał on z polecenia rządu portugalskiego fortece pruskie, do których mu wstępu nie wzbroniono.

— Znany kompozytor czeski *Dworzak* ukończył pięcio-aktową operę p. t. *Wanda*, do której libretto napisał p. Surzycki z Warszawy. Znawcy wychwalają muzykę, opera zaś ma być w maju świetnie przedstawioną na teatrze czeskim w Pradze. Znana z talentu p. Eliza Krasnohorska, zajmuje się przekładem *Pana Tadeusza* Mickiewicza. Pierwsza księga tego tłumaczenia była już drukowana w czasopiśmie *Lumir*. To daje dostateczną rękojmię, piękności przekładu i wierności w porównaniu z oryginałem. *Wiesław*, K. Brodzińskiego, wyszedł jako dodatek do jednego z pism belletrystycznych.

— Młody, utalentowany pisarz czeski I. K. Iireczek, syn b. ministra, napisał obszerną historią Bulgaryi, która równocześnie z oryginałem czeskim wychodzić zaczęła wraz z tłumaczeniem francuzkiem i niemieckim. Pisarz ten poświęcił się wyłącznie badaniom literatury, historii i etnografii Bulgaryi. W tym celu odbywał kilkakrotnie po Słowiańszczyźnie południowej podróże. zbierając skrzętnie materiały do swoich badań. Owocem dotychczasowych jego studyów, jest cały szereg drobniejszych rozpraw po różnych czasopismach czeskich rozrzuconych. Pierwszą obszerniejszą pracą I. K. Iireczka była: *Bibliografia nowo-bulgarskiej literatury*, w r. 1872 w Wiedniu wydana. Do dzieła swego, o którym wspomnieliśmy p. n. *Dejiny naroda bulharského*, użył autor nie tylko wszystkich istniejących w tym przedmiocie dzieł i rozpraw, ale w wycieczkach swych badań archiwa po klasztorach i biblioteki; nie szczędził trudów kilkoletniej pracy i dla tego dzieło jego jest bezsprzecznie najbardziej źródłowym ze wszystkich jakie mamy o Bulgaryi.



Dnia 22 stycznia r. b., we wsi Bereźnicy w powiecie Stryjskim (w Galicyi) umarł *Seweryn Korzeliński* w sędziwych latach, żołnierz i obywatel powszechnie szanowany, autor zajmujących wspomnień, z okresu gdy był kopaczem złota w Australii, które wydał w Krakowie 1858 r. p. n. „*Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852—1856*“ we dwóch tomach. Od r. 1860 był dyrektorem szkoły agronomicznej w Czerniechowie nad Wisłą, niedaleko Zatora. Ostatnie lata spędził w ustroni wiejskiej.

— Dnia 9 lutego r. b. zakończył życie *Józef Czech*, licząc 70 lat wieku, znany księgarz i wydawca. Po Ambrożym Grabowskim, księgarnia Czecha liczyła się do najdawniejszych w tym starym grodzie.

— Dnia 13 lutego r. b. umarł w Warszawie *Konstanty Jodko*, starszy inżynier zarządzający wydziałem technicznym przy magistracie m. Warszawy. W r. 1812 wstąpił do batalionu saperów armii Księstwa Warszawskiego; w organizacji nowej Królestwa Polskiego doszedł w r. 1823 do stopnia porucznika w korpusie inżynierów. W latach 1828 i 1829, podczas wojny z Turcją, wraz z innymi oficerami b. wojsk polskich wysłany do armii cesarsko-rossyjskiej od-

znaczył się jako inżynier przy zdobyciu Sylistryi. Brał udział przy budowie twierdzy Zamościa i kierował oddziałem budowy „Kanału Augustowskiego.” Po roku 1831, jako inżynier cywilny pod zwierzchnictwem inspektora komunikacji Pancera zajmował się pracami technicznymi; był inżynierem budowy Zjazdu do Wisły w Warszawie, po ukończeniu której przeszedł na inżyniera objazdowego rzeki Wisły, gdzie się zajmował wyrobieniem szczegółowych planów części tej rzeki od Warszawy do Nowogeorgiewska i wykonaniem na niej robót faszynowych podług projektu Pancera. Od roku 1855 mianowany starszym inżynierem miasta Warszawy: na tej posadzie życie zakończył.

— Dnia 25 lutego r. b., o godzinie 9 rano, we Lwowie zakończył życie *Seweryn Goszczyński*, znany poeta. Wspomnienie obszerniejsze o jego życiu i pracach podamy w następnym zeszycie.

— Dnia 1 lutego r. b. w Wiedniu umarł rzeźbiarz *Frańciszek Mielnicki*, który szczególnie odznaczył się wielu godnymi uwagi pracami przy nowych w tém mieście budowlach.

— Dnia 28 lutego r. b. w Warszawie zakończył życie w sędziwych latach *Eugeniusz Stubiński*, b. prezes komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Urodzony w r. 1799, po ukończeniu szkół, wyższe pobierał w Uniwersytecie Warszawskim. W młodych latach, zaledwie utworzone Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem działać zaczęło, zmarły mąż wybranym został na radcę do Komitetu Tow. kred. ziemskiego. Równocześnie piastował dostojność posła na sejm. Na tém stanowisku pozostał do r. 1831, później lat kilka przemieszkował w Dreźnie. Od r. 1840 wybrany ponownie do pomienionego komitetu, od 1 października 1862 r. w zastępstwie Andrzeja hr. Zamoyskiego, a od 1864 jako prezes chlubnie mu przewodniczył przez lat dziesięć.

Usługi jakie oddał Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu, zarówno jak w kole obywatelskiem i pracach społecznych, przy prawości charakteru ożywianego zawsze szlachetną myślą, nadały mu prawo do trwałej pamięci w sercach współziomków.

## SPROSTOWANIE.

Na str. 353 wiersz 9, zamiast *skreślił* i opracował Władysław Chomętowski, należy czytać *streścił* i opracował.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójoicki.**

Wydawca *Józef Berger.*



# SPIS RZECZY

ZA WARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1876.

stron.

## *Historya.*

Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne tom I. Przez Władysława Chomętowskiego. . . . .	1, 243, 417
Bulgarowie naddunajscy. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . .	71, 440
Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka. . . . .	181

## *Filozofia.*

W kwestyi duszy. (Z dziennika psychologa, Juliana Ochorowicza. Warszawa 1876). Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	36
W kwestyi pozytywizmu. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	204
Doświadczenie, jako kryterjum prawdy. Przez Aleksandra Tyszyńskiego. . . . .	385

## *Literatura.*

O pobycie w Polsce i pracach Marcina Opitza, słynnego poety niemieckiego w XVII wieku. Przez Karola Mecherzyńskiego. . . . .	47
Arab. Poemat Juliusza Słowackiego w tłumaczeniu francuzkiem, pana Jules Mien. Przez Adama Pługa. . . . .	86
<b>KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.</b> Przez Sewerynę z Żochowskich Duchyńską.	
Jak się przedstawia Francya tym którzy sądzą ją powierzchownie, a tym którzy badają rzecz do gruntu.—Dzieła uwiedzione przez akademią francuzką: <i>Historya Ludwika XIV</i> przez profesora Guillardin. <i>Historya Henryka IV</i> , przez Lescure. <i>Historya instytucyi polity-</i>	

cznych w starożytnej Francyi, pana Fustel de Coulanges. Historia prawa kryminalnego we Francyi p. Boys. Poprzedziciele rewolucyi p. Loudin.—Historia Grecyi pod panowaniem Rzymian p. Petit de Julleville.—Monachizm i Sybille w starożytności judeo-greckiej p. Delannay.—Życie patrycjusza weneckiego p. Yriarte.—Nowe studjum nad pieśnią o Rolandzie, Leona Gautier.—Wolter i społeczeństwo francuzkie w XVIII wieku p. Desnoiresterre.—Historia literatury dramatycznej we Francyi p. Tivier.—Przekład tragedyi Eurypidesa p. Pessoncux.—Nowy przekład Eneidy Wirgillego p. Wailly.—Powieści: Fremiot młodszy i Risler starszy p. Daudet.—Podróż wkoło mego ogrodu Alfonsa Karr.—Idee moralne w polityce Demostenesa p. Croiset.—Życie i prace Erazma z Rotterdamu p. Feugère.—Zakłady poprawcze we Francyi i koloniach p. d'Haussonville.—O wychowaniu sierot i poprawie zaniedbanych dzieci barona Daru.—Powieści: La fille de Carilés pani Colomb.—Les demoiselles de Roncey p. Alberyka Second.—Osioł i dwie dziewczyny Stahla.—Dziennik wolontaryusza z 10 pułku, p. Rudot.—Poezycy II. Matabone: Po dzienniej pracy.—Poemat konkursowy: Liwingston p. Guirar.—Nowy konkurs fundacyi p. Botta, na dzieło: O stanowisku kobiety.—Anna Breuil.—Towarzystwo Felibrów w Prowancyi.—Życiorys Jana Barta.—Podróż księcia Conti do Polski.—Nowo odkryty poemat z XIV wieku.—Wojna miasta Metz z Janem Luksemburczykiem królem czeskim.—Historia współzawodnictwa Franciszka I z Karolem V, przez akademika Miquet.—Dziewica Orleańska p. Wallon.—Nowe podróże po Niemczech p. Tissot.—Historia XIX wieku Micheleta, tomów trzy: Początki Bonapartych, od 18 Brumaira, do Waterloo.—Ferreol, dramat Wiktora Sardou.—Regina Sarpi, dramat pp. Demayrouze i Ohnet. . .

94

Publikacye illustrowane i noworoczne albumy.—Poemat Biblijny Ruthl p. Lemaistre de Sacy, z rysunkami Bida.—Dwa wydania Księgi o Naśladowaniu Chrystusa, z przedmową Veuillot'a i Caro.—Historia popularna Francyi z drzeworytami, przez Henri Martin.—Historia Francyi opowiadana wnukom, Guizota, dopełniona przez panią Witt.—Sztuka Alzacko-Lotaryńska p. Menard.—Londyn przez Ludwika Enauld, z rysunkami Gustawa Dorego.—Pendant l'Exil Wiktora Hugo.—Livro de l'Exile, Edgarda Quinet.—Bawaryja p. Tissota.—Ostatnio obrazy Kaulbacha.—Potop powszechny.—Archanioł Michał.—Geografia powszechna Elizeusza Reclus. . . . .

321

Projekt podróży naukowej w około świata.—Dzieła wielkich podróżników: Liwingstona, Schweinfurhta, Backera.—Chiączycy w domu przez p. Arcne: pieśni ludu, teatr, prawo karne.—Teatr w Paryżu.—„Daniszowy.”—Przekład arcydzieł Szekspira wierszem, przez p. Couroy.—Wystąpienia Włocha Rossi w drauntach Szek-

spirowskich.—„Neron,” komedia włoska p. Cossa. — Oratorium: „Piekło” Danta.—Fryderyk Lemaitre.—„Wielkość i zmierzch Francji” Emila Girardin.—Laureaci konkursu franko-amerykańskiego.—Przygotowania w Filadelfii.—Inżynier poeta Denayrouze. — Biblioteka Kornelowska. — Mejsonnier; obrazy. „Dzień Friedlandu, Paryż oblężony.”—Starożytności Kartagińskie.—Uniwersytet londyński: prawa kobiet.—Symfonia: „Sąd ostateczny” pana Salveyre. . . . .	529
Józef Korzeniowski, studjum literackie. Dramata i komedye. Przez Adama Rządewskiego. . . . .	231, 458
Balzac, jego stanowisko i pojęcia, studjum. Przez Waleryą Marrenè.	280
Podole. Przez Fryderyka Krauzego (Podolanina). . . . .	305
Improwizacye Adama Mickiewicza. Przez M. Malinowskiego. . . . .	411

### *Nauki Społeczne.*

Kronika ekonomiczna współczesna. Przez Feliksa Zielińskiego. . . . .	25
--	----

### *Życiorysy.*

Franciszek Deak. . . . .	514
Feliks Zieliński. . . . .	545

### *Nauki przyrodzone.*

Kilka słów o karcie geognostycznej Roemera. Napisał Jan Hempel górnik. . . . .	259
Z dziedziny przyrodoznawstwa. Tajemnice ukryte w kamieniach.—Co nam może o nich powiedzieć mikroskop?—Znaczenie tego narzędzia w badaniach mineralów.—Dwa główne rodzaje skał.—Prace Sorby'ego.—Klucz do historyi kryształu.—Główne cechy, po których poznać można początek skał.—Poszukiwania podmorskie jako prace przygotowawcze do budowy tunelu, mającego połączyć Francją z Anglią; raport komisji naukowej.—Proponowany przez de Candolle'a nowy podział roślin na grupy fizyologiczne.—Niedostateczność dotychczasowych systemów.—Główne kategorie grup fizyologicznych.—Co przemawia za tą klasyfikacją?—Hypoteza o początku grup fizyologicznych. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	502

### *Korrespondencya.*

Kronika lwowska. Przez Bronisława Zawadzkiego. . . . .	50, 483
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, list A. E. Odyńca. . . . .	124



Od dra Stanisława Krzyżanowakiego. . . . .	130
Od Zygmunta Glogera. . . . .	131

*Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszelkiej treści, tak krajowych jak zagranicznych.*

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiejętności w Krakowie. (Tom III, w Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1875). Przez J—d.	132
Poezye S. Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego; (Dr. W. Łebieńskiego) 1875. (w 12-cce, dwa tomy). W księgarni Gebethnera i Wolfa. Przez Tadeusza Wójcickiego. . . . .	141
Paohedzenak. Protyka sa Sserbow na leto 1875 (Kalendarz Łużyko-Serbski) na rok 1875. W Budyszynie (Z nakładem Maćicy Serbskiej). Czasopis Maćicy Serbskiej 1873 i 1874 (Letnika XXVI zeszywk II i XXVII zeszywk I). Budyszyn (Z nakładem Maćicy Serbskiej). Przez Antoniego Wagę. . . . .	148
Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i taniec. Przedstawił Oskar Kolberg, członek hon. Akademii umiejętności w Krakowie oraz Towarzystw naukowych w Paryżu, w Petersburgu i Muzycznego we Lwowie. Serya IX; z dwiema rycinami, wedle rysunku B. Hoffa. W. Ks. Poznańskie, część pierwsza. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego (w 8-cce, str. IV, 320). Przez W.	151
Koniuszyc Brzeski, opowiadanie przez Kajetana Kraszewskiego. (Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1875, w 12-c str. 182). Przez W. . . . .	153
Opis Lublina, jako przewodnik dla zwiedzających miasto i jego okolice, nakreślił Wł. K. Zieliński. Lublin. Nakładem księgarni S. Arcta, 1876. (W drukarni Wł. Kossakowskiego. w 18-cce, str. 97). Przez R. . . . .	155
Sprawozdanie wydziału czytelnicy akademickiej we Lwowie z czynności w r. 1875. Lwów, nakładem czytelnicy akademickiej 1875. w 8-c str. 79. Z drukarni A. J. O. Rogosza we Lwowie). Przez R.	156
Logika Śmigleckiego. Przez Feliksa Zielińskiego. . . . .	156
Angelo de Gubernatis. Odczyty o mitologii wedyjskiej.— Aurelio Cotti. Życie Michała Aniola Buonarrotti.— Zamaeh na Otella. . . . .	157
Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom II, Kraków 1875. Przez L. Szczerbowicza-Wieczora. . . . .	335
Pedagogika obejmująca zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dzieci, ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego, wyłożył August Jesko. Warszawa 1875, nakładem Stanisława Arcta w Lublinie. Przez F. J.	344

	stron.
Pamiętnik Feliksa hr. Łubieńskiego ministra sprawiedliwości, streścił i opracował Wł. Chomętowski. Warszawa. Nakładem Redakcyi „Kroniki Rodzinnéj.” (w 12-ce str. 260). Przez K. Wł. W.	353
Zasada zachowania energii. Wykład początkowy o energii i jej prawach, przez Balfour Stewarta profesora fizyki w kollegium Owena w Manchester. Tłumaczył z angielskiego Władysław Kwietniewski. Z wyboru Biblioteki Naukowej Międzynarodowej. Str. 185, IX. Warszawa 1875 r. Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	359
Pamiętnik Warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 1874/5. Rok szósty. Warszawa. W drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych 1875 r. (w 8-ce stronnic 357 L). Przez R. . . . .	364
Wykopaliska Głębockie średniowiecznych monet polskich, objaśnił i opisał ks. Ignacy Polkowski. Gniezno, nakładem autora, drukiem J. B. Langiego. 1876 r. (w 8-ce str. 57). Przez R. . . . .	365
Romuald Hube, Statuta Nieszawskie z roku 1454 (Bibl. Umiejęt. Praw. 1876, rozważane jako przyczynek do historii konstytucjonalizmu w dawnéj Polsce). Przez J—d. . . . .	551
Pestalozzi. Idee und Macht der menschlichen Entwicklung. Bearbeitet von Josephine Zehnder, geb. Stadlin. Gotha 1875. Erster Band. Zeit und Vorzeit von Pestalozzi's Entwicklung XVI 828. Przez Seweryna Smolikowskiego kand. pr. . . . .	563
Czaszki z kurhanów pokuckich, jako materyał do Antropologii przedhistorycznej ziem polskich, opracował dr. Izidor Kopernicki. (Kraków 1875). Przez A. W. . . . .	571
Spostrzeżenia nad właściwościami językowemi w mowie Górali Bieskidowych z dodaniem wyrazów góralskich. Opisał dr. Izidor Kopernicki. (Kraków 1875). Przez A. W. . . . .	571
Fr. Lenormant: La magie chez les Chaldéens et les origines accadiennes, (Magia u Chaldejczyków i początki akkadyjskie). Paryż 1874. Przez J. K. . . . .	574
Marya. Powieść Malczeskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa 1876. (w 4-ce str. 63. Druk J. Ungra z ośmią fotografiami z rysunku M. Andriollego), Przez W. . . . .	578
<b>WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.</b> . . . . .	159, 367, 585
<b>NEKROLOGIA.</b> . . . . .	179, 382, 595
<b>OD REDAKCYI.</b> . . . . .	180, 584
<b>SPROSTOWANIE.</b> . . . . .	383, 596
Bibliografia na okładce każdego zeszytu.	